





# VETO!

POWIEŚĆ

PRZEZ

ADAMA KRECHOWIECKIEGO.

—  
TOM III.

Wydanie drugie niezmienione.



KRAKÓW.

NAKŁAD G. GEBETHNERA I SPÓŁKI.

WARSZAWA.

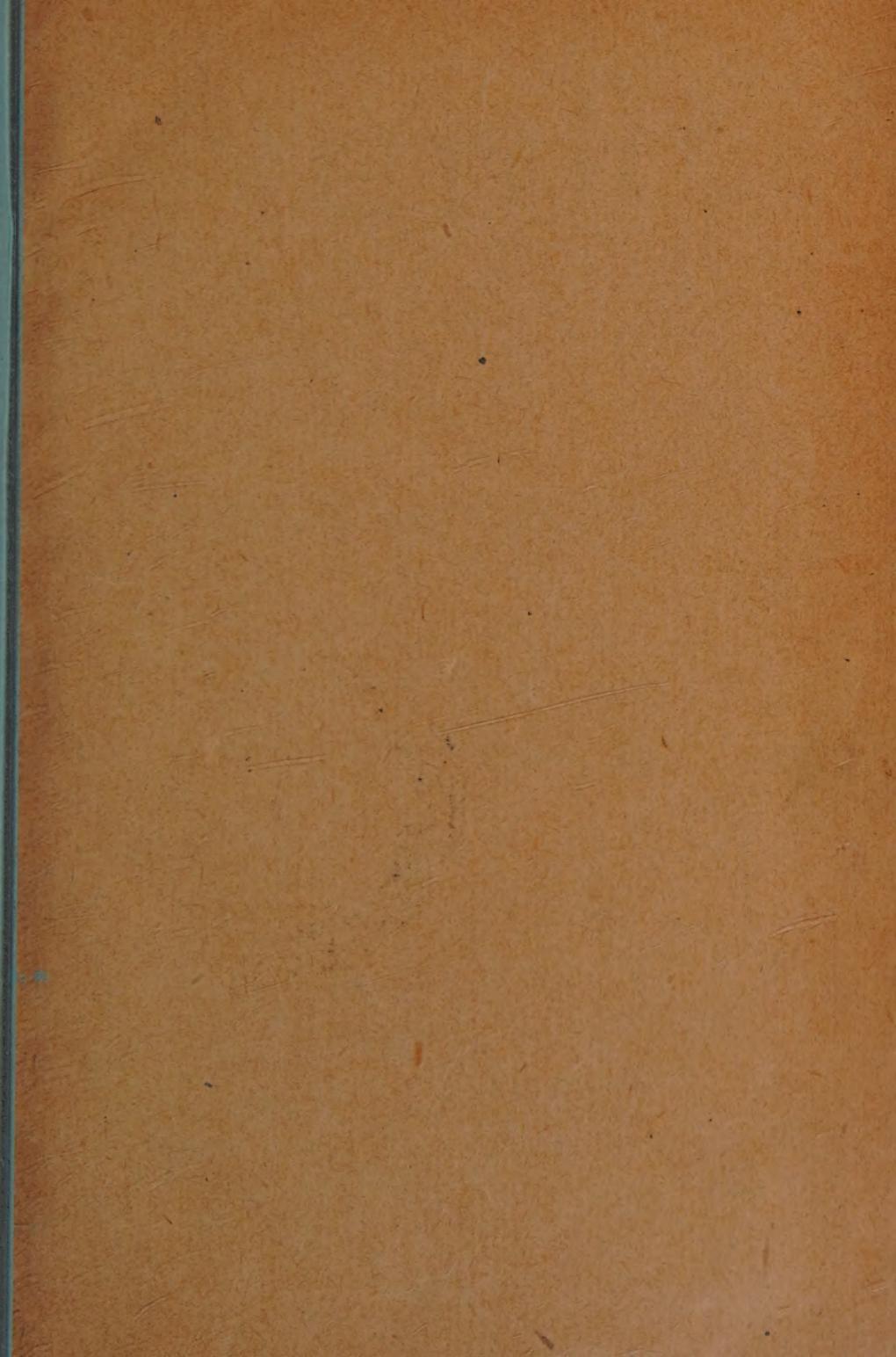
PETERSBURG.

GEBETHNER I WOLFF.

KSIEGARNIA BR. RYMOWICZ.

1893.







# VETO!

W.M. G.

1862

W.M. G. 1862

W.M. G.

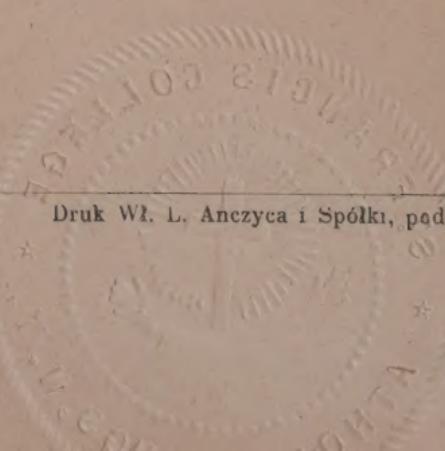
W.M. G. 1862



W.M. G.

W.M. G. 1862

W.M. G.



Druk Wł. L. Ańczyca i Spółki, pod zarządem Jana Gadowskiego.

## XI.

W noc letnią, pogodną, gwiazdzistą, woda dnieprowa rozlewająca się szerokim korytem pod Czerkasami, wydawała się zdala srebrzystą wstęgą wielką, połyskującą w xięzycowym blasku. Płynęła rączo wśród łąk bagnistych, rozpryskując się białą pianą na kamieniach i porohach, lub z szumem opływając dokoła liczne w tem miejscu ostrowy. Z pól i łąk mokrych podnosili się ku niebu mgły białe i jak dym rozplynęły w powietrzu. Dokoła cisza.... to jest ludzkich głosów ani krzyków słychać nie było, — lecz za to inna mowa, harmonijna i dźwięczna, przejmująca i uroczysta a z milionów złożona głosów, napełniała przestrzeń całą.... Lasy wtórowały szumem swym rzece; na ostrowach kołyzały się drzew konary, strącając suche lub zwiędłe liście, które spadały ze szmerem na bagnistą ziemię lub na fale rzeki; z moczar podnosił się cały chór głosów rozlicznych, którym odpowiadał krzykiem ptak nagle

obudzony, z łoskotem trzepocąc skrzydłami. Z futorów, wsi dalekich i Czerkas sąsiednich, dochodziło psów ujadanie a czasem wycie przeciągłe, żałośnie.

Teraz gdy ludzie spali, kiedy ich widać nie było, przyroda cała zdawała się wolniej, swobodniej oddychać, zdawała się własnym niekrępowaniem cieszyć się życiem, własną dla siebie jeno chełpić się pięknością. Nigdy z wieczora blaski xiężyca nie łamały się w tak różnorodne kształty i cienie wśród jarów, wysoczyzn i uroczysk, nigdy rzeka nie szemrała tak głośno i swobodnie, lasy nie szumiały tak donośnie, nigdy mowa łąk, moczarów i stepów dalekich, nie była tak dźwięczna, jak w tej nocnej porze, kiedy już oko ludzkie tych czarów nie widziało, ani ucho słyszeć ich nie mogło. Wybiegały teraz z ukrycia rozmaite małe zwierzątka, krety, susły i płazy różne lub wylatywały ptaki nocne kąpać się w xiężycowych promieniach i bujać swobodnie bez lęku....

Aż nagle rozpierzchło się i ucichło wszystko.... jeno rzeka płynęła zawsze szumiąc jednak i wiatr lekki poruszał gałęziami drzew na ostrowach i gnał przed sobą mgły białe.... Zdala dały się słyszeć kroki zbliżających się ludzi i echo rozmowy głośnej.

Brzegiem Dniepru szło dwóch ludzi zwolna, zatrzymując się co moment. Byli na małym wzgórku, z którego jak na dloni widać było Czerkasy, a po za tem miastem dalsze slobody i sioła.... Domy w mieście liche, drewniane, pieły się pod góre i ciągnęły jednym szeregiem aż do błonia dnieproprowego, otaczając w około ostróg, czyli zamek królewski. Ostróg duży, oszańcowany, na niewielkim stojący wzgórku, z jednej strony od rzeki otoczony wałem, zarysowywał się czarną, nieforemną plamą na rozjaśnionem tle horyzontu.

Ludzie ci przystanęli i zamilkli. Starszy, lat średnich mężczyzna, wysoki, barczysty, w wielkiej czapce baraniej, miał na sobie strój dziwny, na poły tatarski, a na poły kozacki: żupan krótki z pasem skórzanym, za którym bogata rękojeść jataaganu połyskiwała; u lewego boku zwisała krzywa szabla tatarska; skóra barania do góry wełną obrócona a spięta u szyi klamrą srebrną, przewieszona była przez plecy. W ręku miał rodzaj małego czeckana, na którym chwilami się wspierał. Z pod czapki wymykały się włosy, długie, ciemne, w nieladzie spadając na ramiona. W tym momencie promienie księżyca rzucały się wprost na twarz jego, oświetlając rysy grube, wielkie, wśród których szczególną

zwracały uwagę usta szerokie, mięsiste a wywrócone; wąs sumiasty spadał na dół po za krótko przystrzyżoną brodę.

Poprawił owo futro baranie na sobie, rękę lewą przyłożył do czoła, jakby się chroniąc od promieni słońca i spojrzał w dół, ku Czerkasom a potem przeszedł wzrokiem dokoła po dalszych slobodach, ostrowach dniepropowowych, łąkach i moczarach. Rękę prawą z toporkiem podniósł i zatoczył wielki krag w powietrzu.

— Patrz! — zawałał, ukazując na gwiazdiste niebo — nauczył mnie jeden mnich uczony czytać w tych oczach niebieskich, które ku nam mrugają.... Tam jest napisane: Rok przyszły: 1648, wielki rok.... krwawy rok! Wszystko to nasze! Czerkasy, Czechryn, Korzuń.... wszystko gotowe!... Ej wody wy czyste, nie tak niebawem pienić się i szumieć będziecie, gdy setki czajek puszczą się po was, jak strzały!

Wzrok mówiącego zapalił się ogniem.... Zamilkł i patrzył w przestrzeń, jakby w upojeniu; — nozdrza mu się rozdymały szeroko i otwierały usta, czerpiąc chciwie powietrze.... Wielka jego postać rosła i podnosiła się ku myślom czy marzeniom, jakie się rodziły w du-

Zapału tego snadź nie podzielał jego towarzysz, podobnie odziany, jeno miał jeszcze łuk z kołczanem na plecach. Młodszy był znacznie; twarz miał chudą, mizerną, ogorzałą od słońca; usta wązkie i zaciśnięte, oczy małe a zawsze prawie w dół spuszczone lub unikające otwartego spojrzenia, nadawały jej wyraz zawziętości i chytrości zarazem. I teraz miał głowę ku ziemi pochyloną a jeno czasem, jakby ukradkiem, spozierał na starszego kompana.

— Czy wy jeno, panie pisarzu — ozwiał się po chwili — pewni jesteście?...

— Cha! cha! cha! — dziko zaśmiał się starszy. — Czym ja pewien? Nagotowałem już żytnioj sałamachy z buzynowym mołokom, na przyjęcie....

— A ataman Barabasz?... — przerwał znów młodszy.

— Już ty się nie bój ani Barabasza, ani czorta, jeno mnie słuchaj!

Zamilkł i znowu spojrzał dokola.

— A przecie! — zawała nagle, jakby sam do siebie — skończy się raz to udawanie nikczemne! Pierś wolniej oddycha, gdy się pozbyła tego ciężaru, jakim ją przygnieciono. Po co mnie Barabaszów i komisarzy królewskich i pułkowników?... Regestra im przedstawić? A na co mi to?... U mnie rejestr go-

towy.... krzyknę: Hej mołojcy zaporozcy! i zlecaj się jak ptaki z Niżu i ze stepów ku mnie.... Oni już wiedzą, że Chmielnicki, nie Barabasz, otumanić się nie da....

Urwał i żywo zwrócił się ku kompanowi swemu.

— A ty, Krzyczewski, czemu milczysz jak pień? — spytał, widząc, iż on z pochyloną głową stał w ponurej pograżony zadumie.

Nazwany Krzyczewskim podniósł wzrok na Chmielnickiego i odparł:

— A co mam rzec? Straszne gotują się rzeczy, to widzę....

— I boisz się, zajęcza duszo! — krzyknął Chmielnicki.

Krzyczewski rzucił się naprzód gwałtownie, snadź go ta obelga do żywego dotknęła, ale wnet się strzymał i rzekł głosem spokojnym:

— Nie boję się, ale myślę, na jaki się to koniec obróci....

— *Respice finem!* — zaśmiał się Chmielnicki — tak mię uczyli OO. Jezuici w Jarosławiu; ano, głupiby był, ktoby patrzył na koniec, początku nie zrobiwszy.... Ale z was każdy taki.... zerwie się do czynu, a potem się załęknie i stchórzy.... pozrywa tamy na rzece a potem pada na ziemię i czeka aż go woda zaleje i zatopi.... Ty szlachcic, Krzy-

czewski i krew szlachecka morduje cię tak srodze.... Wiem ja to, bom i ja szlachcic z rodzica, a wiele lat minęło, zanim krew matki kozaczki zwalczyła ojcowską.... Ale teraz.... dusza zna jednę tylko kozaczą dumkę, pierś jedno tylko, dnieprowe powietrze!...

— Panie pisarzu — ozwął się Krzyczewski — nie lękam się ja niczego, bo zresztą, co stracić mogę? Życie, na którym mi nie zależy.... nic więcej. Jeżeli myślę a frasuję się, to jeno lękam się o was i o tych wszystkich, którzy na śmierć pewną z wami pójdą. Wiem ja, że część rejestrowych kozaków wam nieprzychylna, pójdzie za Barabaszem, a Barabasz zrobi to, co Rzplta każe.... My zaś zostaniemy sami....

— Głupi ty! — wrzasnął Chmielnicki. — A czy ty myślisz, że ja na oślep idę?... Głupi ty i wszyscy, którzy tak myślicie! A co mi rejestrowi znaczą? Pójdą oni zresztą wszyscy za mną.... jak pójdą draby i pachoły wszystkie, których starostowie na zamkach trzymają. Jak ta mleczna droga na niebie, takim szeregiem pójdą za mną, gdzie zechcę!... Czy ty myślisz, że ja taki głupi jak Pawluk, Hunia albo Ostranica? To chłopy podłe, a mnie nie darmo popy w Kijowie, zaś Jezuici w Jarosławiu dwóch rozumów uczyli.... Mam ja przeto rozum szlachecki, aby z panami gadać i przed

Królem Jegomością pokłony bić a oracyę łacińską powiedzieć, a mam też rozum kozaczy, który gdy gęba po łacinie mówi, albo gdy kark się ugina, rozmyśla, jakby do mołojeów swoim językiem krzyknąć a rozmachnąć się tak, aby od Czarnego aż po Kijów i dalej — ja był pan!

Krzyczewski słuchał mowy Chmielnickiego w milczeniu, ale snadź przekonany nie był, bo zapał słów tych nie ogarniał gocale. Korzystając z przerwy, wtrącił:

— Ja wam wszakże zawżdy powtarzam, iż lepiej jest z Królem w porozumieniu iść.... Król przecie obiecuje wszystko, byleby z Tatary harc rozpocząć, a Turcyę do wojny nakłonić....

Chmielnicki żachnął się gwałtownie i czekanem w ziemię uderzył....

— A! — zawałał — nagadali tobie już ci owacy synowie rozmaitych jak widzę bredni! Ja ci zaś powiem tak: wody dnieprowej nie zwróciisz, toż nie zwróciisz już teraz i tego potoku nienawiści w duszach kozacych. Nie darmo od lat tylu igrano z ogniem. Byłeś przecie na Siczy, słyszaleś, co tam mówi starszyna, atamani koszowi i kurenni, co mówi pospółstwo.... Odebrano im wszystko, zamieniono w chłopstwo, nad porohem dnieprowym postawiono twierdę Kudak.... Buntowali się

wprawdzie Pawluk i Sulima, Ostranica i Hunninga, ale buntы te głupie były, bo nie obejmowały całości. Teraz rzecz inna: na całej tej przestrzeni, którą masz przed oczyma, urosła nienawiść ogromna przeciw Wiśniewieckim, Kalinowskim, Potockim, przeciw komisarzom i pułkownikom królewskim, przeciw podstarościm pańskim, którzy tu wicherzą jak we własnym domu. Lat dziesięć minęło, jak poskromione siłą wielką, kozactwo zasnęło.... ale teraz się zbudzi....

Krzyczewski znów błysnął okiem na Chmielnickiego.

— Trzeba na to chyba potężnego hasła — wtrącił półgosem.

— Hasła? — powtórzył Chmielnicki — za moment ja będę mieć hasło.... tak potężne, że starcy i dzieci pójdą za niem w ogień!....

Krzyczewski głowę podniósł.

— A jakież to hasło? — zagadnął.

Bohdan zmilczał.

— Słuchaj ty — rzekł po chwili, na pytanie nie odpowiadając — czort wie, za co ja cię miuję.... Wykupiłem cię z tatarskiej niewoli, z mizernego szlachecka zrobiłem dzielnego kozaka i wierzę ci, jakbyś synem moim był....

— I zawodu wam nie zrobię! — zawałaż żywo Krzyczewski. — Życie, krew moja do was należy!

— Wierzę ci — powtórzył, przerywając Bohdan — lecz nie słów mi trzeba.... Wiem, że odwagę masz i dzielność, toż dam ci wkrótce wojsko znaczne, z którym na Litwę pójdiesz....

Krzyczewskiemu zapaliły się oczy.

— Pójdę! — zawałaż — gdzie każecie, pójdę!

— Nie sztuka pójście! — przerwał znów Chmielnicki — ale trzeba zwyciężyć, nie tylko zaś zwyciężyć, lecz i samego Radziwiłła żywcem wziąć....

— Więc porozumienie z nim nie przyszło do skutku? — zagadnął znów Krzyczewski.

— Nie chcę już żadnych układów! — krzyknął Chmielnicki. — Ten xiążę Janusz jeszcze mądrzejszy od rodzica. Onby chętnie panem chciał zostać na Litwie za naszą pomocą, ale chce od nas wszystko wziąć, nam nie dając. Szkoda czasu na takie gadanie.... Od wielu lat wychodzą różne projekta z Birż.... ano zawszy bez skutku. Chcieliby coś zrobić a lękają się, bo czują, że w narodzie, wśród szlachty, nieznaleźliby poparcia. Szko-

da słów tracić. Chcę go tu mieć żywcem w ręku, a wtedy będę z nim gadał....

Zamilkł Chmielnicki i znów jak pierwej podniósł rękę do czoła, przysłaniając wzrok od promieni xięzycowych, a patrząc w dal z natężeniem:

— Dziwna rzecz — mruknął — że nie wraca!

— Filon Dżedżelej? — zagadnął Krzyżewski.

— A to dzielny chłop! — zawałał Bohdan, potwierdzając tym wykrzyknikiem pytanie. — Tatarska w nim dusza, mściwa i pamiętna. Przed laty Barabasz kazał go obić kijami za niekarność, toż dziś w Filonie ma wroga, który służy mu wiernie jak pies, aby tem łatwiej ukąsić mógl, gdy przyjdzie czas.... Ale czemu nie wraca?....

I znowu Chmielnicki wyteżył wzrok w przestrzeń, nasłuchując pilnie....

Ale dokoła była cisza; prócz szmeru wody dnieprowej i szumu lasów, nic słyszać nie było. Xięzyc wypływał w całej pełni na niebo.... musiała być północ. Mgły białe coraz niżej opadały, kładąc się rosą srebrzystą na trawach i burzanach dolin.

Krzyżewski ciekawe, przenikliwe spojrzenie zwrócił na Chmielnickiego.

Między nimi od lat dawnych dziwny zawiązał się stosunek. Krzyczewski młodem jeszcze chłopięciem z niewoli tatarskiej przez Chmielnickiego wykupiony, długi czas służył pod rozkazami jego w wojsku kozackiem. Przezorny, ostrożny i chytry w działaniu, nieustraszony zaś w walce, zwrócił on na siebie uwagę Bohdana, który się nim coraz bardziej opiekować począł, dziwując się szczególnej roztropności i odwadze młodzieńca. Krzyczewski w boju zdawał sięcale nie dbać o życie, rzucał się na oślep, zdumiewając i płosząc nieprzyjaciela samem zuchwałstwem natarcia. Przed walką jednak, w obmyślaniu jakiej wyprawy lub podstępu, nie było nadeń przezorniejszego i mądrzejszego doradcy. Gwałtowny Chmielnicki zżymał się częstokroć na niego, widząc, jako Krzyczewski się wahał i namyślał długo. Gdy się wszakże namyślił i zdeterminował na co, wówczas można było ręczyć, iż od powiętego postanowienia nie odstąpi. Ze swej strony Krzyczewski przywiązał się do Chmielnickiego tak, że gotów był każdej chwili za niego dać życie, gdyby tego było potrzeba. Jakkolwiek na Rusi rodzinę możną miał, nie wrócił już do niej, ale pozostał wśród kozactwa na Ukrainie. Zrósł się z kozactwem, jeno w duszy, może w skutek przebytej niewoli tatarskiej, a może w na-

stępstwie przewalczonej tęsknoty za rodziną i krajem, została mu zaduma wieczysta, z której otrząść się nie mógł. Zamykał się w milczeniu posepnie, spoglądając na wszystkich i na wszystko ponuro, nieufnie, z podełba. Chmielnicki oceniał przywiążanie Krzyczewskiego, w które wierzył; przed nim nie miał myśli ukrytej, w jego obecności mówił jakby sam do siebie, najtajniejszych pragnień nie kryjąc. Nie obawiał się zdrady. Krzyczewski brał też żywy udział w zatargach Bohdana z Czaplińskim, podstarościm czechryńskim, gdy zaś ten ostatni włość Chmielnickiego, Sobotów, zabrał a nadto żonę czy też kochankę mu uwiódł, sprawę tę jego za swoją uznał i przysiągł, że go nie odstąpi w planach zemsty, jakie Bohdan układał. W układaniu tych planów Krzyczewski, jako z natury bardzo nieufny i przesorny, usiłował zawsze Chmielnickiego ku łagodniejszym myślom nakłonić i zrazu mógł on mieć jeszcze nadzieję, że wszystko zakończy się porozumieniem z Królem. Wiedział o tem, że Barabasz i Chmielnicki, wzywani w r. 1646 do Warszawy, otrzymali z ust Króla przyrzeczenie, jako wolności kozackie powrócone będą, widział, jako przygotowywano się na wyprawę przeciw Turcyi, widział, jako z Warszawy przybywali gońce różni z pismami Króla do

Barabasza, który mianowany był hetmanem i do Chmielnickiego, który pisarzem zaporożskim został. Układy te wszakże toczyły się leniwo; obudzone nadzieje kozaków, raz się potęgowały, to znów upadały na wieść, jako sejm zamysłów królewskich potwierdzić nie chce, na wojnę z Turcją nie przystaje, a o powrocie wolności kozackich czynić wzmianki nie dozwala.

Rosło tedy z dniem każdym niezadowolenie na Ukrainie wśród kozactwa obróconego w pospółstwo.... Trzymali się jeno w wierności dla Rzeczypospolitej regestrowi kozacy i ataman Barabasz.

Chmielnicki tymczasem wyparty przez Czaplińskiego ze swej slobody Sobutowa, zbiegł na Niż i zamieszkał na jednym z ostrowów dniepropowyskich. Krzyczewski pozostał w Czehrynie, gdzie nad częścią regestrowych kozaków dowództwo miał, ale na ostrów do Bohdana często potajemnie zachodził. Dostrzegł on też niebawem, jako Chmielnicki, nowe jakieś a stanowcze ma plany, z którymi nawet przed nim się nie zwierza. Zwykła Krzyczewskiego przezorność snadź go już znużyła, więc nie chcąc opozycyi słuchać, milczał; czasem jeno, gdy podpił, wpadał w wściekłość i krzyczał a przeklinał, ale z tych przekleństw żadnego wątku schwycić było nie-

podobna. Często też Bohdan, w przebraniu prostego kozaka znikał na długo; snuł się po Zaporożu, zwiedzał Sicz całą, kosze i kurenie, zawiązywał stosunki z koszowymi i kurnymi atamanami, z assawułami i sotnikami, zapuszczał się też wyżej, aż do Kijowa, chodził po wsiach pomiędzy chłopstwo, zwiedzał wszystkie slobody i pałanki kozackie — a z wypraw tych powracał z coraz większym ukontentowaniem.

Krzyczewskiego zaś przejmował lęk okrutny.

— Zamordują was jeszcze kiedy.... — mówiąc.

Chmielnicki się śmiał, a oczy mu się iskrzyły.

— Chodzę ja wprawdzie po śmierć — odpowiadał — ale nie dla siebie.... Każdy mój krok znaczony jest krwią, ale nie moją....

— Toż pozwólcie mi towarzyszyć sobie przynajmniej — prosił Krzyczewski.

— A po co? Niebezpieczeństwa żadnego niema, bo na jeden znak, nie setki, ale tysiące za mną powstaną.... Gdybyś ty miał bystre oko a dojrzał, co się na Ukrainie dzieje!... Takich Czaplińskich, jak mój, w każdym siole niemal spotkasz.... fortuny pańskie rosną; obok Wiśniowieckich, Potockich, Kalinow-

skich, inni mniejsi już są, a podstarostowie ich pracują dla nas... dla mnie!...

Od pewnego czasu przebywał Chmielnicki najczęściej na pustym ostrowie, niedaleko Czerkas; tam zbudował sobie drewniane dworzysko o dwóch izbach i z kilku wiernymi kozakami zamieszkał.

Co wszakże zamysłał, przewidzieć było trudno. Krzyczewski przeczuwał, że bunty knowa, że o wielkim rokoszu myśli i bał się. Widział bowiem, że cała kozaczyzna obrócona w pospółstwo, spała na pozór w zupełnej bezczynności od lat wielu; zdawało mu się, że regestrowcy i Barabasz w pierwszym rzędzie przeciw buntowiby się oświadczyli, zwłaszcza, że w każdym grodzie, Korsuniu, Czerkasach, Czehrynię, był starosta królewski z całą czeredą drabów i pachołów....

Takie wątpliwości i obawy przychodziły Krzyczewskiemu do głowy, lecz gdy się ziewał z tem Chmielnickiemu, on jeno za boki się brał i śmiał się.

— Zobaczysz — mówił — będę ja miał hasło, a wonczas i czort mi nic nie poradzi....

O tem haście wspominał często, ale co miało oznaczać, nigdy odkryć nie chciał.

Na wiosnę R. P. 1647, przybył na Ukrainę, pod pozorem zwiedzenia dóbr swoich, kanclerz koronny Jerzy Ossoliński. Bawił on

długi czas w Czerkasach, u tamtejszego starosty, Kazanowskiego, oboźnego koronnego, a konferował długo z Barabaszem i znów jakieś obietnice w imieniu królewskiem czynił. Wezwano też do tej narady i Chmielnickiego, który niechętnie poszedł, bawił trzy dni w Czerkasach, a potem wróciwszy na ostrów, rzekł do Krzyczewskiego:

— Mądry to pan ten Ossoliński.... gdyby wszyscy byli tacy, możnaby z nimi gadać. Ja wiem, że Król Najjaśniejszy dobrze chce.... ano, szlachta nie dopuści....

Długi czas potem Chmielnicki pogranżony był w myślach ponurzych. Pił jeno dużo, a gdy mu w głowie szumiało, to się zrywał, biegał po izbie i mruczał:

— Zniszczyć Turcyę, wielkie państwo wschodnie ufundować.... ładna myśl! ale gdzie im! gdzie im! nie dopuszczą!

W tym czasie przybyli na ostrów, kiedy już Chmielnicki dworzysko swoje szańcami otoczył i obwarował — posłowie tatarscy. Bawił się z nimi Bohdan dni kilka, pił, biesiadował i zaraz potem puścił się znowu sam ku Zadnieprzu, ku Siczy.

Tam mu już całe owo Ossolińskiego poselstwo z głowy wywietrzało, bo gdy mu znać dano, jako są nowi gońce królewscy, którzy wzywają go, aby do Czerkas przybył,

Chmielnicki ruszyć się nie chciał i hardo odparł, jako na próźne gadania czasu tracić nie może.

Aż tu dnia jednego, w samym środku lata R. P. 1647, przybył na ostrów do Chmielnickiego ataman Barabasz. Był to już człek w leciech podeszłych, lecz krzepki i silny; wysokiego wzrostu, okazałej postawy. Między nim a Chmielnickim była dawniej zażyłość wielka, ale od czasu zajść z Czaplińskim, zwłaszcza zaś gdy Barabasz buntowniczych zamiarów pisarza zaporozkiego popierać nie chciał, a zawżdy za sprawami Rzptej i Króla się ujmował, Chmielnicki znienawidził atamana i wszelkiej wspólności z nim się wyrzekł.

Wszakże gdy ataman na ostrów przybył, Chmielnicki wyszedł ku niemu i powitał z attencyą wielką, kazał zaś obfitą ucztę przygotować na przyjęcie i najprzedniejsze wydobyć trunki, w których bowiem, jako Barabasz pić lubi i wiele.

Nadspodziewanie jednak Barabasz tym razem był przezorny. Snadż ważne miał do Chmielnickiego sprawy i chciał je jasnym umysłem wyłożyć, bo trunku zrazu unikał, był zaś zamknięty, szukał widocznie okazyi, aby rzecz sztucznie rozpoczęć.

W większej izbie dworzyska, zastawiony był stół prosty, wielki, a na nim rozliczne

potrawy z ryb i zwierzyny, tudzież dzbany z winem i kielichy. Przy stole siedzieli jeno Barabasz z Chmielnickim, a przy drzwiach stał kozak, Filon Dżedżelej, który Barabaszowi służył. Chłop to był rosły, barczysty, o rysach bardzo wybitnych; twarz miał ciemną i włosy czarne, kędzierzawe, nos orli, twarz bardzo długą, ożywioną oczami, co się jak dwa węgle żarzące paliły. Ubrany był w krótką koszulę płócienną, pasem skórzanyem przepasaną; na plecach, futrem obrócona do góry, wisiała skóra barania, siwa; z takichże baranków czapkę, zwaną birka, trzymał w jednej ręce, drugą zaś opierał na jatakanie za pas zatkniętym. Od czasu do czasu spozierał on na Barabasza z widoczną pogardą i nie-nawiścią a chwilami patrzył na Chmielnickiego, jakby się z nim wzrokiem porozumieć pragnął i oczekiwał znaku.

Rozmowa szła leniwo; Barabasz widocznie mówić coś chciał i szukał tej rozmowy początku, Chmielnicki zaś pił sam wiele a gniewał się w duchu na dziwną trzeźwość gościa. Gdy tak siedzieli czas dłuższy naprzeciw siebie, czując obaj, że ich jakaś niewypowiedziana a ważna myśl przegradzała, pierwszy Chmielnicki milczenie przerwał i z niecierpliwością pięścią w stół uderzył.

— Nie smakuję wam moje wino, mości atamanie! — krzyknął.

Barabasz zwolna głowę podniósł i ręką siwą brodę gładził.

— Wino jest dobre.... — rzekł — i przyjęcie wspaniałe, jakiegom się na tym ostrowie nie spodziewał.

— To wam gospodarz nie w smak, że mu nie dotrzymujecie! — zawała znów Bohdan — jam już pijan, że mi się głowa zawraca, a wy nie....

Barabasz się uśmiechnął.

— Znam ja naturę waszą.... — odparł — po pierwszym kubku głowa wam się zawraca, a po dziesiątym trzeźwieje....

— Cha! cha! cha! — zaśmiał się Bohdan. — Jej Bohu prawda! — Toż muszę pić, aby otrzeźwieć, lecz nie sam, jeno z wami.... Filon! — zawała do kozaka stojącego u drzwi — powiedz-no służbie, aby dano dzban tego wina, co to jeszcze....

Strzymał się i po chwili:

— Tego co to z pod serca.... — dorzucił.

Filon wyszedł, a Barabasz zagadnął:

— A jakież to wino z pod serca?

Iskrzącym wzrokiem rzucił Chmielnicki przed siebie, żachnął się i po chwili odrzekł chmurno:

— Jeszcze po ojcu mam wino.... od Koniecpolskiego hetmana....

Filon wszedł i postawił dzban wina na stole. Chmielnicki nalał dwa kubki i swój do dna wychylił.

— Zdrowie wasze! — rzekł do Barabasza.

— Za wasze! — odrzekł ataman i wypił duszkiem. Poczem oczy podniósł do góry usta otwierał, to znów zamykał, językiem w gębie przewracał, smakując.

— Dobre — rzekł — doskonałe....

Chmielnicki stuknął w stół pięścią.

— To mało! — zawałał. — Ani krew wraża nie byłaby tak słodką.... Filon! napij się i ty....

Nalał kubek i podał kozakowi.

Filon błysnął białemi zębami w uśmiechu, który mu usta czerwone otworzył i zbliżywszy się a kłaniając korne, wziął kubek do ręki.

— Za zdrowie Waszych Myłosty pana atamana i pana pysara! a na pohybel wóroham! — zawałał. — I wypił duszkiem, ostatnie krople wina do góry wyrzucił, że się u po-wały rozprysły, kubek silnie na stole postawił, usta otarł rękawem i raz jeszcze się skłonił.

— Zabraliście to wino z Sobutowa? — zagadnął nagle Barabasz.

Na to pytanie krew nagle uderzyła Chmielnickiemu do głowy; poczerwieniał cały, wzrok ciskał płomienie.

— Nie wspominajcie mi tego! — krzyknął. — Bies wam podsunał tę nazwę, aby mi żaru do krwi dorzucić....

Głosem spokojnym, poważnie, Barabasz przerwał.

— Panie pisarzu, — rzekł — jam człek już stary, ojcem waszym mógłbym być.... posłuchajcie mnie cierpliwie....

— Cierpliwie! — powtórzył Bohdan — wy u mnie cierpliwości przyszliście szukać? Byłem ja długo cierpliwy, prosiłem, błagałem, kłaniałem się nizko.... a pomogło co? Taki Czapliński był lepszy odemnie i utrzymał się w bezprawiu....

W tym momencie Barabasz, znalazły się nadobrą okazję do wypowiedzenia tego z czem przybył i chcąc sam na sam z Chmielnickim pozostać, sknął na Filona, który wnet zniknął.

— Na co to o tem gadać! — kończył Bohdan. — To wszystko nie przyda się na nic. Takich jak ja, pokrzywdzonych, znajdziecie tysiące. Chyba już słuchu nie macie, że nie dochodzą was skargi i jęki na Zaporozu całem. A w cóż się to wszystko obróciło? w chłopy, w poddaństwo! Do rejestru zbie-

gają się tysiące i tysiące odchodzą z niczem  
bo wolno jest tylko 6000 przyjąć. A z was  
jaki ataman?.... lepszy każdy rotmistrz albo  
pułkownik niż wy! lepszy każdy pachoł lub  
drab starościński, bo siłę ma i moc rozka-  
zania, lepszy każdy podstarości, bo za nim  
stoi pan, który tu królem jest.... Popatrzcie  
się, ile tych królewiat dokoła nas powstało!  
a nie żał-że wam swobody naszej i dawnych  
wolności i dawnych bojów, gdy Kudaku nie  
było? Ścisnęli nas ze wszystkich stron a myślą  
też może, że już i uduszeni jesteśmy.... ale  
Kudak forteca mocna, jeno że rękami ludz-  
kimi wzniesiona, więc ją też pięścią rozwalić  
można!....

Barabasz nie przerywał. Słuchał cierpliwie,  
jakby chciał, aby Chmielnicki sam znużył się  
mówieniem; jakoż niebawem Bohdan zamilkł  
i nowe kubki wina nalał.

— Pijcie — rzekł do Barabasza — a nie  
gadajcie o tem, bo to się na nic nie przyda....

— Jam jeszcze nie rzekł nic — odparł  
stary ataman, — a jeno waszych słów słu-  
cham, chciałbym zaś, abyście i mnie pozwo-  
lili mówić....

— Mówcie! — rzekł krótko Chmielnicki.  
Napił się wina, nogi przed siebie wyciągnął,  
bokiem obrócił się do Barabasza, a oparłszy  
prawą rękę na stole, na niej głowę sklonił,

jakby w ten sposób do cierpliwego słuchania przygotować się chciał.

— Mówcie.... — powtórzył — słucham!

— Otóż — zaczął Barabasz — jam nie taki uczony człek jak wy, Chmielnicki, aleń stary i widziałem tu nie jedno na Zaporozu i przeżyłem nie jedno. Pomnę i Kosińskiego i Nalewajkę i Łobodę i wiem, o co chodziło w tych buntach.... Wiem, na czem się skończyło.... Ty powiadasz rejestr mały? Żali utrzymasz większy? żali potrafisz panować nad tem niesfornem chłopstwem, które się z Niżu zbiegnie, aby rycerstwo udawać?.... Dla sześciu tysięcy rejestrów płaciła Rzeczpospolita 60.000 złotych oprócz jurgieltów dla starszego, assawułów, pisarzów i sotników....

Chmielnicki zaśmiał się szydłeczo.

— Darmo nie płaciła — mruknął — za to wojsko nasze obok kwarcianego idzie na służbę, gdzie potrzeba ukaże.

— Ale zważcie, — przerwał Barabasz, — że po wojnie wojsko to wraca naprzód i że nawet w czasie pokoju żołd bierze.... lepiej mu było przeto jak kwarcianemu.

Chmielnicki żachnął się gwałtownie, dźwignął i pięścią w stół uderzył.

— Komu wy to gadać przyszli! — krzyknął. Żali ja nie wiem jak było i jest?.... A cóż z tego? Zapominacie o tem, że przed każdą

wojną powiększano rejestry, pozwalano zaciągać na gardło i na poczciwość skazanych, rzemieślników i szynkarzy, rzeźników i rozmaitego pospółstwo, potem zaś wypisywać kazano i wyganiać. Toż między nami ludzi tych, co dziesięć, dwadzieścia i trzydzieści lat dzielili rycerskimi na służbach Rzeczypospolitej się parając, szabłą chleba sobie nabywali i członków stradali, więcej dziesiątka tysięcy należeć się może. A jakoż ten, który raz swobodnym był, jurysdykcyi pańskiej podlegać może?....

— To rzecz słuszna.... potwierdził Barabasz, i właśnie teraz z posłem królewskim osobiście mówiłem....

— A to on tu jeszcze? — zagadnął ciekawie Chmielnicki.

— Jest w Czerkasach u pana starosty Kazanowskiego i dufa, jako wraz zemną przybędziecie tam, aby się naradzić....

Chmielnicki zaśmiał się znowu.

— Niech czeka, — rzekł — ale ja nie pójdę.

— To mi dziw! — zawała Barabasz wstając. — Skarżycie się, że jest źle a nie czynicie nic, aby lepiej się działało. Krótko wam powiem: Król stanowczo przyrzeka wszystko. Wolności nasze dawne powrócone będą, krzywdy wynagrodzone, rejestry zwiększone....

— Czy jest na to list królewski? — spytał Bohdan.

— Jest — odrzekł Barabasz — a w liście tym potwierdzenie dawnych listów królewskich do mnie pisanych, w których te same obietnice są....

— I te same żądania, aby z Tatary i Turkami wojnę rozpoczęć? — dokończył Chmielnicki — i może te same wyrazy: „czyście nie żołnierze, abyście sobie sami za krzywdy wasze sprawiedliwości wymierzyć nie mogli?“

Chmielnicki mówił to tak szyderskim głosem, że Barabasz zdziwiony spojrzał na niego i spytał:

— A zkadże wy treść tych pism znacie? Bohdan ramionami ruszył.

— Sam mi to Król Najjaśniejszy mówił, kiedy na wezwanie w Warszawie był. To samo też mi powiedział, kiedy się na Czaplińskiego żalił: — Wszakżeś ty żołnierz i szable masz u boku?

— Tego jeno nie powtarzajcie głośno.... — rzekł Barabasz poważnie, siadając znów naprzeciw Bohdana. — Gdyby te słowa rzucono pomiędzy kozackie pospolstwo, to by wielkie ztąd mogło wyniknąć nieszczęście. Ja też nawet tych pism królewskich starszyźnie nie publikowałem, ogłosiliwszy jeno, iż Król Naj-

jaśniejszy wolności powrócić przyrzeka, skoro wojna z Turkami będzie....

Chmielnicki już teraz zamilkł i szyderczo jeno patrzył na starego atamana, a wina mu dolewał. Sam też był dziwnie podochocony; oczy mu się mieniły rozmaitemi barwy, raz były zielone, to znów niby krwią zabiegały lub też jakieś płowe ciskały blaski; szerokie usta śmiały się czasem wpółotwierając a wtedy twarz cała kurczyła się i wykrzywiała, miała zaś taki wyraz, jakby Chmielnicki całą siłą tłumił w sobie szaloną wściekłość, aby przedwcześnie nie wybuchnąć.

W tym momencie jakaś myśl nowa muśiała się zrodzić w jego duszy, bo nagle stał się niezwykle czułym dla Barabasza a przesiadłszy się doń bliżej, ciągle namawiał do picia.

— Już ja teraz wam prawdę powiem — rzekł. — To wino jest takie, jakiego w całej Rzpltej nie najdziecie. Nie chciałem tego przeklętego Sobutowa wspominać, bo mi to krew psuje, ale to muszę wam rzec, iż kiedy owa slobodę rodzicowi memu Koniecpolski darował, dał mu też zarazem parę beczek wina przedniego, mówiąc: ilekroć się rozsierdzisz a uchowaj Boże, przeciw nam wyrzekać byś chciał, tylekroć wina się tego napij, a doznasz, jako cię przyjemnie ostudzi, bo

słodkie jest jak miód a łagodne jak krew niewiniątek....

— Prawdę rzekł! — odparł ataman, który wychyliwszy znowu kilka kubków owego trunku, czuł coraz bardziej jego rozkoszne działanie. Jeno język czasem mu niedopisywał i skręcał się, niewyraźnie bełkocąc, — ale w duszy czuł rzeczywiście stary ataman rozrzewnienie dziwne i czułość bardzo przyjemną, że już nieraz Chmielnickiego uścisnąć chciał.

— Prawdę rzekł! — powtórzył. — Wino jest przedziwne....

— Ano, to pijcie! — zawałał Bohdan przysuwając się coraz bliżej do Barabasza....

I nowy kubek mu podsunął.

— Wypiję! — rzekł Barabasz — wypiję za zdrowie wasze, ale przedtem musicie mi coś obiecać....

To mówiąc objął jedną ręką Bohdana za szyję.

— Musicie mi przyczec — kończył — iż pójdziecie ze mną do Czerkas.... Kazanowski obozny koronny, starosta nasz czerkaski, to słuszny pan i wino ma też dobre.... Poseł królewski czeka tam na was.... żałować nie będziecie.... Ossoliński bardzo wspaniały to pan i wymowy takiej, że od niej serce jak od tego wina mięknie....

W ciągu tej dość już bezładnej mowy Barabasza, Chmielnicki śmiać się nie przestawał.... Ataman obejmował go wciąż jednym ramieniem, a drugą ręką, na której piękny pierścień brylantowy jaśniął, gładził po twarzy Chmielnickiego z czułością.

— Pojedziesz ze mną.... powtarzał — pojedziesz!

— A może i pojadę! — zawałał Bohdan. Barabasz go uścisnął.

— Widzisz — rzekł, — już do rozumu przychodzisz!.... Po co ci na tym ostrowie nędznie siedzieć a z chłopstwem się bratać, jak mówią, i bunty szerzyć. Lepiej nam porozumieć się z Królem i czynić co on rozkaże.... Owi posłowie najwyraźniej przyczekli, że Sobutów będzie ci wrócony a z Czaplińskim sprawiedliwość uczynią.

— A wam co obiecali? — zagadnął Bohdan i znów wina Barabaszowi dolał.

— A co mi obiecać mogli? — odparł ataman. — Jam już stary i to atamiaństwo mi cięży.... Wiesz co, Chmielniczeńku, niech oni ciebie atamanem zrobią.... ja się zrzeknę.... Król ci przyszle chorągiew i buławę i zostaniesz nie takim jak ja, co to właściwie jeno starszym w zaporozkiem wojsku jestem, ale hetmanem takim, jak koronny lub litewski....

— Nie zrobią oni tego! nie zrobią — przerwał gwałtownie Chmielnicki, któremu się oczy zaiskrzyły.

— A ja ci mówię.... że tak.... — zabełkotał Barabasz — jeno jedź ze mną.... oni mnie tu po to przysłali, abym ciebie sprowadził....

Chmielnicki wydobył się z objęć pijanego już całkiem atamana, wstał i przeszedł się kilka razy po izbie. Snadź myśl rzuciona przez Barabasza chwyciła się jego duszy. Kto wie? możeby rzeczywiście lepiej było porzucić tajemną, rozpoczętą już robotę, a wejść w porozumienie z Królem na nowych warunkach? Pierwszym z nich byłoby hetmaństwo z władzą zupełną, taką, jaką miał hetman koronny a może jeszcze większą. Byłoby to zawsze pół panowanie, zdobyte bez walki, które osiągnąwszy, możnaby było działać bezpieczniej i skuteczniej niż teraz, aby je w przyszłości jeszcze rozszerzyć. Ba! żebyż to z jednym Królem robota i jego posłami! Co z tego, że oni obiecują łatwo? Sejm potem krzyknie veto! panowie nie pozwolą i ze wszystkich obietnic nie zostanie znów nic, jak to już przedtem bywało....

Chmielnicki wstrząsnął się, jakby z siebie budzące się wątpliwości chciał zrzucić i przystąpiwszy do stołu, targnął silnie za ramię

atamana, który głowę nad stołem pochylwszy, usyпал.

— Atamanie! — krzyknął — a gdzie pewność, że obietnice dotrzymane będą, że ich wiatr nie rozniesie, jako puste słowa?....

— A.... a.... — zabełkotał Barabasz — pewność?.... w listach królewskich.... królewskie słowo.... święte słowo....

— Cóż z tych listów!.... — zaśmiał się Bohdan, gdy ich nie ogłaszaście, kto wie gdzie one są?

— Jej Bohu są u mnie! — zaklął się ataman, stukając pięścią w pierś, że aż zadudniło — u mnie w Czechrynie.... u żony....

Podniósł wzrok zamglony na Chmielnickiego i nagle głośno śmiać się począł. Śmiał się tak, że aż się zachodził, a z oczu łzy ciekły.... W pijanej głowie dziwaczne płakały się myśli.

— A mój ty biedny!.... — jąkał — a mój ty Chmielniczeńku nieboże, a twoja żona gdzie?.... ha! Ten owaki syn Czapliński wziął jak swoją....

Chmielnicki zbladł jak ściana. Nogi się pod nim zachwiały.... zsiniąłemi wargami ruszał a nie mówił nic, jeno zęby obijały się o siebie ze zgrzytem. Roziskrzonym wzrokiem patrzył sztywnie na atamana, który spozierał nań szkłanemi oczyma, śmiał się jeszcze mo-

ment, a potem całym ciężarem głową runał na stół i zasnął.

Słowa pijanego atamana wszelkie wahanie Chmielnickiego rozproszyły do reszty; one przeważyły szale.

— Bezduszny pijanica! — mruknął — i zbliżając się do Barabasza targnął go za ramię.

— Pij! — wrzasnął i świeżo nalany kubek do ust mu podniósł.

— Dobre wino.... — zabełkotał Barabasz. Drżącymi rękami chwycił kubek i rozlewając trunek dokoła, pił.

— Daj jeszcze! — zawała, wychyliwszy kubek do dna.... — Wypiję jeszcze na pochybel Czaplińskiemu....

Chmielnicki lał wino do kubka, ale ręka mu drżała, więc rozlewał po stole, a Barabasz niosąc do ust trunek śmiały się i mruczał:

— Żonę ci wziął.... chociaż to nie była żona twoja, jeno kochanka.... ale ci ją wziął.... Sobutów wziął i syna wychłostał.... młodoc....

Chmielnicki rzucił się jak wściekły.... W jednym mgnieniu oka dzbany i kubki, stojące na stole, potoczyły się z brzkiem, ława, na której siedział Barabasz zachwiała się i przewróciła a stary ataman pchnięty żylastą Chmielnickiego pięścią, runał pod stół z łokiem. Stęknął głośno, zakrztuśił się, zabełkotał coś niewyraźnie i zasnął.

— Bydlę! — przez zaciśnięte zęby szeptał Chmielnicki — chłopie nikczemny, duszo sobacza!...

I z pogardą nogą go kopnął.

Barabasz znów stęknął, na wznak się przewrócił, usta otworzył i chrapał.

Ten starzec pijany, z twarzą zблadłą, zapadłemi oczyma, potarganą w nieładzie brodą siwą, poszarpaną w upadku i winem oblanaą odzieżą, był rzeczywiście przerażający.

Chmielnicki z najwyższem obrzydzeniem patrzał nań przez długi moment.

— Móglbym cię zamordować teraz, bydlę nikczemne! — szeptał — aleś mi jeszcze potrzebny, więc ci życie daruję, jeno listy królewskie mieć muszę; w nich znajdę hasło, któreem całe Zaporoże obudzę!

Rzucił się ku drzwiom i krzyknął:

— Filon!

Za chwilę Dżedżelej wbiegł do izby a ujrzawszy pana leżącego na ziemi, nie mógł powstrzymać okrzyku:

— Zabity!

Nie był to wszakże okrzyk żalu lub litości; w oczach kozaka błyszczał ogień nienawiści i nieubłaganej zemsty.

Chmielnicki się zaśmiał.

— Nie zabit — rzekł — ale pijany na śmierć.... Ja słowa dotrzymam, ty sam, gdy

czas przyjdzie, pomścisz się na nim swej krzywdy, ale czekaj, aż ci powiem....

Filon znów zęby białe pokazał w uśmiechu i sklonił się milcząc. Tymczasem Bohdan przystąpił do leżącego Barabasza, podniósł rękę jego, na której pierścień brylantowy błyszczał, pierścień ten zdjął i rzekł do kozaka:

— Teraz słuchaj, co masz czynić. Nie tracąc ani momentu, jedź z wichrem do Czechryna, do żony atamana. Dasz jej ten pierścień i powiesz, że ataman cię przysyła, abyś mu natychmiast wszystkie listy królewskie do Czerkas przyniósł, gdzie są królewscy posłowie.... Ja cię pod Czerkasami czekać będę.... listy mnie oddasz, byle wszystkie były.

— Słucham! — rzekł kozak — wszystkie będą....

— Jedź tedy z Bogiem!... a wracaj dopóki ataman nie wytrzeźwieje....

Filon wybiegły, a za chwilę już go na ostrowie nie było.

Tegoż dnia wieczorem, gdy Barabasz spał jeszcze snem twardym, Bohdan z przybyłym doń w odwiedziny Krzyczewskim, opuścił ostrów i udał się do Czerkas.

I czekali tam obaj, pod miastem, w noc głuchą, stojąc na wzgórku.

Krzyczewski nie wiedział nic o celu poselstwa Filona, wiedział jeno, że go Chmiel-

nicki w missyi jakiejś wyprawił. Snadź zaś Chmielnickiemu wiele na dobrym jej skutku zależeć musiało, bo w miarę jak czas upływał, coraz bardziej i coraz widoczniej niespokojnym był, milcząc posepnie a jeno owym toporkiem, który w ręku trzymał, o ziemię bijąc.

— Gdzie Filon Dżedżelej pojechał? — spytał Krzyczewski, nie mogąc wreszcie ciekawości stłumić.

Chmielnicki spojrzał chmurno.

— Nie powiem, aż wróci — odparł krótko.

— Nie ufacie mi! — rzekł z wymówką Krzyczewski.

— Nie lubię mówić przed czasem — odburknął Bohdan — jak Filon dobrze się sprawi, to dziś jeszcze wiedzieć będziesz o wszystkiem, a teraz....

Urwał.... bo zdala stłumiony, jak szmer daleki, ozwał się tētent wśród ciszy.

Bohdan znów rękę przyłożył do czoła i sięgnął wzrokiem w pustą przestrzeń....

Tētent stawał się coraz silniejszy a wreszcie rozeznać już można było, jak koń rwał kopytami ziemię, która dudniła głucho. Równocześnie w blaskach xięzycowych, po za mgłą biłą, ukazała się postać kozaka, pędzącego na koniu jak wicher stepowy.

Nadjechał jak burza, a ujrzał Chmielnickiego ściągnął konia tak silnie, że ten, aż na zadnich nogach przysiadł i zarył się kopytami w miejscu. Chmielnicki podbiegł.

— Są listy? — niemal szeptem spytał.

— Są, sława Bohu! — odparł Filon, zeskakując z konia. Wyjął z zanadrza zwój i podał go Bohdanowi.

Chmielnicki rzucił się nań z chciwością i papiery rozwinał. Przy blasku księżyca usiłował odczytać pismo, a twarz mu się śmiała i ręce drżały....

— Sławno... sławno!... — powtarzał, przebiegając okiem papiery — to wystarczy.... jest wszystko!

Poklepał Filona po ramieniu.

— Nie zapomnę o tobie — rzekł. — Założyć tego nie będziesz.... A teraz wracaj na ostrów i pilnuj Barabasza.... dopóki ci znaku nie dam....

Kozak zaśmiał się, poklonił nisko, poczem dosiadł konia i popędził ku miejscu, kiedy przygotowana czajka na ostrów zawieźć go miała.

Chmielnicki przez chwilę patrzył za nim, a potem szarpnął gwałtownie Krzyczewskiego za rękę i rzekł:

— Chodźmy!... czas, abyś wiedział o wszystkim.

Zeszli tedy ze wzgórka i ścieżyną wiodącą wśród zarośli, krzaków i burzanów, zbliżyli się ku Czerkasom.

Miasto spało. Nigdzie ani jednego świątełka, nigdzie żadnego ruchu. Chmielnicki z Krzyczewskim schodzili w kotlinę, kiedy stały małe domki przedmieścia, częstokroć ze słomy, gliny i gałęzi nędznie lepione. Przed nimi zarysował się teraz zamek, stojący na wzgórku, w całej okazałości. Był to gmach duży, otoczony wokoło fosą i wałem kwadratowym z czterema rądelami. Wjeżdżając do zamku, trzeba było przebyć most ze zwodem, a w końcu mostu bramę ze strzelnicami i basztą wysoką, która także strzelnicami opatrzona była.

— Patrz! — zawała Chmielnicki — jako się królewięta umocnili przeciw tym, których hultajami ukraińskimi zwą.... Ano, zobaczymy....

W tym momencie, schodząc w bok nieco, dojrzał światło w jednym z okien narożnych zamczyska.

— Nie śpią jeszcze — dodał — posłowie królewscy czekają snadź na mnie i na Barabaszę.... niech czekają!

Krzyczewski starał się znowu nakłonić Bohdana do układów.

— A możebyśmy — ozwał się — poczekali tu do jutra i z rana do zamku poszli.

Kto wie, co Ossoliński wam powie.... moźnaby go zręcznie wybadać.... moźnaby....

— Milcz! — przerwał Chmielnicki — gdyby mi oni złote obiecali góry, to nigdy nie dadzą mi tego, co te listy dać mogą.

Zwój przyniesiony przez Filona ścisnął silnie w pięści, jakby się lękał, aby mu go odebrać nie chciano, a czasem brał go w obie dlonie, przygarniał do piersi, jak gdyby pieścił.

— Zobaczysz.... — szeptał — zobaczysz! zaraz odkryję ci wszystko....

Szedł krokiem raźnym, spieszając się snadź, aby mógł te listy bliżej oglądnąć. Niepokój, jaki nim miotał przed chwilą, gwałtowne wzburzenie wskutek zajścia z Barabaszem, ustąpiły miejsca wielkiej radości, że się podstęp udał i wielkim nadziejom, jakie wskutek tego otwierały się na przyszłość.

Oczy mu teraz błyszczły ogniem zadowolenia, usta szeptały niedosłyszane wyrazy, czoło marszczyło się nie posępnią dumką lub gniewem, ale wskutek natężenia myśli, które cisnęły się nawałem do głowy.

Nareszcie stanęli u celu. Była to nędzna chalupa, której tylko część jedna zamieszkała się zdawała. Pochylona, z jednej strony podparta drągiem w ziemię wbitym, z drugiej całkowicie rozpadła się w gruzy. Lewe skrzydło

było zupełnie rozwalone i stało otworem, uka-  
zując szczątki ścian, pieca i okopconą dymem  
glinę, na której porastały chwasty i wysokie  
kolczaste burzany. Wśród nich wydeptana ścież-  
ka, wskazywała wejście do owej części chałupy,  
która jeszcze jako tako się trzymała. Wejście to  
założone było deskami nieszczelnie przystajace-  
mi do siebie.

Chmielnicki poskoczył i pukać począł. Za  
chwilę ożwał się z wnętrza głos chrypliwy i nie-  
zrozumiałe mruczenie, którego intonacja jeno  
mogła oznaczać pytanie.

— Otwórz Taras! — ożwał się Chmiel-  
nicki — otwórz a rychło! to ja, Bohdan....

Znowu dało się słyszeć mruczenie, a po-  
tem chód powolny, ciężki i za moment owe  
deskę, wejście zapierające, z łoskotem i chrzę-  
stem się otwarły.

-- Zapal światło stary.... — rzekł Chmiel-  
nicki, wchodząc z Krzyczewskim.

Taras mrucząc ciągle, zaczął ognia krzesać  
i niebawem zapalone łuczywo migocącym świa-  
tłem rozjaśniło nędzne ściany izdebkę.

W jednym kącie, na ziemi, nieco siana,  
traw i burzanów stepowych, służyło za lego-  
wisko mieszkańcowi tej chałupy; przy ścianie  
ława i dwa kloce drzewa, a powyżej w ścianie  
otwór, którym światło w dzień padało do  
wnętrza, a który teraz deską był założony.

Zdarte, brudne łachmany wały się na legowisku i na ziemi.

W pośród tej nędzy, przy niepewnym świetle łuczywa, z którego dym czarny szedł słupem w górę aż do nizkiej powały i staczał się z tamtąd po brudnych ścianach izby, jeszcze bardziej przerażającą wydawała się postać tego, którego Chmielnicki nazwał Tarasem.

Była to postać wielka, choć wiekiem snadź już późnym, nieksztaltnie zgarbiona. Rysów prawie rozeznać było niepodobna, ile że twarz niemal cała zarośnięta była skudłaczonymi włosami, które musiały być niegdyś czarne, a dziś byłyby siwe, gdyby śmiecie i brud nie odebrały im wszelkiej barwy. Na ramiona i czoło spadały mu także kudły potargane, z których wysterczały liście zeszłe i suche łodygi burzanów. Wśród tych kudłów świeciły oczy małe, siwe; nos przecięty blizną szkaradną, zapadł się w połowie, a szerokie bardzo i wydatne usta poruszały się niemal nieustannie, wydając raz ciche mruczenie, to znów głośniejsze gardłowe echa, niby psa warczenie groźne. Wysoki, barczysty starzec ten, pomimo wieku, musiał być niepospolitej siły, o czem też świadczyć się zdawały ręce olbrzymie, żylaste a kosmate. Na sobie miał opończę długą, połatańą, która rozwarta na

piersiach, pozwalała widzieć koszulę płócienią, grubą, zupełnie zczerniałą i tak twardą jak skóra. Wstrętem i przestrachem przejmowała ta postać, patrząca dziko i wyglądająca jak potwór nieludzki.

Zdawna on był znany Chmielnickiemu. Pół kozaka a pół Tatara, bo z matki Tatarki zrodzony, Taras ojcem był owego Filona, który Barabaszowi służył a Chmielnickiego słuchał. Zrazu Taras mieszkał na Niżu, lecz surowe przepisy kozaków Niżowych nie przypadały mu do smaku, prowadził tedy koczowniczy żywot przechodząc z miejsca na miejsce, służąc to temu, to owemu panu, a najczęściej nikomu. Żył grabieżą i rozbojem a kilkakrotnie przez starostów królewskich karany, zbiegał zawsze z więzienia, kryjąc się na ostrowach dniepropolskich lub pustynnych stepach. Zwano go też „Bihunem“, czyli zbiegiem a posądzano o czary i lękano powszechnie. Tej trwodze, jaką dokoła rozsiewał, winien był Taras ocalenie swoje, bo chociaż i wiedziano, że najczęściej nocami przebywa w opuszczonej ziemiance na przedmieściu czerkaskiem, każdy sługa starościński wolał zejść mu z drogi, niż narażać się na śmierć pewną, mówiono bowiem, iż zawsze temu, kto się przyczynił do pojmania Tarasa, zdarzyło się niebawem nieszczęście. Taras Bihun przechodził tedy

bezpiecznie z miejsca ua miejsce, znał doskonale całe Zadnieprze, zachodził nieraz aż do Krymu i z Tatarami, jak mówiono, był w całym porozumieniu. Żona jego, a matka Filona, była także Tatarką, którą gdzieś w okolicach Krymu zostawił. Mówił też łamnym językiem z ruska po tatarsku, jeśli to w ogóle mową nazwać się mogło, najczęściej bowiem odpowidał mruczeniem, uzupełniając je ruchami głowy i pięści żylastych.

I teraz stojąc przed Chmielnickim, mruczał jeno i przenikliwym wzrokiem patrzył, gdy Bohdan usiadłszy na ławie, chciwie przy świetle lucezywa przeglądał owe papiery przez Filona przywiezione.

Chmielnicki przeglądając, śmiał się urywanym głosem, radośnie.

— Jest wszystko — szeptał — pieczęć królewską na każdym liście... jest hasło!.. Tarasie! — zawała nagle, zwracając się ku staremu kozałkowi — możesz ty zaraz do Krymu?...

Bihun potrąał kudłami i zamruczał na znak potwierdzenia.

— Wyruszysz — dodał Bohdan — zaraz, natychmiast, skoro dzień zaświta.... pójdziesz do Tymoszka syna mego, który u hana jest, a powiesz mu, jako czas.... On już będzie wiedział co to znaczy.... Idąc zaś, mów wszystkim,

głośno, jako Lachy kozaków buntują, aby na Tatarów szli....

Z gardła Tarasa wyszło groźne warczenie.

— Nie dajcie bat'ku Bohdanie — wybełkotał — nie dajcie!

— Nie dam! — stanowczo odrzekł Chmielnicki. — Powiesz, jako są listy królewskie, aby na Tatarów iść....

Taras gębę otworzył szeroko.

— A.... a.... — wyjąkał — Korol każe....

Chmielnicki wskazał na listy i pieczęć na nich wybitą.

Taras pochylił się ku światłu a ujrzawszy pieczęć, aż się w tył cofnął i ręce złożył na piersiach.

— Korol.... Korol.... — mrucał i głowę chylił w dziwnem pomieszaniu. Oddychał ciężko i chrypliwie. Rozkaz królewski zdawał mu się niecofnionym wyrokiem na Tatarów wydanym, pieczęć monarsza przejmowała czcią i trwogą zarazem.

— Tarasie — ożwał się Bohdan — trzeba działać spiesznie. Inaczej regestrowcy i posłuszní rzucają się na Krym nieprzygotowany, pod wodzą Barabasza....

Na to nazwisko oczy Tarasa zamigotały.

— Filona bił — wyjąkał — mnie wydał, smert'!... smert'!...

I zatrzasł kudłami a pięście żylaste ścisnął.

— Filon — dorzucił Chmielnicki — sprawi się z Barabaszem, jak ja dam znak.... Tymczasem idź.... a powiadaj w Krymie, że ja sam niebawem przybędę i okażę listy królewskie....

Taras oba ramiona podniósł do góry.

— Pójdę — rzekł — Barabaszowi śmierć, z Tatarami mir!

— Z Tatarami mir! — potwierdził Chmielnicki wstając i chowając w zanadrze pisma królewskie. Bywaj zdrów Taras, a skoro wrócisz, daj znać na ostrów....

— Z Bohom! — zamruczał Taras, wyprowadzając Bohdana i Krzyżewskiego, który przez cały czas tej rozmowy milczał posępnie.

Wyszli na powietrze. Xiężyca zniżała się już ku zachodowi, ukośne promienie rzucając na zamek czerkaski i całą okolicę. Dokola było pusto.... Chmielnicki obejrzał się ostrożnie, ale nie dojrzał nikogo.... Nie spostrzegł, że postać jakaś, przypadkowy do ziemi i kryjąc się wśród gruzów rozwalonej chałupy, przypatrywała się mu pilnie, a skoro odszedł i zniknął na zakręcie, porwała się z ziemi i pędem skierowała ku zamkowi.

Tymczasem Bohdan z towarzyszem swoim szli milcząc przez całe przedmieście, aż do tarli do wzgórka, na którym stali przedtem

na Filona czekając. Szczyt tej wysoczyzny cały pokryty odłamami cegiel i czerepów, świadczących, iż tu niegdyś ludzka osada istniała, kąpał się jeszcze w promieniach księżyca, ale doliny i jary, całe błonie dnieprowe nużyły się w cieniach. Silniejszy niż przedtem wicher napędzał chmury na jasne niebo i przyspieszał prąd wód dniepropowowych, które z hukiem przewalały się po kamieniach i porohach.

Chmielnicki przystał i znów jak przedtem ręką prawą, trzymającą czekanik, krag wielki zakreślił w powietrzu.

— Rozumiesz teraz — rzekł do Krzyczewskiego — dla czegom mówił, że to wszystko nasze....

Krzyczewski drgnął, jakby ze snu obudzony.

— Rozumiem — odparł ponuro — chcecie Tatarów ściągnąć.... Kozaków wzburzyć....

— A ty się zlekął nikczemnie! — przerwał Bohdan z szyderstwem — a ja się już niczego nie zleknię! — mówił dalej z coraz rosnącym zapalem. — Czem ja być mogę z łaski laszej? Hetmanem? Ale hetman koronny znaczyć będzie zawszy więcej.... Wiśniowiecki i Potocki i każdy z tych królewiat więcej niż ja!... Szlachcicem mnie uznają, sztandar i buławę przyszłą.... Tak! ale ja zawszy będę tym, który

pierwszy to osiągnął, a ostatni z rzędu między nimi jest....

— Tatarów tu sprowadzić — wtrącił Krzyczewski — to wydać na łup tę ziemię, to zniszczyć siebie samych, to w niewolę iść....

Chmielnicki spojrzał przed siebie chmurno, milczał moment, a potem znów się porwał.

— Tak! — zawała — zniszczeje ta ziemia, potokami krwi spłynie.... A co mi to! krew wśniaknie, a ziemia ziemią zostanie.... Musi być tak, gdy się nie stało inaczej....

Znowu zadumał się chwilę; zaczem głośsem stłumionym, jakby złagodniałym nagle, mówił:

— Chciałem inaczej.... dla Najjaśniejszego Króla byłbym uczynił wszystko.... gdyby mi inni nie rozdrapali byli serca, nie nasypali żaru w duszę, nie zburzyli krwi.... Teraz za późno! Ziemi mi tej żal! a co po niej i potem chłopstwie nikczemnym, które przez lat dziesięć śpi jak martwe, a którego jeśli Tatarzy nie zbudzą, to królewiątka wezmą w niewolę.... Wszystko jedno: ci czy tamci! a dla mnie lepszy Tatar, niż podstarości pański.... Ziemi tej mi żal, ale gorzej mi żal mego Sobutowa, który Czapliński zagarnął; gorzej mi żal syna, którego zachłostano; — gorzej mi żal....

Urwał i czekanem tak silnie uderzył o ziemię, iż odłamy rozbitej tem uderzeniem cegły z łoskotem posypały się dokoła.

Nagle zaśmiał się takim przerażającym głosem, iż Krzyczewski się wzdrygnął.

— A wiesz! — zawała — co mi Król rzekł, kiedy mu się skarżył, jako Czapliński niewiadzę mi wziął?... Powiedział mi: wiele jest piękniejszych kobiet na świecie, panie Chmielnicki.... poszukaj sobie inszej, tę zaś zostaw do kogo przylgnęła.... Ha, ha, ha! jest dużo piękniejszych! ale drugiej takiej niema! niema! niema!... Obwiesiła mi się ona na około szyi i serca jak wąż jadowity.... wpiła mi się w krew, duszę zabrała... czar rzuciła na mnie! A Czapliński ją wziął! wziął jej uściski i pieczczoły i uśmiechy! A ja wezmę za to zemstę taką, że cała ta ziemia zleje się krwią, że całe to niebo zaczernieni się pożogą, że za każdy moment rozkoszy, jaką miał Czapliński z tą niewiadzą, tysiące ludzi latami całemi jęczyć będą!... Taką zemstę, taką władzę chcę mieć, abym z panami to czynić mógł, co sługa ich uczynił ze mną!...

Niewstrzymanym potokiem płynęły słowa z ust Chmielnickiego; Krzyczewski kilkakrotnie chciał przerwać tę mowę, ale Bohdan nie dawał mu przyjść do słowa, jeno wstrzymywał się czasem, aby zachwycić powietrza,

dyszał bowiem gwałtownie, oczy ciskały płomienie ognia, porywał się i ramiona przed siebie wyciągał, jakby nieprzytomny.

Krzyczewski, widząc to uniesienie niezwykłe, postąpił bliżej ku Chmielnickiemu i kładąc mu rękę na ramieniu, rzekł głosem stanowczym, w którym wszakże coś jakby wzruszenie brzmiało:

— Wy wiecie: ja z wami na śmierć lub życie.... ale wolałbym na życie, niż na śmierć. Nie znam waszych planów, nie znam sił — a widzę niebezpieczeństwa srogie.... dla tego się lękam. Uczynić tak, jak Król chce, iść z nim na Tatarów, na Turcję, to zwycięstwo niemal pewne, to odzyskanie przywilejów dawnych dla Zaporoża, to hetmaństwo, półpanowania dla was!.... Iść z Tatarami przeciw panom i Rzeczypospolitej....

— To — przerwał Bohdan z uniesieniem, chwytając Krzyczewskiego za rękę — to całe panowanie! Nie mówiłem ci dotąd nic, bałem się twoich słów przezornych, nie chciałem, abyś mnie wstrzymywał, wiedziałem zaś, iż gdy będzie wszystko gotowe, pójdziesz za mną....

— Pójdę! — rzekł Krzyczewski.

— Więc słuchaj.... Teraz gotowe jest wszystko: Oddawna przygotowywałem robotę; z każdej slobody, z każdego futoru,

przyjdzie do mnie co najmniej po trzech mołjców... Popy mi przyrzekli to święcie, na krzyż i wiare... Widzisz te horodyszcza i slobody: Borowica, Arklej, Holta, Bohuszowa, Biełozero, Kropiwna, tam domów kozackich nieposłusznego przeszło tysiąc... ci od razu pójdą za mną; tyleż przybędzie z Kaniowa, dwa razy tyle z Korsunia i Czehryna!... Część rejestrowych przejdzie także do mnie, ty masz to sprawić... A ze wszystkich ostrowów, ze Zwońca i z Korczewatego i z całego Niżu zleca się mołjcy jak ptaki... Na Sicz pójdę jeszcze sam i pokażę im list królewski, jako mam prawo kraju cały w posiadanie wziąć! Uwierzą zobaczywszy pieczęć królewską... A potem pójdę lub posłów wyprawię do Tatarów, których Taras uprzedzi, a powiem im: Król polski przysłał mi chorągiew i buławę a hetmanem chce uczynić, bylebym z wami wojnę prowadził; tedy macie wybór, albo z nami się złączycie przeciw Lachom, albo my na was z nimi pójdziemy... I znowu im pokażę list królewski z wyraźnym rozkazem, abyśmy na Tatarów szli... W rękach Barabasza listy te marniały, u mnie staną się...

— Hasłem śmiertelnem... — dokonał Krzyżewski.

— Dobrzesz rzekł — potwierdził Bohdan — hasłem śmiertelnem! A potem — koń-

czył, — gdy już wszystko gotowe będzie, gdy ty rejestrowców twoich sprawisz, aby z nami szli w ostatecznym momencie, gdy orda posiłki nam przyszłe a mołojcy się zlecaą, — z hetmanem koronnym rozmówimy się rychło; zaczem ty brzegiem Dniepru na Litwę pójdziesz... Dam ci trzydzieści tysięcy wojska i wodzem ich uczynię... będziesz zaś tak przezornie a chytrze działał, aby Radziwiłła żywcem ująć, wtedy Litwa w naszych rękach: dobra królewskie dla mnie, a szlacheckie, które jeno weźmiesz, twoje są...

Krzyczewski podniósł głowę; oczy zablysły mu niezwykłym ogniem.

— Tak! — zawałał — wahanie próżne... ja z wami!

Chmielnicki nie odrzekł nic — jeno obie ręce na ramionach mu złożył i tak stali moment w milczeniu, patrząc na wody dnieprowe, na ostrowy i stepy dalekie, na których promienie księżyca rozścierały się jeszcze pasmami srebrnemi, niknąć wśród wysoczyzn a jarów. Nie mówili nic, ale pakt był już między nimi zawarty...

— Na życie lub śmierć... — powtórzył Krzyczewski z cicha.

Schodziły ze wzgórka na doliny. Chmielnicki raz jeszcze rzucił okiem na Czerkasy

i widniejące zdała zamczysko. Znów dojrzał w oknach migające światła.

— Jeszcze czuwają — rzekł w zamyśleniu, — co to znaczyć może?

— To pewnie straże — odparł Krzyżewski — albo może budzą się już ze spoczynku, boć to i brzask niedaleki...

— Taras już w drodze... — mruknął Chmielnicki.

I już się rozeszli: Bohdan na ostrów, a Krzyżewski ku Czechrynowi podążył.

Tymczasem w zamku czuwano istotnie noc całą.

Starosta czerkaski, Kazanowski, oboźny koronny, brat stryjeczny ulubieńca królewskiego, Adama, i także Adam imieniem, był to podówczas mąż w sile wieku, a w rycerskich sprawach wypróbowany. Odwagi niepospolitej, na polu bitwy straszny nieprzyjacielowi i nieubłagany, w czas pokoju łagodności niezwykłej składał dowody, a pan był przytem szczodro�liwy i pobożny. Twarz jego nie piękna i bardzo śniada, jak u wszystkich z Kazanowskich rodu, miała wyraz nieustraszonego mętwa, które się też przebijało w całej postawie i ruchach śmiałyach a rycerskich. Żołnierzem był dzielnym a podzielając affekt i wdzięczność całego rodu swego dla Króla Władysława, gotów był zań żywot oddać

każdej chwili, we wszystkiem zaś najwierniejszym był wykonawcą rozkazów.

Pod pozorem zwiedzenia dóbr swoich ukraińskich, przybył do Czerkas sam pan kanclerz koronny, Jerzy Ossoliński, a jakkolwiek oboźnego nie lubił jak i całego rodu Kazanowskich, z polecenia Króla musiał konferencję z nim odbyć i wyjaśnić mu zamiary królewskie.

— Król — mówił on — wielkie myśli ma, marzy o zgnieceniu potęgi ottomańskiej i utworzeniu państwa wschodniego, które gody był monarchą... Ma szczytne i wspaniałe chęci... ano, szlachta wszystkiemu na zawadzie staje. Już parę lat temu wszystko było gotowe. Rzeczpospolita wenecka wielką obiecywała pomóc a i teraz ją daje; Król całą swą fortunę ofiarował; własnym kosztem czynił zaciągi, arsenaly bronią wszelaką napełniał — lecz szlachta skoro się jeno o zamysłach wojny dowiedziała... to już wiecie co się stało: — krzyknęła veto! Wszystkie zamysły odłożone być musiały...

Oboźny koronny spojrzał na kanclerza z ukosa, a jako szczerym był i nie mógł nigdy myśli swoich utaić, toż po żołniersku rąbnął:

— Mości kanclerzu... jam nie polityk, jeno ten, który szabłę na to przy boku nosi, aby jej rdzewieć w pochwie nie dawał. Cze-

kam jeno okazyi i z wielkiem ukontentowaniem ją przyjmę... ale mi się tak widzi, jako te wszystkie plany za szerokie są i urzeczywistnić się nie dadzą... Zgnieść ottomańską potęgę nie tak łatwo, zwłaszcza gdy naród, gdy sejm wojny nie chce!

— Otóż to — podchwycił kanclerz — i mnie się tak zrazu zdawało; dlatego też, chociaż myśl wojny zawždy popierałem, w ostatcznym momencie widząc, jako trzeboby przeciw woli sejmu iść, a w nadziei, że z czasem można będzie szlachę ku owym zamysłom nakłonić, zawahałem się i listów przypowiednich pod pieczęcią koronną wydawać nie chciałem...

— I Król bardzo cierpiał nad tem, a mówił, mości kanclerzu, żeście go jako Judasz Chrystusa zdradzili.... — wtrącił oboźny, jakby z wymówką.

Kanclerz zmarszczył się nieco na te słowa, ale nie chcąc dać poznać wewnętrznego nieukontentowania, odparł:

— Niesłusznie Król Jegomość żalił się na mnie... Nie zdradziłem go, jeno widziałem, iż wobec konstytucyj, jakie na sejmie zapadły, nie poradzimy nic.

— A cóż się teraz zmieniło — wtrącił Kazanowski, — iż pomimo owych konstytucyj, podejmujecie dawne zamysły?

Na to pan kanclerz nie zaraz dał respons. Przeszedł się kilka razy po komnacie, jakby się namyślał, co odpowiedzieć ma i w jaki sposób najlepiej a najtreściwiej rzecz wyłożyć. Wreszcie zatrzymał się przed Kazanowskim i rzekł z powagą:

— Nie každemubym to odkrył, co wam teraz powiem; toż zachowajcie słowa moje w milczeniu, nie o mnie bowiem tu chodzi, ale o Króla... Zamysłów jego, owych wielkich, szerokich, o zgnieceniu tureckiej siły i ufundowaniu potężnego państwa wschodniego, nie podzielałem ja nigdy, ale w wojnie tureckiej widziałem inne korzyści... Wy, siedząc tu, w głuchej Ukrainie, ani pojęcia mieć nie możecie, co się u nas w kraju dzieje. Długolatni pokój, zabezpieczony zwycięztwami Władysława, zamiast przynieść pożytek, wielkie nieszczęścia zgotował. Dziedzic trzech koron, Król dla pokoju tego, umiłowanego przez naród, musiał dwie z nich poświęcić, przestał marzyć o moskiewskiej i szwedzkiej — ale teraz i na własnym chwieje się tronie...

Z wymownych ust kanclerza wychodziły te słowa zwolna, wyraźnie a dobitnie, każde zaś z nich padało na serce Kazanowskiemu.

— Co Wasza Miłość powiadasz! — zawołał on z przerażeniem. — Król na tronie się chwieje?

— Lada dzień upaść może tron ten, obalony swawolą szlachecką... — dokończył kanclerz. — Chciałem go umocnić, wytężałem wszystkie siły, układałem różne projekta... Widziałem ja w cudzoziemskich krajach wszelakie narody, obyczaje i prawa... ale samowoli takiej jak u nas, nie widziałem nigdzie. Wszędы Król władzę ma rozkazania lub wzbronienia, a u nas wszyscy mają to prawo, prócz Króla...

Kazanowskiemu to się słusznem nie zdało, więc zaoponował:

— U nas wolności są większe... — rzekł.

— Wolność! wolność! — przerwał żywio Ossoliński, a po jego pięknej, wygładzonej twarzy, przemknął błysk gniewu. — To żadna wolność jest, jeno swawola! Słuchaj waść, długiej dyskusyi nie chcę prowadzić... więc tylko rzekę: Litwa cała wzburzona; katolicy z dyssydentami w otwartej walce, a ci ostatni gotowi są z każdym pójść przeciw katolickiemu Królowi i katolickim panom. Xiążę Janusz, gorszy stokroć od rodzica, różne zamysły ma tajne, a wiecie, jako nieraz Królowi groził i krzyczał, że przyjdzie jeszcze czas, gdy Polacy do drzwi nie trafią, Litwini zaś przez okna wyrzucać ich będą... Król to łagodzi jak może, ale wszystko do czasu. Rośnie tam zdrada na gruncie kacerstwa,

która przedzej czy później dojrzej. Otóż tam dyssydenci krzyczą, domagając się wszelakich wolności, z nimi łączą się, gdy im potrzeba, dyzunici, łączą się wszystkie niespokojne umysły, krępując królewskie działanie. Dogodzisz jednym, to drudzy się burzą... wszystkim zaś zadość uczynić, to znaczy zejść z tronu i powiedzieć im: panujcie sami!... A może to być?...

— Wszakże — zauważył Kazanowski — Król ma na kim się oprzeć, są rody możliwe dokoła tronu, które go wspierają...

— Są — przerwał Ossoliński — ale nie skojarzone, nie połączone niczem. Jeden drugiemu zawiadzi, każdy na własną rękę i ku własnej chciałby dążyć korzyści. Chciałem ich zjednoczyć...

— Orderem Niepokalanego Poczęcia... — wtrącił oboźny i uśmiechnął się z lekka.

— Nie śmiejcie się — przerwał Ossoliński, — kawalerya ta, którą utworzyć chciałem, byłaby właśnie stworzyła dokoła tronu zjednoczoną falangę. Król przeorem orderu, dwunastu starszych a siedmdziesięciu dwóch młodszych orderowych braci — tylu, ilu było apostołów i uczniów Chrystusa — to związek miał być wiernej tronowi armii, związanej przysięgą iść tam, kiedy Król każe... W takim narodzie jak nasz, to mogło znaczyć wiele...

Głos kilkudziesięciu panów, rodem i mieniem górujących, byłby się rozchodził potężnem po kraju echem, byłby nakazywał milczenie temu motłochowi rozswawolonej szlachty...

— Motłochowi.... — powtórzył Kazanowski — za szorstkie słowo wyrzekliście, mości kanclerzu...

— Motłoch, motłoch jest! — zawałał impetycznie Ossoliński, — który tem silny i od nas potężniejszy, że idzie zwartym szeregiem, skoro się o jego prawa wygórowane potrąci, a my dążymy každy w swoją stronę bez poczucia wspólnościi... Toż motłoch ten z jednej strony a dyssydenci z drugiej, powstał przeciw myśli kawaleryi orderowej, bo dyssydenci widzieli w tem wzmacnienie katolickich uczuć, a szlachta upatrywała niebezpieczeństwo dla swoich wyuzdanych wolności.

Kanclerz mówił z takim uniesieniem i taką nienawiścią, że Kazanowski mimowoli uczuł się chłodniejszym, przypisując tę nienawiść temu, iż niedawno szlachta zaoponowała na sejmie przeciw zagranicznym tytułom, zwłaszcza zaś przeciw tytułowi xiążęcemu, który kanclerz w Rzymie otrzymał i w Rzeczypospolitej używać począł. Owa więc gwałtowność płynęła widocznie z podrażnionej ambiocy. Kazanowski rzekł tedy chłodno:

— Wszakże, mości kanclerzu, było tak od wieków u nas i było dobrze, tron przetonię upadł, iż szlachta wolności swe miała; naród to rycerski, szlachectwo zdobył krviąt i orężem, i trudno go zamienić w trzodę poddanych...

— Pięknie waszmość to mówisz, żeby cię szlachta za to na rękach poniosła... — odparł szyderczo Ossoliński, — ale się wam nie dziwuję: wy tę szlachtę widzicie, gdy służbę rycerską pełni, gdy w walce jest... a wówczas jest dzielna. A ja widzę ją w domu, wśród pokojowej ciszy, jako się burzy... I wasć sądzisz, że to dugo być może?... Było tak dotychczas, ale już nie potrwa... Ja wam powiadam: źle jest i radzić trzeba! Z Litwy idą podmuchy źle, zdradzieckie... wokoło tronu, ci co stoją przy nim, patrzą jeno swojej korzyści... a dalej szlachta wrzeszczy, domagając się coraz więcej. Król odkrywszy swoje zamiary wojenne i na sejmie opozycją szlachty złamany, stracił jej ufność; między nim a tymi, których wasć, mości oboźny, w obronę bierzesz, urosła niechęć, rozwarcia się głęboka przepaść, którą zapełniały chyba — trupy...

Kanclerz urwał, a Kazanowski zbladł, żachnął się, popatrzył badawczo na kanclerza i powstając a zbliżając się doń:

— Co chcecie rzec? — zawałał — by-  
łożby to prawda, co w paszkwilach różnych  
wam i Królowi zarzucają? byłożby to prawda,  
jako przepaść tę zapełnić chcecie trupami  
niesfornej szlachty z pomocą czerni kozackiej?...

Ossolińskiemu krew uderzyła do głowy...  
wzrok zaiskrzył się dziko, zsiniałe wargi drżały.

— Na sumienie moje się klnę! — za-  
wałał — nieprawda! Ani mnie, ani Królowi  
taka myśl nie przyszła... Ale podejrzenia są...  
i w tem właśnie klęska, którą jeno wojna od-  
wrócić może... Od 1646 roku, t. j. od chwili,  
gdy zamiary wojny z Turcją na jaw wyszły,  
gdy Król wbrew woli sejmu, zaciągi czynić  
kazał, lekceważąc sobie opór szlachty i gdy  
w skutek tego owo haniebne podejrzenie  
rzuccono, rosło ono i wyrosło tak, że pod  
jego brzemieniem Król albo upaść musi, albo  
się nagłym czynem wydzwignąć. O zezwoleniu  
sejmu na wojnę turecką ani marzyć niepo-  
dobna; skoro nie zezwolono na nią wówczas,  
gdy Król ulubieńcem narodu się zwał, to nie  
zezwolą tembardziej teraz, gdy jest wszystkim  
podejrzany a wielu nienawistnym... A gdy  
zezwolenia mieć nie możemy, iść musimy na  
przebój, zwalczyć veto szlacheckie!... Ja się  
pierwej wahałem... dziś widzę, już ostatni  
czas i nie waham sięcale!...

— A co ztąd wyniknie? — zagadnął Kazanowski, który coraz bardziej zalterowany stanął przy oknie i patrzył posepnie w dal, na roztaczający się przed zamkiem widok, dalekie stepy i dnieprowe wybrzeża. — A co ztąd wyniknie? — powtórzył. — Żali wiecie wy, mości kanclerzu, jaką poruszacie siłę, idąc na przebój?...

— Wiem! — odparł z mocą kanclerz. — Wojna jest teraz nieodpartą koniecznością... Nie mordować chcemy szlachty, ale ten motłoch, niesforny w spokoju, rzucić w zamęt chwalebnej walki, zmusić go, aby zaprzestawszy waśni domowych, rycerskim zapałem się zagrzał... Że zaś do tego celu inaczej dojść nie można, trzeba poruszyć kozaków, rzucić ich całą masą na Tatarów i Turcyi zagrozić, aby nam wojnę deklarowała...

Kazanowski się żachnął.

— Nie trzebaż było kozaków niweczyć — rzekł. — To zaiste niebezpieczna igraszka. Raz odbiera im się wszystkie wolności i chłopami czyni, potem zaś daje się broń w rękę, podburza i każe iść za hasłem z góry narzuconem, obiecując to, na co znów potem sejm nie zezwoli...

— Musi zezwolić! — przerwał Osoliński. — Skoro wojna deklarowana zostanie a na dobry koniec się obróci, kozacy otrzym-

mają wszystko... Chmielnickiego uczynimy hetmanem z zupełną władzą, powiększymy re-gestr, przyznamy prerogatywy szlacheckie...

— Jam nie polityk — wtrącił Kazanowski — ale tak rozumiem, że przeciw temu szlachta, zwłaszcza panowie, krzykną najgłośniejsze veto...

— Byleśmy je raz w tej wojnie złamali — odparł kanclerz — a już potem łatwiej pójdzie. Raz obalone, nie powstanie ono tak rychło... Szczęśliwa wojna, powróci Królowi cały stracony urok... przekonają się wszyscy, iż nie o mordzie szlacheckim, ale o potędze Rzpltej marzyliśmy, dążąc do przedsięwzięcia tego... i ulegną. W tej wojnie, a mówię to wam otwarcie, idzie przedewszystkiem o zwalczanie szlacheckiego veto; gdy ono upadnie, wszystko inaczej pójdzie a Rzplta, na wzór innych państw, ze wzmacnioną władzą królewską, zajaśnieje potęgą!

Kazanowski nie odrzekł na to nic. Walczyć z elokwencją Ossolińskiego, zdawało mu się niepodobnym, zresztą sam czuł, iż argumenta jego do przekonania mu trafiały, jakiś jeno lęk go chwytał przed budzeniem potęgi kozackiej, która zdawała się zupełnie złamana i spała od lat dziesięciu w nieprzerwanej niemal martwocie.

Ale Ossoliński i te wątpliwości zwalczyć umiał.

— Kozakom — mówił — sprawiedliwość uczynioną być musi, bez tego nie będzie spokoju i bezpieczeństwa w Rzpltej... zanadto się tu rozigrała swawola komisarzy i podstarościch pańskich, zanadto daleko szła pogarda dla tych, których chłopami zwano a którzy byli i mogą być w przyszłości dzielną granic obroną... Przyzwijcie Chmielnickiego, ja mocem jestem dać mu uroczyste poręczenia...

Kazanowski chociaż nie zupełnie jeszcze przekonany, wszakże widząc, jako pan Ossoliński wyraźne intencje królewskie wypowiada i nie znajdując już na wymowne jego argumenta responsu, posłał po Chmielnickiego, który, jak już wiadomo, przybył raz pierwszy na to wezwanie i ujęty elokwencją kanclerza, czynił mu niejakie obietnice, choć niepewne i chwiejne. Mając plany zdrady uknute, ofiarowanego sobie hetmaństwa nie akceptował, odkładając to na czas późniejszy a mówiąc jako i bez tego gotów jest na rozkaz królewski iść przeciw Tatarom.

Z tej konferencji nie bardzo był zadowolony pan Ossoliński a przeczuwając w słowach Chmielnickiego jakowąs zdradę, zwołał jeszcze do Czerkas innych starszych w wojsku zaporoskiem, przedewszystkiem zaś Barabasza

który też natychmiast wyprawiony został do Bohdana, aby go raz jeszcze z ostrowa do zamku sprowadził...

Napróżno wszakże czekano na powrót Barabasza i przybycie Chmielnickiego. W obszernej komnacie zamkowej siedzieli noc niemal całą Ossoliński i Kazanowski, naradzając się żywo z przyzwymi starszymi, assawułami i sotnikami, między którymi znajdowali się rotmistrz kozaków rejestrowych Topicha, Nesterenko, Hajduczeńko, Eliasz Kalenaka, Wadowski, Gurski i inni. Wszyscy oni przysięgali wierność Królowi i obiecywali posłuszeństwo jego rozkazom. Obietnice te rozpromieniały oblicze pana Ossolińskiego, wszakże niepokoilo go to mocno, że Barabasz nie wracał. Odprawiwszy tedy starszynę kozacką i umocniwszy raz jeszcze ich serca piękną przemową, wyszedł pan Ossoliński wraz z Kazanowskim na dziedziniec zamkowy, a potem po za mury i bramę i tam na wzgórku stanawszy, rozglądał się, żali Barabasza, który wyraźnie przyrzekał, iż dugo bawić nie będzie, powracającego nie ujrzy.

Dokoła wszakże było pusto. Xiężyce już zaszedły i brzaski dienne przebijały się na niebie, gasząc gwiazdy. A gdy tak stali obaj zapatrzeni w przestrzeń, ujrzelni nagle pomiędzy dworkami przedmieścia, postać jakąś wysoką,

chudą, przemykającą się spiesznie, która widocznie ku zamkowi dążyła.

Za moment człek ten był już przed nimi a zdyszany, nieledwie do nóg panu Ossolińskiemu przypadł, wołając:

— Miłosierdzie to jest boskie, że Waszą Miłość tu spotykam... bo oto nie wiedziałem, żali mnie do zamku przypuszczą, a ważne nowiny niosę...

— Ktoś ty jest? — zagadnął Ossoliński, cofając się nieco na widok tego człowieka, który odziany nędznie, o twarzy bardzo wymizerniajeli i chudej, z zapadniętymi oczyma, które gorączkowe rzucały blaski,cale zaufania nie wzbudzał, a raczej przestrachem przenikał... Włosy długie, skudłaczone a siwiejące na ramiona mu spadały.

— Ktoś ty jest? — powtórzył kanclerz, gdy na zapytanie jego człek ów nie dawał rychłego responsu.

Kazanowski zbliżywszy się, pilnie się przypatrywał owej postaci.

— A! — zawała po chwili — to pałnik pobożny, który był mi bardzo usilnie polecony przez znanego i wam dobrze, mości kanclerzu, światobliwego Dominikanina O. Polikarpa. Chodzi tu on oddawna między ludem a modlitw ich uczy i pobożności daje przykłady; pono

z Litwy jest.... nazwiska swego wszakże powiedzieć nie chce....

Ossoliński z ciekawością spojrzał na pątnika, który z pochyloną głową stał przed nim, jakby wstydząc się słów Kazanowskiego.

— Co po mojem nazwisku? — wtrącił ponuro. — Bylebym Bogu, Rzpltej i Królowi wiernie służyć mógł — a jużby mnie tam w niebiesiech, kiedy być pragnę, poznali....

— Ale tu na ziemi, — przerwał Ossoliński — jakoż słowom takim wierzyć, gdy niewiadomo od kogo pochodzą....

Pątnik podniósł głowę i zapadłemi swemi a świecącemi oczyma spojrzał w twarz kanclerza.

— Gdyby Waszej Miłości do uwierzenia słowom moim potrzeba było mego nazwiska, to gotów jestem je wyznać, jakkolwiek ono wam nic nie zwiastuje.... Przebrzmi bez znamienia w uszach waszych.... Ale aby darmo nie przebrzmiały prośby!....

Ossoliński z coraz rosnącem zdziwieniem słuchał słów pątnika z niezwykłym wypowiadanych zapałem. Z ust tego człowieka, który na żebraka wyglądał, padały wyrazy urywane, szybkie i natchnieniem przejmujące.

— Jakież to są prośby? — zagadnął.

— Ratujcie, mości kanclerzu, Króla i Rzeczypospolite!.... — zawała pątnik. — Zdrada tu się go-

tuje wielka.... całe kozactwo niemal zbrunto-wane; na Siczy Chmielnicki przygotował już wszystko a z Tatarami jest w porozumieniu; dziś tu był.... widziałem go przed momentem, gdy owo zwierzę dzikie, Tarasa Bihuna, odwie-dzał, a już pewno nie w dobrych zamiarach....

Ossoliński porwał się w zdumieniu wiel-kiem.

— Chmielnicki tu? — zawołał — nie może to być, wszakże Barabasz u niego na ostrowie jest....

— Na Boga przysięgam! — przerwał pątnik— jakom go tu widział, gdy do chałupy Tarasa wchodził.... Szedł z drugim, który przezornie oblicze swe krył, żem go dobrze dojrzeć nie mógł, ale tak mi się zda, że to jest ów polak, Krzyczewski, dowódzca regestrowców czechryń-skich.... Jużem go dawno posądzał o zdradę.... a musiała to być jakaś straszna namowa, kiedy tak tajemnie, w nocy tu przyszli.... Słów do-słyszeć nie mogłem, alem ich widział dobrze i zaraz tu pobiegłem, aby wam, mości kan-clerzu wiadomość dać. Straszliwe gotują się rzeczy!....

— Nie może to być — wtrącił Kazanowski — aby Krzyczewski na zdradę się zmawiał, on przecie wierny, chociaż Bohdana zasłania i bronii....

— Nie wierzcie! — zawała pątnik z zapalem — nie wierzcie ani rejestrowym, ani ich dowódcom! są niektórzy wierni, ale ich mało — większość zdradziecka!....

Pątnik ramiona do góry podniósł.

— Mości kanclerzu! — zawała. — Wracajcie co rychlej do Króla i wielką, wielką siłę gromadźcie, bo nieszczęście stanie się ogromne. Krzywdy tu się działy i dzieją; z winy niektórych panów, a bardziej jeszcze podstarościch pańskich, nienawiść urosła wielka; chłopstwo do wolności nawykłe, znów ujarzmione, czeka jeno hasła, aby się rzucić.... za winy niewielu, strumienie krwi płynąć będą, morze krwi się rozleje!....

Głos łamał się w piersi pątnika. Mówił niemal szepcem, ale każdy wyraz wnikał jakimś przerażeniem dziwnem w Ossolińskiego duszę.... Rozwaga nie dozwalała mu przykładać wielkiej wagi do słów nieznanego człeka, który na poły szalonym się zdawał.

— Zkądże ty takie hiobowe wieści niesiesz? — ożwał się znowu. — Ja dzisiaj miałem zapewnienia od całej niemal starszych kozackiej....

— Zapewnieniom nie wierzcie! — przerwał pątnik. — Zapewnieniom nie wierzcie! Przebiegłem ja całą Ukrainę wszerz i wzdłuż

i lepiej ją znam niż Barabasz lub Nestereńko, którzy są wierni....

— A który cię tu posłał? — spytał jeszcze Ossoliński z coraz większym zajęciem patrząc na dziwną postać pielgrzyma — kto ci kazał badać owe sprawy?....

— Kto mię posłał? kto mi kazał? — powtórzył pątnik. — Kazał mi Bóg, a posłało sumienie.

Zatrzymał się moment, a potem nagle, jakby namyśliwszy się i przystępując blisko do Ossolińskiego, rzekł:

— Moje słowa, jak widzę, nie będą miały dopóty wagi, dopóki nie będziecie wiedzieli kto je mówi. Otóż wam powiem, mości kanclerzu: Pochodzę z Litwy, z Birż, szlachcicem jestem.... Wodżbun moje nazwisko. W młodości stałem się zbrodniarzem; słuchałem podszeptów zdradzieckich i sam zostałem zdrajca.... a odtąd dusza moja spokoju nie ma.... Jako szatan zdrady opętał mię niegdyś i ścigał mię aż do tego momentu, gdym ujrzał rodzica własnego, idącego przeciw mnie i Szwedom, których wiodłem; aż do tego momentu, gdym ujrzał strumienie krwi, które lały się przezemnie.... tak i ja teraz ścigam zdradę wszędzy, gdzie ją dojrzę, a żywot mój cały ofiarowałem na to odpokutowanie.... Na Boga, na zbawienie moje przy-

sięgam, jako prawdę mówię!.... Jako burzany na stepach, jako kłosy na bujnej ziemi tutejszej, taka moc niezliczona buntowników powstanie znagła, przeciw panom i szlachcie.... Skorom usłyszał, jako ma być wojna z Turcją za pomocą kozaków, poszedłem tu i snuję się jak cień, nocą i dniem, za każdym chodzę i myśli jego zgaduję.... A widzę jako na dziesięciu jednego wiernego nie masz....

Zbladły z przerżenia słuchał kanclerz tej mowy, zwracając się czasem ku Kazanowskiemu z niemem zapytaniem. Kazanowski równie pomieszany, nie wiedział co czynić ma, a na owe zapytania nieme kanclerza, powtarzał jeno:

— O. Polikarp go polecał....

— Zda mi się nie spełna rozumu jest.... — szepnął Ossoliński do czerkaskiego starosty, odprowadzając go nieco na stronę, gdy Wodzibun jakby zmordowany mówić przestał. — Można-li mu zaufać?....

— Nie znam go — odparł Kazanowski — wiem jeno, że od dawna tu się snuje, całą Ukrainę zna i obyczaje tutejsze. Lud go uważa, za świętego uważając.... To go też jedno tu broni, a wszakże raz go już zamordować chciano w jakiejś zamieszce, w której on po stronie pana przeciw zbrutowanemu chłopstwu stanął.... Człek jest dziwny.... Teraz błaga,

aby go rejestrowym kozakiem uczynić, bo powiada, jako w ten sposób łacniej rejestrowców pilnować będzie i wierności wśród nich przestrzegać....

— Trzeba go jednak dokładniej wybadać.... — zauważył Ossoliński — czasem i takie relacje mogą mieć wagę, a myślę go też wysłać, aby spenetrował, co się tam z Barabaszem stało, bo niepokoi mię to mocno, iż Chmielnicki tu był pokryjomu tej nocy i jakieś spiski z owym Tarasem knował....

Podczas tej rozmowy, Wodżbun stał z oczyma ku niebu wzniecionemi, jakby się modlił, a z widoczną radością przyjął wezwanie kanclerza, aby z nim do zamku szedł.

— Niech będą Bogu miłosierнемu dzięki! — zawała — jako mnie nędzarza wysłuchać chcecie.... może też jeszcze czas....

Już dzień był biały, kiedy Wodżbun zamek opuszczał. Ossoliński mocno zafrasowany pożegnał go polecając, aby nie ustawał w badaniu i pilnym śledzeniu, wszystko zaś natychmiast Kazanowskiemu lub innym starostom donosił. Na razie zaś polecił mu, aby spenetrował co się z Barabaszem stało.

Tegoż dnia wszakże Barabasz sam przybył do Czerkas. Pomięszany był bardzo i mówił, jako zbyt uczestowany przez Chmielnickiego, zachorzał; ponawiał obietnice swoje

i składał zapewnienia wierności; nie uszło wszakże bacnej Ossolińskiego uwagi, jako czynił to z niejakiem wahaniem i wyraźny przy tem niepokój zdradzał.

Z takim rezultatem, pełen obaw i frasunku a bardziej niż kiedy przeświadczony o konieczności wojny, która w czas deklarowana, jedynie to wszystko potłumić jeszcze mogła, powrócił Ossoliński do Warszawy i zdał Królowi relację z poselstwa. Nie mogło ono zadowolić Władysława, który też natychmiast postanowił innych jeszcze posłów na Ukrainę wyprawić, którzy by bliżej sprawy kozackie zbadali i ze wszystkimi starszymi assawułami i sotnikami w bliższe a stanowcze porozumienie weszli.

— Młodszych do tego potrzeba — mówił Król — niż Ossoliński, który latami starszy i dostojeństwy wyższy, nie tak łatwo poruszać się i nachylać może. Ossolińskiemu z Pieczętami i Królami a nie z motłochem kozackim gadać.... Przychodzi mi też na myśl, aby Radziejowskiego, starostę łomżyńskiego, tam wysłać.... On Ukrainę już zna, bom go tam z listem do Barabasza posyłał — głowę zaś ma mądrą a przebiegłą, która to i owo potrafi....

Słysząc zaś to pan Adam Kazanowski, marszałek nadworny, doradzać poczał, aby

Radziejowskiemu przydać za towarzysza Sicińskiego Władysława.

— Jestto dworzanin mój od lat wielu, zaufany i wierny — mówił — za sprawność jego, przezorność i rozum ręczyć mogę, bom go doświadczył, a wiem, że on i tam dosięgnąć zdoła, gdzie pan Radziejowski nie pójdzie....

— Dobra myśl — rzekł Król — ale stanowczą decyzyę jeszcze odłożono — i tak się to ciągnęło, aż do jesieni 1647 r.

---

## XII.

Władysław Siciński, od kiedy z polecenia xiążęcia Krzysztofa Radziwiłła na dwór Kazanowskiego się dostał, pozostawał ciągle na tem samem stanowisku, chociaż biegły lata, nie ziszczaając dotąd jego nadziei, nie przynosząc mu ani takiego wywyższenia, o jakim marzył, ani dostatków takich, jakich pożądał. Był wprawdzie pierwszym na Kazanowskiego dworze, usilną pracą i staraniem posiadł zaufanie zupełne nieprzystępnego zwykle i hardego pana, ale łaski te nie dawały mu dotychczas spodziewanych owoców. A żywot jaki prowadzić musiał, był stokroć może jeszcze gorszym, niż owe młodzieńcze lata spędzone w ponurym zamku birżańskim.

Wspaniały gmach na Krakowskim Przedmieściu stał się przedmiotem ciekawości powszechnej, od kiedy go hojność królewiców polskich Adamowi Kazanowskiemu darowała. Zgromadził też on tam niewidziane cuda i nieprzeliczone bogactw skarby, a łaska monarsza

wszystkie swoje promienie skierowała ku tej siedzibie ulubieńca, wynagradzając go w dwójnásob za poniesione ofiary i czyniąc najbogatszym panem w Koronie.

Gdy w dniach pogodnych, jaskrawe blaski słońca odbijały się od złotych gałek i ozdób krużganków, niby aureolą promienną otaczając rezydencję wspaniałą, gdy z marmurowych galerij i altan pałacu rozbrzmiewały dźwięczne tony muzyki, towarzysząc wspaniałym bankietom i ucztom, przechodnie zatrzymywali się w zdumieniu nad tą świetnością i bogactwem.

Mijały lata. Pan Kazanowski ze stolnika koronnego, podkomorzym koronnym a wreszcie marszałkiem nadwornym mianowany, zdawał się stać u szczytu potęgi. I nie jeden zazdrościł szczęścia temu, który oprócz owych godności, posiadał liczne a intratne starostwa, szczycił się niezachwianie zaufaniem i miłością królewską, był zaś małżonkiem najpiękniejszej w kraju a równie bogatej niewiasty. I z pozoru zdawało się istotnie, jako los się wysiął, aby Kazanowskiego najszczęśliwszym uczynić; był dość potężnym, aby zawistnymi módz gardzić, ze współzawodnikami zwycięzko się mierzyć a nie lękać się żadnych podstępów. Mógł nieprzyjaciół zgnębić jednym swem

slowem, przyjaciołom zaś także jednem słowem zapewnić znaczenie.

A jednak wśród tych wszystkich szczęścia i powodzenia warunków, dumna twarz marszałka wyrażała najczęściej przygnębienie i smutek; w przygasłym jego wzroku zapalały się wprawdzie czasem ognie gorączki, lecz wrychle gasły a z ust zbladłych padały wyrazy pełne zniechęcenia, zimne jak lód, obojętne a czasem jak ostrze miecza szyderskie.

W duszy dumny i hardy, zarówno nieufnie przyjmujący życzliwe słowa jak marne pochlebstwa, Kazanowski, to rzucał się chwilami w odmet intryg dworskich i rozpoczynał zaciętą walkę ze wszystkimi, których znaczenie jego własnej influencyi grozić się zdało, to otaczał się pustką, grobowem milczeniem i stronił od ludzi, aż znów nagle sale pałacu otwierały się na oścież, gromadząc tłumy obojętnych lub zawistnych. Wówczas gmach olbrzymi rozświetlał się sztucznym blaskiem, p. marszałek nadworny z uśmiechem uprzejmym na ustach witał tłumy gości, całą swą umięjetość dworską wysilał, aby pociągnąć ku sobie i zjednać; olśniewał przepychem i bogactwy, wśród których wspaniała postać małżonki, najcudniejszym wydawała się klejnotem...

Ale za moment gasło znów wszystko na d&u0144ugo.... Cie&ń ponury pokrywa&ł zamek i jego mieszkańców, gromady dworzan znudzone ta& ciszą, rozbiegały si&ę po mieście, szukając gdzieindziej zabawy, a pustk&ę sal bogatych, monarszym zbytkiem l&niaczych, zape&niał smutek nieukojojony i przerażający....

Było w tym zamku tak samo niemal jak w kraju. W kraju było tak&e wielkie bogactwo, roztaczane dumnie na wspaniałych ucztach, wjazdach tryumfalnych, uroczystościach weselnych; by&ała rzeczywista i jeszcz&e niezachwiana pot&ęga, ale bez mo&źliwości nale&zytego jej u&ycia; by&ały wszystkie warunki pomy&lnosci i znaczenia na zewna&trz, ale wewna&trz coraz wi&ększa niezgoda i rozterka, brak uznania w&ładzy, brak nale&zytej sp&ojni, owszem d&ążenie, aby w&ładze coraz bardziej osłabić a w&ęzły łączące potargać.

Po tryumfach wyprawy moskiewskiej, po zawarciu rozejmu ze Szwecją i korzystnego z Turcją pokoju, zdawało si&ę, iż panowanie Króla Władysława przyniesie narodowi zupełne szczęście a pot&ęgę Rzeczypospolitej na zawsze ustali. Zabezpieczona od Wschodu i Północy Polska, d&ążyć si&ę zdawała przyrodzonym biegiem rzeczy do aliansu z Francją, który zapewniał pomoc przeciw Szwecji, czyni&ł mo&żebnem odzyskanie Szlązka

a co najważniejsza, dawał Rzeczypospolitej przynależny głos w radzie mocarstw Europy śródowej. Alians ten wszakże nie przyszedł do skutku, a bezczynność opanowała politykę Polski na długie lata. W pokojowej ciszy słabnął duch narodu, objawiający się jeno niesfornością na sejmach burzliwych, wśród waśni wewnętrznych, intryg dworskich i religijnych niesna-sek.

Nieuufność rosła między narodem a Królem; szlachta na sejmach i sejmikach, lękając się wzmagającej się potęgi optymatów, którzy tron otaczali, domagała się ciągle ograniczenia władzy monarszej a odpychała stale wszelkie pokuszenie, aby ją umocnić; dyssydenci burzyli się nieustannie, kościoły unicki i wschodni były w otwartej walce, wszelkie zamierzone przez Króla w tym kierunku reformy rozbijały się w samym zarodzie, a Władysław nie miał dość wytrwałości czy siły, by rozpoczętemu dziełu, pomimo przeszkód, powodzenie wy-walczyć. Otoczony dokoła intrygami dworskimi, niezgodą i rywalizacją możnowładców a burzliwemi roszczeniami szlachty, coraz bardziej zapadający na zdrowiu i dręczony ciężką chorobą kamienia, Władysław porywał się chwilami do czynu, zapalał się do myśli wielkich i zbawczych przedsięwzięć, ale wnet złamany moralnie i fizycznie, zapadał w niemoc

Jak cofnął się przed zamierzonem poślubieniem palatynówny Renu, wnuczki Jakóba króla angielskiego, co mu zapewnić mogło przyjazną pomoc potężnej Anglii, jak potem wyrzekł się zamiaru poślubienia księżniczki francuskiej i zjednania sobie w ten sposób aliansu z Francją, przez nią zaś z Zachodem, a wyrzekł się w obec niechęci senatu, z którą walczyć nie chciał, — tak też i w następnych latach panowania swego, nie umiał postawić niezwalczonego oporu ani zachciankom szlachty, podnoszonym na sejmach burzliwych, ani groźnej potędze możnowładców, która z dniem każdym rosła, czerpiąc teraz nowe siły w olbrzymich fortunach na Ukrainie gromadzonych....

W pośród tych wewnętrznych niebezpieczeństw i niesnasek, rwąca się do czynu dusza Króla Władysława, przemyślała wciąż jednak o sposobach ratunku. W okrąoko niego gromadzą się doradcy: poseł wenecki Tiepolo, nuncyusz apostolski de Torre a w pierwszym rzędzie Jerzy Ossoliński — wszyscy zaś pragną wojny tureckiej, widząc w niej jedyny środek stłumienia waśni domowych a zarazem zdobycia wielkiej potęgi.

Okryty chwałą w zagranicznych poselstwach, bystrości umysłu i elokwencji niezrównanej, Ossoliński, przebojem niejako, po-

mimo nienawiści szlachty, niechęci i zazdrości, jakie obudzał, wywalczył sobie wyjątkowe, potężne stanowisko. Mierzył się on nawet i zwycięzko się mierzył z kochankiem królewskim, Kazanowskim. Ten bowiem, pewien królewskiego affektu, nie mieszkał się zrazu do spraw publicznych, a gdy Król przybywał do pałacu swego kochanka, lub gdy Kazanowskiego wzywał do siebie, to nie po to, aby z nim o planach swych lub zamysłach wojennych radzić, lecz aby o troskach wszelkich w wesołej a poufnej rozmowie zapomnieć. O tych rozmowach a biesiadach poufnych, obiegały nawet rozmaite, dziwaczne wieści; nikt do nich przypuszczany nie był, prócz kilku ulubieńców królewskich, na których milczenie rachować było można. Odbywały się one w osobnych komnatach pałacu, do których, prócz Sicińskiego, żaden z dworzan Kazanowskiego dostępu nie miał. Opowiadano, że tam dzieją się orgie haniebne a podejrzenia te umocniły się jeszcze, gdy raz dojrzano, jako pokryjomu przybyła do pałacu i w wielkiej tajemnicy przez Sicińskiego do owych komnat wprowadzoną została, dawna kochanka królewska, zwana Jadwiżką ze Lwowa, którą Król wydał za Jana Wypyskiego chorążego nurskiego, nadawszy mu oraz na Litwie starostwo mereckie.

W pośród dworzan rosła ciekawość wielka, ale pomimo usilnych starań nic więcej do śledzić się nie udało. Zazdrosem jeno okiem spoglądano na Sicińskiego, który był tych wszystkich tajemnic powiernikiem. On wszakże milczał jak grób, a wszystkie pytania zbywały jeno uśmiechem lub pogardliwą odpowiedzią, która żadnego wyjaśnienia nie dawała.

Jak niegdyś w Birżach, tak i tu obecnie Siciński przedmiotem był powszechniej nienawiści wśród dworzan. Dziwowały się, w jaki sposób umiał on pozyskać zaufanie pana i takie łaski, jakich nikt dotąd nie dostąpił. Zrazu potulny i uprzejmy, Siciński stał się hardym i zuchwałym, od kiedy łask pańskich był pewnym, lekceważąc ową nienawiść, jakąokoła siebie obudzał. Z podniesioną dumnie głową, którą jeno przed panem kornie schylał, patrzył on zrazu śmiało w przyszłość i zdawało mu się, że jest bliskim urzeczywistnienia najśmiesznych nadziei.

Wielką pracą, nieustannymi zabiegami i starannością zdobył on to, co zdawało się najtrudniejszym: zaufanie Kazanowskiego, który nikomu ze swych dworzan przystępu do siebie nie dawał i przed nikim nie zwykł się był zwierzać. Najwymowniejszym znakiem tego zaufania, było to, iż gdy Kazanowski na zdrowiu zapadał — a zdarzało się to coraz

częściej — i gdy do jego komnaty nikomu wejść wówczas nie dozwalano — jeden Siciński miał i tam przystęp i przy chorym panu dnie i noce spędzał. Nawet jedyny dawniej zaufany dworzanin i krewniak p. Kazanowskiego, Nakielski, z łask marszałka przez Sicińskiego wyparty został.

— Dwie są tajemnice w tym pałacu — mówili dworzanie — to najpierw odwiedziny królewskie i to, co się w owych skrytych komnatach wówczas dzieje, — powtóre, choroba pańska, której dotychczas nikt nie spenetrował....

— Jest i trzecia jeszcze tajemnica — do rzucił słysząc to jeden ze starszych dworzan — a ta pono najważniejsza jest....

— A jakaż to jest trzecia? — pytano.

Stary dworzanin nie odpowiadał na to nic, jeno wskazywał w tę stronę, kiedy były komnaty małżonki marszałka.

A na to jedni uśmiechali się złośliwie, drudzy zaś, liczniejsi, ze współczuciem głowami kiwali, mówiąc:

— Biedna niewiasta!

Wszakże Halszka nie skarzyła się nigdy i przed nikim na swoją dolę. Uroda jej rozwitała z rokiem każdym i stawała się coraz wspanialszą, a wśród królewskiego przepychu, jakim ją Kazanowski otoczył, zdawała się

rozpromieniać coraz większym blaskiem. W czasie uczt i bankietów ukazywała się Halszka jak bóstwo, któremu wszyscy składali hołdy, ale ona je od wszystkich przyjmowała z jednaką obojętnością. Wśród szmeru uwielbień i zachwytów, przechodziła majestatyczna i zimna nie poruszając się niczem; z ust jej czarownych, które się rzadko rozchylały uśmiechem, wychodziły wyrazy uprzejme, ale najczęściej jakby w roztargnieniu wypowiadane; spojrzenie promienistych jej oczu błakało się prawie bezwiednie, nie zatrzymując się na nikim, jakby nikogo przed sobą nie widziało.

Z wyjątkiem dni owych, w których podwoje pałacu otwierały się na wspaniałe przyjęcie licznego zastępu najprzedniejszych w stolicy gości, Halszka spędzała żywot w zamknięciu niemal zupełnie. Wiedziano jeno, że część bogactw swych używa na wspomocie nędzy, że kościołom i klasztorom liczne czyni ofiary, że niejednokrotnie sama wyjeżdża, aby ubóstwu pomoc przynieść. Ztąd na całym dworze wielbiono ją i miłowano bardzo, a domyślano się ze współczuciem, iż żywot tej pięknej pani otoczonej monarszym przepychem, musiał być bardzo nieszczęśliwym, jakkolwiek z ust Halszki nie wyszło żadne słowo skargi, a cała jej postać zdraudzała raczej lodową obojętność i spokój, niż

smutek. Raz jeden tylko widziano bladość rozpaczliwą na jej obliczu a łzy w oczach. Było to w pierwszym roku pożycia z Kazanowskim, gdy po raz pierwszy odwiedził córkę wojewoda Śluszka. Halszka niemal z krzykiem, nie bacząc na obecność ciekawych, wybiegła naprzeciw rodzica i ze łzami a łkaniem do stóp mu się rzuciła.

Jaka była rozmowa między rodzicem a córką i jakie wyznania, to jeden Bóg mógł wiedzieć — wiedzieli wszakże wszyscy jako ta rozmowa długą i bardzo rzewną była. Słyszano łkania i jęki Halszki, słyszano głos pana wojewody raz poważny i surowy, to znów łagodny i drżący wzruszeniem, widziano też potem twarz jego bladą, głęboki wyrażająca smutek i oczy łez pełne, gdy na pochylonem czole córki ukochanej kreślił krzyż pożegnania, wyjeżdżając. A po wyjeździe jego Halszka przez długie dni ze swych nie wychodziła komnat, pan Kazanowski zaś ciężko zachorzał. A gdy podwignął się z niemocy, zaczęło się odtąd owo życie jednostajne na pozór, bez burz żadnych i niepokojów. Jeden może Siciński wiedział więcej niż inni, jeden może wiedział co się poza tym zewnętrznym kryje spokojem; on bacząc na Halszkę zwracając uwagę, umiał dostrzec poza uprzejmym uśmiechem, bolesne ust skrywienie

a w spojrzeniu dla wszystkich na pozór obojętnem, ognie tłumionej namiętności. On jeden wiedział; ale milczeć umiał i milczał uparcie. Dworzanie przeczuwali jeno, że w czasie owego przyjazdu pana Słuszki i wynikłej ztąd długiej choroby marszałka, musiał on pochwycić tajemnicę ważną, która go czyniła panem, zapewniając mu łaski Kazanowskiego na zawsze.

A nie tylko sami dworzanie byli ciekawii tajemnic; najbardziej może ciekawym był imęp. Hieronim Radziejowski, starosta łomżyński. W rzędzie tych, którzy pięknej Halszce hołdy składali, był on najpierwszym, a nie dawał się odstraszyć ani obojętnością jej, ani nawet pogardą, jaką mu okazywała.

Pan starosta łomżyński nie zawiódł wcale pokładanych w nim za lat młodzieńczych nadziei; miał powszechną sławę przebiegłości i rozumu. Śmiały aż do zuchwałstwa, chytry bez granic żadnych, porywczy względem niższych lub równych a korny i do wszelkich usług gotowy dla wyższych lub wpływy znaczne mających, starosta łomżyński szedł hardo naprzód, druzgocząc wszelkie zapory i urągając wszelkim zasadom. Mówiono o nim głośno, że gwałtownik jest i rozpustnik. Szlachcie pewien, nie mogąc inaczej spra-

wiedliwości z możnym panem otrzymać, oskarżył go publicznie na sejmie, jako córkę jego siłą zniewolił; ale pomimo tego, Radziejowski umiał utrzymać się na stanowisku i wszystkie owe gadania a oskarżenia nieszkodliwemi dla siebie uczynić. Młody, bo zaledwie trzydzieści kilka lat wieku liczący, był już wdowcem po dwóch żonach, których znaczną fortunę zagarnął, a obiegały wieści, że je brutalnem zachowaniem i głodem pomorzył. Szła tedy za nim nienawiść i pogarda powszechna, ale on urągał wszystkiemu, przebiegłością swą niszcząc zabiegi nieprzyjaciół, a zawsze na to jeno bacząc, aby wyzwawszy do walki którego z przeciwników, miał poparcie możniejszych. Poparcie to, chytrością zdobyte, znajdował Radziejowski u królowej Cecylii Renaty, a po jej śmierci pozyskał równe wzgłydy u drugiej małżonki Władysława IV Maryi Gonzagi. Był krajczym nadwornym królowej, a za jej protekcją uzyskał urząd administratora żup krakowskich, zków wielkie czerpał dochody. Rósł tak w dostałki, budząc odrazę lecz zarazem bojaźń, czekał zaś na coraz większe zaszcztyty, pewny, iż go nie miną.

Nosił tedy wysoko głowę pan starosta łomżyński. Nie wielka jego, dość opasła postać, prostowała się dumnie, a małe, biegające oczy, iskrzące się z pod wielkiej pudrowanej peruki,

patrzyły przed siebie zuchwale. Dotychczas w życiu nie spotkał żadnej niezwalczonej przeszkody; te zaś które były, pogruchotał śmiało; brał siłą to, czego inaczej ująć nie można było.

Wzrok jego chciwy, nienasycony, lubieżny, oddawna ścigał Halszkę Kazanowską. Gdy ukazywała się ona w stroju wspaniałym, gasząc promienną urodą blask brylantów, które jej włosy i szaty zdobiły, przyćmiewając wszystkich i wszystko dokoła, Radziejowski czuł, że mu serce w piersi kołacze, jak nigdy, że krew lawą ognistą rozlewa mu się po żyłach, że za jeden uśmiech, za jedno słowo miłości z ust tej kobiety, oddałby całą swą przyszłość, wszystkie pożądania i nadzieje. I zbliżał się do niej, cicho, jakby ukradkiem, napawał się wonią jej szat, upajał obecnością, pożerał rozplomienionym wzrokiem, a przemawiał nieśmiało, niezręcznie, tracąc przy niej zwykłą swą zuchwałość.

Ona zaś patrzyła na niego z tak zimną pogardą, że Radziejowski wzdrygał się nieraz i kurczył jakby zimną wodą oblany. Na jego rozgorączkowaną głowę padało to spojrzenie lodem i tamowało bicie serca, że układne słowa zamierały na zwykle wymownych ustach pana starosty. Nieraz układał sobie naprzód co przemówi do Halszki, układał sposoby

zdobyciu jej przychylności — jedno jej spojrzenie, widok jej ust lekcoważącym uśmiechem rozechylonych, wystarczał, aby wszelkie owe przygotowania w niwece obrócić. Ona patrzyła mu niego za wszczę z taką pogardą, jak wówczas, jak uczcie u księcia Radziwiłła, gdy po haniebnej bójce z Daniłowiczem, stanął przed nią w podartej odzieży, bozi poruki, z poszarpanymi i wzburzonymi włosami, pioniący się ze złocią a blady ze wstydu. Obraz ten snadź niezatarty w jej pamięci pozostał.

Ale im większa była obojętność Halszki, tem większy upór i zwziętość budziły się w sercu Radziejowskiego. Nie była to miłość, który dla niej uzuwiął, ale słapa i pełna pożądania namiętność, która często przeradzała się w niemawie i choć zemsty za doznawaną pogardę. Nieprzeparta siła jakąś popychała go ku tej kobieco, tem potężniejsza im większy i bardziej mu pozór niezwalczony spotykała opór.

W rozbudzonej wyobraźni starosty, snuły się coraz jaskrawszo i ponętniejszo marzenia. Owę dumę, obojętną Halszkę widział on nie raz w snach goręczkowych, wyciągającą ku nimu namiętnie ramiąca, widział jej usta rozechylające się nie pogardliwym, lecz pełnym nieprzepartego uroku miłosnym uśmiechem, słyszał jej słowa upajające rozkoszą... Da-

remnie, aby wydrzeć te obrazy z duszy, usiłował zająć myśl, utopić ją w szalonych wybrykach i zabawach; wracały one później sto-kroć jeszcze jaskrawsze, a blade usta starosty szeptały z mocą:

— Ona musi być moją!

Widział on równie dobrze jak wszyscy, iż tajemnica jakaś zdawa się otaczać małżeńskie Halszki pożycie; nikt bowiem przypuścić nie mógł, aby szczęśliwą być mogła z małżonkiem, którego ciężka a nieuleczalna choroba, wstęp budzić musiała i tworzyć między nim a nią nieprzebytą przepaść. Co raz głośniej mówiono, iż owa choroba, z którą się pan marszałek tak starannie ukrywał, to epilepsja, powracająca coraz częściej i gwałtowniej; do uszu starosty dochodziły wieści, jako Halszka cały niemal żywot spędza zamknięta w swoich komnatach, a małżonka jeno przy ludziach widuje, nie mówiąc z nim prawie nigdy. Spenetrować tajemnicę tego zamkniętego żywota, przeniknąć, jakie uczucia tkwiły w skrytem sercu Halszki, to jedynie mogło zapewnić zwycięstwo, mogło doprowadzić do zdobycia tego serca. I to stało się odtąd celem zabiegów starosty.

Bystrem swojemu spojrzeniem przeniknął on od razu, że jeśli kto, to jeden tylko Siciński może mieć ślad owych tajemnic, i dla tego

wszelkimi sposoby usiłował pozyskać jego życzliwość i zaufanie. Dumny względem wszystkich, którzy mu stanowiskiem nie dorównywali, stał się on niejako przyjacielem dworzanina Kazanowskiego, udzielał mu nieraz zbawiennych rad i przestróg a często trafiając w ambicję jego, którą przeczuwał, jako wielką jest i nienasyconą, wyrażał przed nim zdziwienie, iż najpiękniejsze lata życia marnie spędza na służbie, która wielkiej nie przedstawia przyszłości.

A gdy, dzięki zabiegom pana starosty, przyszło między nimi do poufałości takiej, że już sobie to i owo opowiadali, zaszedł raz p. Radziejowski, niby przypadkiem do mieszkania Sicińskiego w pałacu i po kilku zrazu obojętnych słowach, znów mu to samo powtarzać począł:

— Ja was nie rozumiem — mówił — przyglądam się waszemu tu życiu i widzę jako mizerne jest. Przy chorym ustawicznie marszałku, nie wesoło; podczas gdy towarzysze wasi zabawiają się w mieście, wy jak na pokucie albo w więzieniu siedzicie....

Słowa te znajdowały żywego oddźwięk w duszy Sicińskiego.

Radziejowski miał racyę: on młodość swoją marnował; w ciągłych zabiegach o łaski pańskie, w obawie, aby ich nie utracić lub

nie dać się ubiedz innemu, wyrzekał się wszystkiego, nie wychodził prawie nigdy, do żadnych uczt wesołych z towarzyszami nie chciał należeć. Czuł, że ma w duszy rozmaite myсли, które mu taci należało, różne też tajemnice cudze, które za skarb swój na przyszłość uważały, a lękał się, aby w szale wesołości lub upojenia, nie zdradził ich nieostrożnym słowem. W oczekiwaniu rezultatu zdobytych łask pańskich, zapatrzony w przyszłość swoją, którą chciał mieć wielką i świętą, na teraźniejszość zwracał on o tyle uwagi, o ile to mu nadal posłużyć mogło. Zdawał się czekać, aż przyjdzie chwila używania, chwila w której osiągnie wszystko, czego pragnął a tem samem pozbędzie się obawy i troski, która go obecnie gnębiła, każąc strzędz się wszelkiego zapomnienia.

Słowa Radziejowskiego rzucały mu żar w duszę, podnosiły bunt przeciw postanowieniom, osłabiały wolę. Odpychał je jako pokuszenie.

— Dość mi na tem — odpowiadał — że zaskarbiłem sobie łaski i zaufanie pana marszałka.... on mi zginąć nie da, a w przyszłości może i moje służby wierne znajdą nagrodę....

Radziejowski zaśmiał się szyderczo.

Piękną to rzecz zaufanie pana — rzekł, ale co do mnie, jakbym wolał zaufanie i łaski pięknej małżonki jego....

Siciński spojrzał szybko na starostę, który mówił dalej:

W naszej Rzeczypospolitej zawsze biłogłówka zmieczy więcej, a jej influencja przemożniejszą jest. Wszak przypominasz sobie wyciąn, co się działo za życia królowej Cecylii Renaty i co się teraz dzieje.... U dworu nie Król, ale królowa stanowi.

Nie zawsze tak jest — zaoponował Siciński — zwłaszcza nie zawsze tak było za życia królowej Cecylii....

— Wiem, o czem chcesz mówić — podchwycił szybko starosta — o Denhoffie, jako pomimo oporu królowej, marszałkiem nadwornym jej zostałem.... To prawda, iż w tym wypadku influencja innych a mianowicie pana Kazanowskiego, przeważyła. Wszakże tu musiały być inne ważne powody, które to sprawiły, a tak mi się widzi, jako w tym razie nie chodziło ani o Denhoffa, ani o królowę, jeno że to była walka pana Kazanowskiego z Ossolińskim.... przeczuwam zaś jako i tu bez niewieściej interwencji się nie obeszło, interwencja zaś ta była po stronie pana Kazanowskiego i okazała się silniejszą, niżli znaczenie Ossolińskiego w sojuszu z królową....

Siciński się uśmiechnął.

— Wy to najlepiej wiedzieć musicie — dorzucił Radziejowski, patrząc z ukosa na Władysława — ale od was trudno słowo wyciągnąć.... milczycie nawet przedemną, a otwarcie rzekę, czynicie źle, bo ja w zamiar, mógłbym wam niejedno powiedzieć, coby wam oczywisty przyniosło pożytek....

— Ależ panie starosto — przerwał Siciński — nie widzę, cobym miał Waszej Miłości rzec, czegobycie nie wiedzieli w tej sprawie, która, że dawno przeminęła, żadnego też znaczenia mieć nie może....

— Mylicie się — wtrącił Radziejowski — albo też nie mówicie szczerze. Sprawa ta, na którą ja ze strony królowej patrzyłem, o tyle ważną jest i teraz, że pan Kazanowski wbrew zwyczajowi swemu, zerwał się wówczas do spraw publicznych, czego dawniej nie czynił. Widocznem było, iż działał pod wpływem, za instygacją przemożną.... a nie pomyłę się pewno, skoro rzekę, iż potężna influencja ta wychodziła od pięknej małżonki marszałka.... A skoro tak było wówczas, może się stać znowu, każdej chwili.... rzecz to więc jest zawsze ważna....

Radziejowski przerwał i bacznem rzucił okiem na Sicińskiego.

W ten sposób sprowadził on zrazu obojętną dyskusyę na pożądane tory: dotyczyła kwestyi stosunku Kazanowskiego z małżonką.

Siciński milczał długi moment, czując dobrze w mowie starosty uczynioną zasadzkę. Zastanawiał się on też nad tem, czy rzeczywiście częściową przynajmniej szczerością, nie należało zdobyć sobie przyjaźni Radziejowskiego i łaski sobie ofiarowanej. Zamykał się on dotychczas w wiernem milczeniu, a to mu żadnych nie przyniosło korzyści; rozum tedy nakazywał skarbić sobie zawczasu gdzie indziej protekcyę, zwłaszcza że p. Radziejowski rósł z każdym rokiem w znaczenie, a jakkolwiek z panem Kazanowskim w życzliwych, przynajmniej pozornie, pozostawał stosunkach, to główne poparcie miał u królowej i w przeciwnym marszałkowi obozie. Gdyby tedy Sicińskiemu udało się zaskarbić sobie łaskę zręcznego starosty, to posiadając już względy marszałka, których mógł być pewnym, uzyściwał stanowisko niezachwiane, poparcie z dwóch stron, tak że gdyby go jedna zawiodła, mógł się łacno na drugą przerzucić.

Ostatnie wahanie usunął Radziejowski, który przystąpiwszy doń i kładąc mu rękę na ramieniu:

— Mości Siciński — rzekł — wierzcie mi, źle czynicie, zamykając się przedemną

w tak nieufnym milczeniu. Ja was pytam o sprawy, które jak sami powiadacie, dalekie są i bez znaczenia. Dla mnie mają one o tyle wagę — a to wam z całą szczerością wyznaję — iż będąc ciągle zajęty u królewskiego dworu, potrzebuję znać wszystkie tajne sprężyny, które działającale niewidocznie. Dojść mogłbym tego i bez was.... a wy bezemnie wiele rzeczy nie dojdziecie, które wam dobrze jest wiedzieć. Powtarzam wam, jesteście na fałszywej drodze, która was przez czas tak długi do niczego nie doprowadziła a ja mogę wam podać sposoby rychłego wydżwignięcia się ze stanowiska, które bądź co bądź mizerkiem jest....

Siciński podniósł głowę, którą dotychczas w zamyśleniu trzymał pochyloną na piersi.

— Panie starosto — odparł — tajemnicja żadnych do zdradzenia nie mam a jeśli się waham z responsem na pytania wasze, to jeno dlatego, iż służąc panu Kazanowskiemu, nie chciałbym, aby przez usta moje rozszerzały się wieści, które jakkolwiek nic tajemnego w sobie nie mają, wszakże domowe, poufne są....

— Piękne bardzo sentymonta — wtrącił Radziejowski, uśmiechając się z lekkiemnyderstwem.

— Jeżeli to jednak — kończył Siciński — dla waszej jeno informacyi a pożytku służyć ma, to wdzięczen za uprzejmą skłonność mi okazywaną i ufny w dalsze wzgłydy Waszej Miłości, gotów jestem ową sprawę, o której pytacie wyjaśnić.

Pan starosta łomżyński z widocznem ukontentowaniem uścisnął za rękę Sicińskiego mówiąc:

— Rad jestem, jakoście się wreszcie poznali na intencyach moich, odwzajemnię się też zaraz, dając wam dobre i pozyteczne consilium. — Jeno z całą szczerością mówcie, jakim to potęgom uległ pan Kazanowski, iż pomimo niechęci swej do walki, i pomimo choroby, która go gnębi, porwał się z taką zaciętością przeciw panu Ossolińskiemu....

To rzekłszy usiadł naprzeciw Sicińskiego i z baczną uwagą przysłuchiwać się począł, gdy ten zwolna, każdy niemal wyraz przedtem w umyśle ważąc, tak prawił:

— Nie potrzebuję wam powiadać, jako to było w pierwszych latach panowania Króla Władysława, boć to lepiej odemnie wiecie. Pan Kazanowski pewny affektu królewskiego, obsypany bogactwy i zaszczytami, nie przypuszczał, aby jaka inna, ważniejsza od niego potęga u boku Króla wyrość miała. Sprawami publicznemi nie zajmował sięcale a jeno zu-

pełnie się oddał upiększeniu tego pałacu i rozrywaniu Króla, gdy się frasobliwym okazywał.

— Niektórzy mówią, jako te rozrywki nie bardzo były godziwe.... wtrącił od niechcenia Radziejowski.

— Puste gadania są! — odparł Siciński i ręką machnął.

— Zaraz na wstępie kłamie.... pomyślał starosta, on mi tu powie mało nie wiele, a najważniejsze schowa — ale ja już z niego i resztę wydobędę...

— Otóż — mówił dalej Władysław — pan Kazanowski całe uspokojony i pewny co do królewskiego affektu i swego znaczenia, kochający też Króla do zbytku, gotów każdego momentu życie i mienie dlań oddać — nie mięszał się całe do spraw publicznych lub dworskich. Było to dobrze i utrzymywało się bez zmiany, dopóki Król był sam, dopóki nie było królowej. Ale z Cecylią Renatą przybyły dwór cały, równocześnie zaś powyrastali tacy, którzy nie mogąc trafić do Króla, szli do jego małżonki.... Tą drogą poszedł i pan Ossoliński a mądrością swą i zdobytą sławą w zagranicznych poselstwach, stawał od razu jako potęga. Gdy po pierwszych tryumfach i uroczystościach a festynach, nadciągnęły kłopoty i troski, Król szukając rady, znalazł przy sobie

nie pana Kazanowskiego, lecz Ossolińskiego, którego mądrym słowom coraz bardziej ulegał... Wy to zresztą, mości starosto, lepiej wiecie odemnie, a ja powtarzam to dlatego jeno, aby przedstawić wam nieogłębność pana Kazanowskiego, który przez ten cały czas ani pomyślał, ani przeczuwał, iż influencja jego i znaczenie malały. Dawniej, w pierwszych czasach, w każdej niemal porze dnia, antykamera tego pałacu przepełnioną była proszącymi o słowo pana Kazanowskiego do Króla, które mniemano, iż wszechmocne jest... A pomiędzy tymi, którzy tu przychodzili z prośbami, byli nie rzadko ludzie znaczni rodem i dostojeństwy, senatorowie i rycerze znakomici. Naraz to wszystko ustąpiło, — cały ten tłum poszedł inną drogą, poszedł ku Ossolińskiemu i królowej... Pan Kazanowski, czem innem zajęty, możeby i tego był nie dostrzegł, a może też i rad był, że go owe nieustanne molestacye nie nudzą — ale ja, jako wierny sługa jego, ścierpieć tego nie mogłem i musiałem mu to odkryć. Na moje wszakże słowa zaśmiał się i ręką jeno skinał, a w kilka dni potem dał ucztę tak wspaniałą jak nigdy, na którą przybyli i Królestwo oboje i posłowie zagraniczni i wszyscy dygnitarze najwyżsi. Panu Kazanowskiemu zdało się, że zaćmił i olśnił wszystkich, a jam widział

i słyszał, iż jeno zazdrość a śmiech szyderczy obudzał...

— A co? — rzekł do mnie po tej ucztie wspaniałej — żali kto będzie teraz i podoła mierzyć się ze mną?...

Nie odrzekłem na to już nic, a widząc jako poprzednie moje słowa żadnego skutku nie miały, udałem się tam, gdziem się na pewno spodziewał znaleźć skuteczne poparcie. Malejące z dniem każdym znaczenie pana marszałka, było zarówne krzywdą dla niego, jak dla jego małżonki, jak i dla mnie, który wszystkie w nim położył nadzieję...

— Poszedłeś waść zatem do pani Kazanowskiej?... — zagadnął starosta.

— Poszedłem do niej — potwierdził Siciński — i wyznałem jej wszystko.

— Masz-że wacpan równe u niej jak i u małżonka jej zachowanie? — wtrącił niby od niechcenia starosta.

Siciński nieco się zawałał.

— Tego rzec nie mogę — odparł po chwili milczenia. — Łaskę pana marszałka posiadam zupełną... małżonka zaś jego była zawzdy dla mnie jak dla wszystkich zarówne obojętną, spoglądała tak na mnie, jakby mnie nie widziałacale...

— Znam ten wzrok... — mruknął z cicha Radziejowski i dodał głośno: — Musiała

wyszakże ci być wdzięczną, żeś z tem do niej przyszedł i okazałeś taki dla jej męża affekt?...

— Miałem ja zrazu nadzieję, jako tym czynem zdobędę sobie jej skłonność — alem się zawiódł... Wysłuchała mnie zimno i odprawiła grzecznem słowkiem, dając wszakże złośliwie do zrozumienia, jako niepotrzebnie się lękam, bo influencyi pana Kazanowskiego wystarczy jeszcze dla takich jak ja — chudo-pachołków...

Ostatnie wyrazy wymówił Siciński jakby z trudnością, innym zupełnie głosem; pomimo woli przejawił się w nim żal głęboki za doznanie wówczas a może i później doznawane upokorzenia.

Radziejowski przenikliwym wzrokiem spojrzał na mówiącego. Schwycił on w tym momencie ważną broń dla siebie i domyślił się, iż serce Sicińskiego kryć w sobie musiało głęboką ku pięknej marszałkowej nienawiść a z tego odkrycia postanowił korzystać. Drażniąc to uczucie, mógł dowiedzieć się od niego znacznie więcej, niż przyczekaniami lub prośbą.

Po chwili Siciński mówił dalej:

— Wszakże słowa moje nie pozostały tym razem bez skutku. Od tej pory, kilka razy słyszałem gwałtowne między małżonkami rozmowy...

— Słyszałeś waść? — podchwycił starosta. — A jakimże sposobem?...

Siciński poczerwieniał jak burak. Niestrożne słówko wymknęło mu się mimowoli i należało je teraz wyjaśnić.

— Ano — rzekł widocznie zmieszany — pałac ten ma dziwne w niektórych komnatach odgłosy i echo... Czasem słowo wymówione na dole, odbija się wyraźnie na górze... Był też krużganek jeden ponad komnatą sypialną...

Radziejowski słuchał z natężoną uwagą, ale w tem miejscu przerwał nagle:

— Powiedz mi, mości Siciński, — ludzie gadają, jako wspólna komnata sypialna jest jeno dla oka ludzkiego — w istocie zaś, wspólności nie było i niema...

Siciński się zaśmiał.

— Puste gadania!... — odparł — a kto to wiedzieć może?...

— On wie, ale kłamie... — pomyślał Radziejowski — i dorzucił głośno ze śmiechem:

— Mniemałem, iż skoro w tym pałacu echo gadają...

— Już zamilkły — spiesznie przerwał Siciński, — krużganek ów zamurowany został dawno, a ja wówczas jeno przypadkiem przechodząc w nocy, słyszałem...

— I cóż słyszałeś? — z ciekawością zagadnął starosta.

— Słyszałem, jako pani Kazanowska srogie czyniła mężowi wyrzuty, iż o swoje stanowisko u dworu nie dba a innym ubiegać się daje...

— A on co mówił?

— Tłumaczył się zrazu i perswadował a potem przyrzekł wszystko i jeszcze przepraszał...

— Już z tej rozmowy, którą dosłyszałeś — wtrącił znów starosta, — mógłś wacpan dorozumieć się, jaki jest i jaki był przedtem stosunek małżonków...

— Wyrazów dobrze słyszeć nie mogłem — odparł wymijająco Siciński, — to jeno wykombinować zdołałem, jako z jednej strony były wyrzuty, z drugiej przepraszania i obietnice. Jakoż zaraz nazajutrz pan Kazanowski rozpoczął działanie...

— Pominę dobrze ten moment — przerwał Radziejowski — a teraz mi się już wszystko wyjaśnia. Było to niezawodnie podówczas, gdy Zamoyski kanclerz koronny zmarł; pieczęć wielką otrzymał po nim podkanclerzy Gembicki, a do podkanclerstwa jedynym kandydatem, żarliwie przez królowę popieranym, zdawał się Ossoliński, gdy nagle pan Kazanowski z pretensją do mniejszej

pieczęci wystąpił. U dworu nadziwować się podówczas nie można, że człek, który od spraw publicznych zawždy dotąd stronił, z taką zaciętością ubiega się o podkanclerstwo, które już nie jeno godnością ale i urzędem jest, zmuszającym do działania... A teraz już wszystko rozumiem — działa się to za interwencją pani Kazanowskiej...

— Odtąd nie było tu ani dnia, ani nocy spokoju — mówił dalej Siciński, — Król pragnął szczerze uczynić zadość woli ulubieńca, przyjeżdżał tu sam, a widząc jako ze strony królowej nacisk jest wielki, nieledwie z płaczem pana Kazanowskiego prosił, aby od pretensji odstąpił...

— Ale on nie chciał... — wtrącił starosta.

— Nie mógł odstąpić! — zawała Siciński. — Jeżeli nacisk ze strony królowej i Ossolińskiego na Króla był wielki, to tu stokroć większy. Po nocach i dniach całych, jęki i prośby i groźby...

— A to wam wszystko ów gadatliwy krużganek powiedział! — zaśmiał się starosta.

— Mniejsza już o to! — z pewną niechęcią w głosie odparł Siciński, zły, iż nieostrożnym słowkiem tajemnicę owego krużganku zdądził, — mniejsza już o to — powtórzył, — dość,

że pan Kazanowski do końca się upierał i jako wiecie, sprawę przegrał...

— To dopiero sądny dzień musiał być tutaj — wtrącił Radziejowski.

Siciński ręką machnął.

— Długo by to rozpowiadać przeszło. Jednym słowem, zmieniło się tu nagle wszystko. Pan Kazanowski zaprzysiągł Ossolińskiemu zemstę, i czekał jeno okazyi; mnie zaś kazano pilnie śledzić co się na dworze królowej dzieje, kogo lubi, a do kogo niechęć uzuwa...

— Wtedy to zapewne — przerwał pan starosta ze śmiechem — zacząłeś wacpan cholewki smalić do jednej z ulubionych panien dworskich królowej, panny Eckerin...

Siciński także się zaśmiał.

— Niemkini owa myślała, że to na prawdę jest i omal, że mię nie zmusiła, abym się z nią ożenił... Owo wszakże gruchanie naprowadziło mię na ślad różnych ciekawych rzeczy.

— Wszyscy wówczas mówili — przerwał Radziejowski — jako bardzo sztucznie wacpan poczynałeś sobie w tej sprawie i że to w skutek owego z panną Eckerin gruchania, wynikła sprawa Denhoffa, która omal nie stała się powodem rozłączenia królewskich małżonków i wyjazdu królowej... Już to wacpan

w służbie dworskiej wyćwiczonym się okazałeś jak mało...

Pochlebstwo to przyjemnie snadż połechtało dumę Sicińskiego, który nie tając żadnych już szczegółów, opowiadać począł, jako on związałszy stosunki miłosne z ową panną dworską, przez nią rozmaite tajemne sprawy wybadał, a spenetrowawszy, jako królowa znosić nie może wojewody sieradzkiego Denhoffa, i jako Ossoliński jest z nim w otwartej nieprzyjaźni, podsunął Kazanowskiemu myśl, aby wypróbował influencyi swojej i na opróżnioną po śmierci wojewody łęczyckiego Przyrębskiego, godność marszałka na dworze królowej, owego Denhoffa promował. Byłaby to dotkliwa zemsta za pochwyccone podkanclerstwo a zarazem upokorzenie wielkie.

— Ale jakoż się to stało — ożwał się znów Radziejowski, — że pan Kazanowski, chociaż ciężko wówczas chory, co i na obliczu jego wyraźnie się malowało, nie bacząc na siebie, aż na Litwę z Królem i królową jechając się porwał, aby tę Denhoffowską sprawę do dobrego dla siebie doprowadzić skutku? Musiały tu być jeszcze inne powody niż chęć zemsty i upokorzenia p. Ossolińskiego, musiały być inne, osobiste przyczyny...

— Rzecz to jasna — odparł Siciński. — Aby złamać Ossolińskiego przewagę, należało

pozyskać sobie sojusznika na dworze królowej, takim zaś był Denhoff, jak wiecie, dworak wielce sprawny. Pan Kazanowski w przymierzu z Denhoffem i kanclerzem wielkim Gembickim, mógł już się mierzyć szczęśliwie na przyszłość z opozycją królowej i Ossolińskiego stronnictwem.

— Nie byłem ja wówczas na Litwie — wtrącił starosta — i jeno tak mi rozpowiadano, jako wy, mości Siciński, z panną Eckerin gruchając, wszystkie tajniki dworu królowej badaliście zręcznie, zarazem zaś tej rozczulonej Niemkini podawaliście to, co mogło przeciw Królowi rozjastrzyć jeszcze bardziej królowę i ostateczny ich rozdział sprowadzić. I nie tajcie się daremno — dodał, patrząc быстро w oczy Sicińskiemu, — to było waszym założeniem, a działałyście zręcznie...

Siciński taić się nie myślał, owszem jakby pochlubić się chciał zręcznością w tej sprawie okazaną, rzekł:

— Ukrywać nie mam powodu... gdyby królowa nie była uległa woli królewskiej i Denhoffowi dworu nie oddała, byłby rozdział nastąpił. Przecież Król już na nią patrzyć nie chciał ani z nią mówić a wołał jeno w gniewie: — Jam jest głowa i posłuszeństwa wymagam! — Królowa zaś płacząca, nieledwie omdlała i chora, odpowiadała zrazu dumnie —

„Królewską żoną jestem nie służebnicą, cesarskiego urodzenia a nie niewolnicą żadną, marszałkowski urząd domu mego jest mój własny i wrogowi memu go nie oddam!... skoro jest wola królewską, niech Denhoff laskę nosi przedemną, ale go uznać nie mogę za przełożonego nad fraucymerem moim”... Długoby to rozpowiadać co się wówczas działo u dworu, łzy i gniewy, narzekania i groźby... wszyscy byli jak w gorączce...

— A pan Kazanowski?

— Był wszędzie najczynniejszy; odżył i odmłodniał w tej walce; nigdy go nie widział tak zdrowym jak podówczas... zdało się, iż mu sił w dwójnastów przybyło...

— Wszakże — wtrącił starosta — po odniesionem zwycięstwie, gdy królowa woli królewskiej uległa i rządy dworu swego Denhoffowi zleciła, Kazanowski powróciwszy tutaj zachorzał ciężko i odtąd jeszcze więcej ponurem się stał. Nie ucieszyło go to zwycięstwo...

Siciński milczał.

— Daremne wasze milczenie... — rzekł Radziejowski powstając i kładąc Władysławowi rękę na ramieniu. — Piękna to rzecz jest dochowanie tajemnic, ale tajemnica ta, którą wy tak zazdrośnie ukrywacie, nadto widoczna jest wszystkim, którzy jeno patrzeć umieją. Patrzę ja i obserwuję od dawnego czasu

panią Kazanowską i rozumiem zkad pochodzi owa jej niewieścia wspaniałość, w połączeniu z urokiem dziewczym, który dokoła rossiewa. Równie pięknych niewiast jest może wiele, ale żadna tego uroku nie ma... Tajemnica owa, którą chowacie, mówi sama o sobie z jej ust, których snadz pocałunek nawet małżonka nigdy nie dotknął, z jej oczu, które rzucają iskry, ale rzekłbym, do marzeń budzących się czasem w duszy, nie zaś do życia, które ją otacza. Tajemnica ta widna w jej postawie sztywnej nieco, nienawyklej giąć się w ucisku, w jej słowach często hardych, aby pokryć nieśmiałość i lęk, w rumieńcach, które czasem jej oblicze cudowne oblewają szkarłatem i w tym smutku niepocieszonym, który się dumą okrywa, aby rozeznanym być nie mógł. Inaczej by ta cudowna jejmość patrzyła, gdyby...

Strzymał się pan starosta, czując, jako w mowie swej o Halszce mimowolnie się unosi i zdradza niebacznie sentyment ku tej niewieście, która urodą swą i niezwalczoną obojętnością pociągała go namiętnie. Zamilkł i chwilę czekał odpowiedzi, czekał zaprzeczenia, — które nie przyszło.

Podniósł głowę, spojrzał na Sicińskiego i aż się załał widząc twarz jego dziwnie zmienioną i zbladłą. Władysław siedział przy

stole a oparłszy głowę na obu rękach, patrzył przed siebie sztywnie, nieruchomo, jakby widziadło przed sobą obaczył. Z wielkiego wzruszenia usta mu drżały a oczy ciskały niezwykłe blaski. Piękne, wyraziste rysy jego twarzy, pokryły się chmurą ponurego zamyszenia i jakby bolesci...

Radziejowski żachnął się w zdumieniu.

— Czyżby i on także nie zdołał się oprzeć urokowi tej niewiasty?... Tem lepiej — dodał w myśli po chwili, — bo musi być jej wrogiem, a moim sprzymierzeńcem.

I znów zbliżając się do Władysława, położył mu przyjaźnie rękę na ramieniu.

— Nie zaprzeczacie? — zagadnął z cicha.

Siciński jeszcze milczał moment, ale wnet wybuchnął. Powstał i uderzając w stół pięścią:

— Nie pytajcie mnie więcej! — zawałał — nie pytajcie mnie!... Czyliż nie widzicie sami, że to jest niewiasta, która dokoła siebie truciznę, jad śmiertelny rozszerza?... Małżonka swego, który ostatnią kroplę krwi oddałby dla niej, zabija bez litości... z uśmiechem szyderstwa na uściech patrzy bez wzruszenia na jego męczarnie, na jego łzy i rozpacz... Czołgać się tak będzie u stóp jej do śmierci!... Toż jeśli duszę waszą salwować chcecie, to się odwróćcie co rychlej i uciekajcie, dopóki

nie zczaruje was piekielnym swym wzrokiem...

Zamilkł Siciński, przerażony sam swoim zapałem, który mu tyle nierozważnych słów wypowiedzieć kazał. Zamilkł i usiadł, odwracając się nieco od Radziejowskiego, aby ukryć przed nim twarz swą, która płonęła.

Pan starosta łomżyński uśmiechał się zaś swobodnie. Celu swego dopiął i wiedział wszystko niemal o co mu chodziło. Szczegółów mógł się dowiedzieć później, dziś zaś nalegać nie wypadało, a zwłaszcza nie należało pokazać po sobie doznanych wrażeń i zdradzić myśli, wywołanych niezwykłem Sicińskiego wzruszeniem...

— Dajmy przeto pokój pani Kazanowskiej, bo widzę jako żal macie do niej głęboki... — rzekł od niechcenia i zręcznie odwracając rozmowę, dodał:

— Otóż powiedźcie mi przynajmniej, jakieście się potem wyplątali sami z tych intryg z panną Eckerin, boć to podobno i obietnica małżeństwa z waszej strony była...

Siciński odetchnął swobodniej, widząc jako rozmowa inny obrót bierze i natychmiast już uspokojony, odparł:

— Ano, małżeństwo obiecywać musiałem, bo inaczej nie byłbym nic z owej Niemkin wydobył, która królowę jak matkę kochała....

Ale przed przyszłym mażonkiem swym mówiła otwarcie, co mi wielce w tych sprawach Denhoffowskich służyło. Z mojej strony mówiłem jej to, co wiedziałem, iż królowej odniesie; donosiłem jej, jako Król różne niewierności popełnia, jako z panem Kazanowskim bachanalie urządżają, co królowę jeszcze bardziej w zaciętości umacniało. Król zaś widząc ten opór, coraz więcej zniechęcał się do doradców jej a zwłaszcza do Ossolińskiego, co właśnie naszym było celem.

— Bardzo mądrze to wacpan urządziłeś — wtrącił Radziejowski — i zaiste wart jesteś lepszego losu, innego stanowiska, niż to, w tym głuchym pałacu...

— Otóż to samo — ciągnął dalej Siciński, wdzięcznie przyjawszy pochlebne słowa łomżyńskiego starosty — posłużyło mi do wypłatania się z owego z Niemkinią romansu. Żenić się z nią nie mogłem, chociaż królowa dawała jej bogatą oprawę i łaskę swoją w dodatku, ale panna Eckerin była szpetna jak słońca noc jesienna, a także jesienne lata miała, bo znacznie starsza była odemnie. Gdy więc wiktorya nasza była zupełna a Denhoff przyjęty został przez królowę, zaczeliśmy ją godzić z Królem, do czego zacięta Niemkini dopuścić nie chciała, ujmując się za swoją panią a wyrzekając głośno przeciw Królowi, jako nie-

wiernym jest i niedobrym małżonkiem.... Na-  
ówczas ja ująć się musiałem za dotkniętym  
Majestatem a to tak skutecznie, że panna  
Eckerin na żądanie Króla, choć z wielkim  
zmartwieniem królowej, dwór opuścić mu-  
siała, wracając ku ojcom swoim płacząca...

Pan Radziejowski śmiał się tak, że mu  
się aż peruka przechyliła na głowie.

— Doskonale! — wołał. — A do waspana  
nie rościła pretensyi?...

— Chciała, abym z nią jechał.... Ale ja  
wówczas godnie odrzekłem: jako nieprzyja-  
ciółki mego Pana i Króla poślubić nie mogę —  
czem zyskałem sobie pochwałę Majestatu...

— Gracz jesteś, mości Siciński! — prze-  
rwał z zachwytem pan starosta. — Toż widząc  
experyencję twą i sprawność extraordyna-  
ryjną, jeszcze mocniej się dziwuję, że tak  
marnie wasć tu siedzisz...

— A co mam czynić? — z rezygnacją  
rzekł Władysław.

— Co czynić? — powtórzył Radziejowski. —  
Otóż ja, wdzięcznen za zaufanie, którego do-  
wody daliście mi dzisiaj, odpłacę wam równą  
życzliwością a powiem otwarcie, cobym na  
waszem miejscu przedsięwziął.

— Mówcie, z wdzięcznością słuchać bę-  
dę... — przerwał Siciński.

— Żeście tu lata długie spędzili — ciągnął dalej starosta, — to wam szkody nie przyniesie. Daliście się poznać; wie o was i Król i nie jeden możliwy senator, pan Kazanowski zawsze popierać was będzie, znajdują się też i inni życzliwi, — Denhoff n. p., który sprawności waszej był świadkiem... Ale mając to już zapewnione, pora odejść wam ztąd co rychlej....

Siciński żachnął się niecierpliwie na te słowa, ale nie rzekł nic, jeno wargi przygryzły.

Radziejowski mówił dalej:

— Na waszem miejscu, powróciłbym teraz na Litwę, do Upity, a tam pozyskiwał skłonność szlachty — wrócił zaś tutaj posłem...

Siciński z lekceważeniem ręką skinał.

— A to mi na co? — wtrącił. — Dużo zachodu a mała pociecha, — co taki jeden poseł znaczy w tłumie?...

— Co znaczy poseł? — przerwał Radziejowski. — Znać po was, żeście przy panu Kazanowskim tyle lat strawili; w dworskich zabiegach wyćwiczyliście się znakomicie, ale o służbie publicznej pojęcia nie macie.... Co poseł znaczy?... Znaczy więcej niż Król, bo mu wszystkiego odmówić może, znaczy więcej niż sejm cały, bo jednym słowem może go zwalić....

— A przecież to się nigdy nie dzieje... — zauważył Siciński.

— Nie dzieje się jeszcze, ale może się dziać, to zaś samo przekonanie u tego, który posłem jest, znaczy wiele.... Zrywają się i teraz sejmy za sprawą partyj różnych, ale to samo i jeden sprawić by mógł, zaprotestowawszy....

— Zarąbaliby go inni, zanimby protestacyję wyjąkał.... wtrącił Władysław.

— Zarąbaliby go, — odparł starosta — gdyby głupi był a na oślep szedł, poparcia nie mając. Ponieśliby zaś go na rękach, albo się przełekli, gdyby potęgę jaką po za nim czuli. Ale najlepiej to wam wyjaśnię, przytaczając exemplum z własnej experyencyi mojej, a exemplum to pokaże wam oraz, jako bez niewiast i protekcyi ich obejść się nie można. Wy się chlubicie łaskami p. marszałka, a ja wam powiem, że z niemi nie daleko dojdziecie, jeżeli n. p. ona, Kazanowska, będzie przeciw wam.

Siciński na tę wzmiankę o Halszce znowu spochmurniał, ale Radziejowski, nie zważając na to, mówił dalej:

— Wiesz wacpan, jako posiadałem łaski zmarłej królowej Cecylii Renaty. Gdyby nie to, zarąbanoby mię dawno, jak wy powiadacie. A oto nie uczyniono mi nic. Słyszeliście może, jako szlachcic pewien w sejmie oskarżył mię, iżem córkę jego przemocą nie-

wolił.... Sejm cały podniósł okrutną wrzawę i niezrobili mi nic.... zostałem krajczym królowej i starostwo otrzymałem łomżyńskie. Xiądz biskup kujawski, Gniewosz, pisał list do mnie i rozgłosił go, zarzucając, iż drugą małżonkę moją, a pokrewną mu, Tarnowską de domo, wdowę po Wiśniowieckim xiążeciu, zamorzyłem głodem, na co znów cała owa familia można powstała na mnie, krzycząc.... Byliby mię może zgnieli, ano nie uczynili nic.... zostałem się na miejscu. Ale oto zmarła królowa Cecylia, mogłem zaś mniemać, jako druga małżonka Króla Władysława, Marya Gonzaga, nie będzie micale przychylną, bom ja tam zrazu przeciw temu związkowi z francuzką gardłowałem. — Byłem też nieco w aprehensi i przemyślałem nad środkami pozyskania sobie łaski nowej monarchini. Okazyę do tego dał mi sejm, na którym kwestya wojny tureckiej rozpaliała umysły. Król wojny chciał, poczynił już przygotowania i wojna niemal deklarowana była; szlachta oburzona na tę samowolę królewską uchwałała jedną konstytucję po drugiej przeciw Królowi i zamierzonej wojnie. Poruszoną też była na tym sejmie sprawą oprawy królowej, ale szlachta na Majestat rozsierdzona, na nic przyzwolić nie chciała. Królowa łamała ręce wyrzekając, iż w prawdziwem ubóstwie a nędzy zostanie.

Wtedy ja poszedłem do niej i rzekłem: — Uczynię wszystko tak, aby oprawa zabezpieczona była...! Królowa ze zdumieniem a nie wiara popatrzyła na mnie. — Jakżeż to uczynisz, pytała, gdy sejm cały przeciwko mnie? — A ja jej wówczas wydemonstrowałem, jako jest u nas takie prawo, które zwykle przez szlachtę przeciw Królowi i jego woli stosowane jest, a które ja teraz w obronie królowej przeciw szlachcie obróczę. I uczyniłem tak. Na ostatniej sesji sejmowej rzekłem: albo przyzwolicie oprawę królowej, albo ja krzyknę veto! i wszystkie wasze konstytucje przeciwwojenne w niwec pójdą.... Krzyk się zrobił okrutny.... ale krzyk nie zabija, więc ja się jeno śmiałem w duchu, patrząc, jako struchlała szlachta radziła co ma czynić: nie dać bowiem królowej oprawy, to znaczyło pozwolić na wojnę Królowi, bo ja sejm zerwać byłem gotów. Namysły trwały nie długo: oprawę królowej dano i sejm doszedł.... a ja do królowej pobiegłem zwiastować jej dobrą nowinę, odtąd zaś mam łaskę jej zapewnioną.... Król się na mnie nieco schmurzył, bo czynił zabiegi, abym sejm ten koniecznie zerwał, wszakże mi jeno o królowę chodziło a to osiągnąwszy i Króla się nie bałem, bom jego małżonkę za sobą miał. — A tak wacpan z tego exemplum widzisz, jaka jest posła po-

tęga, zarazem zaś jako główna rzecz jest, aby za tobą niewieście było słowo i opieka.... Słuchaj waść mego consilium.... jedź ztąd co rychlej, bo tu już nic więcej nie wysiedzisz, a wracaj posłem.... Wówczas zaś będziesz patrzał a zręcznie badał, jako masz swoim poselskim głosem kierować....

To mówiąc, pożegnał już pan Radziejowski Sicińskiego, który mocno zamyślony, dziękował mu za rady życzliwe z roztargnieniem a po jego wyjściu, sam zostawszy, jał chodzić po komnacie z pochyloną głową na piersi, snadź wszystko co mówione było, rozważając. A musiały to być cale nie ucieszne myśli, bo twarz jego mieniła się jakby pod wpływem silnego wzruszenia. Im dłużej rozmyślał, tem to wzruszenie było widoczniej szem, bo rozważanie nie mogło rozproszyć troski, która gnębiła duszę, ani myśli, które tłumem cisnęły się do głowy. Coraz szybciej chodził po komnacie, jakby go owe myśli trapiące gnały, aż nagle przystał i podniósłszy głowę, roziskrzonym gorączkowo wzrokiem, spojrzał przed siebie.

— Ma słuszność.... — szepnął — należy mi się ztąd oderwać.... cóż bowiem pomoże ten sen na jowie, który trwa lat tyle?.... Przeominie młodość cała, wszystkie plany i nadzieje obróczą się w niwec.... wszystko przepadnie

o czem jeno marzyłem.... przez nią! przez tę kobietę!...

Stalowe błyski, jak ostrze miecza, którychby kto igał przy ognia płomieniach, strzeliliły mu z oczu; zaciśnięte pięście przyłożył do czoła i znów zaczął biegać po komnacie jak szalony.

Jak rój pszczół z zamkniętego ula nagle wypuszczony, rozlatuje się z szumem i brzękiem w powietrzu, tak z głowy Sicińskiego w tym momencie samotności, gdy się przed nikim krępować nie potrzebował, rozpierzchały się bezładne myśli, wirując wokoło niego jak zmory. Czuł, że nadeszła chwila postanowienia o całej przyszłości a teraźniejszość niby obręcz żelazna opasywała go dokoła, krępując wolę. I stawała mu znów przed oczami cała przeszłość przebyta, wszystkie poniesione ofiary, wszystkie walki z sumieniem zwycięzkie, wszystkie usiłowania, aby się wydzwignąć. Dawniej był znacznie silniejszym. W samych poczatkach umiał przecie, pomimo głosu serea, które się wzdrygało, obrócić sprawę Wodźbuna na własną korzyść; jej ostatecznie zawdzięczał, że osiągnął to, czego wówczas pragnął: poparcie xiążęcia Radziwiłła i stanowisko na Kazanowskiego dworze. Następnie umiał Radziwiłłowi służyć, donosząc mu to, co się jeno w stolicy w sprawach dyssydenekich działo i potrafił

zarazem zaskarbić sobie Kazanowskiego łaski; potrafił w inttrygach na królewskim dworze okazać się zręcznym, zimnym i rozważnym. Ale dotychczas był to jeno nagromadzony materyał, z którego obecnie należało korzystać i właśnie teraz brakowało mu siły.... Jakaś potęga nieprzemożona trzymała go na miejscu, gdzie już nic dla siebie uzyskać nie mógł lecz owszem wiele, jeśli nie wszystko, stracić. Los sam wskazywał mu drogę. Nie tylko Radziejowski radził mu, aby wracał na Litwę, to samo od lat już kilku powtarzał mu rodzin w listach, które coraz bardziej stawały się naglące.

Z ojcem swym, od owego zajścia w Troniakach i śmierci matczynej, Władysław nie widywał się prawie; raz jeden jeszcze pan marszałek upitski przybył do Warszawy w dyssydenckich sprawach i wówczas wydał się Władysławowi więcej niż kiedykolwiek ponurym i bardzo zmienionym. Odtąd lat kilka minęło a rodzin snadź zatęsknił za ukochanym synem, bo go coraz usilniej do siebie wzywał. Kazimierz także pisał raz, donosząc jako rodzin chory jest i ciąglej potrzebuje opieki — ale na te wszystkie wezwania Władysław pozostawał głuchym. Był wówczas czem innem zajęty. Użyty przez Kazanowskiego do inttryg przeciw królowej i Ossolińskiemu,

oddał się temu z takim zapałem, że o niczem innem myśleć nawet nie mógł. Ale teraz nie trzymało go tu nic zgoła. Kazanowski był coraz bardziej chory; długiego żywota obiecywać mu nie można było; toż sama przezorność nakazywała szukać obecnie innego stanowiska, pójść drogą przez Kazanowskiego wskazaną a korzystać z ostatnich może lat życia marszałka, aby wpływów jego marnie nie stracić i dla siebie wziąć z nich pożytek.

— Trzeba się ztąd oderwać.... powtarzał szeptem.... trzeba koniecznie!...

I jak niegdyś w Birżach przed wyjazdem do stolicy, tak samo teraz, gdy po przebyciu służby dworskiej, zamierzał napowrót powracać, stanęły mu w myśli lata minione.

Ille on tu walk przebył, ile poświęcił, ile przecierpał, dławiąc skargę w duszy, nie dając nikomu przystępu do tajników myśli!.... Nieraz ogień młodości bujnej, przepalał mu serce, nieraz gdy towarzysze jego uciekali z chmurnego pałacu i rozbiegali się po mieście szukać wesołej hulanki, zazdrość porywała go okrutna, że chciał biedz za nimi a szaleństwem długo tłumionem przewyższyć ich swawolę.... Ale burzę tę gnębił przemocą, bo czuł, że raz puściwszy jej wodze, jużby jej potem opanować nie zdołał. Zazdrościł tym, którzy jedno i drugie, zabawę i pilność w służbie

razem pogodzić umieli. On zaś czuł, że statecznym mógl być jeno dopóty, dopóki nim był ciągle, nieodmiennie, że gdyby raz pozwolił sobie na młodzieńczą swawolę, jużby w niej potem granic nie znał, że zatonąłby w niej tak, jak teraz oddawał się bez wytchnienia na usługi pana.

Lata całe zbiegały mu smutno, ponuro, jak w klasztorze — a jednak zbiegły rychło.... jak sen. Wszak to tak zda się niedawno, gdy on rozpoczynając swą służbę, patrzał chciwemi oczyma na wspaniałość uczty weselnej w Wilnie i pożerał wzrokiem zachwyconym piękną, nowozaślubioną Kazanowskiego małżonkę. To zda się był wczora ten wieczór piękny i ciepły, pełen woni i uroków, gdy Halszka stojąc z królewicem na galerii pałacu, rozmawiała z cicha a on ukryty za oknem słyszał z ust jej, wybiegające jakby mimowoli, namiętne słowa: Pomnieć będę do śmierci!.... To zda się wczora jeszcze on snuł się oszołomiony tym widokiem, po przedmieściach wileńskich, czując, że echo tych słów pozostanie mu w duszy na zawsze. I tyle lat od tego czasu minęło a on je słyszy jeszcze i widzi ciągle przed sobą twarz Halszki rozpromienioną takim wyrazem, jakiego nikt chyba więcej i on nigdy później nie widział. Przebiegały potem w oczach jego przez to cudowne oblicze

rozmaite uczucia: gniewu, oburzenia, żalu, tępknaty, rozpaczły nawet, ale takiego wyrazu twarz ta nie miała odtąd nigdy.... Inni szaleli na widok jej piękności, chociaż nie widzieli twarzy jej nigdy inną, jeno uśmiechniętą z przy-musem, lub szyderską a najczęściej obojętną i zimną — on jeden, oprócz królewica, pamiętał ją rozpromienioną zachwyceniem aniel-skiem, więc nie dziw, że tego obrazu nic już zagładzić w duszy nie mogło, nawet upokorzenia tysiąckroć od Halszki doznane, nawet jej obojętność i więcej niż obojętność, bo wi-docznie okazywana pogarda.

Usta Sicińskiego skrzywiły się szyderezym uśmiechem.

— Ja jej nienawidzę! — szepnął — nie-nawidzę tak głęboko i tak bezlitośnie, żebym ją zamordował z rozkoszą i pastwił się nad nią, ale nikomu dotknąć bym jej nie dał; że przez zemstę za tyle lat pogardy, zbez-cześciłbym ją sam, ale za cześć jej gdyby przez innych szarpańą była, ostatnią kroplę krwi bym oddał!.... Obecność jej jest dla mnie męczarnią, a oderwać się od niej nie mogę....

Zmordowany usiadł przy stole i oparł się obu rękami a myśl jego znów pobiegła ku pierwszym chwilom pobytu w tym pałacu, dziwne mu przedstawiając obrazy.

Było to wkrótce po powrocie obojga Kazanowskich z Litwy do Warszawy, kiedy Halszka na przyjęcie swoje w nowo urządżonym pałacu, znalazła przepych iście monarszy i niezliczone skarby. Ale ona przechodziła obok tych cudów tak obojętna i milcząca, jakby jej myśl i dusza gdzieindziej zostały a tak była smutna i blada, jakby srogiem przygnieciona nieszczęściem. Kazanowski nie-spokojnem okiem błądził za nią ustawicznie a zbliżał się do niej i przemawiał tak nieśmiało, jakby ja za obecność swą przepraszać chciał i bał się jakiemkolwiek urazić słowem. Władysław nie mając jeszcze wówczas przy-stępłu bliższego do pana, który dla wszystkich dworzan jednakowo był uprzejmym, ale też jednak od wszystkich dumnie oddalonym, spostrzegł to jeno ukradkiem. Lecz domyśla-jąc się co w sercu Halszki się działo, z po-chwyconego wątku rozmowy z królewicem, śledził pilnie każdy krok jej i poruszenie, w nadziei, iż przedzej czy później, stanie się panem tajemnicy, którą na swoją korzyść bę-dzie mógł obrócić. Z daleka tedy ale pilnie przypatrywał się wszystkiemu. Widział też Halszkę często stojącą w oknie lub na wielkiej galeryi, pięknemi ozdobionej kolumnami, do której wspaniałe kryształowe podwoje z jej komnaty wiodły; widział ją tam nieraz sto-

jąć i teskнем okiem sięgającą w dal, a raz dostrzegł, jak z oczu jej biegły cicho, bez łkania, strumionie łez. Serce ścisnęło mu się wtedy rzeźnom współczuciem.

Po nad tem oknem i komnatą Halszki, był krużganek nie wielki i rodzaj altany bardzo misternej, pełnej roślin i krzewów najrzadszych. Z tamtaid Władysław przez nikogo nie dostrzeżony, mógł widzieć wychylającą się z okna postać Halszki, tam też codziennie zbiegał i patrzał.

A nie tylko patrzał lecz i słyszał, bo do tej altany dziwnym sposobem dochodziły echa tak wyraźne, że niemal każde słowo rozmowy, prowadzonej w Halszki komnacie, ze swej kryjówki pochwycić mógł. Przekonał się o tem jednego wieczora, gdy do późna w tej altanie siedząc ukryty, obudzony naraz został słowami Halszki, wypowiadanemi głosem podniesionym i bardzo stanowczym.

„Zawodu nie macie, — mówił ten głos — bom uprzedzała i nie taiłam wcale, że serca mego nie posiędziesz, chociaż żoną swoją przed ludźmimię nazwiesz....

Odpowiedź była cicha, niedosłyszalna, a potem znów mówiła Halszka, ale głosem także już bardziej stłumionym, proszącym; uszu Sicińskiego dochodziły jeno urywane wyrazy:

— Przez litość.... miejcie litość!.... będę wierna, przysięgam! ale nie wymagajcie ofiary nad siły.... znienawidziłabym i siebie i was....

Serce Sicińskiego było tak gwałtownie i głośno w piersi, że nie dozwalało mu słyszeć tej mowy, która szeptem ponurym dochodziła do niego. Obiema rękami cisnął kłaczące serce, ale snadż teraz mówił pan Kazanowski, bo jeno szemranie rzewne, niby jęk daleki, przynosiło echo.

Rozpalone czoło do zimnego przyłożywszy muru, Siciński drżący od gwałtownego wzruszenia, stał, nie mogąc się ruszyć, ale nie słyszał już nic, jeno od czasu do czasu jękliwe szemranie pana Kazanowskiego, a potem energiczny wykrzyknik Halszki:

— Nie! nigdy!....

Równocześnie otwarły się kryształowe podwoje na galeryę wiodące i Siciński ujrzał wychodzącą Halszkę w białej sukni powiewnej, a za nią pana Kazanowskiego, który mówił ciągle, Halszka zaś odpowiadała mu z ożywieнием wielkim. Ale tu już słów Władysław nie słyszał — jeno niewyraźne dźwięki dochodziły jego uszu.

Za to widzieć mógł dobrze. Widział, jak Halszka, oparłszy się na balustradzie galerii, stała długi moment pochylona nieco, patrząc w przestrzeń, jakby słów małżonka

nie słuchała wcale. Przed jej okiem roztačzał się widok na wstępę Wisły, połyskującą w świetle gwiaździstej, pogodnej nocy; na pola dalekie, od których lekki wietrzyk przynosił woń ziół i kwiatów; na małe dworki przedmieścia, migające światełkami swych okien, niby gwiazdami rozsianymi po ziemi, wśród bujnej zieleni ogrodów. Powietrze było czyste, wonne, a po dniu upalnym, przepelniętym jeszcze gorącością zgasłych niedawno promieni słonecznych, rozpraszaną zwolna łagodnym tchnieniem wietrzyka. U podnóża galeryi, roztačzał się ogród pełen najrzadszych roślin, drzew wspaniałych i kwiatów, wśród których snuły się i przelatywały błękitnawemi iskrami, świecące robaczki, otoczone mgłą promienną....

Już teraz nawet dźwięki rozmowy Kazanowskich nie dochodziły uszu Sicińskiego. Widocznie milczeli oboje: ona zapatrzona w przestrzeń, on dalej nieco stojący, ze wzrokiem utkwionym w jej cudowne oblicze.... Nagle, pan Kazanowski roztworzył ramiona i parę kroków postąpił ku Halszce, jakby ją objąć chciał.... Ale ona porwała się natychmiast, jeszcze dalej się usunęła i oparta o kolumnę, wyprostowała się dumnie, ręce skrzyżowawszy na piersiach. Włosy jej ciemne, bujne, rozplotły się w nagłem poruszeniu

i spadając na ramiona jak płaszczem ja okryły.

On szedł ku niej z wyciągniętymi ramiony.... Lecz w tem zachwiał się tak, jakby się pod nim ziemia rozwarła; rozpostartymi rękami chwycił się powietrza, snadż oparcia szukając i z nieludzkim jękiem, który dalekiem echem odbił się w powietrzu, padł całym ciężarem na marmurową posadzkę galeryi....

Jęk ten zagłuszył krzyk Halszki i jej wołanie o pomoc. W tej stronie pałacu nie było o tej porze nikogo.... Jeden Siciński widział i słyszał wszystko a nie bacząc już na nic biegł na ratunek.... Biegł wszakże od strony ogrodu, aby jakimkolwiek pozorem okryć niespodziewaną swą obecność.... Ujrzawszy go Halszka, przywołała go sama, on też wszedłszy napowrót do pałacu i przebywszy pędem szereg pustych korytarzy i komnat, znalazł się w jednym momencie obok niej, nad nieszczęśliwym Kazanowskim, który nieprzytomny, z wykrzywionem dziwnie i zsiniałem obliczem, tarzał się u stóp małżonki w niewysłowionych męczarniach.

Halszka pomieszana, blada, z załamanemi rozpaczliwie rękami, z przerażeniem i wstrem odwracała głowę od tego widoku.

— Na miłość bożą! zawałała ku Sicińskiemu — ratuj waść, podnieś go.... wyprowadź!...

Nie mówiąc nic, Władysław w silne ramiona schwycił Kazanowskiego i uniósł go z trudem z ziemi.... Ale w tymże momencie chory przychodzić do siebie poczynał.... drżącemi rękami schwycił się oburącz balustrady, otworzył oczy i zamglonem okiem spojrzał na Halszkę. Ona wciąż odwrócona stała, patrząc w inną stronę. Kazanowski dyszał gwałtownie; oddech chrypliwy, ciężki, piersi mu rozrywały, drżały teraz jak w zimnicy na całym ciele a wzrok sztywny utkwił w małżonkę.

— Wyprowadź go waść! wyprowadź! szeptała Halszka, ręką niecierpliwie rzucającą.

Pierś Kazanowskiego podniosła się łykiem gwałtownem, które rozpaczliwym jękiem wydobyło się z krtani i wnet urwało, stłumione. Wargi poruszały się ciągle jakby przemówić chciały, ale głos łamał się i konał w niewyraźnym szepcie. A z oczu bez blasku wybiegły nagle dwie łzy duże i potoczyły się po zsiniałem obliczu.

Główę pochylił na piersi i wspierając się silnie na ramieniu Władysława, krokiem chwiejnym, zwolna, nie spoglądając już na Halszkę, wyszedł i wrócił do swojej komnaty.

Od tej pory Władysław najzaufańszym stał się pana marszałka powiernikiem. Jak

niegdyś xiążę Krzysztof w Birżach, tak teraz Kazanowski zapytał go:

— Czy umiesz ty milczeć?....

I otrzymał milczenia przysięgę, dochowaną wiernie. Z ust Sicińskiego nie wyszło nigdy nieostrożne słowo, coby zdradzić mogło tajemnicę straszliwej choroby, której się wprawdzie domyślano, lecz o której prócz Króla, zaufanego lekarza i jednego sługi, nikt na pewno nie wiedział. Przekonał się niebawem p. Kazanowski, że Władysław milczeć umie, przekonał się też o jego niezwykłej sprawności w wykonywaniu powierzonych mu, choćby najtrudniejszych zleceń i obdarzać go odtąd począł szczególniejszą łaską.

Ale z Halszką było inaczej. Siciński z ust jej nie słyszał innego słowa, prócz zimnego rozkazu, jej spojrzenie, gdy czasem, przypadkiem, nań padło, raniło go dziwną obojętnością i dumą. On dla niej nie istniał prawie jako człowiek, — był narzędziem dla wykonywania rozkazów, które kto inny na jego miejscu tak samo spełniaćby mógł.

I mijały tak lata, żadnej nie przynosząc zmiany. Władysław, oddawał wielkie w zatargach z Ossolińskim usługi a podczas tej walki, Halszka przemawiała doń nieraz łaskawiej, raczyła spoglądać z większym zajęciem, słuchała zdawanych sobie relacyj a nawet

raz uśmiechnęła się wdzięcznie, gdy Władysław zwiastował jej pierwszy o zwycięstwie.

Ale to trwało niedługo. Kazanowski, zagrany obietnicami Halszki, przyrzeczeniem zmiany w dotychczasowem postępowaniu, widząc, że wstręt, jaki mu dotychczas okazywała, zniknął na chwilę w rozkosznym uśmiechu, ozdrowiał nagle i z młodzieńczą siłą porwał się do walki. Ale po odniesionem zwycięstwie — ponownie odepchnięty, zachorzał znów ciężko, Władysław zaś ze zdumieniem ujrzał, jako zasługi jego także żadnej nie odnoszą nagrody. Przedtem uprzejma, Halszka powróciła znów do swej dawnej obojętności, nie zwracając już wcale uwagi na dworzanina, który dni i noce spędzał przy chorym jej małżonku. Spojrzenia jego palące, namiętne, wypowiadające całą burzę duszy młodzieńczej, tem większą, że tłumiona, spojrzenia te, któremi bezustannie ją ścigały, nie poruszały jej zgoła... A on żyjąc nieustannie pod jednym z nią dachem, widując ją codziennie niemal, oddychając tem samem co ona powietrzem, bezwiednie upajał się jej pięknością a z upojenia tego budziła go jeno czasem pogarda Halszki. Ona zaś widząc wzrastające zaufanie małżonka ku Sicińskiemu, wstręt, jaki czuła do Kazanowskiego, przeniosła w części i na jego powiernika, który jej się zdawał nie-

pewnym, nieszczyrym, zdradzieckim. Halszka mu nie ufała a brzydziła się nim jak służalcem do wszystkiego zdolnym i to mu niejednokrotnie okazywała.

Na wspomnienie tysiąca upokorzeń, jakich od niej doznał, Siciński drżała z oburzenia; całą duszą pragnął zemsty, całą duszą przyzywał tej chwili, w którejby mógł wypowiedzieć jej głośno, otwarcie, jaką ona burzę sprzecznych uczuć w jego obudziła sercu. Nie było dnia niemal, aby Halszka spojrzeniem, ruchem lub słowem, nie dała mu uczuć swego lekceważenia i wzgardy, a on za to wszystko pragnął jednej chwili zemsty, chwili, w którejby ją ujrzał bezbronną a siebie panem jej woli...

Zrazu, jak wiadomo, ludził się nadzieję, że zasłyszane w Wilnie słowa rozmowy Halszki z królewigiem, dadzą mu w rękę tajemnicę, która będzie mógł w czas stosowny przeciw dumnej niewieście użyć. Oddawna jednak wszelkie stosunki między królewigiem a Halszką zdawały się przerwane. Niebawem po ślubie Halszki, udał się królewig do Wiednia, wrócił wprawdzie z tamtą niebawem, lecz na niedługo, wyjechawszy znów bowiem do zagranicznych krajów, przyłączył się do armii węgierskiej, pod Wormacyą i Frankfurtem stojącej, i wziął udział w walce przeciw Francuzom, którzy naówczas w połączeniu ze Szwed-

dami przeciw cesarzowi oręż podnieśli. O wyprawie tej rozmaite sądy wypowiadano. Jedni widzieli w tem jeno animusz rycerski królewica, który w spokoju i w ciszy pozostawać nie mógł, drudzy potępiali go, iż jako szwedzki królewic bez żadnego powodu, wziął udział w walce ze Szwedami.

— Nieszczęście on i klęskę na Rzpltę sprowadzić gotów... — szemrano. — Niespokojny duch jest w tym królewicu-peregrynancie. Mienie swe po rodzicu i po rodzeństwie zmarłem, już strwonił, dziedziczne starostwa i tenuty długami obciążył, a teraz jeno się na pomoc cesarską ogląda...

— Nie jest to żadna pomoc — mówili inni — jeno cesarz winien był znaczne sumy królowi Zygmuntowi, które teraz zwrócić ma.. Prócz tego posiada jeszcze królewic Nieporęt i różne kosztowności z macierzystego spadku, w zagranicznych zaś krajach księstwo Bari i hrabstwo Rossano, które po królowej Bonie na babkę królewica spadkiem przeszły i jemu zwrócone być mają.

— To też on się bardziej na owe zagraniczne kraje, zwłaszcza na cesarza ogląda, niż na Rzeczpospolitę i Króla — powtarzali niechętni.

Te wszystkie nieprzyjazne głosy zbierał pilnie Władysław i natychmiast je Kazanow-

skiemu odnosił, tak się zawsze starając, iżby Halszka to słyszeć mogła, widocznie w tym celu, aby wrażenie, jakie na niej te słowa czyniły, wybadać. I w tym jednakże względzie doznał zawodu. Halszka nie dawała po sobie poznać uczuć, jakie w niej owe doniesienia obudzały; najczęściej wychodziła natychmiast z komnaty, lub w ponurem zamykała się milczeniu. Widocznie wszakże ta uporczywość, z jaką Siciński owe złe wieści o królewicu przed nią powtarzał, musiała zwrócić jej uwagę, bo z coraz większą niechęcią a podejrzeniem na dworzanina patrzyła, dziwując się słabości małżonka swego, iż dla wszystkich nieprzystępny, jemu jednemu pozwalał mówić z sobą i do niezwykłej poufałości go przypuszczał. Raz też pan Kazanowski będąc sam z dworzaninem swoim, otwarcie mu rzekł:

— Źle jest, iż wacpan nie umiesz sobie zaskarbić łask niewieścich. Oto małżonka moja w wielkim na mnie gniewie, iż w jej obecności mówić poufnie waści dopuszczam, co nikomu u dworu mego nie jest dozwolonem... Ano, może i nie dobrze czynię...

— Skoro jw. pan — odparł Siciński kornie — mówić mi zabraniasz, to milczeć będę, tak wszakże mniemałem, jako to, com dotychczas donosił, nie było bez wagi,

a w mojem sumieniu czuję, iż niepoczciwiebym działał, gdybym panu memu za łask tyle doświadczonych, nieszczerością, albo milczeniem, które nieraz szkodliwem być by mogło, odpłacał. Słyszę ja wiele rzeczy takich, które do uszu pańskich nie dosiągłyby nigdy, a które wiedzieć pozytecznym jest...

— Tego nie zapieram — przerwał Kazanowski, patrząc z widoczną czułością na dworzanina, którego w życiu swem smutnem i samotnem, nieledwie za jedynego przyjaciela i powiernika miał — tego nie zapieram, a znaając wierność twoją, doświadczyszy zaś sprawności, wiem jako to czynisz dla pożytku mego, abym wiedział wczas wszystko, co się u dworu dzieje... Jeno tak się już staraj, abyś mi to samemu mówił, gdy małżonki mej nie będzie...

Do tego rozkazu zastosowywał się czas jakiś Siciński, ale niedługo. Niebawem bowiem zaszły takie wypadki, które wzmagając dawne jego podejrzenia, zwiększyły też jeszcze chęć zbadania prawdy i żądzę zemsty.

Z owej wyprawy przeciw szwedzko-francuskiej armii, rozkazem królewskim odwołany, powrócił Jan Kazimierz do kraju i czas jakiś przebywał w stolicy, a wówczas zauważał Siciński, iż do pałacu Kazanowskiego przybywali jacyś posłowie do Halszki, najczęściej

Tyzenhauz, pokojowy dworzanin królewica, lub też ulubiony jego pacholik Sokół. Lękał się on z tego powodu jakąkolwiek wrzawę czynić, lub też otwarcie badać owych posłów, którzy zresztą zawsze jakowymś prawdopodobnym pozorem swe misye okrywali, ale coraz pilniej śledził każdy krok Halszki, w przewidywaniu, że przedzej czy później na ślad pewny wpadnie. Na jednym też bankiecie, który pan Kazanowski dla królewica w pałacu swym wyprawił, dostrzegł on, jako Jan Kazimierz ciągle do Halszki się zbliżała a widocznio szukała okazyi do dłuższej z nią i poufnej rozmowy. Przysuwał się wówczas Siciński jak mógł najbliżej, ale mógł jeno pochwycić urywane wyrazy, które wszakże świadczyć się zdawały, jako Halszka teraz albo odmieniła sentymenta, lub też przysięgą małżeńską związana, postanowiła królewica nie słuchać. Jan Kazimierz bowiem nie umiejąc utaić swych uczuć, z rozpłomienioną twarzą i bardzo żywo a coraz ciszej do niej przemawiał; ona zaś z attencyą ale zarazem z powagą wielką i zimnym spokojem odpowiadała. Do uszu Sicińskiego doszły wyraźnie jej słowa:

— Przysięgam mu... tego nawet słuchać mi nie wolno... wolę nieszczęśliwą być niżeli występna...

A na to królewic schmurzył się widocznie... twarz przybrała wyraz dumy, na ustach błakał się uśmiech goryczy pełen i szyderstwa. Wreszcie skłonił się przed Halszką i odszedł bardzo zasępiony; wkrótce zaś odjechał, wymawiając się niezdrowiem.

I odtąd wszelki ślad zniknął. Królewic wyjechał niebawem do Wiednia celem zaślubienia w imieniu króla arcyksiężniczki Cecylii Renaty i towarzyszył jej do stolicy. Równocześnie zaś z jego przybyciem i przyjazdem dworu królowej, już w czasie uroczystości weselnych, które wspaniałością swą przewyższyły wszystko, co dotychczas w Rzeczypospolitej widziano, zaczęto szerzyć wieści, jako królewic zachwycił się do szaleństwa urodą jednej z panien dworskich królowej, nazwiskiem Guldenstern.

Było o tem wielkie i głośne w całej Warszawie gadanie, tembardziej, iż królewic, jakby mu na tem zależeć mogło, jakby za obojętność Halszki zemścić się pragnął, nie tylko owego gadania przytłumić się nie starał, ale je umyślnie podniecał, okazując jawnie swój affekt. Zaczęto mówić, jako z tą panną żenić się chce, z czego wielkie zgorszenia i niechęć urosły.

Z wieściami temi przybiegał zawsze do pana Kazanowskiego Siciński i raz umyślnie, jakby zapomniawszy rozkazu, nie bacząc na

obecność Halszki, jał opowiadać. Zaledwie jednak relację rozpoczął, Halszka zbladła, porwała się z miejsca i nie mogąc już zdzierżec oburzenia, zawała:

— Ścierpieć nie mogę, aby takie wieści o domu królewskim, które widoczną kalumnią są, służalec powtarzać śmiał!...

I wyszła, drzwiami stuknawszy, a pan Kazanowski przerażony tem mocno, z wymówką i niemal gniewem zwrócił się ku ulubieńcowi swemu.

Tłumaczył się Siciński, jako to są sprawy, o których powszechnie w stolicy mówią, że zatem nie sądził, aby powtórzenie rzeczy wszystkim wiadomych i z którymi sam królewic się nie tai, czyjaśkolwiek obrazą być mogło.

— Zresztą, dodawał kornie, nie racz mię jw. panie, gniewem swym karać, bo oto już winę, jeżeli jest jaka, odpokutowałem srogo, ile że całkowicie bez racyi kalumniatorem nazwany i nienależącem się wolnemu szlachcicowi mianem służalca zbeszczeszczony zostałem...

Wszakże pan Kazanowski gniewał się czas dlugi na Sicińskiego, tak dalece, że go nawet do swojej komnaty przypuszczać przestał, ale czynił to widocznie nie przez rankor, którego w sercu nie miał, jeno dla dogo-

dzenia małżonce, której wola stała się dlań prawem. Wyrobił się bowiem między nim a Halszką taki stosunek, że ona jak zawsze obojętna, wszakże łagodną i uprzejmą dlań była, on zaś tę uprzejmość okupywał bezwzględnom posłuszeństwem, patrząc jeno w oczy małżonki i najmniejsze jej zlecenia spełniając, bez żądania jakiekolwiek nagrody. Uśmiech Halszki był mu już wystarczającą za wszystko zapłatą...

Władysław znając dobrze stan rzeczy, nie frasował się zbytecznie chwilowem nieukontentowaniem pana i pokutą sobie naznaczoną, wiedział bowiem, iż to rychło przeminie, miał zaś zadowolenie, bo się zdołał zemścić na Halszce, własnymi oczami widział jej pomieszanie i boleść, niejednokrotnie też potem dostrzegał łzy w jej oczach i smutek na zbladłym obliczu. To wszystko potwierdzało jeno podejrzenia jego.

— To jest niewiasta, — mówił sam do siebie — która raz powziętego sentymentu nie zapomni. Opiera się jeszcze i walczy, bo duma jej prawie tak jest silna jak miłość, ale pono ta ostatnia zwycięży...

Na to zwycięstwo czekał Władysław z upragnieniem, spodziewając się, że ono da mu w rękę ową przemożną tajemnicę, której posiadanie zapewni mu wszystko, czegoby

jeno pragnąć mógł. Czekał wszakże bez rezultatu czas bardzo długi, a śledząc nieustannie, doszedł jeno do tej konwikcyi, że Halszka wszelkimi siłami stłumia uczucie, które chociaż w tej walce nie maleje, toč wszakże żadnych złych nie daje pozorów. Że nie znikło ono, na to Władysław pilnem śledzeniem zebrał wiele dowodów. Na jej obliczu rozpoznawał on, jak bardzo, jak boleśnie, raniły ją kolejne, które królewic przebywał.

Kiedy owa miłość dla panny Guldenstern zbyt stała się głośną i nadto wiele oburzenia wywoływała w kraju, królowa co rychlej za mąż ją wydała, a Jan Kazimierz rozgniewany tem, zerwał niemal z całym dworem, z bratem się poróżnił i deklarując, jako na zawsze kraj opuszcza, za granicę, do Hiszpanii wyjechał.

O tej podróży znów różne obiegały wieści. Mówiono, jako królewic jedzie, aby owo księztwo Bari i hrabstwo Rossano od ciotecznego brata swego Filipa IV rewindykować; inni utrzymywali, iż Jan Kazimierz wicekrólem portugalskim ma zostać, inni wreszcie, iż naczelnym wodzem floty hiszpańskiej mianowany będzie, aby w gotującej się wojnie z Francją wziąć udział...

Halszka po wyjeździe królewica, który powszechnie za wieczystą z krajem rozłąkę uważano, niemal zachorzała, a gdy nadeszła

wieść o uwięzieniu Jana Kazimierza przez Francuzów i osadzeniu go w pałacu arcybiskupim w Salon niedaleko Marsylii, pani Kazanowska wielkiej rozpaczły swojej przed badawczem okiem Sicińskiego utaić nie zdołała, jakkolwiek zręcznie przed innymi pokrywała to oburzeniem, które powszechnie w kraju odczuwane było na tak niesłychane traktowanie królewica polskiego, brata potężnego monarchy.

Siciński, jakkolwiek jego zawiśne serce napawało się nieraz rozkoszą na widok, jak sam los doświadczał okrutnie tę, której on pomstę poprzysiągł, to wszakże czasem nie mógł się obronić uczuciu podziwienia nad mężczyznem duszy i hartem tej niewiasty. Z głową dumnie wzniesioną do góry, bez uśmiechu na zbladłych ustach, ale i bez łzy w oku, które ciemna otoczyła obwódka, bez skargi, chociaż pierś jej musiała straszliwa przenikać rozpacz, Halszka obojętnym lub obcym przedstawiała się zawsze jednaką... Zdawała się pięknym posągiem, którego żadne silniejsze nie poruszało uczucie. Jeden tylko Siciński domyślał się, jaka burza, jaka boleść beznadziejna i jaka niedola niewysłowiona, ukrywały się pod tym pozorem. On jeden przeczuwał rozpacz, która ogarniać musiała Halszkę, gdy pozostawszy samotna, zamknięta w swo-

jej komnacie, kiedy żadne oko ludzkie dostrzędz jej nie mogło, wyciągała daremnie ramiona do tego, któremu wieczystą przysięgła pamięć, a który w takim oddaleniu, w celi więziennej, równie jak ona rozpaczal i tesknił...

Do powiększenia tego smutku, nie mało się przyczyniły wieści ubliżające królewicowi, które z Francją rozmyślnie rozszerzano. Mówiono mianowicie, iż królewic jako szpieg hiszpański lustrował porty i wybrzeża francuzkie, czem usprawiedliwić chciano bezprzykładne uwięzienie, które zresztą wcale lekkiem nie było. Donoszono, jako królewic już nie w pałacu arcybiskupim, ale w gorszym więzieniu, gdzie łotrów i zbójów trzymano, w jednej izbie osadzony, głód, zimno i największe niewygody znosi a narażony jest na grubiańskie i srogie postępowanie nieokrzesanych dozorców...

Położenie było bardzo trudne. Król francuzki, Ludwik XIII, w listach do Władysława, tłumaczył uwięzienie królewica koniecznymi względami na bezpieczeństwo państwa francuskiego, którego Jan Kazimierz zdawał się być zawziętym nieprzyjacielem, a uwolnienie czynił zależnym od poręczenia Króla i Stanów, jako za to uwięzienie mścić się nie będą i jako Rzplta wojnie przeciw Francji udziału nie weźmie. Sprawa ciągnęła się długą,

dla Władysława była trudna, ile że cesarzowi już były obiecane przeciw Francji posiłki a Sejm nie zbyt chętnie podejmował kroki dla obrony niemiłego szlachcie królewica, którego z szyderstwem peregrynantem zwano, zarzucając mu, jako dla kraju własnego jest obcym i nieprzyjaznym.

Po dwóch wreszcie leciech, na podstawie żądanego przez Francję poręczenia, uwolniony został Jan Kazimierz i powoli, jak gdyby ze wstydem czy niechęcią powracał do kraju, opóźniając swój przyjazd do stolicy.

Siciński oka podówczas nie spuszczał z Halszki i widział, jak zwolna po dwuletniej martwocie ożywiała się twarz jej blada a oczy nabierały niezwykłej expressji radości. Było to widoczne budzenie się przygasłych nadziei, powrót do życia tego uczucia, co siłą woli tłumione, wśród rozpacznej tęsknoty nowych sił nabrało, a teraz miało się w całej pełni rozwinać.

... Gdyby królewic przyszedł teraz — szeptał Siciński, patrząc na twarz Halszki pełną gorączkowego niepokoju — to już go nie odepchnie jak wprzód, nie będzie miała siły odepchnąć...

Podówczas w pałacu Kazanowskich dwie dusze cierpiały niewypowiedziane męczarnie niepokoju: Halszka wyglądając tęsknem, roz-

płomienionem okiem przybycia Jana Kazimierza i Siciński z niezmordowaną zapobiegliwością śledząc każdy krok, każde poruszenie Halszki...

Ale czas mijał, a królewic chociaż był już kilkakrotnie w stolicy, do Kazanowskich nie przybył, widzenia się z Halszką unikał, a zamknięty po większej części w Nieporęcie swoim, pograżony był, jak mówiono, w ponurym smutku, którego nic rozproszyć nie mogło. Zamek w Nieporęcie wyglądał jak klasztor, tak pełno w nim było duchownych, nad którymi przywodził O. Leyer Jezuita, spowiednik królewica. Mówiono, że długi czas w niewoli przebyty, takim smutkiem napełnił duszę Jana Kazimierza, iż jeno w nabożeństwie a ćwiczeniach pobożnych mógł znaleźć ulgę.

Królewic stał się porywczym i gwałtownym; najwierniejszych sobie odtrącał i odsuwał, z bratem swym Władysławem w ciąglej był waśni, a otaczał się coraz większą pustką i klasztorem milczeniem.

Siciński widział, jako na obliczu Halszki, w czas powrotu królewica dziwnie rozpromienionem, gasły zwolna blaski nadziei; każdy dzień, który mijał w oczekiwaniu daremnie, pokrywał to oblicze coraz większą mgłą smutku a ten wreszcie przyrósł i niejako

zmartwiał na niem, że stało się jakby marmurowe, żadnym już niedostępne uczuciom.

Dawniej przychodziły jeszcze chwile wzruszenia, a wówczas oczy Halszki zachodziły mgłą łyzawą, pierś wznosiła się żywym oddechem, na lica wybiegały rumieńce. Teraz źródło to snadź wyschło, bo oczy ciskały jeno czasem, w momentach uniesienia lub gniewu, takie błyskawice, jakie rozdzierają niebo w czas posuchy, zwiastując, iż w chmurach niewidzialnych ludzkiemu oku, niema ani kropli dżdżu dla spragnionej ziemi. Postać Halszki, która przedtem jeszcze gięła się czasem łagodnie i miękko, ulegając snadź wewnętrznym duszy marzeniom, wyprostowała się teraz dumnie i hardo; do ust przerosł uśmiech dla wszystkich jednaki, goryczy i lekceważenia pełen, uśmiech, który szydzi z pożegnanych nadziei, a drwi z przyszłości i budzących się może jeszcze mimowoli marnotrafię młodego a niezaspokojonego serca.

Z przenikliwością swej podstępnej natury, odgadywał przeczuciem Siciński, co się w duszy Halszki działo, a gdy ujrzał jako ona, po ponownym wyjeździe z kraju królewicza, z obojętnością już przyjęła wiadomość o wstąpieniu jego do Zakonu OO. Jezuitów, powiedział sobie, iż w tej sprawie badanie jego skończone i że spodziewane z niej korzyści

stanowczo go zawiodły. Z szyderskim uśmiechem przyjmowała już Halszka dalsze wiadomości, jako Jan Kazimierz po odbyciu nowicyatu Zakon porzucił i jako w Rzymie o purpure kardynalską się ubiega, a wreszcie, że i to otrzymał, zaledwie ostateczną konfirmację uzyskał, do kraju powraca.

Powrót ten nie uczynił na Halszce pozornie żadnego wrażenia, a gdy w jej przytomności mówiono raz o powodach owego dziwnego postępowania królewica i przypisywano je obudzonym nadziejęm otrzymania polskiej korony, ile że Król sam mocno chory, stracił jedynego syna i następcy nie miał, Halszka zaśmiała się dziwnie i rzekła:

— A jakożby ten peregrynant królem mógł zostać! Mnich nie mnich, znowu potem kardynał a nareszcie król! dziwne to drogi do tronu...

Pierwszy to raz Halszka mówiła o królewicu, dawniej bowiem imienia nawet jego nie wymieniała nigdy, i nigdy też udziału nie brała w rozmowie o nim. Snadź tedy czuła już samą, jako dawne uczucia spopiełały w jej sercu i z całą swobodą mówić mogła o tym, którego imię przedtem, znała wymówione, przejmowało ją dreszczem.

— Skamieniało w niej serce — myślał Siciński, gdy po odejściu łomżyńskiego sta-

rosty, przechodził w pamięci wszystkie owe przebyte kolejce, których wspomnienie rozmowa z Radziejowskim żywo poruszyła.

— Skamieniało w niej serce — powtórzył półgosem sam do siebie — a szalony ten, ktoby chciał szukać iskry w wygasłych popiołach... Przez lat tyle ścigałem ją płomienistym wzrokiem, który płoszony jej wzgardą, przepalił moje własne serce a po jej wyniosłej postaci ślizgał się bez wrażenia. Jakożby ona mogła na mnie, na tego, którego służalcem pogardliwie mieni, uwagę zwrócić, gdy taki pan Radziejowski i inni jeszcze znaczniejsi, daremnie o to zabiegają? Jakaż ją pomsta dosiągnąć może, gdy ona dziś zda się na wszystko obojętna i każdy cios by najsroższy nie wzdrygnąwszy się przyjmie... Dziwna niewiasta!

Do uczuć nienawiści, chęci zemsty, gorączy i żalu, które wrzały w Sicińskiego duszy, łącząc się tam z silniejszą nadewszystko namiętnością ku Halszce, przywiązywało się teraz mimowidnie uczucie ogromnego podziwu dla siły woli, męstwa i niewzruszonego spokoju tej niewiasty, która niedole śwego życia znosiła bez skarg i wahania.

Przemocą niemal otrząsł się Władysław z długich rozmyślań, w jakie był zapadł po rozmowie z Radziejowskim. Silne postano-

wienie opuszczenia dworu pana Kazanowskiego zapanowało ostatecznie nad słabością serca. Było już późno, gdy Władysław obudziwszy się z zadumy, postanowił natychmiast zwia- stować panu Kazanowskiemu, jako dwór jego i służbę porzucić zamierza -- a w tymże momencie wszedł sługa oznajmiając, jako pan marszałek spiesznie go wzywa do siebie.

---

### XIII.

Pan Hieronim Radziejowski po rozmowie z Sicińskim podążył wprost do pałacu Ossolińskiego kanclerza, gdzie tego dnia wielkie odbywało się przyjęcie. Pan kanclerz coraz częściej świetne uczty wyprawiał dla tego jeno, jak niechętni mówili, aby umysły szlachty i senatorów dla swoich zamiarów niewolić.

Dnia tego, wspaniałe sale pałacu, lśniące od marmurów, obite drogich i złota, zapełnione były najznakomitszymi gośćmi. Król z całym dworem przybył, również posłowie i rezydenci zagraniczni, ministrowie i senatorowie najprzedniejsi a także tłumy posłów i szlachty.

Pan Radziejowski wszedłszy do pierwszej marmurowej sieni, ozdobionej wielkimi posągami brązowymi, z Rzymu sprowadzonymi, ujrzał jako na schodach wiodących na piętro, tłumy pań i panów strojnych, którzy wszyscy dążyli do wielkiej sali, kiedy był dwór królewski.

Sala ta obita drogocenną makatą, złotem tkanaą, najwspanialszą była w pałacu. Nad wchodowemi drzwiami wisiało siedm chorągwi, które Ossolińscy w różnych potrzebach własnym kosztem na pole walki wyprowadzili; na ścianach wielkie portrety rodowe a w samym środku olbrzymi obraz, przedstawiający Króla Władysława na koniu, otoczonego rycerstwem. Na wszystkich gzymach widniały marmurowe popiersia rzymskich cesarzy. Od drzwi wchodowych na przestrzał ciągnął się cały szereg sal wspaniałych, ozdobionych zwierciadłami, w których odbijały się strojne zgromadzonych postacie.

Okna przysłonięte były zasłonami z purpurowej materyi, na której lśniły złotem haftowane herby Ossolińskich z xiążecimi mitrami, na co szlachta i senatorowie niektórzy z szyderstwem wskazywali, śmiejąc się z cicha.

Pan Radziejowski szedł zwolna, kłaniając się jednym nizko, drugich poufalej pozdrawiając a nie rzadko też przystawał i nadstawał ucha, gdy mu jakaś rozmowa ciekawała się być zdała. Uderzyło go to od razu, że pomimo tak licznie zgromadzenia, nie było w tej sali zwykłej gwarliwej wrzawy; po kątach tworzyły się grupy, mówiące żywo a z cicha; z tych zaś ogólnych szeptów, powstawało niewyraźne mruczenie, które wszakże

groźnem się zdawało, jak stłumiony odgłos gromu, zwiastującego zbliżanie się burzy.

W jednym końcu sali liczniejsze grono szlachty i młodych senatorów, otoczyło sędziwego marszałka w. koronnego, Łukasza Opałińskiego, na którego zgrzybiałem obliczu, pomarszczonem i pofałdowanem a okolonem białemi jak śnieg włosami, osiadła w tym momencie poważna zaduma. Wysoki, niemłody szlachcic stał obok niego i głośno rozprawiał, że go inni mitygować musieli, przedstawiając, iż mowa jego do uszu Króla dojść może.

— Czas jest, aby się też o tem dowiedział! — odparł na to niezmięszany szlachcic. — W izbie poselskiej głosu naszego usłuchać nie chciał, to może tu posłysz i strzyma się... Jam jest od lat niemal młodzieńczych posłem i jeszcze za nieboszczyka Króla Zygmunta pomnę rozliczne kontrowersye, — ale takiego nieposzanowania paktów conventów nie było! Do ciebie to jaśnie wielmożny marszałku wielki koronny, który z otaczających Króla ministrów, najstarszy jesteś wiekiem, do ciebie należy głos podnieść i powiedzieć, jako szlachta takiego deptania swej woli znieść nie może, rokosz podniesie, posłuszeństwo Majestatowi wypowie!...

— Uspokój-no się waszmość — przedstawiali inni — wszak to wszystko jeno gadańia być mogą bez żadnej podstawy...

— Bez podstawy! — zakrzyknął ów szlachcic. Nie moja to rzecz bez dowodów, na wiatr gadać! Wie o tem najlepiej imóp. marszałek wielki koronny, jako pomimo wyraźnych przyczyn królewskich, zaciągi w tajemnicy się robią, arsenaly napełniają bronią, królowa pieniądzę daje, xiążeta zagraniczni niektórzy przyczynienia czynią, signoria wenecka subsydia w pieniądzach przysyła, na Ukrainie gońce królewscy podbuntowują kozaków — a wszystko jeno w tym celu, iżby wojnę z Turcją wywołać...

— Nie może to być! — zawałało kilka głosów — było tak, ale przeminęło, bo Król przeciw woli narodu iść nie chciał...

— Było tak! — przerwał szlachcic, — i teraz jest nie inaczej! Dopóki żył syn królewski, strzymywano się jeszcze przez wzgląd na niego, aby przez postępowanie rodzica i syn narodowi nie stał się niemiłym. Ale teraz gdy królewiec zmarł, Król nie zna hamulca i nie mogąc otwarcie, tajnie działa. A przecież wiadomo, jako różni posłowie zagraniczni skrycie przybywają na dwór królewski, jako zmowy ciągłe się toczą, jako z Grecy przybył w tych dniach mnich jakiś, który ofiarował

Królowi koronę bułgarską a posiłki w pieniędzach i ludziach, byleby wojnę z Turcją prowadził...

Łukasz Opaliński na słowa te podniósł głowę i szybko na mówiącego spojrzał.

— Niebezpieczne to są mowy — rzekł zwolna — lepiejbyś waszmość zrobił, gdybyś powtarzaniem wieści takich, które całe sprawdzonemi nie są, nie rozdrażniał bardziej umysłów...

— Gdy inni milczą, których powinnością jest mówić — zawała zawięty oponent — to co nam czynić? nam szlachcie, których wolnościom grozi największe niebezpieczeństwo!.. Przecież ta wojna nie na co innego, jeno na to uknuta, aby szlachtę wygubić a na trupach naszych nowy porządek wznieść...

— Milcz waszmość! — drżącym głosem zawała Opaliński — nawet przez sen nie godzi się takich rzeczy mówić... Jeżeli to wacpana uspokoić może, to poręczam, jako dziś jeszcze z Królem mówić będę i owe głosy szlacheckie mu odniosę...

Słowa te marszałka zdawały się uśmiechać nieco zapalczystość szlachcica.

— Nie wątpię, — rzekł spokojniej — że słowa z ust takich, pożądaną influencję wywrażą, byleby — dodał ciszej — pan Ossoliński nie bruździł, boć to jego głównie są sprawy...

Radziejowski wysłuchał całej tej rozmowy a ujrzałszy, jako pan Opaliński ruszył się i odszedł dalej, posunął się za nim, kiedy znów niektórzy senatorowie równie z cicha gwarzyli.

Ale i tu nie ucieszne usłyszał mowy. Senatorowie, którzy z obowiązku przy boku królewskim na rezydencji bawić mieli, oświadczyli głośno, jako w obec tajemnych knowań, wojskowe na celu mających, opuszczą stolicę, oświadczywszy Królowi, iż czują się być niepotrzebni, a złych zamiarów nawet milczeniem popierać nie chcą.

Zamyslił się nad tem bardzo pan starosta łomżyński, ile że i jemu należało w tej sprawie jakieś stanowisko zająć, dotąd bowiem znany był jako zwolennik wojny tureckiej, Królowi z gotowością do usług wielokrotnie się oświadczał i na Ukrainę z listami do Barabasza podróżował. Podróż ta tak wielką otoczoną była tajemnicą, iż nikt nie znał jej prawdziwych powodów, ile że pozorem odwiedzenia dóbr ukraińskich, po pierwszej małżonce odziedziczonych, dobrze była okryta. Należało jednak się namyśleć jak postępować dalej, p. Radziejowski wiedział bowiem, że wojenne zamiary królewskie były niecofnione, a dostrzegał, iż ze wszech stron wielka powstawała opozycja, a jakże odgadnąć na czyją stronę

obróci się ostateczne zwycięzstwo? Myślami temi zafrasowany, szedł dalej, gdy nagle głowę podniósłszy o wszystkich troskach zapomniał...

Ujrzał naraz przed sobą Halszkę Kazanowską, stojącą w otoczeniu innych niewiast i panów. Była piękniejszą niż kiedykolwiek, w stroju wspaniałym: uroda jej była tak promienna, iż zaćmiewała wszystkich i wszystko, blask rozsiewającokoła a gasząc brylanty zdobiące jej szyję i włosy.

Po długiej nieprzyjaźni z kanclerzem, pani Kazanowska, po raz pierwszy ukazywała się na jego salonach, co uczyniła na wyraźne nalegania Króla, który w obec rosnącej przeciw niemu niechęci, usiłował pojednać i zbliżyć tych, co mu wiernymi zostali. Czyniąc tedy zadość woli królewskiej i usilnym prośbom kanclerza, jakkolwiek pan marszałek słabością zdrowia się wymówił, Halszka w towarzystwie innych niewiast przybyła na ową uczęstę a z niezwykłem zajęciem zdawała się przysłuchiwać toczącej się wokoło niej rozmowie.

— Królewic z Nieporętu wczoraj przyjechał — mówiono — a dziś miał tu przybyć. Ma być teraz znacznie uspokojony... z Królem się pojednał...

— Zaświtała mu nadzieję tronu po śmierci królewica Władysława Zygmunta... dorzucił

głos jakiś szyderczo — toż ze wszystkimi jednać się teraz będzie.

— Król go sam pragnie mieć swoim następcą — już do Rzymu wysłał kanonika warmińskiego Roncaglia, aby Papieżowi ustnie przedstawił, jako królewic kapelusz kardynalski składa...

— Lepsza mu korona od kapelusza — przerwał tenże głos złośliwy — jak był lepszy kapelusz od myckiego zakonnej.... ciekawa rzecz czy znajdzie się coś jeszcze od korony lepszego...

Jeszcze nie przebrzmiały te słowa, gdy u progu szmer się zrobił, rozstępowano się pospiesznie i w tymże momencie, krokiem wolnym wszedł do komnaty Jan Kazimierz.

Ubrany byłcale nie jako kardynał. Strój miał na sobie barwy ciemnej ale ozdobny i kosztowny, krojem włoskim sporządzony, przy szpadzie. Wielki, szeroki kolnierz haftowany, spadał mu na piersi; ręce delikatne, małe, jak gdyby niewieście, tonęły wśród batystów, na palcu czwartym lśnił wielki pierścionek brylantowy. Jako jedyną oznakę swej kardynalskiej godności, miał na głowie nie wielką czapeczkę purpurową.

Oblicze królewica nosiło widoczne ślady przebytych utrapień; postarzało się i zwiędło — jeno oczy, nieco w głąb zapadnięte, świeciły

się zawsze jednakim blaskiem; patrzyły wszakże z pewną nieufnością, schylając się co chwila ku ziemi. Na ustach zблadłych, błąkał się pół-uśmiech, niby uprzejmy a jakby szyderski. Idąc mówił do xiążęcia Albrechta Radziwiłła, który postępował za nim.

Wtem umilkł, niedokończywszy wyrazu i u progu stanął, zoczywszy Halszkę, której oblicze oblało się nagle rumieńcem, a potem znów zблadło, jakby jej krew cała zbiegła do serca. Mimowolnym ruchem cofnęła się nieco, obiema rękami opierając się o stół stojący po za nią. Spuściła oczy ku ziemi i stała tak w dziwnem pomieszaniu, słowa przemówić nie zdolna.

Jan Kazimierz był już obok niej, iskrzącym wzrokiem obejmując całą jej postać.

— Pani marszałkowo... — zaczął i nie dokończył. Głos mu drżała dziwnie; białą rękę podniósł zwolna do czoła i przesunął ją po twarzy, szukając w myśli odpowiedniego wyrazu powitania.

Stojący wokoło cofnęli się, widząc jako królewic z Kazanowską rozmawiać pragnie. A on odszedłszy z nią razem parę kroków i zatrzymując się we framudze okna, mówił niemal szeptem:

— Nie spodziewałem się was tu ujrzeć... i trudno mi rozpoczynać rozmowę po latach tylu... Wyrazy rwą się i myśli płaczą...

Halszka oprzytomniawszy, śmiało głowę podniosła i spojrzała w twarz królewica.

— Czas ten — odparła — nie musiał się wydać zbyt długim Waszej Królewicowskiej Mości... W podróżach zmieniają się wrażenia i ludzie i myśli... my cośmy na miejscu siedzieli...

Królewic uśmiechnął się gorzko.

— Zmienia się wszystko — przerwał — jeno smutek zostaje zawsze ten sam a przybywa doń z dniem każdym coraz więcej goryczy...

Głos Jana Kazimierza brzmiał jak dawniej przejmując... Jeżeli twarz uległa zmianie, zbladła i młodzienczą straciła świełość, to oczy paliły się zawsze jaskrawo przenikliwym ogniem, a słowa dźwięczały tak tesknie, iż wprost wnikały do serca, budząc w niem niewymowne współczucie.

Halszka znów oczy spuściła ku ziemi. Królewic mówił o smutku i goryczy, a czyjeż serce, jeśli nie jej, mogło być bardziej przepełnione temi uczuciami; który lepiej od niej znał tesknotę do niedoścignionego marzenia i burzę uczuć, buntujących się przeciw niedoli życia?..

Milczeli chwilę oboje, aż znów królewic mówić zaczął:

— Halszko! — rzekł, nazywając ją tak jak dawniej, przed laty — mówić z wami pragnę, wytłumaczyć się, wyjaśnić wszystko!... dlaczegoście na pisma moje żadnego nie dali responsu?...

— A na co ta rozmowa po latach tylu?.. — odpowiedziała Halszka pytaniem — co nam przynieść może?... nowy ból, i nowe zawody...

— Przebyłem tyle zawodów, że już się ich nie lękam — odparł Jan Kazimierz. — A im ich więcej w życiu, tem większe pragnienie jedynej pociechy, jedynego pokrzepienia, które jest we wzajemnym uczuciu...

Halszka dumnie podniosła głowę. Jakiś uśmiech na poły bolesny a na poły szyderski, przemknął po jej pięknych ustach.

— Jam też — odrzekła zwolna — pokrzepienie to znalazła... małżonek mój...

Królewic rzucił się gwałtownie.

— A! — zawała — tego nie mówcie!... nie takiej jak wy niewieście przystoi zasłaniać się udanemi słówkami... Chyba, że pragniecie oddalić mię od siebie na zawszy?...

Roziskrzony wzrok królewica utknął w oczach Halszki, która widocznie bardzo pomię-

szana, usiłowała zapanować nad ogarniającym ją uczuciem.

— Niech Wasza Królewicowska Mość wierzyć raczy — przemówiła po chwili — że po długiej walce znalazłam już spokój... I jeżelibym miała w życiu jeszcze jakieś pragnienie, to chyba jedno tylko, aby nikt i nie tego spokoju naruszyć nie było w stanie...

— Nie wierzę! — zawała Jan Kazimierz — nie wierzę! wy tak samo jak ja nie znajdziecie spokoju, bo życie nie dało wam, jak i mnie nie dało tego, czego spodziewać się mogliśmy, czegośmy pragnęli... Ten spokój, to złudzenie, to moment ciszy, którą lada wietrzyk zburzy... Czyliż dla tego, aby zachować to złudzenie, warto niszczyć lata młodości, ostawiąć, a raczej tworzyć pustkę w sercu, którą rychla starość nawet wspomnieniem żadnem zapełnić nie zdoła?

Królewic mówią z coraz większym uniesieniem, które i Halszkę ogarniać poczynało. Czuła ona, że należy co rychlej skończyć tę rozmowę, którą łacno ciekawe ucho podsłuchać mogło. Raz przeto jeszcze spozierając zimno na królewica, odparła:

— Nie chcę ja takich wspomnień, któreby mogły być wyrzutem występnym... wolę pustkę serca, niż zgryzotę duszy skalanej...

To rzekłszy odejść chciała, ale królewic strzymał ją, ujmując za rękę.

— Halszko! rzekł głosem przejmującym rzewnością — ja nie mogę, ja nie chcę wierzyć twoim jak lód zimnym słowom... Od-daliły cię odemnie i czas i ludzie i moje własne, być może, szaleństwo... ale ja przed tobą wyznać chcę wszystko... dziś jedno ci powiem: Byłem zawszy i wszędzy nieszczęśliwym a gorączkowo pragnąłem szczęścia, które dusza moja przeczuwała i którego pożądała. Mierności znieść nie mogłem; cisza dokola mnie budziła burzę w duszy; upokorzenia wyrodziły dumę, niedola żądzę niepohamowaną rozkoszy... I oto w takiej rozterce okrutnej przeszło mi lat tyle! Dziś przychodzę do ciebie, którym ujrzał i ukochał w zaraniu młodości, przychodzę prosząc... — Żali i ty mię odępchniesz?...

Halszka odrzec chciała, ale drżące usta nie zdołały przemówić już słowa. Błagalne niemal brzmienie głosu królewica przeniknęło jej serce i ogarnęło niewysłowioną rzewnośćią.

Jan Kazimierz ujął ponownie dłoń jej i trzymał długo w uściśnięciu. Aż ona nagle dłoń swą wyrwała i nie podnosząc już wzroku rzekła głosem cichym:

— To ja was królewicu proszę: nie poruszajcie mi serca, które bolało i przebolało...

przeszło całe piekło udręczeń... i lęka się nowych...

— Więc nie zapomniało serce wasze? — zapytał królewic szeptem, pochylając się ku Halszce i patrząc wciąż na nią płomienistym wzrokiem.

Halszka milczała — a królewic szybko spojrzał dokoła, spostrzegłszy zaś jako tłum cały stał opodal, patrząc ciekawie, niecierpliwie się żachnął.

— Niepodobna nam tu mówić — rzekł — uszu i oczu tysiące... nie żądam też zaraz responsu... dziś jeszcze może przyszłę do pałacu... Tyzenhauzowi zaufać możecie... wyznaczcie czas na rozmowę a nie odmawiajcie mi tego!..

I nagle zmieniając ton głosu, dodał tak, aby wszyscy słyszeć mogli:

— Więc pan marszałek zawždy chory..! przykro mi dowiadywać się o tem... może jutro sam go odwiedzić pospieszę, a was proszę, byście mię jego pamięci przypomnieć raczyli...

To rzekłszy, skłonił się Halszce i już ku drzwiom się kierował, gdy z drzwi tych wkroczyło do komnaty kilka osób, pośrodku których szedł Król.

Bardzo otyły, postępował wolno, krokiem ciężkim, wsparty na ramieniu Ossoliń-

skiego, a widocznie poruszony, mówił głośno i gniewnie.

Wielka postać jego uginała się niejako pod brzemieniem otyłości; twarz niegdyś piękna, teraz rozlana, rozplynięta, wyrażała przygnębienie; oczy duże patrzyły ze znużeniem przed siebie, czasem jeno zapalając się iskrami gniewu.

Władysław ubrany był niezwykle strojnie, na piersiach zwisał mu wspaniały łańcuch z orderem Złotego Runa. Od czasu do czasu szarpał ten łańcuch niecierpliwą ręką która drżała.

Idący obok Króla kanclerz koronny Jerzy Ossoliński, liczył wówczas lat pięćdziesiąt wieku. Średniego wzrostu, zdawał się znacznie wyższym, tak wielką powagę miał w ruchach i taką imponującą a wspaniałą postać. Twarz piękna, o rysach bardzo regularnych, ożywiona była spojrzeniem oczu jasnych, wielkich a pełnych blasku, patrzących przed siebie z rozwagą i spokojem. Czo o wyniosłe, okolone krótko przystrzyżonymi siwymi włosami, fałdowało się często, gdy się pan kanclerz zamyslił lub nieukontentowanie oka-zać chciał. Usta małe, wązkie, nie znały prawie uśmiechu; osiadała na nich posepna zaduma, gdy milczał; płynęły z nich mądre lub uczone a zawsze wymowne słowa, gdy

przemawiał. W całej postaci przebijała się powaga i pewności. Podając ramię Królowi, pochylał się ku niemu z attencyą wielką, ale bez zbytecznej uniżoności. W tym momencie z pewnym niepokojem widział niezwykłe zniecierpliwienie Władysława.

— Nie tu miejsce na ucałowanie ręki królewskiej! — wołał Król do idących za nim senatorów — jutro o dziewiątej rano czekam w zamku, tam przyjść proszę i przedstawić owe racye niepraktykowanego postanowienia. Senatorowie rezydenci chcą opuszczać Króla! szlachta rokoszem grozi! Zebrzydowskiego duch was opętał!...

— Miłościwy Panie — ozwał się Ossoliński z cicha — takie wzruszenia szkodzą zdrowiu W. Król. Mości....

— Szkodzą.... szkodzą.... przerwał Król, — i zaszkodzą.... zabiją!...

Strzymał się na środku komnaty, z głębi piersi zaczerpnął powietrza i oglądnął się dookoła, a widząc jako w tej sali było dużo osób, które z ciekawością jego słowom przysłuchiwały się zdawały, ruszył ramionami niecierpliwie i skierował się do przyległej komnaty, kiedy było pusto.

Jan Kazimierz jakby nie chciał być świadkiem rozmowy Króla z senatorami, przeszedł pospiesznie do innej sali, a za Władysła-

wem podążyło jeno kilku przedniejszych panów, jako książę Albrecht Radziwiłł i Opaliński a także wsunął się Hieronim Radziejowski, mocno tem wszystkiem co widział i słyszał zainteresowany.

Wnet podano krzesło, Król usiadł i głowę wsparł na ręku zamysłony chmurnie. Wszyscy dokoła stali, milcząc.

— Gdzie jest Opaliński? — zapytał Król, wzrok nagle podnosząc.

Marszałek koronny wysunął się naprzód i stanął naprzeciw monarchy. Sędziwa twarz jego wyrażała smutek ale i niezłomne postanowienie.

Władysław potoczył okiem po komnacie.

— A — rzekł — jest i kanclerz litewski i starosta łomżyński.... to dobrze.... Zresztą, wszak to już głośno wszyscy mówią, jako Król zamachy czyni, spiski knowa, jako łamie zaprzysiężone pacta conventa.... Nie ma już w tem tajemnicy żadnej i dla nikogo!...

— Najjaśniejszy Panie! — z powagą ożwał się Opaliński — starym jest jako łabędź i w moim kandorze umrzeć chce, więc nie przestanę wedle sumienia prawdy mówić Królowi....

— Mów przeto ową prawdę! — zawałał Władysław — boć ja dotychczas jeno oszczero-  
stwa słyszę....

Po sędziwej twarzy p. Opalińskiego, przemknęła błyskawica oburzenia.

— Nie znały usta moje nigdy oszczerstwa — rzekł śmiało — a i teraz gdy je wkrótce może śmierć zawiążeć ma, plamić się niem nie będą.... Nie posądzam ja, jeno mówię to co w powszechnem jest mniemaniu. Stajemy tu nie jako seditiosi cives, lecz jako prawdziwi poddani, kochający Króla i ojczyznę.... Na to gościnne theatrum przynoszę ja i wszyscy, powinną submissyę Królowi, zachowując sobie wszakże wolność głosów przy nienaruszonej majestatu obserwancji....

Król pieść ściśniętą podniósł i ruszał się niecierpliwie a nie mogąc doczekać się końca przemowy, przerwał:

— O konkluzię proszę!

— Krótko więc mówić będę — rzekł marszałek. — Stwierdzoną już jest rzeczą, jako pan hetman koronny otrzymał od Tatarów pisma z zażaleniem, iż pan chorąży koronny Koniecpolski i książę Wiśniowiecki wojewoda ruski, wbrew pokojowym traktatom z siłą zbrojną przeciw nim expedycję czynią. Powszechnem zaś jest mniemaniem, iż dzieje się to nie w innym, jeno w tym celu, aby wbrew konstytucjom sejmowym, wojnę z Turcją zapalić.... Pan chorąży aż pod Oczakowem był a mając 4000 żołnierza, zabrał 50 jeńców

tatarskich i moc niezliczoną koni, wołów, owiec i wszelakiego dobytku. Xiażę Jeremi z całą armią 26000 liczącą, aż ku Perekopowi pomknął.... Wszystko to nie byłoby się stało, gdyby wola najwyższa....

— Więc mnie posądzasz marszałku? — przerwał Król.

— Nie jest to posądzenie — odparł Opaliński — stwierdzają je bowiem dowodnie inne oznaki; różne zagraniczne a tajemne legacye, od Papieża, od niektórych xiażat chrześciańskich, nawet od Greków....

Król milczał, jeno ścisnęła pieścią o kolano bił....

— Mówią — ciągnął Opaliński — jako się krucyata gotuje, aby Turków z Europy wypędzić....

Król podniósł głowę.... oczy mu zabłysły niezwykłym ogniem.

— A! — zawałał — i to jest crimen, który mnie zarzucacie, wy senatorowie, coście radą i poparciem tronu być winni!

— Sumienie inaczej nie pozwala.... — wtrącił cichym głosem xiażę Albrecht, szarpiąc według zwyczaju brodawkę na policzku — tak myślą wszystkie stany Rzplitej.... sejmy i konstytucye to wypowiedziały....

— Co powiedziały? — krzyknął Król z gniewem wielkim — krzyknęły veto! na

wszystko com chciał dla dobra i wielkości tej Rzplitej.... Cudzoziemskie wojsko znieść, za ciągi porozpuszczać, komput gwardyi zmniejszyć, kozaków gotujących się przeciw Tataram, powstrzymać!... to znaczy pozostawić tę Rzplitę na pastwę najazdów tatarskich, swawoli rozbudzonego kozactwa, zapędów zuchwałej szlachty.... to znaczy zamiast korzystać z potęgi, która w nas jest, zniszczyć ją w samym zarodzie! Zamiast rozszerzyć panowanie nasze wielkim bohaterskim czynem, zamiast iść z krzyżem przeciw groźnemu półksiężycowi, znaczy poledz bez walki, Króla swego na urąganie przyszłym pokoleniom oddać, położyć kres szczęśliwości naszej!

Król mówił z uniesieniem wielkiem a w miarę jak mówił, oblicze rozpromieniało mu się dziwnie; wyraz gniewu ustępował zwolna, a zapal olbrzymi, rozjaśniął wzrok przygasły dotąd, pierś zdawała się oddychać szerzej, swobodniej, postać prostowała się wyniosłe na krzesle, głos grzmiał przejmującą siłą....

— Odwołuję się — mówił Władysław dalej — do waszych sumień i experyencyi, marszałku koronny! i mości kanclerzu litewski! do twojej wypróbowanej mądrości apeluję kanclerzu koronny! wiecie wszystko, radźcie też, abyśmy nie zginęli!... Gdybyście wy, pociągną-

wszy przykładem swoim innych jeszczę, sta-  
nęli w okół mnie, w okół tronu a nie odmówi-  
wili poparcia przedsięwzięciom, które jeno  
dobro i potęgę Rzplitę na celu mają, naten-  
czas pierzchnęłyby chmury niebezpieczeństw,  
natenczas wrogowie nasi, widząc, jako naród  
z Królem swym idzie, zaniechali by zamysłów  
zdradzieckich, natenczas ja, oddając Bogu  
ducha moego, oddałbym w wasze ręce tę  
ojezynę szczęśliwą i wielką!...

Uniesienie Króla silnym wrażeniem od-  
biło się na słuchających, Władysław mówiąc  
przystał a wszyscy stali pograżeni w mil-  
czeniu i zadumie, nie płosząc uroczystej  
ciszy. Po długiej dopiero przerwie zabrał głos  
Ossoliński, przedstawiając raz jeszczę wszystkie  
niebezpieczeństwa od Tatarów i kozaków gro-  
żące; mówiąc jako otrzymał pisma prywatne  
z Ukrainy od starosty czerkaskiego Kazan-  
owskiego i od niejakiego szlachcica nazwiskiem  
Wodżbun, który badaniu spraw kozackich się  
poświęcił, i że tak Kazanowski jak ów Wodż-  
bun zgodnie donosili o nieochybnym wybu-  
chu buntu na wiosnę, że przeto należałyby  
niezwłocznie odwrócić tę burzę i wielką wojnę  
Tatarom i Turcyi deklarując, kozaków w czas  
na swoją przyciągać stronę. Przedstawił  
też wymownie wszystkie tej wojny korzyści  
i dał do zrozumienia, jako dzięki ofiarności

Króla i królowej, wszystko jeszcze na czas gotowe być może.... Król sam na Ukrainę jechać zamierza, osobiście z kozakami traktować będzie, byleby był pewny poparcia senatorów i przedniejszej szlachty....

Ostatnie wyrazy poruszyły znów silną opozycję.

— Widzę z przerażeniem — rzekł x. Albrecht, wciąż brodawkę szarpiąc — widzę najlepszy w tych słowach dowód, jako pomimo konstytucyj sejmowych i senatorów zdania, pomimo, iż sejmiki na zaciągi żołnierza odmówią subsydyów, — w cichej, potajemnie, przygotowywano wszystko ku wojnie.... A nie wiem jako pan kanclerz koronny tą gotowością chwalić się może, która wbrew woli Stanów jest....

Król błysnął gniewnym okiem na x. Albrechta, ale nie rzekł już nic. Jakby znużony uniesieniem i mową, opuścił teraz głowę na piersi i milcząc słuchał dyskussyi, jeno czasem do Ossolińskiego szeptał:

— Słyszysz wacpan, słyszysz.... wszystko daremne!

Mówił potem jeszcze długo p. Łukasz Opaliński, przedstawiając, jako on żadnych tak wielkich niebezpieczeństw nie widzi, Tatarowie bowiem to nie nowina i zwykłą siłą

odparci być mogą, kozacy zaś, to nie jest żadna potęga, którejby się obawiać należało.

— Chłopstwo do jam ucieknie rychło!... dodał x. kanclerz litewski a co po takim kozackim żołnierzu, choćby i na stronę Rzplitej był przeciagniony. Nie wierzę ja w taką alchemię co z chłopa szlachcica przerobić obiecuje.

— Gorsze stokroć niebezpieczeństwo — zakonkludował p. Opaliński — w nieposzanowaniu konstytucyj i woli narodu. Z boleścią serca widzim, jako różne traktaty — nawet z kozakami się czynią bez wiadomości senatorów, jako uniwersały i pisma różne pod prywatną pieczęcią królewską wydawane były. Nie dlatego bolejemy, iżbyśmy niedowierzali W. Król. Mości, którego miłość i zasługi dla Rzplitej i chęć dobrej woli wdzięcznem uznamy sercem, ale dla tego, iż to wszystko czyniono bez wiadomości Rzplitej i tych, których mu do boku prawo pospolite przyciągało. A już i tego nie zamilczę — dodał w końcu — iż to wszystko złe, nie za sprawą nieżyczliwości ku nam W. Król. Mości się stało, ale za poduszczeniem cudzoziemców, którzy do ucha Pańskiego łatwy przystęp znaleźli....

A na to Król znów głowę podniósł.

— I którzyż to są owi cudzoziemcy? — zapytał z gorzkiem szyderstwem.

— Wymieniać zda mi się rzeczą zbytectczną — odparł Opaliński — boć przecie wszystkim wiadomo jako poseł wenecki Tiepolo....

— Przecie odjechać mu kazano i odjechał.... przerwał Król.

— Zostawił wszakże zastępców.... hrabia Magnus i brat jego kapucyn O. Waleryan i sekretarz W. Król. Mości, Fantoni.... Pierwszą złego przyczyną jest rada tych cudzoziemców.... Ci złe konsylia W. Król. Mości dają, aby z cudzej fortuny żyć....

— Dość mości marszałku! — przerwał Król głosem osłabłym — wszak najmniejszemu z poddanych wolno mieć takich sług i takich przyjaciół, jacy mu najmilsi są?...

— Byleby oni na sprawy publiczne influencji nie mieli — wtrącił cichym głosem x. Albrecht. Nie mam ja nic przeciw O. Walerianowi, który świętobliwym mnichem jest, chociaż astrologią się bawi, co mi podejrzałem się być zdaje.... Wszakże tak upatrzyła sobie ojczyzna nasza, ażeby opieki nad nią nie mieli cudzoziemcy, którzy ku niej żadnego nie mają afektu.... Teraz zaś w rządy Wasze Miłościwy Królu wdzierają się nieznanome imiona....

Władysław dał znak kilkakrotnie ręką, jako pragnie i prosi o koniec tej dyskussji.

— Sporów już o to wznawiać nie chcę! — rzekł stanowczo — czyście jako uważacie.... pragnąłem wiedzieć wolę waszą raz jeszcze i oto ją słyszałem. Powtarzacie to, coście już przedtem mówili — nie chcecie wojny, nie chcecie czynić nic!...

— Nie chcemy! — powtórzył Opaliński — nie mogę brać ojczynny i jej losu na sumienie nasze. A nie racz nam Miłościwy Królu przyganiać, iż widząc jako czynności te, dające do wywołania wojny, schodzą ze ścieżki prawa pospolitego, tośmy ze wszelką obserwancją Majestatu przełożyli, prosząc, aby pacta conventa w swej całości zachowane były.... Co pro fide et conscientia powiedziawszy, życzę od Boga, aby tak zachował Majestat królewski, iżby też i całość prawa publicznego i ojczynny zachowaną była.

To mówiąc przystąpił p. Opaliński z wielką submissią wraz z x. Albrechtem do ucałowania ręki królewskiej. Władysław chmurnie milczał i głowy nawet nie podniósł.... jeno gdy już odchodziли rzekł stłumionym głosem:

— Pomnijcie, jakom was zaklinał i błągał, abyście inaczej postanowili!... Bogu was oddaję!...

Za Opalińskim i Radziwiłłem wyszli i inni, a jeden z pierwszych wymknął się

Radziejowski, zamyślony bardzo, z postanowieniem odstąpienia Króla w tych sprawach, które taką wywoływały opozycję. Z Królem pozostał jeno Ossoliński.

Władysław siedział ciągle z pochyloną głową w ponurych pogrążony myślach; oczy przymknął jakby w ducha skupieniu. Aż nagle oba ramiona podniósł do góry i z głęboką rozpaczą zawołał:

— Cała więc klątwa i narodu i pottomności na mnie spadnie! za to, że oni niebezpieczeństw widzieć nie chcą.... za to, że nie chcą widzieć, jako w otwartą lecą przepaść!... Dlaczegożeś i ty, mości kanclerzu, mnie odstąpił, gdy był czas jeszcze działać.... przed rokiem; dlaczegożeś listów przypowiednicz do rotmistrzów, aby werbunek poczynali, pieczętować nie chciał?... Tyś się salwował.... a mnie teraz p. Opaliński zarzuca, jako uniwersał pod pieczęcią prywatną wydawać kazałem....

— Miłościwy Panie! — odparł Ossoliński — musiałem tak uczynić, jak uczyniłem.... przygotowania wojenne zawcześnie publikowane zostały, co mogło groźny pożar wojny domowej zapalić.... uważałem też warunki weneckie przcz Tiepolego uzyskane za niekorzystne, skarb pieniędzy nie miał.... je-

den arsenał warszawski kosztował 180.000 talerów.... a cudzoziemskie zaciągi....

Król ręką machnął.

— Niech mi się zda — odparł — żem ja te kilkakroć sto tysięcy dla uciechy swej rozdał.... Wówczas wszakże łatwiej było, niż dziś.... teraz jam nędzarz, nie mam nic — a działać trzeba. Myślałem, że skoro panowie senatorowie niebezpieczeństwo ujrzą, to mi swoje własne gwardye i milicye, co je tylko dla blasku i dumy bezpozytecznie trzymają, oddadzą, a oni veto! krzyczą, choć już niemal nóż na gardle jest.... Przed rokiem nie było tak źle, jak powiadasz mości kanclerzu; miałem zapewnioną pomoc państw chrześciańskich. Signoria wenecka miała zapłacić 500.000 talerów i wojsko wysłać do Dalmacyi; z Moskwą zaczepno - odporne przymierze było gotowe.... Francja obiecywała subsydia pieniężne i posiłki, toż samo przyrzekali xiążęta niemieccy. Była zatem siła i poparcie. Mogłem mieć 52.000 ochotniczej kawaleryi, 100.000 kozaków zaporozkich — co mi Chmiel uroczystie był przyrzekł, 6000 rejestrowych kozaków, 30.000 kwarcianego wojska — a od hospodarów multańskiego i wołoskiego 50.000 ludzi.... Potężną armię postawić mogłem, a dziś?...

Król ręce załamał.

— Wielki Boże! — zawała — jeżeli już srogim wyrokiem Twoim postanowione było, aby syn mój jedyny zmarł, czegożeś mi go przed sejmem nie zabrał, a nie byłbym nigdy od zamiaru wojny odstąpił. Uczyniłem to dla syna, a oto wszystko okazało się daremnem.... Bóg dziecię moje wziął, wszystkie zamiary obróciły się w niwecz, a ja tchu już w pierśach i życia w ciele nie mam!....

Ostatnie słowa wypowiedział Król z tak przejmującą rozpaczą a oblicze jego wyrażało tak głębokie cierpienie, że Ossoliński przerążony, zbliżył się pospiesznie, pocieszać chcąc.

— Chory jestem — rzekł Władysław — mocno chory.... cierpię niewypowiedziane męczarnie na duszy i na ciele....

Milczał moment, a potem znów zwracając się ku kanclerzowi:

— Co czynić? — zawała. — Opuścić ręce i czekać niepewnego końca? Czy też....

— Nie! — przerwał Ossoliński z mocą. — Nie, Miłościwy Panie, trzeba nam teraz działać i działać stanowczo. Niepodobna się wahać, inaczej bowiem zginiemy pod ciężarem szlacheckiego veto! Pozwól mi Najjaśniejszy Panie mówić dziś jeszcze z innymi senatorami i posłami przedniejszymi, może też znajdziem gdzieindziej poparcie....

Wzrok Króla nową nadzieję zablysnął.

— Dobrze.... — rzekł — mów z nimi kanclerzu! a mów tak wymownie, abyś przekonał.... Ja ze swej strony z posłem greckim archimandrytą Teofanem, dziś może widzieć się będę u Kazanowskiego. Nie kazałem go u dworu przyjmować, bo tam tajemnicy dochować nie sposób, poseł zaś jutro odjechać ma. Będę więc u Kazanowskiego; gdyby co ważnego zaszło, daj znać mości kanclerzu....

To mówiąc Król dźwignął się z fotela i szedł ku drzwiom, ciągle przez Ossolińskiego wspierany.

— Chciałbym — mówił idąc — Radziejowskiego wyprawić raz jeszcze na Ukrainę, z instrukcjami do hetmana i starostów tamtejszych, dla zbadania co się teraz tam dzieje.... Radziejowski był tu, ale się wymknął a mówićbym z nim pragnął. Gdybyś go zobaczył, to mu powiedz, aby nie zwłoczając do drogi się gotował, niech też do Kazanowskiego dziś przybędzie, abym ustnie polecenia mu dać mógł....

Zmierzchł już zapadł zupełnie, gdy Władysław opuszczał pałac Ossolińskiego a zanim wyjechał, wysłany goniec poniósł do Kazanowskiego wiadomość, jako za moment Król przybędzie.

W mroku jesiennego wieczoru wysokie wieże Kazanowskich pałacu, zarysowywały

się ponuro na tle schmurzonego nieba, niby ramiona olbrzyma, w niemej wyciągnięte rozpacz. Z ciężkich ołowianych obłoków spadały zwolna, jakby leniwie na skrzepłą ziemię, małe płatki śniegu; wiatr zimny smagał po twarzy przechodniów, którzy nieledwie biegli po ulicach, nagłem przeniknięci zimnem. To też jakkolwiek pora nie była spóźniona, ulice niebawem wyludniły się zupełnie; wychodził ten jeno, kto musiał.

Pałac pograżony w ciemnościach nie zdawał się dziś spodziewać gości. W żadnym oknie nie można było dojrzeć świąteł; cisza też panowała głęboka a wszystkie bramy szczelnie były zamknięte.

Od strony miasta, u wielkiej bramy z ciosu, po nad głęboką fosą, napełnioną wodą, przy moście zwodzonym, chodziły uzbrojone straże. Miarowe ich kroki, po zmarzniętej ziemi rozchodziły się echem dokoła.

Pośród tej ciszy ozwał się zrazu daleki, stłumiony a potem coraz głośniejszy tętent koni. W dali, w pomroku, ukazała się wielka karoca, otoczona jezdnymi; przedem pędził goniec, który dopadłszy bramy pałacu przystał.... Straże zamieniły krótkie hasła, jeden z żołnierzy pobiegł wnet do wnętrza zamku a w tymże momencie bramę rozwarto na

oścież i żołnierze z berdyszami stanęli po obu stronach szeregiem...

Na chwilę przedtem Władysław Siciński wchodził na wezwanie do komnaty marszałka. Wspaniała komnata pograżona była w półcieniu. Od świeczników jeno złotych, stojących na olbrzymim, czarnym marmurowym kominie a przyćmionych gęstą osłoną, padały ukośnie blaski i pełzały po marmurowej posadzce, wysadzanej drobnymi kamyczkami barw rozmaitych, lśniły się miejscami na złotogłowiach, rozwieszonych po ścianach, odbijały w olbrzymich zwierciadłach, iskrzyły na złotych i srebrzystych ramach, i nikły w głębi komnaty, kiedy stało wspaniałe łóże weneckie pod baldachinem z bogatej i ciężkiej materyi. Nad kominem wisiał wizerunek wojewody Śluszki, a na głównej ścianie olbrzymi portret Halszki, jaśniejszej urodą, w sukni białej, z kwiatami we włosach i w dłoni.

Na wielkim stole hebanowym, ustawionym pośrodku komnaty, stało marmurowe popiersie Króla Władysława i leżało xiąg mnóstwo w kosztownych oprawach. Przy tym stole, naprzeciw królewskiego popiersia i owego portretu Halszki, siedział Kazanowski. Zgrzybiała jego, wychudzona postać, niknęła prawie w głębi olbrzymiego fotela z wysokimi poręczami. Na miękkich poduszkach wspierał

głowę; włosy w tył odrzucone, dobrze już przyprószone siwizną, odkrywały czoło poorane zmarszczkami i skronie zapadnięte. Odziany był w długą, powłoczystą suknię z perskiej materyi, która okrywała mu nogi, wyciągnięte i otulone w miękką flanelę. Prawą ręką nie-dbale na stół wyrzuconą, poruszał xięgi, wychudzonemi, sztywnemi palcami szarpał ich karty i okładki a czynił to machinalnie, bezwiednie. Oczy miał przymknięte, a twarz jego pochylona tak na poduszkach i wstecz cofnięta, z zapadniętymi policzkami, z brodą za-rośniętą siwiejącymi włosami, z półotwartymi a blademi ustami, do których przyrósł wyraz cierpienia, zdawaćby się mogła trupią, gdyby nie ten ruch palców gorączkowy, bezwiedny, zdradzający życie, wraz z oddechem trudnym i ciężkim, który zapadłą pierś podnosił. Lewa ręka opuszczona bezwładnie, spadała z poręczy fotela.

Cisza była w komnacie; jeno olbrzymi zegar, w rogu stojący, szemrał regularnie, wyrzucając z siebie co minuta gałkę złotą, którą sztucznym mechanizmem poruszające się małe pacholę, pięknie z hebanu utoczone, napowrót weń wkładało. Czasem też z ogniska, które dogorywało na kominie, rozpryskiwały się jeszcze iskry z popiołów, rzucając jaskrawe blaski na białą postać portretu, zda-

jąća się uśmiechać urodą i szczęściem i na wynędzniałą twarz marszałka, który wśród tego przepychu, konać się zdawał samotny...

Rozsunęła się z głucho chrzestem ciężka makata, pokrywająca podwoje i do komnaty wszedł Władysław. Zbliżył się do Kazanowskiego i z niekłamanem współczuciem spojrzał na chorego pana, który dlań zawsze był dobrym.

Kazanowski oczy otworzył.

— Władysławie — rzekł — wezwałem cię, bo oto niespodziane wieści otrzymałem. Z uczy od Ossolińskiego przybywa tu Król, przybędzie zaraz... Niespodziewałem się dzisiaj tych odwiedzin, i ciężkie mi są, bom chory... cierpię...

— Możeby też — wtrącił Władysław — prosić Króla, aby...

— Nie można — przerwał marszałek — nie można... ważne muszą być sprawy, skoro Król tak nagle sam przybywa, a snadź nie gdzieindziej jeno tu u mnie traktowane być mogą. Przybędzie także archimandryta Teofan i O. Waleryan i hrabia Magnus. Trzeba przeto spiesznie zarządzić wszystko... służbę zwołać, pozapalać światła... zaordnuj to wacpan, zaraz, natychmiast...

Mówiąc to p. Kazanowski dźwignął się i próbował powstać stękając.

— Na domiar — rzekł — przeklęta niemoc w nogi mi weszła — ano, muszę roz prostować się, aby na spotkanie Miłościwego Pana wyniósć... Ale waść idź... idź, spiesznie, — dodał widząc jako Władysław chce go pod ramię podniesać — i zaordynuj, aby wszystko w pięknym było porządku... Potem zaś wracaj, dopomożesz mi na spotkanie wyjść...

Siciński wybiegł, a był czas już ostatni; niebawem bowiem przez most zwodzony wto czyła się z hukiem wielka karoca królewska. Równocześnie w oknach gmachu zabłysły światła; na korytarzach i schodach słychać było przyspieszone stąpania zwołanych przez Władysława sług i dworzan... Jeden drugiemu podawał do ucha, szeptem, wiadomość:

— Król przybył!...

Tymczasem z karocy, powolnie, z trudem widocznym, wysiadał Władysław IV. Wszedł do wielkiej, wspaniałej sieni marmurowemi ozdobionej kolumnami, kiedy już cały szereg dworzan pana Kazanowskiego oczekiwał ze świecznikami gorejącymi w ręku. Stali oni uszykowani rzędem, od drzwi wchodowych, przez sień całą i na kobiercami usłanych schodach, które na piętra wiodły, gdzie najpiękniejsze były komnaty.

Król zatrzymał się pośrodku sieni. Stanął i okiem potoczył dokoła, jakby kogoś szukał.

W tymże momencie na schodach w górze ukazał się Kazanowski; obok niego postępował Siciński, wspierając go nieznacznie pod ramię. Kazanowski widocznie się spieszyl, trzęsącą się ręką, gorączkowo, chwytał poręcz strojnych schodów, ale mimo to szedł bardzo powoli; nogi mu drżały; stopy szukały schodów chwiejne, niepewne, a widocznie nie były posłuszne jego woli, bo miały dziwne wybryki, to odskakiwały zbyt daleko, to znów sunęły się tak ciężko, jakby ołowiane. Twarz Kazanowskiego wyrażała w tym momencie niecierpliwość i niepokój; policzki wystające, były zaczerwienione gorączką, oczy niezwykłym świeciły blaskiem.

Król podniósł wzrok i ze współczuciem patrzył na ulubieńca swego.

— Nie spiesz się! nie spiesz marszałku; — wołał. — Niespodzianie przybyłem, a nie zbyt na zdrowiu mocen, na schody iść mi nie sporo, toż sądzę, że snadziej w sali stołowej, na dole, pomówić możemy.

Kazanowski zdyszany, zeszedł już ze schodów i przypadł do ręki królewskiej.

Ale Władysław pochylić mu się nie dał, ujął w objęcia i uścisnął serdecznie.

— Mój dobry marszałku... — szepnął — obaj zda się nie mocni dziś jesteśmy, mnie podagra srodze za nogi chwyta, a ciebie...

— Mnie... mnie... — jąkał Kazanowski — nic mi nie jest, Miłościwy Panie, przeciwnie, teraz czuję się lepiej, znacznie lepiej...

Zaczem wziawszy z rąk jednego z dworzan, który nadbiegł na skinienie, laskę swą marszałkowską, raźniej nieco postąpił naprzód, przed Króla, i wzniósłszy laskę wysoko w górę, szedł ku drzwiom, które się wnet na oścież otwarły, dając wstęp do wielkiej, wspaniałej sali, stołową zwanej.

Wnętrze tej sali oświetlone już było rzęsiście olbrzymimi świecznikami szczerozłotymi o kilkunastu ramionach, a światło to pomnażało się jeszcze, odbijając w wielkich zwierciadłach, zawieszonych na ścianach. U góry, w pośrodku sali, od wielkiej korony złotej, zwieszał się najcudniejszy świecznik, bardzo kunsztownej roboty, wśród którego umieszczony zegar wskazywał godziny. Ściany wszystkie pokryte obiciami bardzo drogiemi: na tle złotem, wyrażony był tam bankiet królewski u Kazanowskiego, z wizerunkami Króla, królowej, posłów francuzkiego, rakuzkiego, hiszpańskiego, perskiego, tureckiego, licznych senatorów i cudzoziemców. Wokoło olbrzymiego stołu, ustawionego w pośrodku tej sali

stały rzędami stołki złotą skórą obite z herbami marszałka, przy ścianach i w kątach oraz między oknami, szafy wielkie pozłacane; w jednym zaś kącie szczerosrebrna baryła o czterdziestu garncach wina, na srebrnych kołach z obręczami złotemi. Ogromny, uśmiechnięty Bachus w wieńcu na głowie z czarą w ręku siedział na niej.

Król wszedł do sali za Kazanowskim, który ku najprzedniejszemu miejscu u stołu postąpiwszy, kiedy na podwyższeniu stało krzesło najbardziej ozdobne i największe, laskę spuściwszy ku ziemi, czekał z głębokim poklonem na Króla.

Władysław miejsce zajął, odetchnął z głębi piersi i rzekł:

— Przybywam tu do ciebie mój marszałku, pokrzepienia szukać — bo mi tam na owej uczcie u Ossolińskiego, taką wrzawą napelniono uszy, a taką boleścią serce, iż nie wiem jako jeszcze zdzierżec się mogę od rozpaczys...

— Czy nowe jakie relacyje z Ukrainy? — zagadnął Kazanowski.

Król ręką skinął.

— Nowe nie są, ale potwierdzenie dawnych, najgorszych. Wiesz już, jako Koniecpolski chorąży koronny i Jeremi Wiśniowiecki zebrawszy wojsko, wyruszyli na Tatarów. Mó-

wią teraz, że pan chorąży aż pod Oczakowem był, a Wiśniowiecki z całą armią ku Pereko-powi pomknął... Zdawało się zrazu, iż han Islam Gerej, mścić się nie będzie, ile że buntem w Krymie zaskoczony, miał u siebie dość roboty z Nohajcami. Ale oto bunt ów już ustął, a han, według relacji, jakie Ossoliński dziś otrzymał, zwołał murzów na naradę i otrzymawszy pozwolenie sułtana, na wiosnę w granicę Rzpltej wkroczyć zamierza... Tymczasem Chmielnicki, który niby Ossolińskiemu przyrzeczenia czynił, w wyraźnym jest buncie. Siedzi na swoim ostrowie dniepropowym, tam wszystkich starszych zaporozców wzywa i spi-ski knowa, z Tatarami się znowi i z nimi już formalny układ zawrzeć chce, a syna swego Tymoszka hanowi w zakład oddał.

— A przecież listy pisze i do W. Król. Mości i do hetmanów...

— Podstępne, zuchwałe listy! — zwołał Król z mocą. Warunki już nam dyktować się uważa, a to zuchwałstwo świadczy, jako siłę za sobą czuje...

Zamyslił się moment posępnie, głowę pochylił na piersi, a potem rzekł:

— Nie tego chciałem... Bóg widzi! — nie tego! Myśli wielkich pełną miałem duszę, a oto na co przyszło!... Czuję przed sobą klęskę — nieznana trwoga mię napada, że

niewiem, dokąd bym się udał, aby ratunek znaleźć...

— Miłościwy Panie — wtrącił Kazanowski przejęty całym współczuciem dla widocznej bolesci Króla — te czarne myśli odpędzić należy, wszak jeszcze wszystko na dobry koniec obrócić się może...

Król uśmiechnął się gorzko.

— Ty jeden, marszałku, pocieszyć mię chcesz, a nawet...

Tu się strzymał i po chwili, znałgał:

— Żali Jadwiżka nie odjechała jeszcze do Merecza? — zagadnął.

— Zda mi się, że nie... odparł Kazanowski.

— Ona mi smutne sny opowiada, mówił dalej Władysław, — ale może jedynie prawdziwe!... czasem mówi tak, jakby złe przeczucia w myślach moich czytała... Chciałbym ją widzieć przed wyjazdem... Zawiezwij ją, marszałku, aby tu przyszła...

Kazanowski z pewną niechęcią, ale zadość uczynił rozkazom królewskim, wysławszy gońca po znaną w Warszawie starościnę Nurską, która niedawno z Litwy na wezwanie Króla przybyła.

Władysław cały w myślach pogranżony mówił tymczasem, jakby sam do siebie:

— Gdyby nie ten sejm! gdyby nie te konstytucye, które mi całą odebrały władzę:

kazano rozpuścić zaciągi, gwardyę moją zmniejszyć, nie chciano królowej zwrócić nawet tego co z funduszów własnych na zaciągi wydała!... Gdyby nie to... jeszcze byłby czas! Zebrać silną armię, natchnąć zapałem żołnierzy, wielką wyprawę krzyżową ogłosić, rzucić się na Turcję, zgnieść ją... pognębić, i na gruzach ottomańskiej potęgi, swoją ugruntować!... I kozactwo poszło by jeszcze z nami...

Strzynał się znowu, podniósł rękę do góry, kilka razy uczynił nią taki ruch w powietrzu, jakby chciał marę odegnąć i zaśmiała się z goryczą:

— Cha, cha, cha! szalone myśli — zawałał — I ty się nie śmiejesz, marszałku? Dziwna rzecz... Śmiał się nawet ze mnie w swej mądrości pan kanclerz Ossoliński, chociaż teraz widzi, uznaje konieczność wojny... Ale dla czegoż odstąpił mię wówczas, gdy jeszcze opór sejmu, opór szlachty można było przełamać!... Dziś cokolwiek się stanie, krzykną: Król winien! szedł przeciw woli narodu, łamał konstytucję, wbrew zakazom sejmowym czynił potajemnie zaciągi!... I oto rezultat kilkunastoletniego panowania...

— Królu mój miłościwy — wtrącił znów Kazanowski — pocóż się dręczyć tak srogiem przeczuciem...

— A jak się nie dręczyć! — przerwał z uniesieniem Władysław — jak się nie dręczyć, gdy znikąd pokrzepienia nie widać?... Gdybyś słyszał co mi dziś Opaliński i Radziwiłł gadali! Odstąpiło mię wszystko, zdradzili najwierniejsi...

Kazanowski pochylił się do ręki królewskiej i głosem stłumionym, rzewnym, przemówił:

— Jam cię Królu nie zdradził...

— O nie! — z mocą zwołał Król — tyś mi zawszy wierny, tyś mi najlepszy przyjaciel... Tożeśmy oba od młodości idąc razem, zaszli nad przepaść i stoimy teraz samotni, jako rozbitki... Obu nas gnębi choroba, oba patrzym rychło-li kres żywota przyjdzie i męczarnie się skończą... Ano, co do mnie, czuję że rychło...

— Nie mówcie tak, Miłościwy Panie! — przerwał Kazanowski z niewymownem wzruszeniem i jakby lękiem w głosie — żywot Wasz Królu, to jedyna nadzieja całej Rzpltej, to warunek jej szczęścia. A czyjaż prawica jeżeli nie Władysława IV odwróci grożące niebezpieczeństwa?...

Po zблadłej twarzy Króla przebiegły błysk uniesienia; zamglone oczy zapalały na moment.

— Tak! — rzekł — pragnąłbym żyć jeszcze, po to jeno, aby oko w oko spotkać się

z tą burzą, która nadciąga. Znalazłbym jeszcze w sobie dość siły, aby się z nią mierzyć; i chcę to uczynić!... Ossoliński miał dziś mówić z wielu senatorami i posłami, miał im choć w części odkryć konieczność wojny, niebezpieczeństwa grożące od kozaków, jeżeli ich nie użyjemy sami... Gdybym jeno miał kilka poważnych głosów za sobą, gdyby mię oni nie odstąpili w czas ostatni, tobym jeszcze spróbował... Podążyłbym sam na Ukrainę, na Zaporozie, i stanął pośród kozactwa, a wówczas obaczylibyśmy za kim pójdą... za mną, czy też za Chmielem...

— O skutku wątpić niepodobna — wtrącił Kazanowski — i to jedno co uczynić należy...

— Obaczmy — dodał Król — może też Ossoliński jaką pomyślną wiadomość przyniesie...

Jakby w odpowiedź na słowa królewskie, rozległ się w tymże momencie turkot zajeżdżającego przed pałac pojazdu, ruch się zwrócił w antykamerze, podwoje się otwarły i wszedł dworzanin oznajmiając:

— Pan kanclerz wielki koronny!

Król z podziwu rzucił się na krzesło.

— Muszą być fatalne wieści — zawała skoro Ossoliński tak rychło i sam przybywa...

Rzeczywiście przybycie to było rzeczą zgoła niezwykłą i niespodziewaną. Od kiedy animozja sroga rozdzieliła kanclerza z Kazanowskim, widywali się oni chyba z konieczności, bywali u siebie jeno dla pozoru, na ucztach i wielkich bankietach, lecz nie mówili prawie nigdy z sobą. Kazanowski usłyszałszy też nazwisko nienawistnego sobie współzawodnika, który przybywał o niezwykłej porze, żachnął się niecierpliwie, ale wnet powstać musiał na powitanie, bo Ossoliński już wchodził.

Kanclerz przystał nieco i pochyliwszy głowę przed Królem, który go powitał skinieniem, a wzrokiem niespokojnym badał, rzekł do zbliżającego się z trudem marszałka, na którego bladem obliczu wyraźne malowało się nieukontentowanie:

— Przebacz, mości marszałku, że bez inwitacji i w czas niewłaściwy przychodzę... mniemam wszakże, jako obecnie, gdy nam radzić trzeba i około tronu Miłościwego Pana naszego stać społem, animozye osobiste winniśmy odłożyć... zapomnieć o nich. Przejęty podziwem dla wspaniałomyślności waszej, gdym się oto dowiedział, jako po raz wtóry fortunę waszą złożyliście Panu naszemu na potrzeby wojenne...

— Tak! tak! — wołał Król, z widocznem zadowoleniem tych słów kanclerza słuchając.

— Mości kanclerzu! — przerwał Kazanowski — powinność to moja, którą spełniłem... przeto...

— Przeto — przerwał Ossoliński — przychodzę pierwszy podać wam rękę, mości marszałku, i prosić o zapomnienie uraz, jako ja moich zapomniałem...

To mówiąc, dłoń wyciągnął i uścisnął wszy prawicę marszałka, szedł już prosto ku Królowi, nie czekając Kazanowskiego responsu, jakby uczyniwszy to, co za konieczne uważały, nie dbał o rezultat słów swoich.

Rezultat ten też nie musiał być bardzo pomyślnym, bo twarz Kazanowskiego ciągle schmurzona, uczuć pojednania z dawnym współzawodnikiem nie wyrażała wcale.

— Najjaśniejszy Panie — mówił dalej kanclerz pospiesznie, zbliżywszy się do Króla i zajawszy przy nim miejsce — przybywam niespodziewanie rychło, zwiastować Waszej Król. Mości niepomyślny eventus moich zbiegów...

— Niepomyślny! — zawała Król — tegom się też spodziewał...

— Mówiłem z wieloma — kończył Ossoliński — ale nikt od zasady sejmowej i konsty-

tucyj zapadłych odstąpić nie chce... Wszyscy powtarzają to samo co Opaliński i Radziwiłł!

— A powiedziałeś-że im, kanclerzu — spytał Król — o wieściach z Ukrainy, o Chmielnickiego zmowach, o grożącym napadzie Tatarów?...

— Mówiłem... — odparł Ossoliński ze wzgardliwym wyrazem na ustach — mówiłem wszystko — ano, nie wierzą... — „Chłopstwo do jam zapędzim rychło!“ — wołają. — To wszystko pozory wasze, aby dojść do absolutum dominium, aby samowolnie módz czynić zaciągi, gwardye powiększać... Powtarzają, co już tylekroć było mówione...

Król oba ramiona podniósł do góry.

— Klęska! klęska nieuchronna! — zawołał. — Boże ulituj się! A cóż senatorowie? — zapytał.

— Senatorowie?... powtórzył Ossoliński, i uśmiech pogardy wybiegł mu na usta. — Senatorowie to samo mówią co posłowie, a wszyscy to samo, co szlachta na sejmikach: jednogłośne veto!... Gdym jeno dał do zrozumienia, że cofać się za późno, że pomimo zakazów konstytucyj, ofiarnością W. Król. Mości, królowej i takich — dodał kanclerz z ukłonem — jak pan marszałek nadworny, mężów, wszystko może być gotowe, jedni z przerażeniem spojrzeli na siebie, drudzy nie ledwie

„zdrada!“ krzyczeli, a inni zapragnęli sami powiedzieć ci, Najjaśniejszy Panie, jako na takie samowolne zachczenia pozwolić nie mogą...

Król słuchał, patrząc nieruchomo przed siebie.

— Była to więc — kończył Ossoliński — ostatnia próba...

— Próba? przerwał Król — a po tej próbie co?

— Pójdziemy bez oglądania się na nic! zwołał Ossoliński. I my krzykniemy veto!

Władysław pochylił głowę na piersi i oddychał z trudem, jak gdyby mu tchu brakło.

— Wbrew woli narodu... szeptał — wbrew woli narodu... ciężko, bardzo ciężko!

Posepna cisza zalednia komnatę. Król milczał pograżony w zadumie, jeno pięścią ściśniętą od czasu do czasu uderzał po stole...

— Miłościwy Królu — ożwał się znowu Ossoliński — a cóż znaczy ta wola narodu, gdy ona w swawolę się przeradza i do nie-woli wiedzie?... Nadszedł czas, że należy siłą, wszelkimi sposoby, zgnieść to veto szla-checkie, które wszystkiemu na zawadzie staje. Nie zwalczym go, to zgniemy, a zgniemy także, jeśli walczyć nie będę... Wszystko jedno! Jeśli zaś zwyciężymy, to imię Twoje Najjaśniejszy Panie po wiek wieków jaśnieć będzie, a uwielbi je wdzięczna potomność

tej samej szlachty, która dziś groźne przeciw zamiarom Twoim wykrzykuje veto!...

Król upajał się widocznie słowami kanclerza; pierś oddychać poczęła swobodniej, oko znów zabłysło.

— Tak.... tak.... — powtarzał. — Kto wie? Może też orężowi chrześciańskiemu pobłogosławi Bóg przeciw potędze niewiernych!... Pomocy nam i teraz jeszcze nie braknie; otrzymałem wieści jako hospodarowie wołoski i multański się zbroją.... będą bronić Turkom przeprawy przez Dunaj.... Od cesarza marokkańskiego i konstantynopolitańskiego patryarchy, również pocieszające są poselstwa.... poseł grecki ofiaruje mi koronę Bułgaryi i 40.000 ludzi, byleby jeno ich w poddaństwo przyjąć i namiestnika swego tam posłać.... Wenecya daje subsydya pieniężne, Francja również posiłki przyczeka.... Były kozacy nie zawiedli..... Toż trzeba niezwłocznie gońców tam słać.... Z Radziejowskim mówiłeś?... zapytał Król zwracając się żywo ku kanclerzowi.

Ossoliński się zawahał.

— Radziejowski — odrzekł po chwili — nie daje stanowczego responsu. Na niego widoczny wpływ ma opozycja powszechna. Gdy mu przedstawiał, jako on najlepiej misję spełnić może, ile że Ukrainę zna i odprawo-

wał już raz poselstwo, deklarował mi, jako się lęka, aby i ta jego pierwsza podróż, gdyby się wydała, nie sprowadziła nań wzgardy i kłatywy narodu....

— Więc nie chce! — krzyknął Król uderzając w stół pięścią.... Taki młodzienaszek nieledwie a już się przeciw wolinej buntuje.... poselstwa mego przyjąć nie chce!.... więc kogoż tam słać?...

— Racz Miłościwy Panie, mego dworzanina, Sicińskiego, wyprawić — przemówił Kazanowski — za sprawność jego i wierność ręczę.... jego podrózy nie zauważy nikt — a z pełnomocnictwem królewskiem znaczyć on będzie na Ukrainie to samo, co i Radziejowski.

Król się zamyślił.

— Dziwna rzecz — rzekł po chwili — jako te sprawy spadają.... pierwsze poselstwo sprawował sam pan kanclerz koronny.... dziś już jechać nie może, bo cała Rzplta bunt by podniósła; — nie chce też jechać taki młody starosta łomżyński, bo i jemu teraz się zdaje, że jest zanadto widoczny, aby się narodowi narażać.... Więc owego Sicińskiego wysłać trzeba.... Niech jedzie, nie zwłóczę! Ty mości kanclerzu, spisz obszerną instrukcję; społem ze starostą czerkaskim Kazanowskim, ma zbadać krzywdy, na które użalają się kozacy

i przyrzec w imieniu królewskiem najzupełniejsze zaspokojenie. Hetman Potocki niech z wojskiem kwarcianem pogotowiu będzie ale niech się nie rusza, aby kozaków nie drażnić. Ja tam na wiosnę, jeśli potrzeba się okaże, przybędę sam. Do Moskwy też, mości kanclerzu, pisać trzeba, aby przyrzeczone posiłki w czas przysłała....

Mówiąc to Król widocznie się ożywiał; z oczu strzelały mu iskry uniesienia a w zapale tem zapominać się zdawał o chorobie i cierpieniu, które od czasu do czasu odbijało się skrzywieniem na jego obliczu. Mówił tak jeszcze długo i naradzał się z Ossolińskim, układając cały plan wojenny a przyzwawszy Sicińskiego, szczegółowe, ustne polecenia mu dawał, jako zachować się ma i spełnić to trudne poselstwo.

— Jeżeli mi się waść wywiążesz sztucznie z missyi powierzonej — rzekł wreszcie Król do Sicińskiego — to mojej łaski możesz być pewny, — bacz jeno pilnie, abyś mego zaufania nie zawiódł i okazał się godnym tego świadectwa, jakie ci pan marszałek dał, polecając twoą sprawność i wierność....

Siciński słuchał i uszom własnym wierzyć nie chciał.... Nareszcie stawał u szczytu swych marzeń w tym właśnie momencie, gdy mu się zdawało, jako najdalej jest od nich.

Otrzymywał missyę, która go mogła od razu wydzwignąć i postanowił ją spełnić wiernie, pewien, że Król wdzięcznym okazać się potrafi. A nie były to już zwykłe intrypy dworskie, lecz sprawą doniosłego znaczenia, która na losy całej Rzeczypospolitej wpływać mogła.... Nie trwożyła go też wcale myśl, żali zdoła trudne spełnić poselstwo: wierzył w swoje własne siły i czuł, że obrotnym okazać się potrafi.

W uczuciu radości, jaka mu zaświtała, pozbył się od razu wszelkich trapiących myśli i wracał spiesznie do swego mieszkania, aby tam jeszcze w ciszy i uspokojeniu nad poleciением królewskiem się zastanowić i ułożyć cały plan podróży. Wybiegł pędem na korytarz, który przebyć mu należało, aby dojść do skrzydła pałacu, kiedy mieszkanie miał, gdy nagle z wielkim zdziwieniem ujrzał w dali jakąś postać, która snadź korzystając z mroków wieczornych, chyłkiem a spiesznie pod mur się przemykała, skierowując w tę stronę, kiedy były Halszki komnaty.

Z uczty Ossolińskiego wróciła Halszka wcześniej, niż się spodziewano i natychmiast zamknęła się w swojej komnacie. Rozmowa z królewicem poruszyła ją więcej, niż przewidywać mogła. Ona sądziła, że serce jej zamknęło się już stanowczo dla uczuć wszelkich, a oto słów kilka, wyrzeczonych przez króle-

wica, obecność jego, wzrok i brzmienie głosu, odebrały jej niemal przytomność.... Co czynić? i jak się bronić przeciw niebezpieczeństwstwu, które ukazywało się jej teraz tak bliskiem i groźnym? Bronić się, to cierpieć okrutnie.... a uledz, to cierpieć także, ale serce spragnione uczucia, rwało się całą potęgą ku tym cierpieniom, opromienionym tęczowemi barwy niedoznanych rozkoszy....

Siciński widział powracającą Halszkę. Powrót jej tak nagły zwrócił już jego uwagę, zwłaszcza, że ujrzał w przechodzie twarz jej bladą, zmienioną, pełną niezwykłego pomięszania. Zoczywszy teraz ową tajemniczą postać, przemykającą się ku komnatom Halszki, zadrżała mimowoli. Złowrogie jakieś przeczucie ścisnęło mu serce.

W pierwszym momencie chciał gonić i przekonać się ktoby to był, ale się strzymał na myśl, jako tem mógł niepotrzebny rozgłos wywołać, bez żadnej dla siebie korzyści. Lepiej było śledzić potajemnie, nie dając po sobie poznać, iż cokolwiek dostrzegł. Postać przemknęła chyzo, niknąc w oddali, a Siciński z bijącym sercem przystanął, skrył się w ciemnym zakręcie korytarza i czekał. Nie było wątpliwości, iż owa postać szła ku Halszki komnatom, ile że korytarz ten do nich jeno prowadził; powracając zaś musiała przechodzić

obok kryjówki Sicińskiego, który w ten sposób mógł się snadnie przekonać, żali podejrzania jego były ugruntowane.

— Jeżeli to — myślał — Tyzenhauz, rękodajny pokojowiec królewica, lub pacholik Sokoł, to już na pewne dawne porozumienie wraca.... Tedy baczne trzeba mieć oko....

Nie długo czekał. Na samym końcu korytarza otwarły się nagle podwoje i struga światła padła z nich na ciemną przestrzeń, opromieniając dwie stojące we drzwiach postacie. Jedna niewieścia, wspaniała, wyniosła.... poznalby ją zdala Siciński pośród innych tysiąca: — to Halszka! a przed nią w kornej postawie stał smukły młodzian, którego gibka, zgrabna postawa zarysowała się wyraźnie na tle owej smugi światła promiennej. I jego od razu teraz poznał Władysław. Był to Tyzenhauz, zaufany pokojowiec królewica, młodzian hoły i przystojny, o którego sukcesach śród niewiast w okolicy i fraucymeru królowej, dziwy rozpowiadano.

Siciński go nie cierpiał. Zazdrościł mu wesołości jego ustawicznej, zazdrościł uśmiechu, który z lic jego rumianych nie schodził, zawiązał miłości ludzkiej, którą Tyzenhauz po-wszechnie posiadał. Z rozmaitych intryg miłośnych, w jakie się młody dworzanin królewicowski często nieopatrznie płatał, wy-

chodził on zawsze ręką obronną a taki był ujmujący i taki śliczny w zgrabnym stroju szwedzkim, tak pogodnie i łagodnie patrzył szafrowemi oczyma, a tak słodko się uśmiechał, że mu nawet niewiasty niestałości jego za złe brać nie mogły. Tkliwszego serca płakały a on je łagodnie pocieszał, przedstawiając wcale rozumnie, jako na tym świecie nic trwałego być nie może. Mężowie jeno i współzawodnicy, zawsze pokonani, krzywili się czasem — ano, i tych Tyzenhauz rozbroić umiał układnością swą i grzecznem obejściem.

— Zła to już sprawa — mruknął przez zęby Siciński — skoro to strojne paniątko tu zachodzi....

W tym momencie uleciało mu z pamięci wszystko, czem był dotychczas tak pilnie zajęty: polecenie królewskie i podróż na Ukrainę, cała sprawa jego przyszłości ustąpiła w tej chwili miejsca gwałtownemu wstrząśnieniu z powodu podejrzeń, jakie jego sercem miotały. Nie mogąc dosłyszeć słów rozmowy wyszedł z kryjówki i pospiesznie a cicho jak cień, pomknął ku wyjściu z korytarza, kiedy z Tyzenhauzem spotkać się zamierzył.

— Wybadać go muszę.... — myślał — a jeśli mi nie powie, to z jego delikatnego oblicza czarną zdradę odgadnę....

Za chwilę Tyzenhauz wychodził i mimo-wolnie zadrżał, gdy Siciński, idąc ze strony przeciwej, pozdrowił go na pozór uprzejmie.

— A! — rzekł — niespodziewanego gościa o tej porze witam.... cóż to wacpana do nas sprowadza?...

Tyzenhauz już się był z chwilowego pomieszania obaczył.

— Przybyłem tu — odparł — z dworzanami królewskimi, a zabłąkałem się szukając wacpana, mości Siciński, aby was prosić, byście pana marszałka uwiadomić zechcieli, jako królewic jutro tu przybędzie....

— A! — zawała znów Władysław i uśmiechnął się szyderczo. Jego Królewicowska Mość już się snadź znudził samotnością, bo oto słyszę, że dziś i u pana kanclerza w gościu był.... Skończyło się już pono zakonne rozmyślanie....

Tyzenhauz ręką machnął.

— Biedny pan! — rzekł. — Dusza niespokojna, czynu pragnąca a skrępowana. Powiem wacpanu — dodał, postępując zwolna obok Sicińskiego, — jako bym nie mieniał mojej kondycji na taką królewicowską purpureę....

— To pewna rzecz! — zawała śmiejąc się Władysław — purpura niewygodna jest, zwłaszcza z kardynalskim kapeluszem lub

kapturem mniszym, który już zgoła nie może być przynętą dla niewiast.... Dworzaninowi takiemu jak wacpan, to łatwo wszędzie samemu trafić, a królewic, zwłaszcza zaś kardynał i exjezuita, to chyba jeno za pośrednictwem dworzanina trafia a to już zawždy trudniej i spudłować można.....

Tyzenhauz zwrócił się szybko ku Sicińskiemu, ale w ciemnościach wyrazu jego oblicza dostrzędz nie mógł; raził go jeno głos dziwnie szyderski i drwiący. Instynktem przeczuwał niebezpieczeństwo i podstęp.

— Ano — odrzekł po chwili śmiejąc się swobodnie — w sprawach niewieścich, to już królewic pono zobojętniał zupełnie a nietylko zobojętniał, lecz skamieniał; — jeszcze go nigdy tak surowym pod tym względem dla innych nie widział. Że tam o mnie różne dziwa ludziska plotą, to już się był i na mnie za to rozsierdził, piekłem grożąc w wieczności, a wypędzeniem ze dworu swego w doczesnym żywocie.....

Podczas tej rozmowy, idąc ciągle, zwróciłi się w inny korytarz i stanęli u drzwi mieszkania Sicińskiego. Władysław otworzył podwoje.

— Darujcie — rzekł z uprzejmym ukłonem — jeżeli śmiem do siebie inwitować....

ale może spocząć zechcecie... skoroście się tu przypadkiem zabłąkali....

Tyzenhauz zawahał się moment. Inwitacya ta nie była mu snadź pożądana, ale z drugiej strony ton mowy Sicińskiego przejmował go jakąś obawą, wyrażała istnienie podejrzeń, które co rychlej usunąć należało.

— A może ten chytry Kazanowskiego powiernik — pomyślał — widział mię jakem do pięknej Halszki szedł? Spenetrować to trzeba....

Ta myśl skłoniła go, iż inwitacyję Sicińskiego przyjął i wszedłszy do wnętrza komnaty bardzo ozdobnie urządzonej, począł się z zajęciem wszystkiemu przyglądać i chwalić.

— Zazdroszczę wacpanu — rzekł — służę macie lekką a miłą, łaski tak potężnego jak marszałek nadworny pana, mieszkanie piękne a dostatnie, sąsiedztwo zaś takie, że oszaleć można z rozkoszy....

— Jakie sąsiedztwo? — spytał Władysław.

— Ano, takie, że podobnego mu w całej Rzpltej nie znaleźć.... wszak pani marszałkowa z najpiękniejszych najpiękniejsza....

I mówił dalej swobodnie, przenikliwym wzrokiem na Sicińskiego patrząc:

— Widziałem ją przed chwilą i rozmawiałem z nią nawet...;

— Jakto? — zawała Siciński z udanem zdziwieniem — mówiliście z marszałkową? o tej porze?

— Klamca doskonały — pomyślał Tyzenhauz — albo też może rzeczywiście nic nie dostrzegł.

— Ano, — rzekł głośno — nie spuszczając z oka twarzy Władysława — mówiłem wam, jakom się tu w tych ciemnych korytarzach zabłąkałem.... pusto było wszędzy, bo dworzanie wszyscy skupili się w antykamerze z królewską służbą, więc szedłem po omacku, aż zaszedłem na koniec korytarza, kiedy drzwi się nagle otwarły, a ja znalazłem się w obec cudownej jejmości, która zoczywszy mnie omal nie krzyknęła....

— Przecie wacpan nie straszny.... zaśmiał się Władysław.

— W dzień nie.... ale w nocy oczy moje pono błyszczą jak kocie — śmiejąc się również odrzekł Tyzenhauz, potrząsając bujnemi, jasnemi kędziorami włosów, które mu aż na ramiona spadały — więc ją tedy przepraszać jałem, submitując się kornie i tłomacząc, że chciałem jeno wacpanu, jako najbliższemu powiernikowi pana marszałka, zwia-stować, iż królewic jutro odwiedzić go pragnie, co pani Kazanowska uprzejmie przyjąć raczyła....

Siciński oczy ku ziemi spuścił.

— Mądry z ciebie gracz, myślał, ale się twoja sztuka nie udałacale, bo stara jest.... Jeszcze mię Godziemba, niech z Bogiem spoczywa, uczył, jako najlepiej jest fałsz w cześć prawdy ubrać, aby całej prawdzie ucieczkę ułatwić.... Ale przedemną nie ujdzie....

Zaczem po krótkiej jeszcze, obojętnej rozmowie, rozeszli się młodzi dworzanie, zapewniając siebie wzajem o szczerych i przyjaznych sentymentach.

Ale Tyzenhauz nie bez obawy do królewica powracał. W słowach Sicińskiego i w wyrzanie jego twarzy przeczuwał zdradę; domyślał się, że był śledzonym a może odgadniętym i to go przejmowało trwogą. Postanowił wszakże o obawach swoich nie wspominać nic królewicowi, aby jego zmartwień już i tak srogich jeszcze nie pomnażać.

Jan Kazimierz czekał na powrót Tyzenhauza w Zamku królewskim, jakkolwiek od czasu powrotu swego z Rzymu nie mieszkał tu prawie nigdy, zwłaszcza gdy Król, straciwszy serce do brata, apartamenta jego oddał ulubieńcowi swemu, hrabiemu Magnusowi, na mieszkanie dla królewica tak zwaną dziękanię przeznaczając. Rezydencyi tej królewic przyjąć nie chciał i zmusił Magnusa do ustąpienia, ale zagniewany na Króla, prze-

bywał najczęściej w zamku swym Nieporęcie, o trzy mile od stolicy odległym.

Tego jednak wieczora nie wracał już do Nieporętu, lecz wysławszy Tyzenhauza, w wielkim wzburzeniu i niepokoju oczekując jego powrotu, siedząc samotnie w komnacie, którą jeszcze w latach młodzieńczych zajmował, a w której w przeddzień elekcji brata, oową rozmowę z o. Polikarpem miał i usłyszał słowa mnicha, zwiastujące mu w przyszłości ciężką do dźwigania koronę, a przestrzegające przed występnią miłością.

Mrok niemal zupełny zalegał dużą, sklepioną komnatę. Dwa złociste świeczniki na kominie ustawione, przysłonięte były umyślnie, że jeno niepewne błyski migotały na ciemnych obiciach z ciężkiej, spłowiałej materyi. Urządzenie tej komnaty było niemal ubogie; sprzętów mało, kosztowności żadnych ani obrazów, jeno nad małym żołnierskiem łóżem, wisiał piękny krucyfix z rozpiętem ciałem Zbawiciela, ku któremu jak ongi w przeddzień elekcji Władysława, Kazimierz korny a błagalny chwilami wzrok podnosił.

Wówczas — przed laty — marzył on o ciszy zakonnej.... mniemał, że świat rzuciwszy, rzuci zarazem wszelkie pożądania, pozbędzie się niepokoju, który mu duszę targał, — ano, nadaremnie! Życie mu dało

upokorzeń mnóstwo; marzył o sławnych czynach wojennych, a los wtrącił go do więzienia, kazał znosić potwarze i urągowiska. Szukał uspokojenia w ciszy zakonnej; lecz w tej ciszy głośniejszem mu się zdało jeszcze wołanie jego duszy, spragnionej czynu, tryumfów, znaczenia, rozkoszy. Więc chciał zabolysnąć najwyższem dycygnitarstwem w Kościele, ale i tu żądano, aby się wyrzekł godności i tytułu królewica, kazano mu się zaprzecić krwi xiążęcej, która burzyła się, czując swą wyższość.... Więc i to rzucił — a wróciwszy do kraju, znalezł niechęć brata, pustkę wokoło siebie, nędzę na królewskim dworze, brak środków do przyzwoitego stanowi utrzymania....

Zamknął się tedy w Nieporęcie, otoczył ciszą niby klasztorną i tak chciał czekać przyszłości....

Zrazu o Halszcze nie myślał prawie nigdy. Zdawało mu się, że uczucie, które obudziło się niegdyś dla niej, na zawszy się w jego sercu zatarło.... już nawet we snach postać jej nie stawała przed nim. Aż nagle jedno przypadkowe spotkanie się, jedno spojrzenie przelotne, odnowiło jaskrawemi barwy, zacierający się w jego sercu obraz.... Odtąd obraz ten snuł mu się ciągle przed oczyma, pojawiał się w chwilach rozrzesznienia lub

tęsknoty, jak dalekie ale drogie sercu odbicie, nieskażone niczem, zawsze jasne, bo opromiennione urokiem pierwszych dni młodości....

Odtąd Jan Kazimierz ścigać począł Halszkę ognistem spojrzeniem a nie mogąc uzyskać od niej chwili swobodniejszej rozmowy, słał jej listy przez zaufanych posłów, Sokolika lub Tyzenhauza, w których spowiadał się przed nią ze wszystkich smutków i uczuć duszy. Ale Halszka na pisma żadnego nie dawała responsu: płomienisty wzrok królewica, nie zdawał się na nią wywierać wrażenia, słowa zaś jej były obojętne, zimne i krótkie, czasem jakimś szyderstwem brzmiące a zachowanie się takie, jakby rozmowy dłuższej i spotkania unikać chciała. Ten opór, to milczenie i obojętność, zamiast zniechęcić, jeszcze bardziej rozplotomieniały uczucia królewica. Ale wszystko zdawało się daremnenem i Jan Kazimierz byłby już może wyrzekł się nadziei, gdy ją znów rozbudziło krótkie spotkanie się na uczcie u Ossolińskiego.

Halszka wydała mu się wówczas tak cudną jak nigdy a bardziej niż kiedy pożądania godną. Nie było w niej dawnej lękliwości dziewczęcej, ale za to powaga wspaniała a w oczach i ustach nieokreślony wyraz tajnego smutku i tłumionych pragnień.

Królewic twarz ukrył w dlonie i siedział nieporuszenie, wpatrzony okiem duszy w postać Halszki cudowną. Przypominał sobie każdy jej ruch, każde drgnienie twarzy — i rumieniec nagły, gdy go wchodzącego ujrzała i zblednięcie, gdy do niej się zbliżył. Wyrazy były zawsze zimne, obojętne, ale jakieś przeczucie mówiło mu teraz, że ona, pomimo wszystkiego, pomimo lat tylu i ciągłego oddalenia, pomimo że on sam cofnął się od niej, innymi myślami zajęty — że ona pozostała wierna przyczepieniu swemu wieczystej pamięci....

— Och, miłość tej niewiasty nagrodzić by mogła wszystkie, wszystkie klęski mojego żywota! szepnęły mimowolnie usta królewica.

Lecz czy przyniosłaby uspokojenie? żali do wzburzonej duszy nie dodałaby straszliwego żaru namiętności, nie złamała woli i ochoty do dalszej z przeciwnemi losami walki?...

Jan Kazimierz odjął dlonie od twarzy, powstał i zbliżył się ku łóżu kedy wisiał kruyfix. Wpatrzył się w niego rozplomienionym wzrokiem, jakby w tym obrazie najwyższej ofiary odkupienia, szukał odpowiedzi na pytania budzące się w sumieniu.

Zwolna ręce królewica podniosły się i złożyły na piersiach jak do modlitwy; blask

oczu gasnął... zdawało się, że walka ustaje, że zwycięstwo głosu sumienia pewne...

W tym momencie rozległ się odgłos kroków w pobliżu i drzwi się otwarły. Na progu stanął zdyszany Tyzenhauz.

Królewic poskoczył ku niemu, wyciągając ramiona. Oczy zapłonęły znowu.... głos mu drżał, gdy pytał z niepokojem, pospiesznie:

— Cóż.... widziałeś ją?

— Widziałem, Najjaśniejszy królewicu — odparł pokojowiec, — i niespodziewanie dobre wieści niosę Waszej Królewicowskiej Mości....

— Mów więc!... jakie wieści?... — zapytał Kazimierz.

— Gdym przybył — mówił dalej Tyzenhauz pospiesznie, widząc gorączkowy niepokój królewica — a doręczył pisanie W. Królewicowskiej Mości, pani marszałkowa przebiegła je szybko oczyma i zamysliła się moment. Już byłem pewien, że da taki respons jak przedtem, grzecznem zbywając słowkiem, — ale ona po owym namyśle, zbliżyła się do mnie i patrząc mi przenikliwie w oczy, zاغadnęła: — Waść jesteś wierny królewicowi?... Zaufać ci można?... Gdym zaś jej przysiągl, jako dałbym rychlej duszę sobie z ciała wydrzeć....

— I cóż?... I cóż? — przerwał królewic, targając za ramię Tyzenhauza.

— Tedy ona — odparł dworzanin — rzekła głosem tak dziwnym, drżącym i jakby stłumionym, jakiegom z ust jej jeszcze nigdy nie słyszał: — Responsu pisemnego nie daję.... przeproszę za to ustnie Najjaśniejszego królewica, gdy przybędzie, a przybyć może zawzdy, kiedy jeno zechce.... jam tu samotna zupełnie... — Zawahała się znowu i jakby się przelękła słów ostatnich, dodała po chwili: — Tak jestem samotna, że mówić zapominam.... toż za zaszczyt odwiedzin podwójnie wdzięczna będę....

— I to wszystko? — przerwał jakby rozczerowany królewic.

— Jeszcze jedno słowo, najważniejsze. Jużem wychodził, gdy pani marszałkowa nagle ruszyła się ~~za mną~~ i dognawszy mię u drzwi, stanęła w nich i rzekła groźnie: — Wacpan jesteś szpetnie zalotny... poproszę królewica, gdy jutro do małżonka ~~mego~~ przybędzie, aby cię nigdy tu nie przysyłał, bo mi już raportowano, ~~jak~~ w godzinach wieczornych do mego fraucymera zagładasz.... ~~W~~ Jam się zakłał jako to fałsz ~~wierzę~~ ~~W~~ pani marszałkowa mówić mi nie dozwoliła, jeno tymże samym to nem dodała: — Nie gub duszy kłamstwem.... wiem, jako do panny Klary zachodzisz — a całe

nieszczęście jest, jako ten korytarz i jej mieszkanie zupełnie odludne są i mają wyjście ku osobnej furtce ogrodowej, od której klucz wacpan jakimś sposobem, jak mi mówiono, zdobyłeś.... Ale ja to ukrócić muszę i zakazuję wacpanu takich tajemnych dróg używać, bo to chyba małżeństwem się skończy.... — A niech-że Bóg uchowa! — zawałałam, — czego już pani Kazanowska słyszeć nie mogła, bo drzwi zatrzasnęła za sobą.

Królewic stał zamyślony.

— Nie rozumiem... — rzekł w końcu, jakby sam do siebie.

— Ja zaś — śmiało rzekł dworzanin — tak to zrozumiałem, iż to było wskazanie drogi i jako panna Klara była tu jeno pozorem....

— Więc ona nie istnieje? — zagadnął królewic.

— Panna Klara jest zawzdy.... jeno że pani Kazanowska mówi to dzisiaj, co było prawdą przed półrokiem albo i więcej....

— Więc ty, nieponiu, tamtą drogą chodziłeś? — uśmiechnął się królewic.

— Na tej drodze odtąd trawa miała czas porosnąć i zmarznąć — odparł dworzanin — ale droga jest dobra i pewna, od strony ogroducale nie strzeżona, a ja dla mojego Miłościwego Pana zawzdy do usług gotów....

przewodnikiem mógłbym być doświadczonym i na siebie pozory wziąć, jako do panny Klary chadzam...

— Milez! — przerwał królewic głosem stłumionym i drżącą ręką przesunął po czołej i twarzy. — Szalona myśl! szalona myśl! — szepnął i Tyzenhauza odprawił, mówiąc mu wszakże, jako do Nieporętu tak rychło nie wróć, lecz dni kilka zabawią w stolicy.

Nocy tej królewic oka zmrużyć nie mógł. Były słuszne domysły Tyzenhauza? Byłoż podobnem, aby opór Halszki tak dugo niezwalczony przełamać się dał w sposób tak niespodziewany i nagły? Najpewniej Tyzenhauz nie zrozumiał dobrze słów jej, albo sobie ich znaczenie mylnie wytłumaczył... Te myśli spędzały sen z powiek królewica, niepokoili serce a krew burzyły, że jak lawa ognista przelewała się w żyłach.

W pałacu Kazanowskich nie spano również tej nocy. — Król bawił bardzo długą u ulubieńca swego. Po odejściu kanclerza ożywił się wielce, zdawał się zapominać o troskach i przeczuciach złowrogich, jakie go przed chwilą gnębiły, cały zajęty rozmową.

W okolic stołu, obok i naprzeciw Króla, siedziało teraz kilka postaci, wśród których odszczególniała się zwłaszcza jedna. Był to starzec wysoki, chudy, z długą siwą brodą

i takiemż włosami, które mu na ramiona spały. Oczy jego w głąb zapadnięte, czarne jak węgiel, zapalały się czasem niezwykłym blaskiem a czasem zasuwaly mgłą i tonęły jakby w pomroce zamyślenia czy smutku. Odziany był ów starzec w długą i szeroką czarną suknię duchowną z szerokiemi rękawami, która z przodu od góry do dołu rozpięta, ukazywała pod spodem drugą węższą suknię barwy fioletowej; takiż kołpak wysoki spoczywał obok niego na stole. — Zajmował on miejsce naprzeciw Króla, który z natężoną uwagą słuchał jego mowy, wygłasianej zwolna, uroczyście, w języku włoskim. Wyrazy padały z ust tego starca miarowo, spokojnie, a brzmiały donośnie, musiały być zaś wielkiej wagi, bo wszyscy zdawali się je pochłaniać z ciekawością, dech zapierając w piersiach.

Był to archimandryta Teofan, ów grecki wysłannik, który Królowi koronę Bułgarii przyrzekał i znaczne w ludziach posiłki w razie wojny z potęgą turecką.

Obok owego archimandryty, stał wspaniały wzrostem i postawą Włoch, grabia Franciszek Strassnitz de Magni, Magnusem zwykle nazywany, wielki ulubieniec królewski. Twarz jego piękna, o rysach wybitnych, patrzyła przed siebie śmiało, dużemi, czarnemi oczyma. Ubrany był bardzo strojnie i bogato.

Białą, jak niewieścia wypieszczoną ręką, a ozdobioną brylantowemi pierścieniami, opierał się z lekka na stole i z utkwionym wzrokiem w twarz archimandryty, słuchał jego przemowy.

Obok niego z głową pochyloną na piersi, pogrążony w zadumie, siedział mnich w kapucyńskim habicie. Twarz jego chuda i znędzniała, miała wyraz ponury; ponuro też patrzyły oczy, zasunięte siwemi brwiami. Wychudzoną, żylastą ręką gładził zwolna długą, białą brodę, a czasem ustami poruszał, jakby z cicha dawał odpowiedź na słyszane wyrazy. Na głowie mnich ów miał czapkę sukienną, spiczastą, z pod której wymykały się jak śnieg białe włosy i spadały na ramiona, odbijając białością swą od twarzy ciemnej, jakby od słońca ogorzałej. Od czasu do czasu mnich ów, snadź pod wrażeniem słów archimandryty, poruszał się żywiej, głowy wszakże nie podnosząc, a wtedy ręką szarpał wielki różaniec wiszący mu od pasa, który medalikami i krzyzykami ozdobiony, głośny dźwięk wydawał.

Był to brat hrabiego Magnusa, O. Walerian, missyonarz Apostolski w Rzeczypospolitej, wielkiej powagi u Króla używający, że go kardynałem koniecznie uczynić chciał

gdy królewic Kazimierz tej godności się wy-  
rzekał.

Była jeszcze jedna postać, tak mała, że cała niemal tonęła w krześle, a tak ruchliwa, że ani chwili spokojnie usiedzieć nie mogła, jeno ciągle zrywała się z miejsca, otwierając usta jakby mówić chciała i z trudnością zno-  
sząc to przymusowe milczenie. Mały ten, chudy a niespokojny człowiek, odziany był również w ciemne suknie, gdyby du-  
chowne; czarne, kędzierzawe włosy, w dłu-  
gich spadające zwojach, okalały oblicze o rysach drobnych, ale ostrych, z wystającymi policzkami i brodą; usta tak wązkie, że ich niemal znać nie było, poruszały się i otwie-  
rały nieustannie, okazując zęby przecudnej białości; oczy małe, przenikliwe, błyszczące, biegały na wsze strony, jakby czegoś szu-  
kając.

Fantoni, tak się nazywał ów człowiek, był sekretarzem królewskim, powszechnie nie lubiony dla nieszczerości swej i przebiegłości iście włoskiej. Król cenił go wszakże bardzo; głównie dla tego, iż tajemnicy wszelkiej ściśle dochować umiał, ciekawe pytania zby-  
wając uśmiechem lub półsłówkiem; tajemnice zaś innych sprytem odgadnął lub wyłudził. Ceniąc spryt ten, Król go nietylko swoim sekretarzem uczynił i do najpoufniejszych na-

rad przypuszczał, ale także bogatą kanonią uposażył, co niemałe wywołało oburzenie, ile że Fantoni szlachcicem nie był a z prostego muzykanta dobił się tych godności.

Nie lubił go też mocno p. Kazanowski; drażniła go zwłaszcza nieustanna ruchliwość owego Włocha, że widoku jego niemal znieść nie mógł. I teraz siedział odwrócony od niego plecami; głowę pochylił, oczy zaważył i jeden tylko zdawał się nie słuchać słów archimandryty, które pieszczoną włoską mową wypowiadane, brzmiały donośnie a dźwięcznie jak muzyka, łącząc się ze szmerem srebrnej fontanny, z której na kilka łokci w góre bijo wino najprzedniejsze, spadając w ustawione wokoło nalewki, roztruchany i konwie. Przy każdym też z obecnych stały kubki szczerozłote i kryształowe kielichy, trunkiem napłnione a na twarzach było poznać, jako za przykładem Króla nie szczędzono hojności gospodarza.

Przed jednym tylko owym posłem greckim czara stała nie tknięta. On się upajał nie trunkiem, jeno własnymi słowy. Powstał, oczy podniósł w góre i mówił ciągle głosem dźwięcznym a czasami drżącym, jakby ze wzruszeniem. Ramiona wreszcie wytężył przed siebie i zawołał:

— Wstań, Miłościwy Królu! weź oręź chrześciański w prawicę, podnieś znamię krzyża, które cię najpotężniejszym wśród potężnych uczyni!... Rzeknij słowo, a zagrzmie ono trąbą Jerychonu, druzgocząc mury, nie-wiernych ręką wzniesione, krusząc kajdany ludów uciemiężonych przez barbarzyńskich półkiężyca czcicieli... Oto widzę, jako nad głową twoją Anioł zwycięstwa się unosi.... widzę jako ci niesie wielką koronę Wschodu, widzę jako wyzwolone ludy otaczają cię dokoła, wznosząc na cześć twoją okrzyki wesela, zwąc Wybawicielem! Wstań, Królu, i ujmij berło władzy! Włóż na czoło koronę przesławną, przyjmij hołd ludów Wschodu, które ku tobie, wielki Monarcho, wyciągają dlonie!...

Król nie przerywał tej mowy, jeno wzrok pałający utkwił w postać starca, prostującą się wyniośle w natchnieniu, a czasem szeptał do siebie:

— Tak.... tak! wola Boża!... duch boży mówi przez te usta....

— Tron Paleologów — wołał dalej starzec — tobie, Miłościwy Królu, należy się z prawa, przez małżonkę twą, Maryą Gonzagę, która jest Paleologów ostatnią dziedziczką....

— Koronę grecką — dorzucił O. Walerian, korzystając, iż starzec znużony mówieniem zamilkł, — przepowiadano królowej

gdy jeszcze dziecięciem była.... Ano — dodał chmurno — przepowiednie różne są, i mogą być wolą bożą zapisane w niebiesiech, jeno że je zła wola ludzka, niedbalstwo lub zgoła lenistwo ludzi, odwrócić usiłują.

— Nie odwrócią! — przerwał z mocą starzec — nie odwrócią! Głoście jeno wojnę krzyżową a nie ustawajcie....

To mówiąc, ruszył się z miejsca i przystąpił do Króla z niskim poklonem.

— Cześć ci, wielki Cesarzu Wschodu! — rzekł — czytałem imię twe zapisane w gwiazdach, widziałem w snach i objawieniach postać twą opromienioną blaskiem potężnego Majestatu.... przyjmij hołd pokornego sługi a wysłuchaj głosu, który z nieba jest....

A na to Król z miejsca się ruszył i widocznie do głębi wzruszony, rzekł:

— Póki tchu w piersiach mych a siły w ręku, nie odstąpię myсли, którą mię natchnął głos boży.... Jedźcie i gotujcie wszystko.... na wiosnę....

Zaczem żegnać się poczęto i za chwilę poseł grecki opuścił komnatę, w towarzystwie Fantoniego, który z polecenia Króla miał go w podróż wyprawić.

Ale zaledwie za nimi podwoje się zawały, wbiegła raczej niż weszła postać niewieścia, całe dziwnie wyglądająca. Twarz

jej bardzo blada, nosiła ślady dawnej piękności i wielkiego znękania; oczy czarne jak węgiel, zapadnięte, paliły się w głębi niezwykłym ogniem; w powiększonej żrenicy znać było, jakby pomieszanie uczuć i myśli; raz odbijało się w nich przerażenie, lęk niewytłomaczony, to znów gniew namiętny, to namiętna czułość a wówczas oczy zachodziły łzami, które bez łkania spływały po wychudzonych policzkach.

Ubrana była owa niewiasta w suknie żałobne, na głowie miała zarzucony welon czarny, gęsty, z pod którego wymykały się włosy niegdyś krucze, a dziś dobrze już przyprószone siwizną. Niewielkiego wzrostu, zgrabna i zwinna, zdawaćby się mogła bardzo jeszcze młodą, gdyby nie twarz zdradzająca, jako młodość wraz z urodą przeminęła niepowrotnie. Ruchy wszakże były młodzieńcze, żywe i nagłe.

Była to dawna kochanka królewska, zwaną Jadwią ze Lwowa, słynnej za młodą urodą, którą Król wydał potem za mąż za Jana Wypyskiego, chorążego nurskiego i starostę mereckiego.

Opowiadano jako wielkiego rozumu i sprytu była to niewiasta, która przeniknąć umiała niedostępne zwykły niewieścim umysłom

tajniki. Posądzano ją o czary i czarnoxięztwo, zwłaszcza od czasu gdy widoczne pomieszanie zmysłów zdradzać poczęła. Stało się to zaś wówczas, gdy syn jej i syn królewski, Zygmunt, pięknych nadziei młodzian, pod nazwiskiem Waza chowany, zmarł w dorosłych już leciech, w nieutulonym żalu pozostawiając swą matkę. Odtąd chorążyna nurska grubą przywdziała żałobę, oddała się pobożnym modlitwom i miłośnemu uczynkom, ale też odtąd mowa jej stała się często niezrozumiałą, sprzeczne wyrażając zdania; to zadziwiała bystrością i głębokością, tajemniczem jakby znaczeniem, to przejmowała palaczem szyderstwem lub rozrzewniała niewymownym smutkiem. Odtąd uroda z jej lic, jeszcze młodych, uciekła, a jej miejsce zajął wyraz wewnętrznego stanu duszy; oczy zapadły w głąb, usta zbladły, pierś wyschła i zwiędła. Snadź dla tej niewiasty ze śmiercią syna skończyło się wszystko na świecie; nie miała już ani uczuć, ani pragnień żadnych: jedno chyba pragnienie odpokutowania, co dopełniała miłośnimi uczynkami, i jedno przywiązanie do Króla, za którego życie, ostatnią krwi kroplę oddać była gotowa. Przywiązanie to objawiało się także w dziwny sposób. Ilekroć król był chory czy zgnębiony, tyle razy chorążyna przeczuła ten smutek lub cierpienie i przybywała z Mere-

ca do Warszawy, dopraszając się jeno o to, aby jej wolno było popatrzeć na Króla i kilka słów do niego przemówić. W ostatnich czasach, od chwili kiedy sprawa wojny tureckiej coraz bardziej rozpalać się poczęła, chorążyna przyjeżdżała coraz częściej; ale w jej pomieszanym umyśle wojna ta przedstawiała się jakąś okropną klęską. Niejednokrotnie, tonąc we łzach, tarzała się u stóp Władysława, błagając, aby tych zamysłów wojennych zaniechał. Zrazu Król nie zwracał uwagi na słowa szalonej niewiasty, potem oddalać ją od siebie począł, zniechęcony jej słowami, aż wreszcie gdy chorobą i nieustanną walką znużony, stał się zabobonny, a słuchać począł rozmaitych przepowiedni, wówczas i słowa chorążyny większego nabraly znaczenia i z czasem gniewać przestały. Owszem, ostudzały one jego porywy, godziły niejako z przeciwną wojnie wolą narodu, uśmierzały bunt, jaki się przeciw tej woli zrywał w jego duszy — przynosiły bądź co bądź uspokojenie....

Ale w tym momencie, gdy słowa posła greckiego rozbudziły na nowo zapał ku wojnie, Król spojrzał na wchodzącą niemal z niechęcią. Podobnież O. Waleryan niecierpliwie ramionami dźwignął, a hrabia Magnus nie mógł powstrzymać okrzyku nieukontentowania.

Wszakże niewiasta owa, nie zwracając na to uwagi, szybko zbliżyła się do Króla i do nóg mu przypadła.

— O! mój Panie miłościwy! — zawołała. — Powiedziano mi, jakoś jest chory, przeto w najwyższym niepokoju czekałam, zanim ów starzec tajemniczy wyjdzie....

Król zamysłony jeszcze po ostatnich słowach archimandryty, dopiero na dźwięk głosu Jadwiżki głowę podniósł i łaskawiej się uśmiechnął.

A ona mówiła dalej głosem dźwięcznym, w którym tak samo jak w oczach przejawiały się różnorodne, pomieszane dziwacznie uczucia: czasem szyderstwo, czasem gorycz wielka i smutek, a czasem czułość, chwytająca za serce, to znów wesołość, wybuchająca nagle w śmiechu srebrzystym....

Wyciągnęła śliczną, białą, wypieszczoną dłoń przed siebie i wskazując na hr. Magnusa i O. Waleryana, zawołała:

— Chciałam czekać jeszcze aż wyjdą oni.... bo wiem, że mnie nie lubią.... O. Waleryan nie chce dawnej Jadwiżce absolucyi dać.... chociaż może Bóg w niebiesiech przebaczył... widział bowiem i łzy i cierpienia i pokutę....

O. Waleryan żachnął się i poruszył z miejsca, jak gdyby do wyjścia się zabierał.

— Czekaj, ojče świętobliwy! — zawała Jadwiżka, — ważne nowiny mam, miałam bowiem sny dziwne i karty dla ciebie rzuciłam....

Hr. Magnus szepnął do brata:

— Niespełna rozumu jest.... chodźmy!...

To mówiąc, powstał także. Ale Król ich strzymał.

— Czekajcie — rzekł. — Przepowiadają entia rationis z gwiazd archeologowie i matematycy, to ich słuchacie, a czemuż posłuchać nie chcecie słów tej niewiasty, które się już niejednokrotnie ziściły?...

Jadwiżka powstała z klęczek i zbliżyła się do stołu. Twarz jej wyrażała w tym momencie zamyślenie głębokie; na zbladłych ale ślicznie wykrojonych uśmiech błąkał się jakby uśmiech szyderczy.

— Rzuciłam karty dzisiaj dla hr. Magnusa i O. Waleryana.... ale mi nie chciały przyszłości powiedzieć, jeno mówiły, co w duszach ich jest, wszystkie tajne ich myśli odkryły....

O. Waleryan przerwał z powagą:

— Bóg jeno zna myśli ludzkie, a jakżeby je z kart wyczytać można?...

— Cha, cha, cha!... — zaśmiała się Jadwiżka — macie słuszność, głupie są karty.... one mi dziś mówiły, jako wy świętobliwy ojče, sługa sług Pańskich zostać pragniecie,

przywdziać białą sukienkę Namiestnika Chrysostusowego, zostać następcą Innocentego Papieża, który jeszcze żyw jest.... To śmieszne i prawdą być nie może! Mówili mi owe głupie karty, jako wy w tym celu wojnę z Turkami rozniecić, krucyatę głosić, niewiernych wytępić pragniecie, aby potem rządzić pokojem chrześciańskiego świata.... Wielkie myśli.... wielkie myśli! tak wielkie, że szalone!...

— Daj pokój Jadwigo! — przerwał Król z nieukontentowaniem.

— Wszystko w bożych ręku jest — dorzucił O. Waleryan mocno zmieszany — a nie godzi się człowiekowi przeciw wyrokom Stwórcy powstawać....

— Żali kto zna wyroki owe?... — zawała Jadwiżka. — Pokora je tylko odgadnąć może, bo się nie rwie jak pycha ku przedsięwzięciom szalonym, ani oczu ludzkich nie oślepią.... Ale oto — dodała, zwracając się ku Królowi — widzę jako Pan mój nie chce, abym wam mówiła prawdę — przeto już zmilczę....

— Rzuć karty!... — rzekł Król.

Chorążyna wyjęła z kieszeni kilkanaście kart dużych, nieforemnych a poczerniałych z używania częstego i rozsypała je po stole. Rysunek na tych kartach byłcale niezgrabny, od ręki robiony; były tam cztery tuzy odmalowane na proporcach; króle przedstawieni kon-

no w sukni kusej z krzyżami a krótkimi berłami w rękach, wyżniki i niżniki jako giermkowie w wysokich czapkach z piropuszciami, jeden z halebardą w prawicy, drugi grający na wielkim fletie, inny bijący w bęben olbrzymi, znów inny dzierżący papugę na dloni a wszyscy o tłustych policzkach i wąsie sumiastym, w stroju zaś cudzoziemskim, fałdzistym, spadającym na cienkie nóżki w spodniach obcisłych.

Chorążyna zbierała powoli te karty, spoglądając ukradkiem na hrabiego Magnusa, który z zajęciem każe jej poruszenie śledził.

— Gracia Strassnitz de Magni, — ozwalała się po długiem milczeniu, — chciałby przyszłość swą z kart tych wyczytać....

— Dla mnie rzuć karty!.... ozwalał się Władysław.

Jadwiżka zwróciła ku niemu wzrok nienormalny błagalny.

— Nie, Królu mój! — zwołała składając ręce.... nie każcie mi tego czynić — karty kłamią.... skłamały mi wczoraj haniebnie... Dla grabi Magnusa położę pierwej.

To mówiąc nagłym ruchem zebrała wszystkie karty, zmięszała je razem i wyrzuciła wysoko w powietrze najprzód dwie, potem trzy a potem znów pięć kart. Padały one na

stół w rozmaitych kierunkach; z tych dwie koło Magnusa padły odwrotną stroną....

— Zamysły macie tajne! zawała Jadwiążka śmiejąc się szydersko — ale je odgadnę za pomocą tych kart, które padły dobrą stroną.... Macie tu — mówiła dalej wskażując na inne karty — wyżnika walącego w bęben, który na wojnę zwołuje, a oto drugi niżnik z halebardą, to cudzoziemskie zaciągi; przy nim zaś dwójka — zły omen!....

Król żachnął się niecierpliwie.

— Jadwigo — rzekł — porzuć tę zabawę, która mi jest nie miłą a mów prawdę, jako widzisz w kartach.

— Tak mówię, jak widzę Miłościwy Panie — odparła chorążyna — a oto dowód najlepszy, iż powiem, jakie to karty zakryte przed grabią Magnusem leżą, które oznaczają jego tajne zamysły.... Leży tam król....

Graf Magnus, który z widocznym niepokojem i niezwyklem zajęciem przyglądał się tej kabale, omal nie krzyknął.

— Król.... powtórzył — Król.... a cóż to ma za znaczenie?...

— Zachciewa się wam korony! zaśmiała się znów Jadwiążka, nie bacząc na nieukontentowanie Władysława — ale zachciewa się nadarmo, bo przy owym królu.... zły omen — dwójka!

Graf drżąca ręką chwycił karty, odwrócił je i spojrzał.... Był tam rzeczywiście król i dwójka fatalna.

Nawet p. Kazanowski, który przez cały czas ten siedział nieruchomo w głębi fotelu, z oczyma przymkniętymi, widocznie chory i znużony, poruszył się i patrząc na skonsternowaną twarz grafa nie zdołał się powstrzymać od uśmiechu.

Wiadomo było powszechnie, że jak O. Waleryan kardynałem pragnął zostać a marzył o tyarze papiezkiej, tak brat jego o chętnie opowiadał, że mu w dzieciństwie koronę przepowiadano, byleby jeno tytuł xiążący uzyskał, o co też tajemnie czynił zabiegi, chociaż na pozór udawał, jako owym proroctwom zgoła nie wierzy.

Słysząc słowa chorążyny i widząc jako dziwnym sposobem odgadła zakryte karty, chwycił je ze stołu, ścisnął w pięści i z gniewem rzucił na ziemię.

— Nie walajcie kart moich grafie! — zawała Jadwiga, biegnąc ku niemu — wiecie jako trudno ich dostać i drogie są....

— Głupie proroctwa.... — szepnął Magnus z gniewem, ruszając się z miejsca.

— Wszystko w bożych rękach.... dorzucił O. Waleryan idąc ku Królowi, aby go pożegnać. — Wszelakie czary i kabaly zdrożne

sa, bo usiłują odgadnąć to, co umyślnie przed człowiekiem jest zakryte, aby się woli bożej poddawał i wierzył z ufnością....

— Albo myślom pysznym dawał folgę.... dokończyła Jadwiga.

— Milcz! — krzyknął Król gniewny i zaklął głośno. — Niepowściągliwy jest język tej szalonej niewiasty.... żal mi, iż ją tu dopuściłem....

Słysząc groźne słowa Króla, chorążyna upadła przed nim na kolana, i ku ziemi się chyląc, załamała dlonie.

— Przebacz Miłościwy Panie! przebacz Królu! — szeptała. — Głos jej przed chwilą szyderczy, urywany, donośny, ścichł nagle i stał się niezwykle rzewnym.

Ale Władysław odwrócił się od niej i w milczeniu, widocznie zafrasowany i gniewny, zegnał odchodzących. Pan Kazanowski powstał z trudnością i krokiem chwiejnym, opierając się o sprzęt, odprowadził ich do drzwi, poczem znów zajął miejsce przy Królu, ale tak był osłabły i zboleły, że głowę złożył na poręczy fotela, oczy zawarł i jeno oddychał ciężko, tłumiąc widocznie jęk, który mu ból mimowolnie wyrywał.

Król w myślach pograżony, nie zwracał nawet uwagi na cierpienia swego ulubieńca, pieścią ściśniętą o stół bił, poruszał się gnie-

wnie a nagle pochwyciwszy kielich na poły winem napełniony do dna go wychylił.

Chorążyna ciągle w jednej postawie, schylona ku ziemi, klęczała przy nim.

— Jadwigo!.... — zawała nagle Władysław — dla mnie rzuć karty!

Chorążyna wzdrygnęła się cała i podnosząc się ukazała oblicze rzewnemi zalane łzami.

— O nie.... Królu mój.... nie dzisiaj.... nie teraz!....

— Rzuć karty! — krzyknął Król groźnie.

Na rozkaz ten Jadwiga powstała szybko z ziemi, zebrała karty i mieszając je poczęła zrazu gwałtownie, niecierpliwie a potem zwolna, coraz wolniej, kartę za kartą przekładając.

Władysław się niecierpliwił.

— Prędzej! — zawała.

W kandelabrach dopalały się już świece, wosk topniejąc spadał od czasu do czasu z głośnym szmerem, dużemi kroplami; odzywała się też monotonnym szmerem fontanna, rozlewając z brzkiem strugi złotego wina w roztruchany i konwie. Zresztą cisza panowała tak uroczyścią, że słyszać było przypieszony oddech chorego marszałka i miarowe uderzenia o stół pięści królewskiej. Zegar umieszczony w środkowym świeczniku

wskazywał zbliżającą się północ. Z zewnątrz, chwilami dochodziły echa kroków spóźnionego przechodnia, rozlegające się wśród bezludnych ulic.

W tym momencie zafrasowane oblicze Króla obok bladej, cierpieniem skrzywionej twarzy marszałka, który jak obumarły leżał w fotelu i czarna postać pół szalonej niemiasty, której leż płeńne oczy, utkwione przed siebie, wyrażały smutek głęboki a zarazem dziwne przerażenie — tworzyły obraz przejmujący trwogą i współczuciem zarazem.

A wielka postać Bachusa z wieńcem na głowie, siedząca naprzeciw, na olbrzymiej baryle o złotych obręczach, śmiała się tłustymi ustami bezmownie, wyciągając rękę z czarą, jakby inwituując do uczty wesołej....

— Prędzej! — powtórzył Król — rzuć karty!....

W tymże momencie dwie jeno karty wyleciały z rąk Jadwigi w powietrze.... Obie padły przed Królem: na krzyż złożone dwie czarne dwójki....

Z krzykiem rzuciła się ku nim Jadwiga, rękami przysłaniając.

— To nie dla ciebie Królu! to dla mnie.... to dla nich.... dla marszałka! — jąkała się, nie wiedząc sama co mówi....

Kazanowski się poruszył.

— Dla mnie? — rzekł głosem osłabłym, nie patrząc na karty. — A na co dla mnie?.... wszak wiem co mię czeka.... dziś — jutro — wyzwolenie przez śmierć....

Król dziwnie pomieszany, zbladły, wstał z miejsca.

— Dwie dwójki na krzyż złożone.... — szeptał — to także chyba śmierć przed czasem...

Chorążyna zebrała karty i gwałtownym ruchem podbiegając do komina, cisnęła je w przygasające ognisko.... Mnóstwo iskier uleciało do góry, ogień syczeć począł i buchnął naraz wysoko a karty wygięły się łamiąc i rozpadając w pośród płomieni.

— Ostatni raz skłamały przeklęte karty! — zawała Jadwiga, patrząc w ognisko.

— Kto wie?.... rzekł Król idąc ku oknu, przy którym w zamyśleniu przystanął i odsunął zasłonę, aby spoglądać na rozpogodzone w tym momencie i gwiazdami usiane niebo.... — Kto wie? — powtórzył — czy one raz ostatni nie powiedziały prawdy.... Kto wie, żali na rok przyszły, gdy o tej porze, tak samo gwiazdy świecić będą, iskrząc się na białym śniegu, żali ja jeszcze czuć będę w pierściah kołaczące się serce i rwące się nadarmo ku myślom a zamiarom potężnym, z których nie zostanie ni śladu.... Kto wie?....

Pochylił się ku oknu, przykładając rozpalone czoło do zimnej tafli kryształowej i stał tak długą chwilę w niemej pograżony zadumie, której nie śmiał przerwać ani p. Kazanowski, stojący opodal i walczący siłą woli z cierpieniem, które go gnębiło, ani Jadwiżka, łamiąca białe dlonie z rozpaczy....

Nagle ciszę tę przerwał odgłos kroków kilku ludzi idących ulicą. Szli zwolna a gadali tak głośno, że w pośród ciszy słowa dochodziły wyraźnie do uszu królewskich.

Jeden z idących krzyczał nieledwie z pełnej piersi — a drudzy odpowiadali mu, udając echo:

— Kto Króla chytrze do wojny przywodzi.... — wołali jedni.

....wolności szkodzi! — kończyły echo.

— Niech będzie żywcem w ziemię zakopany....

....z kanclerzem, z pany....

— Każdemu, który do wojny podnieta — ....krzykniemy.... veto!....

Król cofnął się nagle od okna.... Moment stał słuchając owych krzyków a potem nagle zwracając się ku Kazanowskiemu zwołał:

— To koniec dnia dzisiejszego!... jeszcze tego mi brakło — ulicznych wrzasków!.... Bądź zdrów marszałku.... spocznij — ja odjeżdżam....

— I szedł już ku drzwiom, blady, zmieniony, pomieszany dziwnie. W milczeniu przyjął pożegnanie marszałka, nie rzekł nic, gdy Jadwiga chyląc mu się do stóp, ze łączami opuszczoną rękę jego całowała — a w antykamerze, gdzie oczekiwali dworzanie, kazał się pod ramiona prowadzić i szepnął jeno:

— Spiesznie, do zamku!....

Za chwilę też głośny turkot karocy ozwał się na pałacowym dziedzińcu, długą tętniął wśród ciszy nocnej, aż znikł w oddali, gdy pan Kazanowski stał jeszcze oparty o framugę okna i okiem zamglonem patrzał nieruchomo w usiane gwiazdami niebo.

---

## XIV.

Nazajutrz pan Kazanowski nie mógł podnieść się z łoża.

Niemoc opanowała go tak sroga, że się była wieść w zamku rozniosła, iż kona. Z królewskiego dworu przybiegali co pół godziny niemal gońce, aby powziąć wiadomość w imieniu niespokojnego Króla; nad wieczorem zaś przybył sam królewic Jan Kazimierz do pałacu marszałka. Wszakże p. Kazanowski był w tym momencie tak słabym, iż na powitanie królewica zaledwie słów parę całe niezrozumiałych wyjąkać zdołał. Senność go opanowała tak ubezwładniająca, iż zdawało się, że śmiercią lub w najlepszym razie zgaśnięciem myśli i pamięci, zakończyć się musi.

W sali przyległej do komnaty sypialnej, w której marszałek obumierać się zdawał, Jan Kazimierz i Halszka znaleźli się sami. Długi czas stali naprzeciw siebie w milczeniu, mimowolnie przejęci uczuciem niepokoju i trwogi, jaką rodzi w najobojętniejszych sercach

widok zbliżającej się śmierci człowieka. W całym pałacu panowała uroczysta cisza, chodzono na palcach a mówiono szeptem; na wszystkich twarzach znać było pomieszanie wielkie; każde głośniej wymówione słowo odbijało się dziwnie wśród tego powszechnego skupienia, w jakim oczekiwano na przybycie owego tajemniczego a potężnego gościa, który się śmiercią zowie....

Halszka z głową spuszczoną ku ziemi, pomieszana i blada, stała przed królewicem nie zdolna słowa przemówić. Przewidywany od dawna skon małżonka, teraz, gdy prawie nieuchronnym się zdawał, przejmował ją nieopisanym lękiem. Mimowolnie czuła żal za tym człowiekiem, który przez lat tyle otaczał ją cichą i pokorną miłością, chociaż z ust jej nie słyszał nigdy czulszego wyrazu. W tym momencie o nim tylko i o nim jednym myślała.

Ale nagle, gdy tak stała przed królewicem w głębokim pograżona smutku, uczuła przenikające do głębi duszy, jego ogniste spojrzenie, jakim on jej postać ogarniał. Podniosła oczy i spotkała się z tym iskrzącym wzrokiem.... Rysy królewica wychudzone, zbladłe, noszące na sobie wyraźne ślady długoletnich walk, zawodów i upokorzeń, schmurzone wewnętrznym smutkiem duszy, pełnej

goryczy, zniechęcenia i niewiary w przyszłość, — nagle rozpromieniać się poczęły. Głębokie uczucie smutku, jakim go przeniknął widok schorzałego marszałka, w duszy wrażliwej królewica zacierać się już i ustępować poczęło innym uczuciom, budzącym się w obec cudownej w swem pomieszaniu i bladości niewiasty. Dzień wczorajszy, niespodziewane spotkanie się u Ossolińskich z Halszką, poselstwo Tyzenhauza i jego o niem relacyja, stanęły mu nagle w myśli.

W miarę jak patrzył na Halszkę, wzrok jego rozpromieniał się ognisko, usta drżały.

— Halszko — przemówił z cicha. — Poznaliśmy się, pomnisz, przy świetle gromnic.... i oto ciągle idziem obok siebie, choć nie razem, wśród utrapień i żałoby....

Na usta Halszki wybiegły uśmiech smutny i wnet zniknął.

— Dla Waszej Królewicowskiej Mości — odparła — nadchodzi już może dzień pogodny....

— Pogodny! — powtórzył Jan Kazimierz z goryczą — wszystko dokoła mnie czarnemi zasnute chmurami; za mną przeszłość smutna i bolesna, przedemną przyszłość złowrogiem znaczona przeczuciem, a ja, jak w odmęcie, sam.... bez przyjaciół.... bez....

Głos mu drżał.... Królewic pragnął mówić dalej, ale przemocą zmusił się do mil-

czenia; lękał się powiedzieć za nadto. Od lat wielu zamknięty w sobie, dla wszystkich nieprzystępny, odczuwał on nieraz gwałtowne pragnienie zwierzenia się, odkrycia tajników serca. Przed Halszką, przed tą niewiastą, do której pociągało go niepohamowane uczucie, byłby chciał wyznać wszystko.... żali jednak wiedzieć mógł jak słowa jego byłyby przyjęte? Obojętność Halszki okazywana mu od tak dawna, mroziła go i strzymywała słowa na uściech; to co wczoraj zaszło, co mu Tyzenhauz powiedział, wydawało sięcale niepewnym, mogło być przywidzeniem tylko zbyt gorliwego sługi.

Więc zamilkł nagle, a Halszka w tymże momencie zrozumiała powody wahania, domyśliła się nieufności, odczuła cały ogrom smutku, jaki przejmował duszę królewica.

....Jak w odmęcie.... sam.... bez przyjaciół.... bez jednego serca, któreby mu było całkowicie oddanem.... To zapewne chciał powiedzieć królewic a w duszy Halszki słowa te z nieopisaną wymówione goryczą, odbiły się głośnem echem, budząc rzewne współczucie.

I podniosła na niego wzrok, którego blaski przysłoniła na chwilę lza, jakby mgłą przejrzystą....

A siła tego spojrzenia musiała być wielką i niezwalczenie pociągającą, bo Jan Kaka

zimierz poruszył się nagle i snadż niezdolny zapanować nad sobą, przystąpił ku Halszce bliżej i ujął za rękę.

— Żali, — przemówił przyciszonym głosem — mogę z wami mówić otwarcie?.... Żali głos mój tak trafi wam teraz do serca, jak niegdyś, jak wówczas, gdy z ust waszych usłyszałem to słowo: do śmierci?....

Twarz Halszki oblała się rumieńcem. Wspomnienie to, zawsze żywe w jej duszy, stanęło w tej chwili przed nią tak jasno, jakby daleka przeszłość zwróciła się nagle i teraz niejako stała. Głos królewica, wzruszeniem drżący, stłumiony, brzmiał tak samo, jak wówczas, wzrok jego pałający namiętnym ogniem, budził w jej sercu uciszoną burzę; jak niegdyś, czuła znowu, równie potężnie, przejmującą siłę tych oczu a wszystkie dawne marzenia nocy bezsennych stawały się jawą....

— Żali, — mówił dalej królewic — żali to prawda, iżes wzoraj Tyzenhauzowi respons dała pomyślny?...

Ręka Halszki w silnym uścisku dloni królewica odczuwała ich żar namiętny; wzruszenie tamowało głos w jej piersi, która poruszała się przyspieszonym oddechem; serce kołatało gwałtownie.

Milczała. Zdało się jej w tej chwili, że stoi obok królewica w dzień swego wesela,

na krużganku wileńskiego pałacu.... Zdało się jej, że widzi jak złagodniałe po dniu upalnym promienie słońca, złocą całą uroczą okolicę, domy, chaty, łąki, pola i wzgórza zielone i połyskują w dali tęczowemi barwy w przejrzystej wstędze zwolna płynącej rzeki; zdało się jej, że otacza ją upajające powietrze pełne woni i rozkosznego ciepła, i słyszy teskny, jękliwy odgłos piosnki litewskiej — że czuje tak jak wówczas, przed laty, a w jej sercu nie zmrożonem jeszcze doświadczeniami życia, odbijają się żywo te wszystkie wrażenia, budzące w niem słodką, ufną, pełną siły i młodzieńczego zapału miłość....

A głos królewica, cichy, rzewny, powtarzał ciągle pytania, stawał się coraz natarczywszym, coraz bardziej przejmującym.

— Gdybym mógł wiedzieć, — mówił Jan Kazimierz — że ani czas, ani cierpienia przebyte, ani ta niechęć, którą dokoła siebie widzę, a która wszystkich oddala odemnie, twego nie zmieniły serca!.... Gdybym mógł z ust twoich usłyszeć, że to serce wśród powszechnego potępienia, jakiem mnie ścigano, jedno mi zostało wierne!.... żem nie samotny i nie opuszczony, że jest jedna na świecie, twoja dusza, która ze mną współczuje.... to rzekłbym sobie wówczas, że warto żyć i walczyć dalej.... dla twojej miłości!....

Ostatnie słowa wymówił królewic ledwo dosłyszalnym szeptem, pochylony nad Halszką, którą lekko przyciągnął ku sobie i nagle objął ramieniem.

Ona nie mogła, nie miała siły wyrwać się z tego objęcia. Głowa jej spoczęła na piersiach królewica a ucho słyszało uderzenia gwałtowne jego serca, które odpowiadało przyspieszonem tętnem jej własnemu sercu....

Dłoń jej spoczywająca dotąd bez ruchu w dłoni Jana Kazimierza, mimowolnie na uściski odpowiadała uściskiem....

Milczeli teraz oboje, jakby załeknieni tym nagłym, niespodziewanym wybuchem uczucia, któremu się już oprzeć nie mogli. Ramię królewica coraz silniej obejmowało kibić Halszki, a ona garnęła się i tuliła ku niemu jak dziecię, spragnione matczynej pieczszyt.... Nie było już ani cienia oporu z jej strony, siła jej woli złamała się od razu w tem objęciu, pod wpływem wzroku ukochanego, pod wpływem jego głosu przejmującego uczuciem. Zamęt ogarniał jej myśl i duszę; krew uderzała do głowy, w skroniach młotem biły tętna.... a postać cała gięła się miękko, rozkosznie w ramionach królewica, który twarz swą tulił do jej twarzy płonącej gorączką i ustami szukał pocałunku na jej wpółotwartych ustach....

— Kochasz mnie Halszko? — pytał szeptem namiętnym.... — odpowiedz mi.... odpowiedz!....

Nagle postać Halszki wyprostowała się sztywnie i zadrżała od stóp do głowy.... Wyrywała się z objęć królewica i wzrok przerażony utkwiła w podwoje komnaty sypialnej małżonka.

Ztamtąd ciche, boleśne, okropne ozwało się jęczenie....

— Nie dziś.... nie teraz.... nie w tym momencie!.... — wyjaśniała Halszka głosem lęku pełnym. — Miejcie litość królewicu nademną.... i nad nim!....

Z tą szybkością, z jaką twarz Jana Kazimierza zmieniać umiała swój wyraz, starły z niej słowa Halszki w jednym momencie wszelki ślad chwilowego zapału. Blask oczu przygasł, oblicze spochmurniało nagle, dolna ust warga wydęła się dumnie. Puścił dłoń Halszki i nie odrzekłszy nic, skierował się sam ku drzwiom komnaty Kazanowskiego; otworzył je, wszedł i zbliżył się szybko ku łóżu, na którym marszałek spoczywał bezwładnie.

Kazanowski otworzył oczy i długą patrzył w twarz królewica. Rzewny jakiś uśmiech przebiegł przez jego oblicze; z trudem podźwignął głowę i sklonił ją, jakby w kornem dziękczyznieniu.

— Dziękuję — szepnął po chwili z trudnością — dziękuję.... za łaskę.... odwiedzin.... Chciałbym mówić z Królem Jegomością.... Trzeba koniecznie.... zwalczyć intrygę.... Może Bóg da sił....

Jan Kazimierz pochylony nad chorym, patrzył z rozrzenieniem głębokiem na zmienione rysy marszałka i słuchał tych wyrazów, które drżące jego usta wyjakały z trudem. Nie lubił on nigdy Kazanowskiego; dawniej zazdrościł mu miłości brata, okazywał mu też niejednokrotnie lekceważenie a zwał z pogardą zausznikiem królewskim. Miał wszakże to głębokie przekonanie, że nie było w całej Rzeczypospolitej wierniejszego królewskiemu domowi serca jak Kazanowskiego. Dla Władysława marszałek był gotów poświęcić wszystko i bronić go przeciw wszystkim, choćby przeciw królewicowi — ale po nim Jan Kazimierz był mu najbliższym. Jako wtajemniczony we wszystkie familijne sprawy, marszałek wiedział dobrze, że pomimo nieporozumień, jakie zachodziły między braćmi, Król Władysław serdecznie kochał Kazimierza i po śmierci syna, nie komu innemu, ale jemu koronę po sobie przeznaczał. O usposobieniu marszałka względem siebie wiedział też dobrze królewic i dla tego teraz z tem większym smutkiem przeczuwał bliski zgon tego, który mógł

mu być skuteczną pomocą i niezawodnym przyjacielem.

— Nie męcz się, mości marszałku, mówieniem — odrzekł też z rzewnem współczuciem na urywane Kazanowskiego słowa. — Da Bóg niebawem przyjdziesz do siebie a wówczas pomówimy o sprawach.... Tymczasem niech Bóg radzi i stanowi....

Kazanowski podniósł oczy ku niebu i dlonie złożył jak do modlitwy — ale za moment powieki znużone się zamknęły i marszałek wpadł znowu w senność bezwładną.

Jan Kazimierz dłuższą chwilę stał nad nim w myślach pogrązony, nie zwracając jużcale uwagi na Halszkę, która wszedłszy w ślad za królewicem, zajęła miejsce przy małżonku. Naraz Jan Kazimierz podniósł głowę, wstrząsnął się jakby przemocą oderwać się chciał od myśli ponurzych, które go opanowały, a widząc, że marszałek nieruchomo spoczywa, skłonił się przed Halszką i szybkim krokiem wyszedł z komnaty, dając znak ręką, aby go nie odprowadzano.

Halszka została sama przy łożu małżonka. Wczesny zmrok zimowego wieczora pograżał wspaniałą komnatę niemal w ciemnościach. W ostatnich dnia błyskach, padających od okien olbrzymich, widniała postać Kazanowskiego wynędniała straszliwie, poruszająca

się od czasu do czasu gorączkowem drganiem. Na białych poduszkach złożona głowa, wydawała się martwą, z przymkniętymi powieki, wpółotwartymi ustami, z siwiejącymi włosami, odrzuconymi w nieładzie z wysokiego czoła.

Zamęt, jaki przed chwilą ogarnął myśl i duszę Halszki, burza obudzona w jej sercu namiętnemi królewica słowami, uspokajać się zwolna zdawała a w tem uspokojeniu, w tej ciszy i mrokach zmierzchu, które ją teraz otaczały zwolna, oczy jej i myśli kierowały się ku schorzałej postaci małżonka.

Tyle lat — najpiękniejszych w życiu — przebyła z tym człowiekiem, który umierał ciągle a dusza nie mogła się wydostać z wyندzienia ciała.... Tyle lat przeszło jej marnie u boku tego żyjącego trupa....

W pierwszych czasach pożycia, rozpacz, wstręt i żal głęboki opanowały jej serce. Wśród wspaniałych uczt i bankietów, gdy oczy wszystkich ku niej skierowane, zdawały się jej zazdrośćć monarszego przepychu, jakim otoczona była, ona, zmuszona uśmiechać się ustami, dławiała łkanie rozpacz w piersi, spragnionej życia i niedoznanych rozkoszy....

Na wieki pamiętną jej będzie ta chwila, gdy po godach weselnych przybywszy do Warszawy, stojąc na krużganku pałacu i to-

nąć w smętnych dumaniach wśród ciszy letniej, pogodnej nocy, ujrzała obok siebie postać Kazanowskiego z wyciągniętymi ku niej miłośnie ramionami.... Oczy jego paliły się gorączkowym blaskiem.... Aż nagle, twarz zbladła trupio, wzrok rozpadł się przygasł i zasnuł się jakby mgłą śmierci.... z ust, zamiast szeptu miłości, wyszedł jęk zgłuszony a potem okropne chrapanie, ramiona opadły bezwładnie i Kazanowski runął na ziemię jak martwy....

Chwila ta okropna staje nieraz przed nią niezataartem wspomnieniem, widzi ją tak jasno w najdrobniejszych szczegółach, jakby to było wczoraj, a z tem wspomnieniem, najstraszniejszym w życiu, łączy się nierozdzielnie w jej myśli postać Władysława Sicińskiego, który wówczas nadbiegł na ratunek. Człowiek ten, dotychczas nieznany jej prawie dworzanin, ginący w tłumie innych, stał się odtąd najpoufalszym jej małżonka powiernikiem, dla niej zaś nieroziwiązaną, a przejmującą lękiem zagadką. Milczący, wierny, do usług gotowy, Siciński, wkradłszy się w zaufanie marszałka, patrzył na nią nieraz tak przenikliwym wzrokiem, jakby tajemnicy jej serca się domyślał.... Czego chciał od niej ten człowiek, o twarzy niezwykle pięknej a posępnej, o wzroku przejmującym a ciekawie i bacznie śledzącym wszy-

stko, w którym niejednokrotnie płowe jakieś, tłumione ale zuchwałe paliły się błyski?...

Halszka instynktem czuła, że zaufany powiernik marszałka śledzi ją bacznie, ale w jakim celu to czyni? w tem spoczywała zagadka, nie rozjaśniona dotąd. Oddalała go ona swoją wyniosłością i dumą, odpowiadała zimną pogardą na jego zabiegi aby jej łaski pozyskać i znowu czuła instynktem, że pomiędzy nią a tym człowiekiem, pogarda jej i duma, cały szereg drobnych, codziennych upokorzeń, jakie on od niej znosić musiał i znosił z niewzruszonym spokojem, stworzyły nieokreślony a wszakże stały i niewzruszony łącznik.

Ona przeczuwając w nim zuchwałstwo wielkie i niemniejszą zdradliwość, broniła się od niego pogardą i wyniosłością, on zaś walczył, odpowiadając na to spokojem pozornym i kornem milczeniem, którym pokrywał burzę miotającą snadź sercem a objawiającą się w tłumionych błyskach spojrzenia.... Tak zmierzał do jakiegoś celu, niepojętego dla Halszki; ten bowiem jego spokój niewzruszony, ta wytrwałość pozostawania w służbie, która nie urzeczywistniała ambitnych nadziei pięknego młodzieńca, musiały mieć jakieś ważne, tajemne powody....

Dziwiła się Halszka sama sobie nieraz, że ją ten człowiek taką mimowolną przejmuje

obawą. Cóż jej szkodzić mogło, iż on zdawał się ją śledzić? Najbaczniesze nawet i najbardziej podejrzliwe oko nie zdołałoby w jej postępowaniu dostrzec nawet cienia zdrowego a uczucia serca znać mógł tylko jeden Bóg!...

Życie jej całe było pasmem męczeńskich zaiste udręczeń. Od owej chwili, kiedy Halszka ujrzała małżonka w przystępie ciężkiej choroby, którą przed nią tajono, wstręt nieprzemóżny odepchnął ją od niego i odepchnął na zawsze. Widziała go jeszcze potem u stóp swoich tarzającego się w niemej bolesci, słyszała jego słowa, którymi ją o przebaczenie błagał, że ją przykuł do siebie w złudnej nadziei, iż zdrowie odzyska, zbyt powolny głosowi miłości dla niej i namowom Króla-przyjaciela.... Ale te słowa i ta bolesć i te łzy nie czyniły już na niej wrażenia. Zrazu jeszcze odczuwała chwilami litość, ale wstręt przemógł wreszcie wszystko i żal srogi opanował serce, żal do człowieka, który skrępował jej młodość i stanął na drodze jej życia zawadą.

Wówczas to Halszka przywołała ku sobie rodzica i ukochanego brata Bogusława, którym nic nie tając, odkryła nadzieję swego życia i o ratunek, o rozerwanie tego związku błagała ze łzami. Ale rodzic zarówno jak

i Bogusław, jakkolwiek odczuwali jej niedolę, ratunku nie widzieli żadnego. Rozerwać ten związek, skojarzony za wolą królewską, wyzwać przeciw sobie gniew Króla i możliwej Kazanowskich rodzinę, zdawało się panu wojewodzie rzeczą nad wyraz niebezpieczną; przekonania zaś jego o świętości złożonej u ołtarza przysięgi, nie dozwalały popierać myśli rozdziału, który też nieskalanemu imieniowi Słuszków mógł przynieść uszczerbek.

Ze łzami przeto ale stanowczo odpowiedział wojewoda na skargi córki, jako wszelką niedolę z dopuszczenia Pańskiego przyjmować należy z korną rezygnacją.

— Źali dla tego — mówią pan Słuszka — iż Kazanowski dotknięty jest ciężką chorobą, że przeto jest nieszczęśliwym, źali dla tego małżonka jego mogłaby mu nie dotrzymać uczynionej przysięgi i nie być mu wierną aż do śmierci, jako przyrzekła przed Bogiem? W rodzie naszym bogobojość niewiast przechodziła z pokolenia na pokolenie.... nie było nigdy ani waśni, ani rozdziałów małżeńskich. Każda z niewiast w rodzie naszym schodziła do grobu z obrączką ślubną bez najmniejszej skazy.... A jakożby stać się mogło, aby córka moja, owym przekazanym przykładom stała się niewierna?...

Daremne były łzy i błagania Halszki.... Rodzic rozrzewniał się czasem serdecznie, ale z ust jego płynęły stanowcze słowa....

— Chyba po śmierci mojej! — zawała wreszcie — gdy Halszka głos podnosić zaczęła w obronie całej swej przeszłości.

W tej walce, która kilka dni trwała, a w której Halszka nawet w ukochanym bracie spodziewanej nie znalazła pomocy, wypłakała ona wszystkie łzy swoje i pożegnała ostatnie nadzieje....

— Pomnijcie ojciec — rzekła wreszcie głosem, w którym brzmiał żal srogi — pomnijcie, jako nie za moją, ale za waszą wolą związek ten skojarzony został.... Broniłam się przeciw niemu jak mogłam.... Ano, teraz, gdy wobec spełnionej niedoli, nie chcecie jeszcze podać mi ręki pomocnej, za wszystko co w przeszłości nastąpić może, wy, ojciec, odpowiadając będziecie przed Bogiem....

Pan wojewoda mimowolnie zadrżał na te słowa, ale wnet uspokoił się myślą, jako obowiązek swój spełnia, stając w obronie małżeńskiego związku i godności domu.

— Nie czynię ja nic — odrzekł — za cobym się kary bożej obawiać miał.... widzę jeno, jako każdy z żyjących obowiązek ma do spełnienia cięższy lub lżejszy, ale go wykonać bez wahania powinien....

Żegnając się z Halszką rozczulił się pan wojewoda wielce; łzy płynęły strumieniem po jego licach, gdy błogosławił ją a po bożnemisłowy umacniał jej serce.

— Niedola w żywocie doczesnym — mówił — stanie się wiekuistą szczęśliwością w niebiesiech.... Tam tedy spoglądajmy, znośiąc krzyż żywota....

Halszka suchemi już oczyma patrzyła na łzy rodzica; z kamiennym spokojem słuchała pożegnalnych słów jego — czasem jeno na usta wybierał uśmiech dziwny, niezwykły, który się zdawał goryczy pełen czy szyderstwa....

Pan wojewoda ujął w objęcia ukochaną córkę; długo ściskał ją a całował płaczac.

— Biedne.... biedne dziecko! — szeptał.

Ale słów wyrzeczonych nie cofnął i pozostawił Halszkę zimną i sztywną, jakby odrętwiałą, patrzącą przed siebie szklanymi oczyma z wyrazem goryczy na ustach i kamiennego spokoju na zbladłym obliczu.

Odtąd spokój ten nie odstąpił jej ani na chwilę. Zdawaćby się było mogło na pożór, że po gwałtownem wzburzeniu, serce jej czuć na zawsze przestało, i że Halszka przyjęła dalsze życie w tych warunkach, stanowczo i z rezygnacją zupełną. Jakiem było jej z panem Kazanowskim pożyczcie o tem na pewno

nikt wiedzieć nie mógł: na pozór zdawało się zgodnem, a może jeden tylko Siciński dostrzegał czasem burzę rozpacz, która szalała chwilami w sercu Halszki, dostrzegał wyraz smutku bez nadziei w przygasłym wzroku marszałka. Kazanowski kochał Halszkę do szaleństwa, był dla niej niezmiennie dobrym, łagodnym a nieśmiały jak dziecko, korzył się przed nią jak niewolnik, gotów przeproszać na klęczkach za to, że był tak nieszczęśliwym....

Ale ona wszelkie zwierzenia, wszelką czulszą z małżonkiem rozmowę, strzymywała kamienną swą obojętnością i chłodem.

— Jeżeli jeno chcecie — rzekła raz do marszałka stanowczo — abym zniosła cierpliwie to życie, to nigdy, ani jednym słowem nie poruszajcie mi serca.... pozwólcie mu zapomnieć, przebaczyć.... zamrzeć.

I popłyneło tak życie, dzień za dniem, jednostajnie i cicho, że samej Halszce zdawało się czasem, iż serce w niej już zamarło...

Ale nie! serce to było zawsze żywo, tętniła w niem krew ognista, która płomienistą lawą rozpływała się po żyłach....

A gdy w czas nocy bezsennych, Halszka spoglądała w mroczną przestrzeń swej wspaniałej komnaty, to zdawało się jej nieraz, że

wśród tej ciszy ponurej, która zalegała dokoła, dobywają się szmery jakieś tajemnicze i szepty, powtarzające jej niegdyś słyszane wyrazy.... To znów zdawało się jej, że z poza kolumn marmurowych, które dzieliły komnatę, występuje z mroków wyniosła, piękna a harda postać o twarzy bladej, ciemnej, z ognistemi oczyma i dolną ust wargą dumnie wyrzuconą. I zdawało się jej znowu, że w olbrzymich zwierciadłach odbija się w jasnych promieniach światła, jakby w aureoli, postać ta sama, uśmiechająca się ku niej i ku niej wyciągająca ramiona....

Ale z czasem i to widzenie, poruszające sercem Halszki rozkosznie, zasnuwało się mgłą i bladło.... Coraz boleśniejsze dochodziły ją wieści o królewicu, którego widywała jeno w rzadkich momentach chmurnym, roztargnionym, unikającym jej wzroku, jak pokuszenia....

I zaczął się dla Halszki czas najboleśniejszej walki.... Wszystkie marzenia, które przeszłość i teraźniejszość samotna, gromadziły w jej sercu, wszystko to okazywało się ułudą.... nawet wspomnień należało się wyrzec, bo ten, który był ich głównym, jedynym przedmiotem, sam burzył je wszystkie. Zrazu zażawionem, a potem suchem, gorączkowo rozpłomienionem okiem, śledziła Halszka kolej losu królewica; myślała stęsknioną towarzyszy-

ła mu w jego wędrówkach, zamykała się w jego celi więziennej, współczuła z jego niedolą i upokorzeniem. Ale i myśl cofnęła się strwożona, gdy Jan Kazimierz przybrał habit zakonny.... Goryczą i szyderstwem zapłynęło później serce, gdy doniesiono, że królewic zapragnął kardynalskiej purpury a potem że i to rzuca, pociągnięty napowrót do kraju nadzieją panowania po bracie, gdy jedyną syn Władysława umarł....

Podczas tej długiej walki, pustki jej serca i goryczy duszy nie rozpraszało nic.... Nadarmo Halszka rzucała się chwilami w odmęt waśni dworskich i knowań, do których przyagnała małżonka, bawiąc się widokiem jego zapasów z kanclerzem Ossolińskim, nadarmo otaczała się przepychem monarszym, wrzawą uczt i balów wspaniałych, nadarmo brzmiał dokoła niej głośny szmer uwielbień, hołdów i wyznań.... Otoczona tłumami wielbicieli, piękna i wspaniała jak królowa, ona słuchała nie słysząc, z uśmiechem lekceważenia na uśmiech; jednakim zawsze, obojętnem i zimnym spojrzeniem obejmując cały ten świat strojny, bogaty, lśniący, który ją otaczał.

A kiedy wreszcie wrzawa wspaniałej uczty scichła i Halszka wracała do swojej komnaty, kiedy tysiące światów odbijało się w olbrzymich zwierciadłach, rzucając oślepia-

jące blaski na marmury, mozaiki, makaty i złotogłówia, i gdy ujrzała przed sobą własne swe odbicie wśród tego monarszego przepychu, to dziwne jakieś uczucie grozy przenikało jej serce, bo zdawało się jej, jako jest sama posągiem nie żywym, pośród tych zimnych marmurów, albo jak owe świecidła kosztowne rozrzucone dokoła, martwo leżącym klejnotem....

I była pewna, że głos serca nie odezwie się w niej już nigdy....

Aż oto nagle, znów ta sama postać wyniosła, o twarzy bladiej i ciemnej a oczach iskrzących się namiętnie, która zdawała się już niknąć w dalekiej, niepowrotnej przeszłości, wynurzyła się z mgły szarej, która jej życie skrywała.... Królewic powrócił a spotkawszy się z Halszką, dawnem zdawał się rozouplesniać uczuciem. A uczucie to snadź było gwałtowniejszym, bardziej niecierpliwem i wymagającym stokroć więcej. Od pewnego czasu przychodziły ciągle od królewica listy gorące a namiętne i poselstwa natarczywie domagające się rozmowy. Halszka na listy nie dawała responsu, a na prośby odpowiadła stanowczą odmową. Ale teraz czuła, iż serce jej znów bije gwałtownie.... nie przypuszczała jednak, iżby zabrakło jej kiedykolwiek siły do stłumienia budzących się pra-

gnień i uczuć. Nie przypuszczała!.... aż dziś, nagle, ogarnął ją płomień tryskający z roziskrzonych oczu królewica i rzucił ją w jego objęcia niemal bez walki, pozbawioną woli i siły oporu....

Halszka wzdrygnęła się cała... Białą dlonią przesunęła po czole, jakby odpędzić pragnęła snujące się widziadła i myśli, a powstawszy i zbliżywszy się do łoża małżonka, stanęła tuż nad niem....

Mrok już zupełny zapadł.... Do komnaty wniesiono przed chwilą świeczniki, które gęstymi osłonami przyćmione, niepewne jeno blaski rzucaly na postać i oblicze chorego marszałka. Halszka wpatrywała się długą w te rysy ponure a wynędzniałe straszliwie, które nawet w tem martwem uśpieniu, w jakim marszałek pograżony się zdawał, nie wyrażały spokoju. Targały je jakieś drgania kurczowe, szarpały i krzywiły ból wewnętrzny.... z ust pół otwartych dobywał się oddech ciężki, chrypliwy....

Niewypowiedziane uczucie żalu ścisnęło nagle serce Halszki. Zapomniała na chwilę o swej niedoli i o tem, że ten człowiek główną jej był przyczyną a ogarnęła ją myśl, iż on ją tak czule, tak korne i tak wiernie przez lat tyle kochał. Dla siebie nie wymagał nic, dla niej uczynić gotów był wszystko.

W pośród tego świata, który ją otaczał zazdrością lub samolubnimi uczuciami, na opiekę i przywiązanie tego jednego człowieka, do wszelkich dla niej gotowego poświęceń, liczyć mogła zawsze i w każdym momencie.... Gdyby umarł, otoczyła by ją wielka pustka.... uczułaby się wolną, ale zarazem wielce samotną; spadłyby wprawdzie te więzy, które ją krępowali lat tyle, ale do nich nagieło się już całe życie Halszki, oswoiły się z niemi myśl i serce. Któź wie zresztą, na co by się jej teraz przydała wolność odzyskana tak późno? Kto wie, czy nie stała by się powodem nowych klęsk i nowej niedoli, do zwalczenia której ona nie miałaby już dawnych sił młodzieńczych....

Jakieś przeczucie złowrogie wstrząsnęło nią nagle. Wszak nawet dziś, przed chwilą, gdy w objęciach królewica straciła tak nie-spodziewanie całą swą przytomność i siłę woli — nawet dziś, ten umierający człowiek mimowidnie ją ocalił. Jeden jęk jego bolesny obudził ją do rzeczywistości, przywiódł na pamięć obowiązki i godność niewieścią.... Cóżby się z nią stać mogło, gdyby umarł ten jej opiekun czuły, który odgadywał wszystkie, najmniejsze jej zachcienia, spełniał wszystkie jej myśli a w każdym wypadku byłby gorliwym obrońcą? Cóżby się z nią stać

mogło, zwłaszcza teraz, w obec uczucia dla królewica, które znowu z podwójną gwałtownością ogarniało jej serce, a kto wie, na jakie niebezpieczeństwa, klęski i udręczenia narazić miało?

Pan Kazanowski odetchnął w tej chwili z pełnej piersi, drgnął na całem ciele i oczy wielkie, zdziwione otworzyły. Ujrzał pochyloną nad sobą postać ukochanej małżonki, patrząc na twarz jej wyrażającą w tym momencie rzeźwne współczucie i zdawało mu się zrazu, że to jest złudzenie senne. Patrzał długo, bezmownie na nią z coraz większym zdziwieniem: usta poruszały się jakby przemówić pragnęły, pierś wznosiła się przyspieszonym oddechem a oczy traciły wyraz martwej obojętności.... Zsuwała się z nich zwolna mgła szara omdlenia, zdawały się rozpromieniać życiem; na usta wybiegły uśmiech rzewny, smutny a miłości pełen.... Drżące ramiona wyciągnął marszałek ku pochylonej nad nim postaci.

— Ty jesteś to, Halszko?... — wyszeptał.

A ona pochyliła się jeszcze bardziej, jakby w rozjaśnione oblicze małżonka spojrzeć nie śmiała; pomieszana dziwnie, zdumiona tem współczuciem, jakie ją opanowało....

— Życie mi wracasz — szeptały usta Kazanowskiego, — wzrok twój i obecność cudem przebudziły mię ze snu martwego.... przed

chwilą nie czułem nic, prócz bólu i zgnębienia... Sen był ciężki, duszący jak zmora.... A teraz mi tak dobrze, tak słodko, tak rokossznie przy tobie!... O bo ty nie wiesz, Halszko!...

Marszałek się strzymał. Głos cichy, urywany, zaszedł łkaniem i złamał się w piersi. Ona ciągle w jednej postawie słuchała słów tych z nieopisanem uczuciem....

Tak! wiedziała ona o tem dobrze, że była panią życia i śmierci tego człowieka. Jedno jej słowo byłoby mu może niegdyś powróciło zdrowie; jedno jej słowo mogłoby i w tym momencie ocalić go od śmierci. Ale ona tego słowa wypowiedzieć nie zdołała i nie zdoła nigdy: kłamać nie umie, kłamać nie potrafi....

A Kazanowski ujmując zimną dłoń Halszki, mówił dalej głosem, który cichą, stłumioną skargą wydobywał się z piersi....

— Ty nie wiesz, Halszko — szeptał, — ile udręczeń srogich przebyłem. Cierpiąłem sam i cierpiąłem za ciebie, taką młodą i taką piękną a tak nieszczęśliwą.... Byłbym chętnie ostatnie lata życia mego poświęcił, aby ci wrócić wolność, którą ci niebacznie wziąłem; byłbym ochotnie sroższe jeszcze przyjął na siebie męczarnie, aby ci dać choć jedną chwilę szczęścia....

— Nie mówcie tak.... nie mówcie!... — przerwała Halszka, poruszona do głębi duszy.... Nogi zatrzesły się pod nią; zdawało się jej, że upadnie na kolana przed małżonkiem, rozpłynie się we łzach i wyzna mu wszystko.... Wyzna, że sercem jej od lat dawnych porusza namiętność gwałtowna; wyzna, że myślą i uczuciem była mu stokroć niewierną, że przed chwilą jeszcze, podczas gdy on cierpiał i jechał samotny, ona zapomniała o świecie całym w objęciu ukochanego.... Pragnęła mówić, a tą spowiedzią oczyścić się z grzechów myśli i występnego poruszeń serca — ale z piersi głosu wydobyć nie mogła.... Pochyliła głowę jeszcze bardziej.... ustami dotykała niemal wychudzonej dłoni małżonka, która w uścisku serdecznem rękę jej trzymała. Teraz, w tym momencie rozrzwiona jej dusza przysięgała uroczyście, że zostanie mu wierna, bądź co bądź, i że ostatnie chwile jego życia osłodzi czołością i siostrzanem współczuciem.

Kazanowski zaś znów mówił po chwili:

— Pozwól mi, Halszko.... pozwól mi przy najmniej teraz, gdy już nie lata, ale czuję, jako dni życia mego są porachowane, wypowiedzieć to, co mi duszę przygniata. Za ofiarę twoego życia, młodości twej i uczuć, nie mam, czem bym ci odpłacił.... W sobkowstwie mem, pragnąłem cię mieć przy sobie, na ciebie pa-

trzeć ciągle i przykułem cię do siebie nie star-ganemi więzy na tyle lat niedoli.... Miałem nieraz nadzieję, że to się rychlej skończy.... w ciele mem, szarpanem chorobą, czułem tak mało życia, iż zdawało mi się, że ono wrychle uleci.... A wówczas nie zrobiłbym ci ciężkiej krzywdy.... zostałabyś wdową w zaraniu młodości, a najpierwszą panią w Rzeczypospolitej.... Stało się inaczej — Bóg chciał, abym ten nędzny żywot mój ciągnął się dłujo, jak kajdany za mną i za tobą.... Przebacz mi.... jam temu nie winien!...

Jęk głuchy, bolesny, ozwał się w piersi marszałka i przerwał mu mowę.... Usta Halszki dotknęły dloni jego i wycisnęły na niej pocałunek, z oczu trysnęły łzy, zlewając dłoń tą gorącym strumieniem....

Kazanowski drgnął cały i oczy zawał.... oddech przyspieszony poruszał mu pierś gwałtownie....

— Przebacz.... przebacz!... — szeptał.

— Ja wam przebaczyć? — wyjała Halszka — to wy mnie raczej....

Marszałek poruszył się, zbierając sił ostatki:

— Nie! — przerwał z mocą — ja ci nic do przebaczenia nie mam.... Sił mi brak.... tchu w piersiach nie staje, a pragnąłbym tyle powiedzieć ci rzeczy!... chcę przede-

wszystkiem, abyś wiedziała, że ostatnią wolą moją jest, abyś ty, któraś była panią wszystkich uczuć mych i myśli, była też panią wszystkiego, co po mnie pozostanie na świecie....

Halszka podniosła głowę i przerwać chciała, ale Kazanowski błagalnie dłoń wyciągając:

— Dozwól mi to rzec!... — wyszeptał i dźwignął się nieco na łóżu. — Żądałaś ode mnie, abym nigdy ani jednym słowem nie wspomniał o tem, co w sercu mam i myśli.... Milczałem przez lat tyle, — ale oto kończy się ten mój żywot mizerny.... żali i teraz jeszcze nie dozwolisz mi powiedzieć, że nie było ani jednego momentu w ciągu tego życia, w którym bym o tobie nie myślał, nie było ani jednego uderzenia serca, któreby tobie, Halszko, było obcem? Żyłem jeno tobą, bo mi nie było wolno żyć dla ciebie.... bo ja cię nad wszystko.... nad wszystko miłuję!..

Na te słowa dreszcz przerażenia przebiegł Halszkę od stóp do głowy. Podniosła głowę i wyprostowała się nagle, jak struna. Kazanowski trupio blady, otwartemi szeroko oczyma patrzył na nią sztywnie a rzucił się teraz jak w malignie. Jedną ręką cisnął gwałtownie dłoń Halszki a drugie ramię wypreżał

przed siebie, jakby stojącą przed nim postać objąć chciała.

Nieopisane uczucie ogarnęło w tym momencie serce zalęknionej niewiasty. Ten trup żyjący, który przed chwilą jeno współczucie obudzał, teraz ze słowem miłości na ustach, w tem uniesieniu namiętnem, wydał się jej ohydnym. Jeszcze w jej duszy nie ściąchno echo innego głosu, jeszcze nie znikło wrażenie innego objęcia i uścisku, a oto zdrętwiałe usta konającego powtarzały jej te same słowa, dłoń jego zimna, koścista ściskała jej rękę jak obręczą żelazną, a ramię wyciągało się ku niej, jakby w ostatnim wysileniu uciekającego życia.... I teraz słyszała uderzenia serca, — ale to serce kołatało się z głuchym chrzęstem w rozbitej piersi, za każdym tętnem wywołując z niej jęk chrypliwy.

W bezwiednym uczuciu wstrętu, Halszka cofnęła się nagle i rękę swą wyrwała gwałtownie z Kazanowskiego dłoni. Ślad wszelkiego rozrzeszenia znikł z jej twarzy zbladłej nagle, usta zaciśniły się kurczowo, oczy zapaliły ogniem. Ponad wszystkimi uczuciami, jakie walczyły z sobą w jej duszy, zapanowało oburzenie. Człowiek, który całe życie wstrętem ją przejmował, poważał się jeszcze teraz, gdy już konać się zdawał, poważał się słowami miłości kazić w jej sercu najdroższe

wspomnienia, jakby chciał zatrzeć słodkie wrażenie ostatniej rozmowy z królewicem, i na miejscu jego smukłej, silnej, mężkiej postaci, pozostawić w jej pamięci swoją, wynędzniałą, drętwiejącą w uścisku śmierci....

W jednym mgnieniu oka cała nędza jej żywota i niepowrotna utrata tylu lat pierwszej młodości, uosobiona w tej schorzałej postaci, poruszającej się w gorączkowych drganiach, stanęła jej przed oczyma.

— „To twój morderca, wróg twój najcięższy ten człowiek!“ — szeptał jej teraz głos jakiś w duszy. — „To ten, który zabrał ci najcenniejszy skarb życia: młodość pierwszą i wszystkie rozkosze uczuć młodzieńczego serca, który cię przykuł do siebie w samolubnym zachceniu, a teraz chce ci płacić skarbami swojej fortuny!...“

Wyraz twarzy Halszki musiał w tym momencie odbijać wyraźnie te uczucia duszy, bo oczy Kazanowskiego, patrzące na nią długą rozszerzoną żrenicą, gasnąć w rychle i przymykać się poczęły. Ramiona opadły bezwładnie.... głowa zsunęła się na poduszki....

Halszka rzuciła się spiesznie ku drzwiom, rozsunęła szybko osłaniającą ją kotarę, i znikła, nie widząc już, jak ręce Kazanowskiego drżące, wyciągnęły się ku niej błagalnie a oczy szukałyokoła, wśród mroków zalegających ko-

mnateć, tej cudownej postaci, która pierzchnęła jak senne marzenie....

Halszka nieprzytomna prawie wychodziła z komnaty, gdy stanawszy u progu, omal nie krzyknęła.

Przed nią stał Władysław Siciński z szyderskim uśmiechem na ustach. Dostrzegł on wielkie pomieszanie na jej obliczu, dostrzegł jak ujrzawszy go wzdrygnęła się i cofnęła z trwogą i wstrętem. Cała krew uderzyła mu do głowy. O, z jakąż rozkoszą na ten objaw wstrętu z jej strony, odpowiedziały słowem nienawiści, które mu drżało na ustach! Z jakąż rozkoszą odpowiedziały jej na pogardę, zemstą, którą dzierżył już niemal w ręku, ale na dokonanie której, iżby się zupełna stała, czekać jeszcze musiał.

Przelotny błysk gniewu wzrok mu rozjaśnił na moment, lecz w rychle Siciński sklonił głowę i rzekł niemal kornie, z cicha, jakby chcąc tłumaczyć się ze swej obecności w tem miejscu:

— Z pozwolenia królewskiego a za zezwoleniem jw. marszałka, wyjeżdżam jutro w podróż daleką.... chciałbym attencyę moją dziś jeszcze jw. marszałkowi złożyć — i oczekiwałem....

— Możesz wejść wacpan — odrzekła krótko Kazanowska, ochlonawszy już z pierwszego wrażenia. — Pan marszałek chory

mocno, ale dla waści drzwi jego pono zawždy otworem....

— Najłaskawszy to mój dobroczyńca.... — przemówił Władysław głosem, któremu umiejętnie nadać umiał brzmienie tkiwszego uczucia, — najłaskawszy to mój dobroczyńca — powtórzył, spoglądając z pod oka na Halszkę, — i to mi serce niewymownym smutkiem przennika, iż odjezdzać muszę w momencie, gdy pan mój ciężko chory jest....

Kazanowska już odejść chciała, ale Siciński strzymał ją słowy:

— W takiej chorobie każde wzruszenie, jak mi lekarz mówił, zabójcze być może, a oto do wzruszeń nie brak powodów....

— Powodów? Jakich powódów?... — spytała Halszka a serce jej mimowolnie ścisnęło się złowrogim przeczuciem. Siciński przemawiał dziwnym dziś głosem, spozierał na nią ukradkiem a szydersko.

— Ano — odparł spokojnie — choroba królewska, ukrainne sprawy, to są najważniejsze przyczyny.... ale i w domu.... obok niego....

— Co? — zagadnęła znów Halszka, czując, że jej serce truchleje i obumiera w piersi. Widocznie Siciński dojrzać lub dosłyszeć coś musiał.

— Nie śmiem mu rzec.... — kończył Władysław zawsze jednostajnie spokojnym głosem — a lękam się, aby w czasie mej nieobecności przez kogo innego do uszu jego nie doszło, jako tu w pałacu, knują się pono intrygi....

— Intrygi! — zawała Kazanowska — co też wacpan gadasz — i jakież to mogą być intrygi?

— Przeciw panu marszałkowi, a może też przeciw Waszej Miłości — to pewna, jako są, a celem ich niezawodnie rzucenie podejrzeń krzywdzących na dom ten, w którym dotąd jeno cnota i spokój mieszkali.

Kazanowska coraz bardziej zdziwiona słuchała, pojąć zrazu nie mogąc do czego Siciński zmierza.

— Mów wacpan wyraźniej — rzekła — a cóż się tu stało, aby spokój wygnać i cnotę skazić?...

— Wiadomo już jw. pani — odparł Władysław — jako pan marszałek obyczajności na swym dworze przestrzega i jako pod tym względem surowym jest. Od pewnego zaś czasu, widzę jako niektórzy z choroby p. marszałka korzystając, nie szanują progów tego domu.... Znany z zalotności swej im. p. Tyzenhauz....

Na brzmienie tego nazwiska Halszka zadrżała i zbladła a Siciński się strzymał, bawiące spojrzenie utkwiwszy w jej obliczu.

— Pan Tyzenhauz — kończył zwolna — codziennie niemal tu zachodzi, o rozmaitych godzinach, zwłaszcza zaś o zmierzchu; on, i drugi królewicowski dworzanin, Sokołem zwany, wkradają się tu, trudno dociec jakim sposobem, a trudno też wiedzieć na pewno, w jakich zamiarach. Jest-li to może jaka polityczna intriga, którą przeciw panu memu, na korzyść Ossolińskiego kanclerza, knują, lub też około fraucymeru zabiegi zalotne? W każdym razie spenetrować to należy i gdyby nie choroba pana marszałka, byłbym mu to już dziś odkrył, zwłaszcza że odjeżdżać muszę....

— Nie mów waść ani słowa! — zawała Halszka zdzierżec się nie mogąc. — Obyczajność niewiast moich, to sprawa moja własna, do której nikt mieszać się niema, — żadnych zaś innych intryg lub knowań, które wacpan politycznemi zwiesz, być tu nie może, ile że pan kanclerz już w zgodzie z nami, a zresztą, cózby tu wyszedzić zdołał?...

— Kto wie?... — przerwał Siciński. — Zresztą obowiązkiem jest wiernego sługi....

— Obowiązek ten już spełniłeś wacpan, mówiąc mi o tem — rzekła Halszka, — będę miała na to bacznę oko i zabiegi pana Tyzen-

hauza, jeśli jeno zdrożne są, powstrzymać zdolam. Wacpan zaś — dodała z mocą, głowę wznosząc do góry i gotując się do odejścia — zachowaj o tem milczenie.... obliguję o to wacpana, nie chciałabym bowiem, aby na moje niewiasty, jakiekolwiek a pewnie niesłuszne podejrzenie paść mogło....

— Podejrzenia już są — dorzucił Siciński, — wśród dworzan chodzą różne o tem wieści, które, gdybym nawet milczał, do uszu p. marszałka dojść mogą. Należałyby to co rychlej ukrócić....

— Uczynię to, bądź waść pewien! — odparła Halszka, odchodząc spiesznie, czuła bowiem, iż oburzenia swego, jakie słowa Władysława w niej wywołały, dłużej ukryć nie potrafi. W słowach tych mimowolnie przeczuwała złośliwą intencję. Była teraz niemal pewna, iż ten człowiek, którego lękała się zawsze, domyśla się czegoś, że ma pewne ślady i że zbliża się moment stanowczej z nim walki. Kto mógł wiedzieć, jaki on użytek ze swych podejrzeń uczynić zamierza? Jakich środków używa, aby się pomścić za pogardę okazywaną mu przez lat tyle?...

Z szyderskim uśmiechem na ustach, patrzył Siciński za odchodząłą Halszką:

— Odjeżdżać muszę — szeptał przez zaciśnięte usta — ale zostawiam ci trwogę

w sercu, obawę podejrzeń, aby cię strzegła zanim powróczę....

I wszedł do komnaty marszałka.

Tymczasem Halszka szła a raczej jakby uciekała ku swoim komnatom, w nieopisanem pomieszaniu. Serce jej było gwałtownie, głowa pękała z bolu, lęk jakiś niewytłومaczony ogarniał.

Weszła w długi korytarz, który wiódł do jej komnaty. Ciemno tu było zupełnie; światła jakby umyślnie pogasły.... Przerażonej Halszce zdało się nagle, że wśród ogarniających ją cieniów, dostrzega jakieś postacie, które się poruszają z cicha; zdało się jej, iż słyszy szepty stłumione....

Aby co rychlej się wydostać z tego korytarza, który ją swą ponurą ciemnością przerażała, Halszka rzuciła się spiesznie w drzwi boczne, które wiodły ku wielkiej altanie, kryształową zwanej, kiedy urządzony był w porze zimowej ogród z najcudniejszych i najrzadszych krzewów, roślin a pachnących kwiatów, które woń upajającą roztańczały dokoła. Tu nieraz przychodziła Halszka wieczorem, słodkim oddawać się marzeniom; tu najdłużej przez dach szklany dochodziły dnia blaski, a kryształowe ściany dawały rozległy widok na dalekie pola i lasy i na bliższe dwórki przedmieścia. Tu dochodziły odblaski świa-

teł z mieszkami sąsiednich i widać było snujących się ludzi, tu marzyć było można swobodnie a uczucie samotności nie tak gnębiło jak w murach komnaty.

Wszedłszy tu, Halszka odetchnęła wolniej. Miła woń kwiatów i rozkoszne ciepło panujące w tej altanie, oddziaływały uspokajająco na jej wzburzenie. W półzmroku rysowały się wyraźnie wyniosłe gałęzie roślin i krzewów, a w górze ponad niemi widać było niebo zasnute lekkiemi, białemi chmurami jak mgłą przejrzystą, przez którą przeszierały gdzieniegdzie gwiazdy. Było tu tak, jak gdyby w ciepły wieczór letni.

Halszka chłonąc pół otwartemi usty upajającą woń kwiatów, szła zwolna, nie podnosząc głowy. Błogie uczucie ogarnęło ją nagle.

— Tu zostanę — myślała, — tu dam spoczynek myśli wzburzonej i strudzonemu sercu.

Naraz zadrżała znowu. Znowu zdało się jej, a tym razem wyraźniej, iż słyszy szepty jakieś a wśród gałęzi krzewów dostrzega ludzkie postacie.... Strzynała się przerażona. Drżącą ręką potarła czoło, jakby odpędzić pragnęła przerażającą ułudę.... Przymknęła oczy i cisnąć obu rękami gwałtownie bijące serce, czekała....

Ciche, stłumione kroki ozwalały się teraz wyraźnie. Halszka otworzyła oczy.... usta

otwarła, aby krzyknąć, ale głosu z piersi wydobyć nie zdołała; pot zimny wystąpił na czoło....

Przed nią stała wyniosła, wspaniała postać królewica, — oczy jego paliły się w ciemnościach nadzwyczajnym blaskiem....

Wyszedłszy z komnaty marszałka, Jan Kazimierz spotkał czekającego nań w anty-kamerze Tyzenhauza. Poruszony do głębi rozmową swą z Halszką, królewic ucieszył się wielce widokiem zaufanego dworzanina. Pragnął on raz jeszcze z ust jego usłyszeć relację z ostatniego poselstwa do marszałkowej, która widocznie bronić się usiłowała przeciw ogarniającemu ją uczuciu. Natychmiast też opowiadać mu kazał i każde słowo Halszki powtarzać. Nie opuszczając pałacu, weszli tedy w ciemny korytarz, a Tyzenhauz, dobrze świadomie miejscowości, wprowadził królewica do owej altany. Było tu tak rokrosznie, że królewic zapragnął dłużej pozostać w pośród tej woni upajającej i ciepła. Nie słuchając już słów dworzanina, stał dłujo, patrząc przez kryształowe ściany na niknącą w zmierzchu wieczornym daleką okolicę i tonąc w marzeniach....

Zupełna cisza zaległa. Tyzenhauz milczał a Jan Kazimierz z okiem w dal wpatrzonem, stał nieporuszenie, przechodząc w my-

śli wszystkie przejścia dnia tego, który się kończył w szarym mroku nocy.

Nagle wstrząsł się cały. Podwoje od altany stuknęły i dał się słyszeć stłumiony odgłos kroków. Królewic zwrócił się szybko i chwytając Tyzenhauza za rękę:

— Idźmy! — szepnął.

Nie chciał, aby go tu widziano, błędzącego w altanie i korytarzach pałacu, coby mogło Bóg wie jakie podejrzenia wzniecić. Posunął się tedy spiesznie ku wyjściu, lecz wnet znów przystał — i zaledwie okrzyk zdziwienia potłumić zdołał.

O kilka kroków od siebie ujrzał Halszkę. Rysów jej twarzy dostrzędz nie mógł, ale smukłą jej postać widział wyraźnie, widział jak wsparta o ścianę stała bez ruchu, z oczyma utkwinionymi w dół, jakby w pomieszaniu lub przerażeniu wielkim, niezdolna ani się cofnąć, ani iść naprzód.

Królewic chwilę się wahał. Serce było mu gwałtownie, krew uderzyła do głowy. Zwrócił się ku Tyzenhauzowi, ale ten już zniknął. W chwili gdy królewic parę kroków naprzód postąpił, przebiegły a usłużny dworzanin przemknął się chyłkiem wśród gałęzi krzewów i niepostrzeżenie opuścił altanę.

Pozostali więc sami wśród mroków, upojeni wonią roślin, przesycającą ciepłe po-

wietrze, pomieszani tem nagłem, nieprzewidzianem spotkaniem, a z każdą ubiegającą chwilą, tracący siłę panowania nad sobą.

Halszce zdawało się, że wszystka krew zbiega jej do serca, to znów uderza całą siłą do głowy, napełniając ją szumem; czuła, że siły i przytomność zupełnie ją opuszczają, że traci świadomość tego, gdzie się znajduje i co się z nią dzieje.... Przymknęła oczy, a usta wpółotwarła, jakby chciała o ratunek wołać. Ale głos wydobyć się nie mógł z uciśnionej piersi.... Dziwne, nieokreślone uczucie ogarnęło ją całą. Nogi się pod nią zachwiały i byłaby upadła — lecz w tymże momencie silne ramiona królewica pochwyciły ją w objęcia i uniosły — a półotwarte usta zamknął po całunek....

## XV.

Krokiem chwiejnym, zwolna, z głową na piersi spuszczoną, drżąc za każdym szelestem, odgłosem własnych przerażając się kroków, wracała Halszka tej nocy do swojej komnaty. Otwierała podwoje i cofnęła się z progu, bo oczy jej, nawykłe do mroków, nie mogły zrazu znieść tej światłości, jaka tam panowała.

W oddali, w wielkim zwierciadle odbijała się cała przestrzeń wspaniałej komnaty, przedłużając się w nieskończoność. A ku tej nieskończonej w odbiciu otchłani, pełnej blasku i skarbów, zdawały się wzywać i prowadzić dwa szczorozłote posągi, dwie postacie aniołów, stojące u boków zwierciadła a dźwigające w podniesionych dłoniach olbrzymie świeczniki. Jarzące świece dopalały się już prawie a wosk topniejąc padał z cichym szmerem na marmur posadzki. — Od kolumn wysokich snuły się wielkie cienie, poruszając się za każdym drgnieniem migocącego świec płomienia i niknąc w oddali,

w tajemniczym mroku, który ogarniał kąty komnaty.

Dreszcz trwogi przejął Halszkę, gdy oswijszy się ze światłem, które ją zraziło, spojrzała przed siebie. Wydawała się jej teraz ta komnata bardzo pustą i straszna, pomimo palących się świecił; chłód dziwny przejął ją całą; wszystko nagle wydało jej się tu obcem, zimnem, wrogiem. Te mury, które przez lata tyle skrywały jej tęsknotę, wśród których upłyneły najpiękniejsze lata jej życia w samotności, łzach i goryczy, te mury zdawały się teraz pogłębiać ją i przygniatać. Z podwoi, które Halszka wchodząc pozostawiła za sobą otworem, szedł podmuch lekki i poruszał obicia i złotogłówia rozwieszone na ścianach, a blaski padające od świec jarzących, chwytaly nici złote i igraly na nich swawolnie, mieniając się z ludnie różnemi barwy.

Wzrok Halszki błądził z przedmiotu na przedmiot, patrząc na wszystko, nie widząc nic. Przed nią roztaczał się w całej wspaniałości przepych niesłychany; obicia drogie, dywany, mozaiki, marmury, wszystko co tylko bogactwo dać mogło, a zbytek wymyślił, wszystko tu było a przedstawiało się zadziwionemu oku w pewnej doskonałej całości: ani tu złoto zbytecznym nie raziło blaskiem, ani

obicia, ciężkie zasłony i makaty nie spochmurniały widoku; jedno łagodziło drugie a wszystko zgodnością barw, blasków i cieni przyjemnie kołysało serce. I musiało też rzeczywiście ko- chające serce kierować urządzeniem tego mieszkania, w którym było wszystko co ku wygodzie lub przyjemności służyć mogło. Tu rozmaite naczynia muzyczne: lutnie skrzypce, wiole i harfy dwoiste; tam na hebanowych stołach, otoczonych wygodnemi krzesłami, różne precioza a ciekawości, kindżały i noże tureckie turkusami nabijane, czary złote i kryształowe, połyskujące w blaskach. Na ścianach wielkie a piękne obrazy, które zdawały się postaciami na nich kunsztownie przedstawionemi, zaludniać pustkę tej komnaty. Wśród tych obrazów, jeden olbrzymi przedstawiał pana Kazanowskiego, takim, jakim go po raz pierwszy Halszka ujrzała; młodym jeszcze, ale na bladej twarzy noszącym ślady przedwczesnej starości. Wzrok Halszki odwrócił się szybko od tego portretu i znowu bezwiednie błądził od blasków, ska- czących na złotogłowiach ku cieniom tajemniczym i mrokom dalszą zalegającym przestrzeni, aż pochylił się ku ziemi, strwożony. Blaski ją oslepiały a przerażały cienie, przerażały ją zwłaszcza olbrzymie zwierciadła, powtarzające w kilkakrotnych odbiciach jej żałobną postać

i twarz dziwnie zmienioną. Twarz ta, z której wszelkie rumieńce uciekły, miała wyraz osłupienia w oczach rozwartych szeroko, a zasnutych mgłą łyzawą, połyskującą jak brylanty.... Z ust koralowych, wilgotnych, nie zbiegły jeszcze szept miłośny, który je rozchylać się zdawał. Ciemne, bujne włosy, rozpuszczone w nieładzie, spadały na ramiona, i okalały twarz tę alabastrowej białości, którą od czasu do czasu dziwne przebiegały drgania.

Halszka, obie dlonie podniosłszy, zakryła niemi twarz i oczy. Nie mogła znieść widoku tej komnaty, nie chciała widzieć własnego odbicia w zwierciadłach. Wszystko dookoła zdawało się jej zmienionem, a może raczej pozostało takim jak było: martwem i zimnym, podczas gdy ona stała się nagle inną.... Byłaż to jej postać, którą odbijały zwierciadła, postać niegdyś tak harda i wyniosła, patrząca z uśmiechem szyderskim, zuchwale, przed siebie a teraz z tą twarzą białą i zamglonemi łyzawo oczyma, z włosami rozpuszczonymi w nieładzie, z ustą rozchylonemi rozkosznie, jakby gnąca się miękko w uścisku, chyląca się w poczuciu słabości, ze wzrokiem wstydlivie spuszczonym ku ziemi? Byłoż to jej własne serce, które kołatało w piersi przyśpieszonym tętnem, takie nagle lękliwe a roztkliwione i jakąś nie-

zwykłą czułością przejęte? Z zamętu jaki jej duszę ogarniał, jedno tylko wydobyło się uczucie, z chaosu myśli jedno tylko jeszcze promieniał wspomnienie, wśród zgiełku i szumu, jaki głowę jej przeppełniał jeden tylko głos brzmiał wyraźnie.... głos przyciszony a namiętny, który jej szeptał słowa miłośne i prośby powtarzał.

— Halszko! — mówił głos ten — ja cię miłuję tak bardzo, że o całej niedoli żywota mego zapomnę, bylebyś mię kochała! Zapomnę o przebytej niewoli, kiedy słyszałem szyderstwa, urągania i obelgi, zapomnę o udręczeniach późniejszych, o samotności na obczyźnie, o tęsknocie i pustce celi klasztornej, o wszystkich nieziszczonych pragnieniach, zawiedzionych nadziejach, o wszystkich upokorzeniach, jakie mię spotkały! Ty jedna tylko możesz mi wrócić i nadzieję i wiarę w siebie i chęć do życia.... ty jedna możesz mię natchnąć odwagą i chęcią do czynu.... Niewiem co mię czeka w przyszłości, bom zakrywał dotąd wzrok mój przed nią, bom nie chciał już myśleć o dniu jutrzejszym, znużony dzisiejszą nędzą.... Ale spojrzę w tę przyszłość zakrytą odważnie, jeśli jeno zechcesz! duszę zahartuję w stal, że wszelkie przemoże przeszkody i będę jako niegdyś, dopóki mię zawody srogie i złość ludzi nie

złamały, dążyły do czynów wielkich, bohater-skich i zbawczych!....

A Halszka, słuchając słów tych, które teraz jeszcze głośnem w jej sercu odbijały się echem, słów pełnych rozżalenia lecz zarazem ognistego zapału, czuła, że ten zapał i ja ogarnia, że z przed jej oczu znika, maleje i rozpływają się w mgle szarej, cały świat jej dotychczasowy, że maleją i milkną wszystkie dotychczasowe jej uczucia, zaćmiewa się i gaśnie pojęcie obowiązku, że zmysły traci i siłę obronną....

Aż dopiero teraz przytomność wracała zwolna; rzeczywistość stawała przed oczy straszna; pełna grozy i wyrzutów sumienia, a niecofniona.

Głośne łkanie podniósł piers Halszki....

W wielkiej klatce u okna zawieszona papuga, ocknęła się w tym momencie, zatrzeptała białemi skrzydłami, z głuchym łoskotem obijając dziób swój o drewniane koło, na którym zakołysała się, patrząc zdziwionymi oczyma na stojącą przed nią postać. Halszka, obudzona tym łoskotem, wzdrygnęła się i odjęła dlonie od twarzy, zalanej rzewnemi łzami.

Nawet ten ptak zdawał się jej nie poznawać albo szydzić z niej tem sztywnie utkwionem w nią spojrzeniem.

Wzrok Halszki jakby przemocą pociągniony, pobiegł tam, kiedy widniał wielki obraz, przedstawiający jej małżonka. Przygasłemi oczyma patrzył na nią smutnie, jakby z miłośnym wyrzutem.

— Wszystko czyniłem, com jeno mógł — zdawał się mówić — aby twą miłość pozyskać, a jeśli nie miłość, to przynajmniej przywiązanie wdzięczne i wierność do końca gasnącego już mego żywota.... Jam ci był sługa posłusznym przez lat tyle, spełniając każde twe zachcenie, gotów na ofiarę każdą a niezrażony ani pogardą twą, ani obojętnością, ani sztyderstwem, ani wstrętem !....

I znowu twarz Halszki pochyliła się ku ziemi.... Ugięły się pod nią nogi i padła na kolana....

Naprzeciw, przez wielką tafłę kryształową, wprawioną w ścianie, widziała wnętrze przyległej kaplicy, wpół oświetlone przyćmionym blaskiem lampy, gorejącej u obrazu Matki Najświętszej. Ztąd zwykle gdy była chora, Halszka Mszy św. słuchała. I teraz głowę podniosłszy, utkwiła wzrok łączami zamglony w tę świętą postać, wyciągającą ramiona jakby na przyjęcie każdej nędzy ludzkiej, jakby ku pociesze każdego serca, kającego się w skrusze....

Modlitwa nie ujęta w słowa, gorąca, pokorna, uleciała z serca Halszki do tronu Matki Bożej — byłaby może duszę jej podniosła, oczyściła łzami skruchy, wzmacniła postanowieniem silnem....

Ale oto nagle, hałas jakiś dziwny, jakby groźny ryk dzikiego zwierzęcia zabrzmiał w powietrzu....

Halszka na równe zerwała się nogi, osłupiła z przerażenia. Groźne mruczenie nie ustawało, a ona wiedziała dobrze, z kąd pochodzić mogło.

Królewic, aby uniknąć wzroku straży lub dworzan, przechodzić miał przez ogród pałacowy i dążyć ku małej furtce, kiedy go oczekiwali Tyzenhauz. W tej stronie pusto było zwykle a furtka owa, obok izby ogrodniczej położona, nie była strzeżona. Jeno opodal w wielkiej klatce żelaznej legowisko swe miała niedźwiedzica z niedźwiadkami małymi, rykiem swym znać dając, gdy ktokolwiek się zbliżał ku izbie ogrodniczej, kiedy rozmaite rośliny rzadkie i przysmaki w zimie hodowane były.

Okropna myśl przeniknęła na wskróś serce Halszki. Królewic dobrze miejscowości nie świadom, zbliżył się może nadto ku owemu legowisku dzikiego zwierzęcia i jego czujność obudził. A wówczas mogła nastąpić rzecz

straszliwa. Obudzony strażnik mógł podnieść wrzawę, wysłać pogon, ująć uciekających....

Bez tchu w piersi, sama nie wiedząc co czyni, Halszka zarzuciła pospiesznie na ramiona axamitny płaszcz czarny, sobolowem futrem podszyty i przez wielkie podwoje krzyształowe, wybiegła na galeryę.

Spojrzała dokola. Pusto było wszędzie — ale wśród ciszy nocnej rozlegało się jeszcze groźne mruczenie obudzonego zwierzęcia. Powtarzało się od czasu do czasu, jak dalekie echo grzmotu, aż wreszcie ścichło.

Noc była zimna, mroźna, ale pogodna. Z chmur, z których nad wieczorem śnieg pruszył i dachy domów pobielił, nie zostało i śladu. Niebo iskrzyło się gwiazdami, xiężyć wielką kulą ognistą podnosił się ze wschodu. W ogrodzie, gałęzie drzew z liści obnażone, poruszał lekki wietrzyk z głuchoim chrzęstem; w dali, o ile wzrokiem w cieniach nocy zasięgnąć było można, widniała, połyskująca odbiciem światel niebieskich wstępna Wisła a po za nią puste pola i bezlistne lasy. Wszędzy cisza.... czasem jeno szczeknienie psa stróżliwego lub plusk wody w rzece, przerwie głucho milczenie.

Halszka odetchnęła z pełnej piersi; okropna obawa opuszczała ją zwolna, ale zarazem pierzchnęły z duszy myśli, które ja-

przed chwilą przed obrazem Matki Bożej ku modlitwie ugięły. Myśl jej teraz znów biegła za królewicem, któremu przed chwilą zdawało się grozić niebezpieczeństwo.

Halszka, otulona płaszczem, oparła się o marmurową poręcz krużganku i zapatrzyła się marząc w dal cichą, spokojną, uroczą, opromienioną blaskiem gwiazd i wschodzącego księżyca. W oddali na białym całunie świeżego śniegu, który się brylantowo iskrzył w tym blasku, zdawało się jej, że dostrzega dwa jakby cienie, dwie postacie idące spiesznie.... Jedna z nich, postępująca naprzód, smukła, wyniosła — to postać królewica. Jeszcze teraz była wiadoczna, ale wkrótce już wzrok nic dopatrzyć nie mógł, serce Halszki przeczuwało jeno, i biegło w ślad za ukochanym....

Nie bacząc na chłód, który ją przejmował, stała tam Halszka jeszcze długi moment, zatopiona w marzeniach. Było jej teraz tak dobrze jak nigdy.... pieściło ją jakieś omdlenie rozkoszne a duszę kołysało ciągle echo dźwięcznego głosu, stłumionego w szepcie miłośnym. Wszelkie obawy, wszelkie wyrzuty, jakie ją dręczyły przed chwilą, pierzchnęły w tem marzeniu jakby półsennem. Pragnęła tak zostać długo, na zawsze — gdy w tem obudził ją odgłos kroków zbliżających się ludzi i głośnej rozmowy.

Szli z tamtąd, kiedy przed chwilą zniknęła w mrokach nocy postać królewica, a idąc rozmawiali wesoło. Snadż zapóźnieni dworzanie do pałacu wracali, dążąc ku owej furtce, przez którą w nocy najłatwiejszy był przystęp. Musieli być podochoceni, bo rozmawiali głośno, a śmieli się głośniej jeszcze; przechodziąc jeno obok legowiska niedźwiedzicy, zamilkli, aby nie obudzić zwierzęcia, które też tym razem nie ruszyło się wcale. Zbliżali się oni teraz ku owej galeryi, na której stała Halszka, bo kroki ich coraz lepiej słyszeć się dawały a nawet wyrazy rozmowy dochodziły jej uszu. Niebawem też, z boku, od strony wielkiego cekhauzu, ujrzała Halszka cienie zbliżających się kilku postaci. Szły zwolna, krokiem niepewnym; widocznie pijani dworzanie wracali z hulanki.

— A tośmy się zabawili siarczyście! — wołał jeden. — Jeno żal, że to dopiero na pożegnanie poznaliśmy w imięp. Sicińskim tak wesołego kompana.... Wszystkich przetrzymał.... głowę tąga ma!

Na Sicińskiego nazwisko Halszka wzdrygnęła się cała i przenikliwe spojrzenie rzuciła na idące postacie.

Na czele postępowały wysokiego wzrostu. mężczyzna. Twarz jego Halszka dostrzeg nie mogła, ale poznała go od razu. Był to

Władysław Siciński. On jeden wśród tej gromady, szedł krokiem pewnym a postawa jego i ruchy wesołości nie zdradzałycale. Głowa miał spuszoną ku ziemi i milczał, nie mięszając się do rozmowy kompanów.

Pożegnawszy się z Kazanowskim, który dla Króla ostatnią czynił ofiarę, rozstając się w czas ciężkiej choroby z zaufanym dworzaninem, Władysław pobiegł był jeszcze do Ossolińskiego kanclerza, który mu instrukcję obszerną doręczył — z tamtąd zaś udał się do pana Radziejowskiego, chcąc zbadać powody, dla których starosta łomżyński do expedycji należeć nie chciał i zasięgnąć, jako od doświadczonego i znającego Ukrainę, bliższych informacji.

Ale Radziejowski zbył go krótko.

— Dla waspana — rzekł — pożądana nastręcza się okazja. Na jakikolwiek te sprawy obróć się koniec, dobry lub zły, zawżdy w obliczu królewskiem wasć zasługę mieć będziesz, a to na początek znaczy wiele. U nas zawżdy od Króla zaczynać należy, aby się z tłumu wydostać. Potem już o łaski w powszechności starać się trzeba a przytem nie raz nawet i z Królem zadrzeć, jako to właśnie mój casus jest. Dla waspana wszakże, powtarzam, szczęśliwa to na początek fortuna. Pan Kazanowski lada dzień zemrze, a wasć

wróciwszy z Ukrainy, od razu na królewskim znajdziesz się dworze, a może też i co lepszego za to poselstwo uzyskasz. W powszechności zaś, jakikolwiek koniec z tego wyniknie, a choćby najgorszy, waść stracisz nie wiele albo zgoła nic, bo o poselstwie tem mało kto wiedzieć będzie, krzyczanoby zaś głośno, gdybym ja pojechał. Przeto dobrej fortuny i zdrowia życzę, takiego zaś rozumu, abyś Chmiela przekonał....

Rozumiał to dobrze sam Władysław, że poselstwo to otwierało całe inną przed nim drogę. Zdecydowany opuścić dwór p. Kazanowskiego, uważał tę podróż ukrainną za kres swego pobytu na tem stanowisku, które mu zgoła nie zapewniało przyszłości. Odtąd całą uwagę należało zwrócić na zaskarbienie łask królewskich, aby się za ich pomocą wydzwignąć, potem zaś — jak to mądrze starosta Łomżyński rzekł — o łaski w powszechności się starać, choćby znów kosztem królewskiej służby.

Dobrej tedy będąc myśli, a zasięgnawszy jeszcze u pana Radziejowskiego niektórych informacji co do samej podróży i osób, które na Ukrainie znaczenie miały, pożegnał go Siciński i chciał już do pałacu wracać, gdy po drodze spotkał kilku wesołych kompanów, od których zwykle zdala się trzymał. Byli to

częścią dworzanie pana starosty łomżyńskiego a częścią jego towarzysze w Kazanowskiego służbie. Zamiast przejść koło nich obojętnie, jakto w zwyczaju miał, sam się teraz do nich zbliżył i projekt wspólnej zabawy chętnie przyjął. W duszy mu promieniały jakieś nadzieje, które go czyniły wesołym a ostatnie troski, jakie go jeszcze trapić mogły, należało zagłuszyć hulanką.

— Bogdajby choć ostatnią noc w tej Warszawie przebyć wesoło! — myślał.

I jak myślał tak uczynił. Kompanowie byli experci w tych sprawach, toż zabawa szła różno a Władysław, zwykle posepny i milczący, zadziwiał wszystkich swobodą swą i zapałem. Jeno, że gdy inni pijąc, tracili niemal zmysły a wszystko co w duszy mieli, bełkoczącym wygadywali językiem, Siciński, jakkolwiek pił także, pamiętał ciągle o tem co mu zamilczeć wypadało; a z trunkiem obchodził się tak ostrożnie, jako z brzytwą ten, który ją pierwszy raz w ręku trzyma. Pijąc tedy, zachowywał miarę, był swobodnym w obojętnej rozmowie, niepowściągliwym nawet w żartach wesołych, ale skoro jeno przypadkiem o ważniejsze potrącono sprawy, posępniał i milknął. Nie było zresztą obawy, aby go kto w tej kompanii za język chciał ciągnąć, lub penetrować jego tajniki. Trunek

szumiąc w głowach, roztkliwiał serca i jeno powszechnie żałowano, iż tak wesoły kompan jak Siciński, którego dotąd za mruka miano, odjeżdża.

— Już-to, przyznam się waszmości, — mówił jeden w służbie p. Kazanowskiego będący dworzanin — jako ja przez lat tyle na wacpana patrząc, miałem was za nieznośnego mruka, a takiego zausznika pańskiego, co to jeno na to oczy ma, aby coś podpatrzył i ku własnej korzyści doniósł....

Siciński się zaśmiał z przymusem.

— Ano, teraz widzę, — mówił dalej ów dworzanin, biorąc Władysława w objęcia, — żem się grubo mylił. Wacpan to wesoła dusza, jako i my, a żeś posępny był, to nie dziw, boć ten Kazanowskich dwór, to istny grobowiec, kiedy ludzie jak mary chodzą.... Nie dziw też, że waść odjeżdżasz, aby odżyć na świecie, jeno nam żal....

— Ano, muszę.... — odparł Władysław. — Rodzic człek już bardzo sędziwy, wzywa mię na Litwę, ile że chory jest.... W razie jego, nie daj Boże, śmierci, patrzy mi się tam na Litwie jakiś ziemi kawał i trochę dobytku. Toż trzeba o to staranie mieć, aby na marne nie poszło.... Przez ową służbę dworską, wszystko to straciłem z oka, a niemasz kiedy

mię tam zastąpił, mam bowiem jeno brata, który kaleką jest i w sprawach nieobrotny....

— Masz wacpan rozum wielki, że ztąd uciekasz! — wołali inni. — Gdyby jeno było o co gdzieindziej ręce zaczepić, tobyśmy wszyscy poszli....

Tak rozmawiając a nie szczędząc trunku, który coraz bardziej języki plątał, byliby owi dworzanie do rana się bawili, gdy wtem Siciński, czując jako i jemu w głowie zwracać się nieco poczyna, dał hasło do odwrotu.

— Ano, panowie bracia! — zawałał — mnie w drogę czas, rano odjeżdżam, żegnać się pora....

Nieochotnie tedy, ale ruszyli się wszyscy. Postanowiono odprowadzić gromadnie Władysława do pałacu a potem powrócić jeszcze dla dokonczenia hulanki.

— Waść odjeżdżać będziesz, a my za wacpana zdrowie i za pomyślność podróży pić będziemy! — wołano.

— Zobaczysz nas z kielichami w ręku na swojej drodze, co najlepszy omen jest!... rzekł jeden wielki, gruby szlachcic, który z całej gromady najgorszym swawolnikiem był i najtęższą miał głowę.

Gdy wyszli z gospody, w której się owa odbywała hulanka, zimne powietrze owionęło Władysława i przejęło do kości. Sztucznie

obudzona wesołość pierzchała z duszy, widok pijanych kompanów, którzy śpiewali i śmieli się głośno, niesmak obudzał.

— Jeno to szczęście — myślał — żem się przed bydlętami tymi nie wygadał z niczem, owszem jeszcze utwierdziłem w przekonaniu, jako na Litwę, do rodzica jadę....

Idąc, mijali puste ulice, w których odgłos kroków, śmiechy i śpiewy, donośnym odbijały się echem: mijali ciemne dwory i dworki, z których czasem wygładnął obudzony mieszkaniec, głośnem sarkaniem karząc pijaną zgraję — aż wreszcie zbliżyli się ku pałacowi. W mrokach nocy, na tle rozjaśnionego nieba zarysowały się mury pałacu, a widok ten jeszcze posepniejszemi myślami natchnął Władysława.

Nie darmo tyle lat spędził w tych murach.... jakąś tęsknota ogarnęła go dziwna.... Obraz Halszki stanął przed oczami.

— Może jej nie ujrzę już przed wyjazdem! — myślał. — Czyli też ona wspomni kiedykolwiek o tym, który przez lat tyle tem samem co ona oddychał powietrzem i upoił się niem gorzej niż trunkiem....

Uśmiech goryczy przebiegł przez Władysława usta i zniknął. W głowie nie nawiązł do trunku szumieć teraz poczynało; myśli się płatały bez związku, zlatując się

ciągle jak émy ku światłu do jednego przedmiotu. Na pamięć przyszła mu niedawna z Halszką rozmowa....

— Widocznie pomieszana była — myślał dalej — gdym jej rzekł o Tyzenhauzie. Ten piękny dworzanin nie dla siebie tu zachodzi.... wiem to dobrze. Ale jak dojść tajemnicy? Gdybym ją posiadł! Wypowiedziałbym wówczas tej pogardliwej, dumnej pani wszystko co mi przez lat tyle na duszy ciężyło. I musiałaby to znieść!...

Pragnienie zemsty znowu ogarnęło mu serce. Wśród wesołych śmiechów i gwarnej rozmowy, szedł teraz ponury i milczący, nie rozumiejąc słów rozmowy, nie dając na pytania responsu. Słyszał jeno gwarliwe brzmienia, które mu dokuczały, latając jak rój pszczół wokoło ucha.

— Nie nawykły do trunku, senny jest — mówili towarzysze jego, widząc, że na pytania odpowiedzi nie daje. Trzeba go do dom odprowadzić, bo tak idąc zaśnie.

— Będzie mu się śniło, jako na Litwę jedzie ojcowiznę odbierać! — zaśmiał się inny.

A w Sicińskiego duszy wrzała dalej walka tłoczących się w nieładzie myśli.

Pragnienie ujrzenia Halszki przed wyjazdem, chcęc zbadania tajemnicy jej serca,

która czuł a której śladów nadaremnie przez lat tyle szukał, owładnęła go teraz zupełnie.

— Byłem głupi, niezręczny!... — szeptał przez zaciśnięte zęby. — Lepiej należało patrzeć, bo nie może to być, aby to com dostrzegł i dosłyszał jeszcze w Wilnie w czasie godów weselnych, tak znikło bez śladu.... Zmarnowałem lat tyle na nic!

Sprzeczne uczucia miotały jego duszą: raz pragnął wierzyć, iż podejrzenia jego są mylne, rozkoszą napawała go myśl, że Halszka jest niewinną; a wówczas były chwile, że wielbił ją jak świętą i oburzał się na siebie za posądzenia swoje. To znów dręczyła go niepewność, zrywały się w jego duszy dzikie pragnienia zemsty a wtenczas pragnął się przekonać, iż prawdą były domysły, zżymał się na siebie, iż nic odkryć nie mógł; chciał zbadać prawdę, aby się zemścić i z zemsty tej skorzystać podwójnie, w celu upokorzenia dumnej, pogardliwej niewiasty i w celu wydżwignięcia siebie. W wywyższeniu swojem miałby zapłatę za lat tyle udręczeń; w upokorzeniu Halszki, zemstę za znoszoną tak długo jej obojętną pogardę.

— Gdybym był lepiej patrzeć umiał — myślał — wzrok jej wzgardy pełen i dumy, byłby pełzał przedemną po ziemi; gdybym miał w ręku tajemnicę jej serca, nie potrze-

bowałbym dzisiaj ani łask królewskich, ani Kazanowskiego względów.... Ona nienawi-dziłaby mię jeszcze bardziej niż teraz, ale też nic odmówićby nie mogła; przez nią stałbym się potężnym....

Szalone myśli płatały się w oszołomionej trunkiem głowie a serce ściskał żal głęboki za tą przeszłością, która mu zmarnowaną się zdawała.

Zbliżali się coraz bardziej ku pałacowi, gdy nagle Siciński drgnął, głowę podniósł i ucha nadstawił.

Ryk niedźwiedzicy rozległ się donośnie w powietrzu.

— Myszka się zbudziła.... zauważyl jeden z dworzan — ktoś ją tam podroczyć musiał.

— Ktoś chyba obcy.... — ozwał się w za-myśleniu Siciński — to mądre zwierzę na swoich nigdy nie mruknie.... Ktoś obcy przemy-kać się musi....

Mruczenie groźne powtórzyło się znowu.

Przystanęli wszyscy — ale Siciński porwał się naraz i pędem biedz poczał ku ogrodowej furtce. Za nim ruszyli inni, ale wszy-stkim trunek nogi płatał; po nierównej drodze gonitwy szły nie sporo; nie jeden potknął się i upadł a i Siciński niebawem przystał zdyszany, wytężając wzrok w dal mroczną.

I ujrzał w xiężycowym blasku dwie idące postacie. Oddalały się zwolna, a Siciński poznał je od razu.... Krew mu w żyłach nagle zastygła.... Nie było wątpliwości! Tym razem, owa tajemnica, za którą ubiegał się lat tyle, stanęła jasno przed jego oczyma. Królewic o tej porze wracający z pałacu, w towarzystwie jednego najbardziej zaufanego dworzanina, przemykający się potajemnie przez furtkę ogrodową — wszak to było aż do rozpaczły wyraźnem!...

Nieopisany zamęt ogarnął myśl jego i duszę. Stał chwilę bezprzytomny niemal, wpatrzony sztywnie w przestrzeń, kiedy owe postacie już nikły. Dziwny dreszcz przechodził mu po ciele, że aż zęby, obijając się o siebie, zgrzytały....

— Ho! ho! — zawała jeden z obok stojących kompanów — nocni jacyś goście byli w pałacu.... a możeby im w oczy zaglądać i zapytać o nowiny z fraucymeru pani marszałkowej....

— Cicho! — szepnął drugi — nie dowidzam ja dobrze w tem złudnym xiężycowem świetle — ale tak mi się zda, iż niebezpieczno byłoby gonić.... Jeden z tych ichmościów, ów wyższy, to dalipan taka wspaniała persona, że gdybym się pomylić nie lękał, tobym rzekł, iż do królewica Kazimierza podobny....

— Dalipan, prawda! — zawała drugi.

— Cha! cha! cha! — zaśmiała się przeraźliwie Siciński, którego te słowa oprzytomniły nagle. — A to wacpanu trunek nie tylko język splątał, ale i oczy tak dziwnem kalectwem dotknął, że się waści wszystko większem i wspanialszem być zdaje. Ów królewic, to mój własny pacholik, którego jutro w podróż zabieram, a który snadź do miasta z drugim się wykrał, aby na pożegnanie pohulać.... Poznałem go dobrze i sprawię za to łaźnię temu królewicowi....

A na to inni śmiać się poczęli, prosząc, aby swemu pacholikowi Siciński nic złego nie czynił. Przecież to zbrodnią nie było ostatniej nocy przed wyjazdem poswawolić trochę....

Ale Władysław, któremu na tem zależało, aby wszelkie podejrzenia od królewica odwrócić i pozostać samemu w posiadaniu tajemnicy, udawał gniew wielki.

— Niechno mi — wołał — wszystko należycie do drogi przygotowanem nie będzie — to łącz szelmie urwę!...

I długą jeszcze chwilę gadano o tem, aż wreszcie jedni się pożegnali i odeszli, drudzy zaś, którzy ze dworu pana Kazanowskiego byli, wraz z Sicińskim weszli przez furtę ogrodową i dopiero na dziedzińcu pałaco-

wym, opodal tej galeryi, na której stała Hal-szka, każdy w swoją zwrócił się stronę. Niektórzy, wedle obietnicy, powrócili jeszcze do miasta dla dokończenia hulanki.

Władysław nareszcie pozostał sam i z pełnej piersi odetchnął. Nie wracał jeszcze do pałacu, potrzebował powietrza, ruchu, potrzebował wprzódy uspokoić się nieco i uporządkować wzburzone myśli, które jak ptaki, nagłą zaskoczone burzą, płatały się bezładnie.

Przed chwilą pragnął odkrycia tajemnicy, którą przeczuwał, a teraz gdy ją niespodziewanie odkrył, rozpacz opanowała go dzika; usiłował jeszcze wmówić w siebie, że ta postać, którą dojrzał umykającą z pałacu, to nie był królewic. Ale nie! łudzenie się było niepodobne.... poznał on dokładnie Jana Kazimierza i jego zaufanego dworzanina Tyzenhauza....

Jak oszalały kroczył wśród ogrodowych alei, usiłując naprzóźno uspokoić wzburzone serce. To szczęście jeszcze, że uwagę i podejrzania kompanów zdołał odwrócić, bo przy najmniej teraz pozostawał sam w posiadaniu tajemnicy i mógł ją na swoją własną zemstę i korzyść obrócić. Ale w jaki sposób? Nawet ta zemsta zdawała mu się z rąk wysuwać; wszak za godzin kilka zmuszony jest opuścić Warszawę na długo, może na zawsze?

Kto wie, co się stać może w czasie nieobecności jego? Kazanowski pewnie zemrze, a Halszka będzie mogła wtedy odgrodzić się od niego tysiącem nieprzebytych przeszkód....

Może on jej nie ujrzy więcej w życiu? A na pewno z odjazdem jego skończy się stanowczo to życie wspólne, pod jednym dachem, które tyle przynosiło udręczeń, ale zarazem dozwalało pieścić wzrok cudowną jej postacią....

Bezmierna tęsknota opanowała duszę Władysława. Zrywał się on nieraz do wyjazdu, ale nigdy jeszcze nie był tak bliskim rozstania się z tem, do czego serce przez lat tyle nawykło. Za godzin kilka zmieni się wszystko.... on pójdzie w świat na nowe a niepewne walki, nie unosząc z sobą nic z tej przeszłości, którą za sobą zostawał, — nic, prócz ciężkich udręczeń. Ani jedno łaszkawsze spojrzenie Halszki, ani jedno jej słowo uprzejmie, nie zostanie mu w duszy.... Postać jej zniknie mu wkrótce z przed oczu, inni ludzie i świat inny otoczą go niebawem, a on jeden tylko wpośród zmian tych, zostanie zawsze jednaką namiętnością, z dawną goryczą w duszy....

Teraz dopiero czuł Władysław w całej pełni, czem ta niewiasta była dla niego. Wszelkie dawne pożądania zemsty na moment

znikły — a opanowało go pragnienie, aby ją widzieć, pożegnać, uzyskać choć jedno słowo łaskawe....

Och, gdyby ona była inną! — myślał — lepszą dla niego, gdyby go tak ciągle nie odpychała swoją pogardą i dumą, jakżeby on był dobrym, jak wiernym, jak przywiązanym, gotowym do poświęceń wszelkich!...

Wyszedł z ogrodu i stanął na małym wzgórku, naprzeciw owej galerii, kiedy była Halszka. Ona stała tam ciągle. Od kiedy usłyszała Sicińskiego nazwisko i ujrzała go idącego w gronie towarzyszy pijanych, jakiś lęk nieprzemożony przykuł ją do miejsca. Oparła się o kolumnę krużganku i okiem wpatrzonem sztywnie, śledziła każde poruszenie Władysława, chwytając chciwie słowa urywanej rozmowy. Słyszała śmiech jego przymuszony, nieszczery, dochodzący jej uszu wyrazy, z których domyślać się mogła, jako uchodzący z pałacu królewic i Tyzenhauz dostrzeżeni zostali, zdało się jej nawet, że słyszy wymawiane swoje nazwisko. Pot zimny wystąpił jej na czoło, — pragnęła uciec, skryć się, ale sił jej zbrakło.... Złowrogie przeczucie jakiegoś nieszczęścia, nieubłaganej kary za chwilę upojenia, przeniknęło jej duszę....

Bez ruchu, o zimny marmur kolumny oparta, sama jakby w kamień zaklęta, stała

patrząc, jak Siciński pożegnawszy kompanów swoich, chodził w zamyśleniu czas dłuższy po ogrodowych alejach. To znikał, to znów się ukazywał jej oczom w pośród drzew gałęzi, aż wreszcie wyszedł i naprzeciw niej się zatrzymał, patrząc przenikliwie w jej okna.

Przez rozsunięte zasłony i drzwi wpół-otwarte padało światło z komnaty na galeryę, tworząc tło promienne, na którym rysowała się wyraźnie wyniosła postać Halszki, w czarny płaszcz owinięta, niby posąg żałobny pośród kolumn krużganku.

Okrzyk stłumiony wyszedł z piersi Włodzisława. Nie wierzył oczom własnym, a przecież to być nie mogło złudzeniem? Widział ją raz jeszcze, a zdawała mu się smutną, zgnębioną, spokorniałą w tym smutku....

Wszystka krew uderzyła mu do głowy, oszołomionej jeszcze hulanką; w duszy poruszonej gwałtownem, przed chwilą odniesionem wrażeniem, zrywały się szalone myśli, przyspieszając bicie serca, które młotem uderzało w piersi.... Jednym skokiem był u głownego wejścia, otworzył bramę i znalazł się wśród ponurych ciemności.... Na drugim końcu długiego korytarza, padała jeno wązka smuga światła z drzwi od komnaty Halszki, które ona wchodząc pozostawiła otworem....

Gdy Siciński zniknął, Halszka odetchnęła swobodniej.... Może jej nie dostrzegł?... Dopóki stał naprzeciw niej, ze wzrokiem wprost na nią skierowanym, lękała się poruszyć, aby nie zdradzić obecności swojej.... Zdawało się jej, iż ją osłania marmurowa kolumna, o którą była oparta.... Ale co znaczył ten okrzyk stłumiony, który wyrwał mu się z piersi, co znaczyło, że tak nagle poskoczył ku wejściu i zniknął?

W tym momencie przypomniała sobie Halszka, że podwoje od jej komnaty zostały otwarte, że Siciński może pijany jak i kompanowie jego.... Lęk jakiś niewytłومaczony, który ją zawsze na widok Władysława przejmował i teraz przeniknął ją do głębi; zdało się jej, iż dostrzega wśród cieniów wzrok jego przenikliwy, szyderczy, iskrzący się chwilami tłumionym ogniem namiętności....

Szybko, ulegając mimowolnemu przeczuciu, zwróciła się Halszka i wbiegła do komnaty.... W oddaleniu, wśród mroków zalegających dalszą jej przestrzeń, nic prawie dostrzедz nie można było. Halszka, czując się samotną i bezbronną, wśród tych cieniów i pustki, biegła ku drzwiom wchodowym, aby je zamknąć, przerażona, bezprzytomna niemal, nie starając się nawet walczyć z tą dziecienną trwogą, jaka ją przejmowała. Płaszcz, którym

była okryta zsunał się z jej ramion, a włosy bujne, ciemne rozsypały się już zupełnie, odbijając swą barwą od białości alabastrowej jej twarzy i sztywnie obnażonej....

Doszła tak do środka komnaty. Nagle szmer jakiś przejął ją dreszczem. Spojrzała — i serce z lęku zamarło w jej piersi.... Rozszerzoną żrenicą patrzyła sztywnie przed siebie i cofnęła się, jakby widmo w dali ujrzała....

W głębi komnaty, w cieniu, stał Władysław Siciński. Blady jak trup, z rozburzonymi włosami, stał wsparty o kolumnę i patrzył na nią wzrokiem, który od czasu do czasu rzucał mieniające się zielonawe błyski. Usta mu drżały jak w zimnicy; chciał mówić, ale głosu z piersi wydobyć nie mógł. Miał tyle rzeczy powiedzieć Halszce, czekał tak długo na sposobność, aby sam z nią pozostać i wypowiedzieć wszystko, śmiało, co mu na sercu ciężyło — a oto słowa zamierały mu na ustach, myśli płatały się dziwacznie. W tym momencie, gdy ujrzał Halszkę przed sobą, taką lęku pełną, niezdolną słowa przemówić, cofającą się przed nim, jak przed okropnem widziadłem — w tym momencie ujrzał on zarazem wszystkie następstwa czynu, jaki popełnił.

Ta dumna niewiasta nie przebaczy mu nigdy zuchwałego wkroczenia do jej komnaty,

którego on niczem usprawiedliwić nie zdoła. Od tej chwili pomiędzy nim a tym pałacem, z którego spodziewał się poparcia, roztworzy się przepaść. Teraz Halszka mścić się na nim będzie a odstąpi go nawet sam Kazanowski, skoro się dowie o jego zuchwałstwie. A on, czemże się bronić będzie?.... Czyliż to, co podejrzwał a na co niezbitych nie miał dowodów, mogło mu służyć za wymówkę? Halszka wszystkiemu zaprzeczyć może a królewic stanie się wrogiem.... i zgniecie go jak nikczemnego szpiega!...

W jednym mgnieniu oka to wszystko zarysowało się w jego myśli wyraźnie. Nienawykły do trunku, oszołomiony nocną hulanką, uniesiony niespodziewanym widokiem Halszki, pod wpływem żalu, że wyjeżdżać musi, uczynił krok, który go wszystkich owoców tyloletnich zabiegów mógł pozabawić. Ale jak się cofnąć?...

Nieśmiały, lękliwy wzrok podniósł na Halszkę i ogarnął ją całą tem spojrzeniem.

Stała ona jeszcze na tem samem miejscu jak posągnieruchomy. Wydała mu się piękniejszą niżli kiedykolwiek z wyrazem tego przerażenia na bladem obliczu. On ją zawsze widział taką nieprzystępna i dumną, a teraz patrzał na załękioną, słabą, jakby omdlenia blizką.... Należało ją uspokoić, należało po-

wiedzieć jej, że on nie przychodzi jako wróg lub mściciel, lecz gotów służyć wiernie jak pies, za jedno słowo łaskawsze, za jedno spojrzenie życzliwe...»

I postąpił parę kroków naprzód.

— Pani marszałkowo.... — zaczął stłumionym głosem.

Ale w tymże momencie, jakby na brzmienie głosu tego, twarz Halszki zmieniać się poczęła. Wyraz załęknięcia zniknął.... na lica wybiegły rumieniec gniewu, oczy płomieniem ciskać poczęły. Podniosła dumnie głowę.

— Jak waść śmiesz!... — zawałała.

Władysław widział ją znowu teraz taką jak dawniej: dumną, wzgardy pełną, nieprzystępna. Oburzenie, jakie brzmiało w jej głosie, odbiło się echem w jego duszy, budząc w niej zaledwie uciszoną burzę namiętności. Usiłował się wszakże miarkować.

— Pani marszałkowo — zaczął znowu — za godzin kilka odjeżdżam....

Ale Halszka nie dozwoliła mu mówić.

Wyciągając rękę przed siebie i drzwi wskażając:

— Precz ztąd! — krzyknęła.

Na te wyrazy wszystka krew uderzyła Władysławowi do głowy. Czuł, że przytomność i moc władania sobą traci. Przed jego oczyma jakieś krewawe snuły się błyski, nie-

wymowny ból czaszkę rozsadzał, wszystko dookoła niego krążyć się zdawało i tańczyć w szalonych podskokach. Ona jedna tylko — Halszka — stała przed nim nieruchomo, z roziskrzonym wzrokiem, piękna jak bóstwo, ręką wypreżoną sztywnie wskazując mu drzwi ze wzgardą....

— Precz ztąd!

Okrzyk ten odbił mu się w duszy tysiąckrotnem echem.

— Nie pójdę precz! — odkrzyknął gwałtownie, zbliżając się ku Halszce — nie pójdę!... zanim ci nie powiem, że się ani gniewu twego, ani wzgardy nie lękam.... że wiem i widziałem wszystko.... że znam tajniki twego serca i wiem, kto przed chwilą, jak złoczyńca, wymykał się z tego pałacu, zostawiając piętno wstydu na twem dumnym czole!....

Głos mu złamał się w piersi i rozbrzmiał na końcu jakimś szyderczym śmiechem, który zsiniałe usta wykrzywił.

Ona bez tchu w piersi słuchała słów tych w nieopisanem przerażeniu.

Szalony czy pijany był ten służalec, który stawał przed nią straszny jak szatan, zwiastując jej pomstę i karę?...

A on po chwili mówił dalej, głosem stłumionym, który czasem jak syk gadziny wy-

dobywał mu się z piersi, a czasem miękł dziwnie i niemal rzewnym się stawał:

— Byłbym milczał jak grób.... pragnąłem jeno dobrego słowa twoego jako zapłaty za tyle lat służby wiernej.... Twoja piękność zabrała mi duszę, twoja wzgarda napiąła goryczą, gniew twój na wskróś ją przepalił i uczynił ze mnie szatana zemsty....

Halszka przymknęła oczy.... Czuła, że słabnie, że po tylu wrażeniach, odniesionych dnia tego, opuszczają ją siły a bądź co bądź należało natychmiast oddalić tego pijanego służącego, który raz groził, to znów poważył się mówić do niej tak rzewnym, przejmującym głosem.

On zamilkł, i patrzał chwilę na nią, na jej oblicze powleczone znów bladością omdlenia i znowu, jak wprzódy, wielkie współczucie ogarnęło go nagle.... Niezdolny zapanować nad sobą, rzucił się do jej stóp, na kolana....

— Przebacz, pani! — zwołał — jam szalony był i pijany.... i teraz milczeć będę i wiernie do ostatniego tchu będę ci służyć.... jeno mię nie odpychaj!... jeno ulituj się nademną!... nie szydź, nie wypędzaj! i nie patrz na mnie tym dumnym, zimnym wzrokiem, który mrozi krew w żyłach i każe nie nawidzieć sercu, co miłością goreje!...

Zamilkł Siciński a nie podnosząc się z kolan, błagalny wzrok skierował ku Halszce; drżącymi rękami chwycił kraj jej sukni i do ust poniósł....

A ona, widząc go takim upokorzonym, takim słabym, rozplakanim prawie, uspokajała się widocznie. Nie zwracająccale uwagi na słowa, które obijały się o jej serce bez echa, czuła wszakże, iż jest panią woli tego człowieka, który przed chwilą wydawał się jej groźnym i silnym. Uniesienie jego miłości napawało ją wstrętem i gniewem, ale przezorność nakazywała nie drażnić namiętności tego pół szalonego czy nieprzytomnego człowieka. Hamując tedy oburzenie wewnętrzne, rzekła głosem pewnym i stanowczym:

— Wstań wacpan!... a bezładnemi słowy nie pomnażaj szaleństwa twoego. Jesteś gotowa zapomnieć o zuchwałych pogróźkach, których nie pojmuje celu ani znaczenia.... zapomnę o chętnie, przez wzgląd na dawne wacpana dla małżonka mego usługi, o wyrazach nieprzystojnych a śmiały, — zdołam przebaczyć i zapomnieć, powtarzam, jeśli natychmiast opuścisz spokojnie moją komnatę....

Na rozplomienioną duszę Władysława spadały lodem te wyrazy dumne a zimne. Samo ich brzmienie przejrzynało go dreszczem.... Porwał się z ziemi jak szalony.

— Zapomnieć.... przebaczyć.... — powtórzył — i zaśmiał się dziko.

Halszka snadź w obawie nowego wybuchu rzuciła się w tej chwili ku drzwiom, jakby uciekać lub o pomoc wołać chciała. Ale Siciński gwałtownym ruchem ujął ją za rękę, i strzymał. Drżała na całym ciele jak w zimnicy a kurczowe drgania przebiegały mu po twarzy, szydersko wykrzywiając usta.

— Zostań pani!... — wyszeptał przez zaciśniętezęby — ja wyjdę, jak chciałaś, spokojnie. Ale nie zapomnę nic! ani tego, żem się u stóp twoich tarzał daremno, ani tego, żeś mię twą dumą i wzgardą odepchnęła na zawszy.... Wypędzasz mię pani — pójdę!.... ale pomnij, żem odtąd ja twój wróg.... Godzina pomsty przyjdzie.... ja czekać umiem i czekać będę!....

To rzekłszy, puścił dłoń jej, popatrzył raz jeszcze na nią, objął całą jej postać płomienistym wzrokiem i zwolna, krokiem chwiejnym, wyszedł z komnaty....

Halszka gorączkowym ruchem zamknęła podwoje, jakby lękając się powrotu szaleńca, poczem wyszedłszy na środk komnaty obejrzała się dokoła....

Mrok otoczał ją prawie zupełnie.... w świecznikach dopalały się świece i kolejno gasły.... z niektórych wybuchalały chwilami migot

tliwe błyski, jak błędne ogniki na polach. A wśród tych mroków dobywało się tem wyraźniej przez szybę kryształową światło, palące się w kaplicy przed ołtarzem Matki Najświętszej....

Halszka pochyliła głowę przed tym obrazem, stała chwilę nieruchomo, niezdolna zebrać myśli po tylu wrażeniach.... Wszystko mąciło się w jej umyśle i sercu: to raz brzmiały w jej uszach dźwięczne słowa królewica, to przerażał ją szept szyderski i złowrózny śmiech Sicińskiego — a zagłuszał to wszystko głos własnego sumienia.... Słowa modlitwy wybiegały na usta, ale niedokończone milkły.... myśl pobożną wikłały i płoszyły inne uczucia.... Wreszcie wszystko pomieszało się w jakimś nieokreślonym zamęcie.... serce bić przestawało — przestawało czuć i cierpieć — otwarte oczy nie rozeznawały nic przed sobą.... jakieś tylko snujące się cienie a czasem błyski jaskrawe.... I to nareszcie znikło w nieprzebitych ciemnościach.... Nie widziała i nie słyszała nic.... Jeno szum gwałtowny, jakby borów litewskich w czas burzy, otaczał ją dokoła....

Halszka wyciągnęła przed siebie ręce, chwytając powietrze, i bez jękiu, osunęła się na ziemię w omdleniu, na tem samem miejscu, gdzie klęczał przed chwilą Siciński....

Gdy przyszła do siebie, już brzaski dzienne przedzierały się do wnętrza komnaty, przez nieosłonięte okna.... Na taflach kryształowych mróz rysował dziwaczne liście i kwiaty i słychać było głośny świegot ptactwa, spłoszonego zimnem i garnącego się ku ludzkim mieszkaniom....

Wszystkie przejścia minionej nocy, jak straszliwe widziadła senne stanęły przed oczyma Halszki. Mogłoż to być prawdą?... Niecofniona rzeczywistość przy tym brzasku dziennym wydawała się jej jeszcze stokroć okropniejszą....

Wszystko przedstawiało się jej teraz w jakimś dziwnym nieładzie.... Dokoła świeczników wosk stopiony szpecił marmur posadzki, uszkodził dywany; kosztowne obicia murów, świecideła i precyzoza porozrzucane na stołach, były pokryte jakby warstwą pyłu, straciły blask swój i urok.... Na środku komnaty jak czarna wielka plama rozciągał się płaszcz jej, który wczoraj spadł z ramion.... Światło, palące się przed obrazem Matki Najświętszej, przy świetle dzieniem stało się bladem, bez promieni.... oblicze Matki Bożej znikło w półcieniu.... A to odbicie w zwierciadle — żaliż to była jej postać?

Siedziała na posadzce, wsparta na prawem ramieniu.... Włosy splątane, w nieładzie,

spadały jej na twarz i czoło; oczy bez blasku, przygasłe, siną otoczone obwódką, patrzyły przed siebie sztywnie, bez wyrazu; usta zsiniałe, zacisnęły się u kątów jakimś bolesnym skrzywieniem.... cała twarz blada, zmęczona, straciła świeżość młodości....

Odwróciła się od zwierciadła, nie chcąc patrzeć na to odbicie; z trudem podnosząc się z ziemi, chwiejnym krokiem zawlekła się do łóża i padłszy na nie, usiłowała usnąć. Ale usiłowania były daremne. Groźba Sicińskiego i jego słowa ostatnie brzmiały jej ciągle w duszy złowrogim echem i sen płoszyły z powiek.

Nareszcie ruch zrobił się już na korytarzach pałacu; słychać było przyciszone głosy służby dworskiej a załeknionej Halszce wydało się, że głosy te zwiastują jej nowe jakieś nieszczęście. Przyszło jej na myśl, że może Siciński spełnił swą zemstę i może domysły swoje i spostrzeżenia objawił już p. Kazanowskiemu, który w rozpaczy, z przekleństwem na ustach kona....

Nową trwogą przejęta, porwała się z łóżka. Zdjęła płaszcz z ziemi, zarzuciła na siebie, aby ukryć nieład stroju, otworzyła drzwi i wybiegła na korytarz. Snuło się tam kilku dworzan, którzy z podziwieniem ujrzeliby przed sobą Halszkę, o tak rannej godzinie i do-

strzegli niezwykłą bladość i pomieszanie na jej obliczu.

— Pan marszałek?... — zaczęła Halszka i niedokończyła pytania, aby głosem, którego drżenia powstrzymać nie mogła, nie zdradzić wewnętrznej obawy.

— Właśnie przechodził tedy pokojowiec jw. marszałka — odparł jeden z dworzan z niskim ukłonem — i zwiastował ku wielkiemu pocieszeniu naszemu, jako jw. marszałek noc spędził spokojnie a obudziwszy się przed momentem, oświadczył, iż czuje się po-krzepionym i zdrowym....

Pierś Halszki odetchnęła wolniej. Ale jeszcze jedno pytanie wyrywało się z jej duszy. Wahała się chwilę a potem nagle, już pewniejszym głosem:

— Żali imęp. Siciński — rzekła — jest u pana marszałka?

— Imęp. Siciński — odparł dworzanin — przed godziną może opuścił dwór i Warszawę. Całą noc przygotowywał się do podróży a zaledwie dnieć poczęło, z jednym pacholikiem swoim wyjechał.

Ciężki kamień frasunku stoczył się z duszy Halszki. Więc nie dokonał zemsty? A może ją tylko odwlókił? Wszak sam rzekł, jako czekać umie i czekać będzie....

Uspokojona przynajmniej na chwilę obeecną, chociaż z myślą pełną obaw na przyszłość, wróciła Halszka do swojej komnaty i chwilę jeszcze dumała ułożyćwszy się na łóżu; zwolna jakąś otucha wstępowała do serca.... przestawała czuć i myśleć, znużone powieki się zamknęły, a sen twardy, bez marzeń, ogarnął ją całą, przynosząc pokrzepienie zwątłonym wrażeniami siłom.

Władysław był już dawno po za murami stolicy. Jeszcze noc była, gdy zbudziwszy paccholika swego, rozkazał mu natychmiast zbierać się do drogi.

Ułożonem tak było, jako dla niezwrocenia niczyjej uwagi, Władysław z jednym tylko paccholikiem opuści Warszawę, a dopiero wśród drogi, gdyby się potrzeba okazała, zwerbuje sobie z ludzi pewnych a śmiały kompanię zbrojną, aby na Ukrainę jechać. Nie mogło w tem być nic nadzwyczajnego, ile że podówczas częstokroć takie expedycye czyniono dla szukania fortuny na ukrainnych kresach. Tedy Władysław miał to wszystko tak uczynić, jakoby dla siebie tylko i w swoich własnych zamiarach ową wyprawę przedsiębrał.

Nie myślał on wszakże o tej wyprawie zgoła, gdy wśród brzasków porannych, zwolna, krok za krokiem, z opuszczoną na piersi głową, przejeżdżał przez puste, wyludnione ulice.

Koń jego, wolną ręką trzymany, głową rzucał i parskał — a o parę kroków za nim jechał młody pacholik, od czasu do czasu zaspane przecierając oczy i wydziwić się nie mogąc, iż ze dworu pana Kazanowskiego uciekali niele dwie pokryjomu, bez pożegnań żadnych, jak złoczyńcy.

Jechali milcząc wśród ciszy. Mroźne powietrze poranku studziło rozpalone skronie Władysława i powracało równowagę myślom. Nagle koń jego żachnął się i w bok odskoczył a równocześnie wielka wrzawa podniosła się dokola.

Z obszernego dworzyska, które mijali a w którym mieściła się gospoda, wyskoczyło kilka dziwacznych postaci. Oblicza ich, czerwone, gdzieniegdzie sinemi znaczone plamami, nosiły widoczne ślady nocnej hulanki, o czem też świadczył strój pomięty i zwalany. Na czele szedł wysoki, barczysty szlachcic, który w nocy odprowadzał Władysława do pałacu; żupan, pomimo chłodu, miał rozpięty; od rozpuszczonego prawie zupełnie pasa, którego końce niemal po ziemi się wlokły, zwisała na starych rzemieniach szabla wielka, stukając z hałasem o wysterczające na drodze kamienie. Twarz jego szkarłatna a miejscami sina, patrzyła oczyma wielkimi, krwią nabiegłemi, które na wierzch wylazły.

Czapki nie miał na głowie a podgolona czuprynę, dobrze już siwiejącą, szarpał wiatr mroźny, odkrywając na środku przebłyskującą lysinę.

Przypomniała się Władysławowi wczorajsza hulanka. Ten szlachcic był jednym z dworzan p. starosty łomżyńskiego, który wróciwszy z częścią kompanii do gospody, wesoło się zabawiał do rana i wedle przyczynienia stawił się na Władysława drodze z pełnym kielichem w ręku. Za nim szło kilku innych dworzan również z kielichami w pronicach.

— Vivat marszałkowic upitski! — wołał ochrypłym głosem idący przodem szlachcic, podnosząc kielich tak pełny, że wino wylewało się dokoła.

— Niech żyje! — wołali inni — dotrzymaliśmy przyczynienia! Vivat!

— Najlepszy to omen, mości Siciński.... — bełkotał przywódcza.

Ale Władysław ściągnął uzdę koniowi i cofnął się, jakby ze wstrętem. Nie odpowiadał nic.... z pogardą, że złością niemal spoglądał na tę gromadę pijaną, która mu przyszła życzyć fortunnej podróży.... Zdawało mu się, że ten gruby, rozpasany szlachcic urągać zeń zamierza.

— Z drogi! — krzyknął, a równocześnie spiął silnie konia i puścił się pędem, roztrącając pijaną gromadę.

Opasły szlachcic gębę rozwarł szeroko, chciał coś przemówić, ale Władysław mijając potrącił go tak silnie, że kielich, do ust niesiony, wypadł mu z ręki, a on sam zatoczył się i całym ciężarem zwalił na ziemię.

Siciński popędził dalej a za nim pacholik, nie oglądając się na zdziwionych dworzan, którzy tego co się stało pojąć nie mogli. Wielkimi oczyma patrzyli za umykającymi. Gruby szlachcic z trudem podnosił się z ziemi i znów upadał, ocierając ręką zranioną w upadku twarz, z której krew ciekła strumieniem.... Chwilę nie mówił nic, bo go upadek oszołomił zupełnie; gębę jeno roztwierał, i oczy wytrzeszczał.

— A to zdrajca... nicpoń! — mruknął wreszcie niewyraźnie.

— Zakpił z nas syn jakiś!... — zawałali inni.

— A myśmy mu vivat krzyczeli — dodawali drudzy.

— Krzyczcie: pereat! — wrzasnął nagle gruby szlachcic, dźwignąwszy się już całkiem i twarz zwalana krwią i prochem ukazując kompanom. — A to mię zdmuchnął jak świecę, ten wygładzony zausznik pański.... Pereat! krzyczcie mościanowie!... Krew moja, nie-

winnie przelana, niech spadnie na niego i jego potomstwo!

— Pereat! — zawałano chórem.

Krzyk ten doszedł uszu Sicińskiego, który mimowolnie zadrżał.... Zaciął konia i bez pamięci leciał dalej.

— Bodajeś przepadł!... — brzmiały z daleka głosy.

— Dobry omen! — mruknął Władysław przez zaciśnięte zęby — przekleństwo biorę na drogę....

I pędził dalej, coraz szybciej, jakby go co gnało.

Wyjechali za miasto. Siciński przystanął na wzgórku i spojrzał na niknącą w oddaleniu stolicę....

Szereg murów i dachów w dziwaczne połamanych kształty, zdawał się olbrzymią jakąś ruiną, okrytą poranną mgłą białą, z której wysterczały jeno kominy i wieżyce a którą pierwsze promienie wschodzącego słońca rumieniły nieco i rozpraszały zwolna. Na złotych krzyżach wieżyc kościelnych odbijały się jaskrawo te promienie i całą siłą rzucały się na wspaniałą kolumnę Zygmunta, którą pobożność synowska króla Władysława pamięci rodzica wzniósła. Do połowy mgłą jeszcze zasnuta, kolumna owa, niewidzialna od spodu, zdawała się wierzchołkiem swym wi-

sieć w powietrzu, a na tym wierzchołku postać królewska z mieczem w prawicy i wielkim krzyżem w lewej dloni, zarysowywała się na bladym błękitie nieba, jak zjawisko nadziemskie, wpośród mgły białej, wijącej się u podnóża i słonecznych blasków, padających z góry....

Siciński stał i patrzył w zamysleniu na tę kolumnę i to miasto, w którym tyle lat życia mu zbiegło.... Koń jego, rozgrzany biegiem, parskał i niecierpliwie grzebał ziemię kopytem. Z dalszych okolic szli ku miastu zarobnicy i niewiasty wiejskie a mijając pięknego rycerza, pozdrawiali Imię Pańskie.

Władysław nie odpowiadał nic, jeno patrzył przed siebie nieruchomo. Wśród ciszy tego poranka dochodziła uszu jego stłumiona wrzawa tętentu koni, turkotu wozów i głosów ludzkich, podnosząca się z obudzonej do życia stolicy. W życiu tem, tak dugo, a jeszcze przed chwilą i on brał udział; zdawać mu się mogło, że jest na coś przydatnym w tym powszechnym ruchu. A oto go nie stało, życie zaś to, jak fala rzeki spieniona, unosząca z sobą i wyrzucająca na brzeg kamienie, biegło dalej niewstrzymanym pędem. A ktoż na dnie rzeki ślad znajdzie, gdzie zabrakło jednego kamyczka? Ktoż w tem życiu gorączkowem o nim wspomni?... Chyba obumie-

rający Kazanowski obejrzy się za jego wierną usługą.... Halszka jak zmorę odpędzać będzie wszelkie o nim wspomnienie; — w gwarze i wrzawie powszechnej ślad jego zginie....

— Jeszcze ja im się przypomnę! — mruknął Siciński przez zaciśnięte zęby — jeszcze cała ta stolica imię moje powtarzać będzie jak hasło!...

Podniósł zuchwale głowę, zwrócił konia i spiąwszy go silnie ostrogą, dalej jak wicher popędził....

---

## XVI.

Na Ukrainie była cisza, jak przed burzą. Ostrowy dnieprowe zdawały się puste, kozaчество rozpierzchłe spało jeszcze, a Chmielnicki czy się krył, czy też, jak mówili niektórzy, do Krymu zbiegł, znaku życia nie dawał. Nadaremnie Siciński, przybywszy do Czerkas, rozsyłał za nim gońców na wszystkie strony — Bohdana nigdzie nie było.

Pan Kazanowski, starosta czerkaski, zle bardzo wyciągał ztąd wróżby.

— Chmiel knuje spiski — mówił — jak to niejednokrotnie sam Barabasz twierdził. Niema innej rady, jeno bez Chmielnickiego się układać, rejestrowych i tych co są wierni, kozaków, zebrać i z nimi w porozumieniu wejść, aby z nich siłę przeciw Bohdanowi uzyskać.

Tak też uczyniono. Wezwano Barabasza i innych wiernych asawułów i sotników i z nimi rozpoczęto układy. Rokowania te wszakże do żadnego rezultatu doprowadzić

nie mogły. Imię Chmielnickiego rzucało postrach na całą Ukrainę, nikt bez niego stanowczych przyczepień czynić nie chciał. Obiecywano wprawdzie wierność Królowi, przyjmowano chętnie przyznanie naprawy krzywd, podnoszono skwapliwie żale i skargi, ale gdy p. Kazanowski i Siciński, okazując polecenia królewskie, chcieli do stanowczych przystąpić układów, każdy się wahał, zasłaniając się, jako Chmielnickiego niema a bez niego żaden układ mocy mieć nie może.

Nawet stary ataman Barabasz, o ile dawniej stanowczym się okazywał i zdawał się Chmielnickiego nie lękać, o tyle od czasu swojej na ostrowie bytności, kiedy go Bohdan do niepamięci spoił, stał się chwiejnym, niepewnym i jakby zastraszonym.

Niezbadana troska padła od tego momentu na duszę wiernego atamana, że się postarzał z tego frasunku i zdawał się własnego obawiać cienia. Przyzwany do Czerkas, kiedy go Siciński naglił, aby szczerze wyznał, żali na wierność kozaków liczyć było można i żali Chmielnickiego knowania nie ogarnęły ich wszystkich — Barabasz milczał długo, smutnie pochyliwszy siwowłosą głowę na piersi, a potem głosem stłumionym, jakby lękając się, aby słyszany nie był, rzekł:

— Ano, co ja wiem! Czuję jeno, że i mnie wkrótce nędzną moją głowę położyć tu przyjedzie.... dokoła zdrada, szepty, spiski.... Ostrowy dnieprowe puste.... mówicie! Ale niech-no słońce wiosenne przygrzeje, lody i śniegi stopnieją!... I teraz w noc pogodną, wyjdźcie-no na stepy i pustynie, w uroczyska i jary.... Jak mrowią tam buntowników....

— Ale skoro to wiecie, mości atamanie — przerwał Siciński, którego tajemnicza mowa Barabasza niepomału przelekła — skoro wiecie o zdrajcach, to czemuż ich nam nie wydacie, jeśliście sami wierni?...

— Jam wierny! — zawała stary ataman, pięścią uderzając się w piersi — tyle lat byłem wierny Królowi i Rzpltej i takim zginę.... Dlatego to za mną chodzą szpiegi, jak cienie.... Może dziś, jak ztąd wyjdę, zabiją.... Mówicie, wydać wam zdrajców? A który ich przeliczy? Może wszyscy.... a teraz jeszcze nikt. Czekają znaku....

— A regestrowcy? — zagadnął Władysław.

Barabasz ręką machnął.

— Teraz są wierni — a kiedy Chmielnicki raz okaże się zwycięzcą, pójdą za nim.... za silą!...

— Więc jakaż rada wasza?.... — spytał jeszcze Siciński.

Barabasz wstał. Jego twarz znędzniała i zmarszczkami starości okryta, miała wyraz głębokiego smutku.... Na zapytanie Władysława od razu odpowiedzi nie dał; gładził ręką brodę siwą i patrzył długo chmurnemi oczyma.

— Jaka rada? — powtórzył — jaka rada?...

I znów milczał. W jego duszy widoczna toczyła się walka. On jeden niezawodnie, znający dobrze kozactwo i kraj cały, domyślający się spisków i jaką szły drogą, domyślający się planów i nadziei Bohdana, on jeden, mógł dać może radę skuteczną. Ale rada ta, miała wydać całą Ukrainę na pomstę, przeciw zbuntowanemu kozactwu postawić całą potęgę Rzeczypospolitej, zniszczyć kozaczyznę, skazać na śmierć pewną tysiące tych, z którymi stary ataman duszą i krwią był zrosły.

— Zatem mówcie! — naglił Siciński — Jaka rada?

Barabasz wstrząsnął się całym ciałem. Szeroką dlonią potarł czoło — w jego oczach smętnych, znużonych, przelotne zapalały się błyski i wnet gasły.... Zbliżył się do Władysława i szepnął:

— Wasz trud daremny.... Nie zrobicie teraz nic bez Chmielnickiego, a jego niema....

— Gdzież jest?.... żali prawda, że w Krymie?

— Tak! — potwierdził Barabasz. — Z Tatarami układy zawiera. Moc niezliczoną ordy tu sprowadza.... A wyście nie gotowi!... Cóż znaczy garstka choćby wiernych regestrowców przeciw takiej potędze?...

I mówił dalej głosem coraz bardziej stłumionym, chrypliwym, który mu z trudnością wydobywał się z piersi....

— Wszyscy pójdą za nim!... za Bohdanem.... oprócz tych, których za wierność wam, wymordować każe.... Dajcie znać Najjaśniejszemu Królowi.... niech wielką armię gotuje co rychlej.... natychmiast!

— Przecież — przerwał Władysław, pragnąc uspokoić obawy, które głos Barabasza w nim mimowolnie wzniecał — przecież hetmanowie Potocki, Kalinowski, gotowi są.... mają wojsko....

Barabasz się zaśmiał.

— Garstka to jest nikczemna, — odparł. — Z nią niech nie rozpoczynają, bo zginą marnie wszyscy.... Wiem, że hetman Potocki skory jest, aby z tą garstką uderzyć — niech tego nie czyni, bo śmierć pewna.... kleska okropna! Jedźcie panie! — dodał niemal błagalnie, zwracając się ku Władysławowi — jedźcie natychmiast na Umań, do Kalinowskiego.... Powiedzcie jemu i Potockiemu, coście odemnie słyszeli.... Niech się nie ważą wojny zaczynać,

sami, bez siły wielkiej.... Niech próbują raz jeszcze układów gdy Chmielnicki wróci.... niech przyrzekną wiele i dotrzymają, a niech przynajmniej zwłoczą tak, aby wojsko całej Rzeczypospolitej miało czas tu przybyć.... Chmielnicki posiadł potężne hasło.... które....

Nagle urwał i głowę pochylił na piersi, a potem zbliżając się ku Kazanowskiemu, rzekł z pośpiechem:

— Żegnajcie panie! a nie zniewalajcie, abym mówił jeszcze. Ciężko na swoich śmierci przyzywać.... Dusza się rwie.... ano jam wierny.... musiałem rzec i powiedziałem wszystko!... Żegnajcie, panie....

To rzekłszy, zwrócił się spiesznie ku drzwiom i chciał już wychodzić, lecz go Władysław wstrzymał jeszcze.

— Jakież to jest hasło o którym mówicie, że je Chmielnicki posiadł?

Ataman spojrzał nań mętnymi oczyma.

— Hasło.... hasło.... — powtórzył. — Gdy Chmielnicki wróci, starajcie się go schwytać.... koniecznie — choćby podstępem. On ma w ręku listy ważne, które mu do zbuntowania innych służą....

— A kiedyż on wróci? — zagadnął Władysław.

— Może dziś.... może jutro.... lada dzień — odrzekł ataman. — Wiosna niedaleko... spie-

szcie się, bo może być zapóźno.... Jedźcie niezwłocznie na Umań i powiedzcie hetmanom, aby się na bacznosci mieli a nie poczynali nic teraz.... niech próbują jeszcze rokowań.... Przyszle wam wiernego kozaka, który zna pewne drogi.... on was zawiedzie.

Z temi słowy ataman wyszedł, a raczej wybiegły, jakby chciał co rychlej skończyć tę rozmowę. Kazanowski i Siciński pozostawszy sami, długą chwilę milczeli, spoglądając na siebie w niemem przerażeniu.

Pierwszy Władysław przemówił:

— Ten ataman stary jest, zniedołężniały, a tak załekniony, iż snadnie przesadza niebezpieczeństwo.... O jakichś listach mówi.... o jakimś haśle — zgoła oszalał.

Starosta czerkaski patrzył w zamyśleniu przed siebie.

— Być może.... — odparł. — Ale to wiem, iż słowa jego potwierdzają jeno to, co moja dusza dawno przeczuwa. Tu jest teraz takie powietrze, które dusi.... nie ma chmur jeszcze, a czujesz, że lada moment grom padnie i burza rozszaleje. Hetmanowie tylko tego nie widzą. Oto szlą mi rozkazy, abym się gotował; — takież polecenia otrzymali pewno wszyscy starostowie ukraińscy; z wiosną chcą wszczynać robotę.... a tymczasem Chmiel ordę przyzywa.... Mnie się widzi, jako najlepiej

jest słuchać consilium Barabasza.... Jedź wacpan do hetmanów i odnieś im jego słowa, a potem relację zdać trzeba Królowi, który teraz na Litwie jest....

Gdy tych słów pan Kazanowski domawiał, do komnaty wszedł kozak, kłaniając się kornie.

Dziwna to była postać. Ubiór prosty, wyszarzany, kozacki, zwisał na nim niekształtnie, tak człek ów był chudy; oblicze poryte zmaraszczkami, wymizerowane było, zczerniałe, jeno oczy błyszczące, w głąb zapadnięte, ożywiały je, rzucając przenikliwe spojrzenia, które teraz w twarzy Sicińskiego upornie utkwiły.

— Ataman Barabasz przysłał mnie do Waszej Miłości — rzekł kozak po polsku — mam pono do Umania iść, czy też kogo prowadzić....

— Dobrze zrobił ataman — odparł Kazanowski — że ciebie przeznaczył; możesz być pewien, mości Siciński, iż cię ten kozak bezpiecznie zawiedzie.

Na nazwisko Sicińskiego, kozak ów drgnął i cofnął się ku drzwiom ale wnet miarkując się:

— Wolałbym, panie starosto — rzekł spokojnym ale głucho brzmiącym głosem — tu zostać i śledzić Chmielnickiego powrotu....

wszakże i inni rejestrowcy do Umania trafiają.... droga niedaleka....

Kazanowski z pewnym zdziwieniem spojrzał na kozaka, nie było bowiem wypadku, aby on kiedykolwiek jakieś obserwacje czynił przy spełnianiu rozkazów.

— Chmielnicki — odparł — pono nie tak rychło wróci.... a potrzeba koniecznie, aby pan Siciński co rychlej do Umania, najkrótszą i najbezpieczniejszą drogą do hetmanów dotarł.... Drogi nie zbyt teraz pewne, bihunów i burłaków włóczy się co niemiara.... ty Fedorze wszystkie ścieżki znasz dobrze, najlepiej ze wszystkich.... Jutro rano wyruszycie a trzeba żebyście wzięli pachołków kilku dobrze uzbrojonych.

— Nie trzeba — przerwał żywo kozak. — Spokój wszędzie, doprowadzę pana Sicińskiego bezpiecznie....

Nazwisko to wymówił kozak z naciskiem, zwolna, jakby z trudnością przechodziło mu przez gardło.

— Jutro rano, na świtaniu, wszystko będzie gotowe.... Ostańcie z Bogiem!

To rzekłszy skłonił się i wyszedł, rzuciwszy raz jeszcze przenikliwe na Władysława spojrzenie, które go do żywego tknęło.

— Jakaś niepewna persona, ten kozak — rzekł do Kazanowskiego po wyjściu Fedora — źle mu z oczu patrzy....

— Co też waść gadasz! — zawała Kazanowski. — Jest to człek dziwny ale poświęcenia i wierności niewzruszonej. Nie jest on wcale z urodzenia kozakiem, przybył przed kilku laty jako pielgrzym. Przebiegła całą Ukrainę wzdłuż i wszerz z sakwą żebraczą na plecach a słowem pobożnem na uśmiechach. Wiele on dobrego uczynił, wiele niesprawiedliwości i gwałtów powstrzymał i przez kozaków nawet był szanowany.... Ale kiedy zaczęły się niepokoje z Chmielnickim i gdy ten na ostrowy zbiegł dnieprowe a spiski począł kować, pielgrzym ów poświęcił się, aby te spiski odkrywać i tamować.... Był on też nam wielce pomocnym, ale kozacy już go podejrzewały zaczęli i raz złowiwszy omal nie zamordowali, że istnym cudem ocalał. Przywiedzony bowiem do Chmielnickiego tak wzruszył jego serce swoją wymową, że ten dziki człek sam uwolnić go kazał.

— A jakże się ów pielgrzym w kozaka przedzierżgnął? — spytał Władysław.

— Z własnej woli i na instancyę Barabasza — odrzekł Kazanowski — któremu życie salwował, gdy jeden mściwy pół-kozak, pół-tatar, podstępnie zamordować go chciał....

Już się podówczas zaczęły i między rejestrowymi ukazywać zdrady. Pielgrzyma długi czas na Ukrainie nie było, aż raz pojawił się u mnie i rzekł:

— Potrzeba rejestrowcom takiego towarzysza, któryby ich życie znał, ich językiem mówić umiał, grube obyczaje dzielił a serce miał w piersi wierne i zapał w duszy szczery, aby ich zagrzać, gdyby bunty Chmiela i do nich dochodziły.... Czuję, jako w kozaczej burce lepiej się teraz przydam niżli z sakwą pielgrzymią. Zapiszcie mnie do rejestru: będę wiernym kozakiem a łatwiej mi będzie z blizka wszystko dojrzeć i w czas złemu zapobiedz. Uczyniłem jak żądał a nie było to wcale rzeczą trudną, ile że między rejestrowcami nie mało jest szlachty polskiej i litewskiej.

— Więc ten kozak szlachcicem jest?... — zagadnął Władysław.

— Z Litwy pochodzi -- odrzekł starosta — i nazwisko nosi dobre, szlacheckie, ale gdym je zapisać chciał do rejestru, on ze łzami niemal mię błagał, abym je pominął lub raczej zmienił na inne o prawdziwem zapomniawszy. Nazwał się Fedor Bezimia, jakby tem zaznaczyć chciał, iż właściwego nazwiska się wyrzekł...

— Nie piękne historye musiał on za sobą w Litwie zostawić, skoro tak się własne-

go nazwiska lęka.... — zauważył Siciński. A powiedzieć mi, mości starosto, jak się nazywa?

— Uczynić tego nie mogę — stanowczo odparł Kazanowski — przysiąłem mu, jako go nie zdradzę.... zresztą co wam po tem nazwisku, skoro go nie znacie.

Siciński zamyślił się chmurno.

— Kto wie.... — ozwał się po chwili — żali go nie znam? Patrzył na mnie ten dziwny kozak tak przenikliwie, jakby mię na wskróś przejrzeć chciał....

— Temu się nie dziwujcie — przerwał starosta. — Żywot, jaki ten człowiek od lat wielu prowadzi, uczynił go nieufnym, podejrzliwym a zagłębionym w sobie, że czasem szaleńcem się zdaje. Są takie dni, w których Fedor Bezimia nie przemówi ani słowa, jeno kleczy, modli się i w piersi się bije, jak pokutnik. To znów zrywa się i w świat idzie, na Niż, na ostrowy, na stepy....

— A jakąż on służbę pełni?

— Ataman Barabasz ma go pod swemi rozkazami a Fedor spełnia je wszystkie najwierniej. Wśród regestrowców i w ogóle na Zaporóżu wielki wpływ uzyskał, czasem jedno jego słowo uśmierzało bunt.... jedni mają go za szaleńca, drudzy za czarodzieja, inni za świętego, który z niebios natchnienie ma....

a wszyscy go słuchają.... Za jego usługi, chcieliśmy mu wyższy stopień w wojsku zaporozkiem dać — ale nie chciał: Zostanę prostym kozakiem, — rzekł, tak mi jest najlepiej....

— To jakiś zbrodzień być musi.... — ożwał się Siciński — którego sumienie gryzie, więc się niby poświęca i pokutuje, dopóki go złość znów kiedyś nie porwie ku nowej zbrodni.... W oczach ma szkaradne błyski....

Kazanowski się zaśmiał.

— Takby się zdawało, — rzekł — jakbyście się lękali z nim jechać.... Ano, zaręczyć wam mogę, iż Fedor Bezimia sam raczej zginie, niżby wam zginąć dał, skoro polecenie ma bezpiecznie was doprowadzić.

— Wyznam prawdę — odrzekł Władysław — iż nie chciałbym tu marnie zginąć z ręki jakiego opryszka i dlatego swoją kompanię wezmę....

— Czyńcie jak chcecie — odparł Kazanowski — ale mi się to widzi rzeczą wcale zbytectzną.... za Fedora ręczę....

I na tem się ta rozmowa skończyła, a nazajutrz skoro świtać zaczęło, Władysław wyjeżdżał z Czerkas z Fedorem Bezimia i całą kompanią swoją z kilkunastu jeźdźców złożoną.

Fedor z wielką niechęcią patrzył na ten orszak.

— A na co Waszej Miłości — rzekł zbliżając się do Władysława — taka kompania liczna?

— Zawsze bezpieczniej.... — odparł Władysław, nieco zmięszany, unikając spojrzenia kozaka, które go nawskróś przenikało.

Po zmarszczonej twarzy kozaka przebiegły jakiś niewyraźny uśmiech.

— Bez potrzeby się lękacie — rzekł zwolna. — Teraz wszędzie spokój.... Chmiel nakazał, aby cicho było na stepach, ostrowach i wodach dniepropowycznych.... A z taką liczną kompanią ciężko jest przez stepowe pustynie się przedzierać, bo to ludzie nie nawykli do takich podróży i obyczajów nieświadomi.... Lada czego się złekną lub obruszą, czem najłatwiej i do nieszczęścia przyjść, gdybyśmy jaką kozacką kompanię spotkali, z którą towarzysze Waszej Miłości gadać nie potrafią.... Ale czyście, jak uważacie....

I pojechali. Kozak prowadził znanemi sobie ubocznemi drogami, które były dalsze niż zwykła droga do Umania wiodąca, ale za to, jak twierdził Fedor, pewniejsza. Podróż jakkolwiek niezbyt daleka, była uciążliwą, bo na stepach śniegi jeszcze leżały wielkie; jak okiem zasięgnąć, rozsциelało się jedno olbrzymie morze tego śniegu, w który konie nieraz głęboko zapadały. Powierzchnia jego pokryta

cienką warstwą lodową, szkliła się i tajała w słońca promieniach, z głuchym łoskotem łamiąc się pod kopytami końskiego. A na tej równej, białej powierzchni, wygładzonej i połyskującej, daremnie oko szukało jakiego przedmiotu, na którymby spocząć mogło. Gdziegdzie tylko mogiła nie wielka wyrastała z pod śniegu, a w oddali ciemniały lasy w okolicach Umania.

— Pusty, smutny kraj! — ozwał się Włodzisław, gdy już czas długiego jechali w milczeniu.

— Ale do niego, — odparł kozak — serce tak nawyka, że potem wieczyście teskni po nim. Gdybyście wy, panie, widzieli ten step na wiosnę! gdy ta niezmierna pustynia trawą bujną a różno-kolorowymi burzany zarośnie, gdy w blaszkach rannego słońca, brylantami roziskrzy się na nich rosa, gdy wicher gdzieś od dniepropowyskich porohów jecząc i szumiąc pojedzie po tym stepie, po wysokich kurhanach a trawach, ku mogiłom a kureniom kozackim, gdy miliony ptactwa i owadów skrzydlatych napełnią powietrze świgotem — to się wówczas patrząc na to a słuchając, dusza podnosi ku niebiosom, które zdają się bliższe tej cudownej ziemi!... Tu nieba ani słońca nie zasłania góra, nie zaciemnia las, jeno czasem chmury groźne je pokryją, a wówczas wśród

gromów, które nieskończonem toczą się echem po stepie, niebiosa rozdzierają się z krańca w kraniec, ziejąc ogniem, jak czeluście piekielne.... A w nocy! Na stepie tym zrywają się jakieś dziwne odgłosy, których ucho ludzkie nigdzie nie usłyszy; błędą cienie jakieś, lub przezroczyste mgły białe jak duchy, to znów ogniki to błękitne, to czerwone, skaczą, nikną i znów pobłyskują wśród cieniów... Tu inaczej niż gdzieindziej, jaśniej, promiennie świeci słońce, inaczej xiężyce i gwiazdy się iskrzą, tu inaczej ptactwo śpiewa, swobodne, rozkoszne — tu powietrze inne, które upaja, woda czysta, która orzeźwia — inaczej też czuje piersi człowiecza, szerzej oddychając, serce czuje się wolnem, myśli bujne rosną, jak kwiaty na stepach....

Władysław z najwyższym podziwem patrzył na twarz kozaka, która niezwykłym promieniąła zachwytem. Jechał ze wzrokiem utkwionym przed siebie; oblicze jego, które przed chwilą wydawało się Sicińskiemu zmizerowanym i starem, teraz odmłodniało zachwytem; nozdrza mu się rozszerzały, piersi oddychała głęboko; pochylony naprzód, kozak zdawał się lecieć w przestrzeń, unoszony ową myślą bujną, która mu duszę napełniała.... Zamilkł i pół otwartemi ustami pił czyste powietrze stepowe. Z pod wysokiej czapki ko-

zackiej wymykały się długie, siwiejące już włosy, które wiatr szarpał.

Więcej niż kiedykolwiek wydał się Sicińskiemu szalonym ten człowiek, a zarazem zdjęła go ciekawość zbadania jego przeszłości. W wyrazie twarzy i głosie tego kozaka, było coś, co mu jakieś dalekie, bardzo dalekie wspomnienie obudzało w duszy. Chwilami zdawało mu się, że on ten głos stłumiony kiedyś słyszał i widział podobne rysy, chude, zmizerowane, ponure....

— To dziwna — ozwał się po chwili Siciński — żeście wy tak ten kraj pustynny umiłowali.... Mówił mi p. Kazanowski, że pochodzicie z Litwy i że burkę kozacką od niedawna nosicie.... jeno waszego dawnego nazwiska powiedzieć nie chciał.

Kozak żachnął się i konia ściągnął niecierpliwą ręką, bystre rzucając na Władysława spojrzenie.

— Pan Kazanowski wam to mówił — ozwał się głucho. — A na co? Zwę się teraz Fedor Bezimia i jestem kozakiem....

— A do Litwy wam nie teskno?... — zaganiał Władysław.

— Do Litwy.... — powtórzył Fedor z dziwnym brzmieniem w głosie. — Do macierzy to człek teskni wiek swój cały — ale ta Ukraina to jest kochanka, przy której zapomina się

o wszystkiem.... Zresztą, co to o tem gadać.... — Ręką machnął i zamilkł.

Podróż była nużąca i trwała długo. Konie zmęczone szły nogą za nogą, kopiąc się w śniegu wilgotnym. Powietrze było niemal ciepłe, miało chwilami powiewy wiosenne. Słońce zniżało się już ku zachodowi; niebo bez chmur, przejrzyste, rozśielało się po nad stepem jak namiot jasno-błękitny i łączyło z nim u krańców, kiedy oko dostrzegało jakby plamy ciemne, gęsto rozsiane na białym całunie śniegu.

— Już widmo Uman... — rzekł Fedor. — Przed pięćdziesięciu niespełna laty nie było tu nic.... step pustynny. Teraz powstało wielkie miasto, założone przez Kalinowskiego, rodzica pana hetmana polnego. Dokoła osady, kurenie kozackie.... W mieście handlują grecy, żydzi, ormianie, a w kureniach żyje lud bitny, rycerski, przez pana hetmana pięknie wyczwiczony.... Widzicie panie te czarne, niby chmury wielkie na niebie, rysujące się kształty, to baszty hetmańskiego zamku. Zamek mocny i strzeżony dobrze. A teraz widzicie jak w promieniach słońca, bliżej nas, połyskuje rzeka Umanka, a tam dalej Konełka, Siniucha, Jatrań.... Opływają żyzne łany, bujne stepy i biegną aż do Bohu....

— To już niedaleko Umań? — zapytał Siciński.

— Niedaleko widać a daleko dybać... — odparł Fedor. — Tu coraz częściej spotykać będziemy kurenie, nowe osady kozackie.... Ot, tu widzicie na prawo i na lewo — ciemnieją na śniegu.... widać drzewa bezlistne i ogrodzenia i wały a wśród nich jak mogiły wystrzelają kurenie.

Nagle urwał i podniósł się na koniu, na słuchając....

Zdala dało się słyszeć przeciągłe, przeklinliwe gwizdanie, zrazu jedno, potem bliżej drugie i trzecie.... Na to odpowiedziało inne gwizdanie z przeciwej strony, a wreszcie ze stron wszystkich ozwały się takie same głosy, wydobywające się jakby z pod ziemi, przeklinliwe, świdrujące w uszach. Po całym stepie szło jedno brzmienie, a czasem okrzyk długi, posepny:

— Hej!... hej!... hej!...

Siciński mimowolnie załęknoni, oglądał się dokoła, a Fedor słuchał z pół otwartymi ustami, z wyraźnym zdziwieniem na twarzy....

Gwizdania umilkły, ale jakby obudzony niemi zerwał się szum gwałtownego wichru. Zrazu daleki, stłumiony, potem coraz silniejszy, zdawał się grzmotem, który ziemię poruszał, bo drżała. Wreszcie najwyraźniej dał

się słyszeć tętent tak mocny, jakby cała armia jezdna biegła.

— Stójmy! — zawała Fedor — spłoszone gwizdaniem tabuny pędzą....

Przystanęli tedy, skierowując wzrok w tę stronę, zkad ów tętent pochodził i kedy podnosiły się teraz tumany śniegu, rwane koptyami, jak mgłą okrywając biegnące w dzikim pośpiechu stado koni stepowych. W oddali, w szalonym pędzie, zdawały się one jedną olbrzymią bestią o głow niezliczonem mnóstwie, grzywach rozwianych, tysiącu rozplomienionych oczach i nozdrzach rozdętych, które wraz z gwałtownym oddechem, jakby iskry wyrzucały ogniste. Przeleciało stado spłoszone, jak burza, poprzedzane i gonione wichrem gwałtownym, wśród szumu, tętentu i huku, który cichł zwolna. Jeszcze długo słychać było parskanie i miarowy oddech załeknionego stada, który poruszał powietrze, jeszcze długo ziemia drżała od nacisku kopyt — aż wreszcie ucichło wszystko....

Siciński załekniony stał ciągle w miejscu; koń jego niespokojny rwał się i parskał głośno.... Fedor się zaśmiał.

— Ano — rzekł, — jedźmy dalej.... Przeleciały tabuny, — spłoszyły się gwizdaniem a i wicher ich nie dogoni.... piękne bestye!

— Ja tam nie wiem, czy piękne — odparł Władysław, — ale dzikie i straszne... a cóż to gwizdanie znaczy?

— Co znaczy? — powtórzył Fedor nagle zamysłony. — Hasła jakieś idą od kurenia do kurenia.... jeno jakie, nie wiem.... może Chmiel wrócił....

Pojechali dalej w posępnem milczeniu. Cisza zupełna zaległa; step ożywiony na chwilę, opustoszał znowu, jeno czarne dymy podnoszące się z kureni, szły w górę i rozpływająły się w powietrzu smugami, świadcząc o ludzkich mieszkaniach.

Zbliżano się do osad kozackich. Wśród drzew widniały chaty nędzne, kurenie i szalasy ziemią z wierzchu narzucone. Słońce już zaszło i zmierzch zapadał zwolna.... widoczne przed chwilą baszty umańskiego zamku znikły w ciemnościach, a jeno zdala, jak żałobna wstęga u krańców widnokręgu, czerniął Umań, ku któremu z upragnieniem dążył Siciński, bo mu na tym stepie pustynnym, wśród tych kuren, które jak mogły wyglądały, coraz zdawało się straszniej. Brzmiał mu jeszcze w uszach tętent dzikiego stada i owe przeciągłe gwizdania i ponure okrzyki, jak hasła tajemniczo wydawane.... Zdawało mu się, że lada moment zerwie się z ziemi, z za-

tych mogił, cała armia dzikich opryszków — i trwożnie oglądał się za siebie....

Fedor jechał obok niego milczący i zamyślony ponuro.

— Wiecie co? panie — ozwał się nagle. — Ja was do Umania nie doprowadzę, jeno do futoru pana Sołłohuba, który tu blisko. Ztamtań to was sam p. Sołłohub chętnie do umańskiego zamku zawiedzie.... a mnie wracać pora.... Owe gwizdania i krzyki na stepach dziwne są.... muszę zbadać co znaczą, a może niebawem ważne nowiny i wam przyniosę....

Nazwisko wymówione przez kozaka, niepomału zdziwiło Władysława.

— Sołłohub? — powtórzył. — Z Litwy może?

— A z Litwy — odrzekł Fedor, — brat rodzony tego, który pod Upitą mieszka....

— Jakimże sposobem on aż tu zawędrował? — spytał Siciński.

— Ano, rozkosz nie zapędziła go tutaj, to pewnie, o przyczynach zaś, on sam Waszej Miłości rozpowie, bo człek jest szczerý a do zwierzeń skłonny. Zakupił tu on wielkie obszary i mówią jako znaczną fortunę ma, chociaż żyje skromnie i samotnie, przyjawszy obyczaj kozacki. Miłują go tu wszyscy, bo dobry jest, jeno go teraz jakaś zaduma napa-

dła, snadź do Litwy tesknota, iż pono panu Kalinowskiemu wszystką posiadłość swoją odprzedać chce, aby na rodzinna ziemię wrócić....

Zbliżali się teraz do jakiejś snadź ludnej osady, bo chat tu było wiele, znacznie porównniejszych niż owe szalasy i kurenie wśród stepu. Każda z nich otoczona drzewami i ogrodzeniem porządnem świadczyła o zamożności mieszkańców. Spotykali też na drodze włościan schludnie odzianych, w sukmanach długich i wysokich czapkach kozackich, którzy kłaniali się jadącym, uprzejmie pozdrawiając.

Fedor zbliżył się nagle do Władysława.

— To — rzekł — włość pana Sołłohuba. Mieszka tu od lat wielu, z ludem tym się zbratał, dzieli ich dolę i niedolę, toż go wszyscy kochają jak ojca.... Gdyby ci co tu przychodzą, wszyscy byli tacy! gdyby nie Czaplińscy i podstarościowie pańscy, którzy jeno swego dobra patrzą.... nie zrobiłby nic Chmiel nawet z Tatarami.... Ano, przychodzą tu ludzie chciwi zdobyczy, bez sumienia i wiary, wywołańce a zbiegi, żyją krzywdą a grabieżą — a wszystko co czynią, spada na całą powszechność.... Prosty człek jestem, ale tak mi się zda, że gdyby nie Czapliński, nie byłoby Chmiela, gdyby nie owi wywołańce,

którzy tu zawsze zbiegają, fortuny szukając, nie byłoby wierniejszego ludu, jak ten ukraiński, nie byłoby lepszej armii jak kozacka.... Ano, teraz zapóźno. Przypatrzenie się tu dobrze wszystkiemu, mości Siciński, a powiedziecie sumienną prawdę panom hetmanom. Powiedziecie im, żeście wśród stepu, koło Sinej wody i mogiły Soroki słyszeli hasła, gwizdania i okrzyki, którymi kozactwo się zwołuje.

Zamilkł a potem nagle przysuwając się z koniem jeszcze bliżej do Władysława, dorzucił szeptem:

— Wyście tu przybyli jako poseł królewski.... nie znający ani sprawy, ani ludzi — toż wam powiem krótko: sprawą jest trudna a ludzie, którzy na czele stoją, widzieć tego nie chcą.... Kasztelan krakowski, hetman koronny Potocki, nadto wielki pan, aby do niego doszły owe gwizdania i hasła, odzywające się po stepach.... On sądzi, jako zniószczył kozaków, wolność im biorąc, on myśli, jako z małą garstką wojska poradzi im, choćby się i zerwali do buntu, ano, to powiedzieć mu, panie, niech się nie porywa, bo zginie....

Siciński z podziwem spojrzał na twarz Fedora, który mówił to głosem przejmującym, w uniesieniu, a takiemi słowy, które w ustach prostego kozaka brzmiały dziwnie,

— Barabasz mu tak mówić kazał... — powyślał.

— A zkadże ty to wiesz? — zapytał głośno, z nieufnością nań spoglądając.

— Zkad wiem? — powtórzył Fedor. — Wiem ja wiele rzeczy, bo chodzę po świecie nie od wczora.... Wiem ja i o was, mości Siciński, bardzo dużo....

I nie dając przerwać Władysławowi, który się niecierpliwie żachnął, mówił dalej pospiesznie, urywanymi wyrazy:

— Jeżeli jeno chcecie spełnić dobrze poselstwo, to należy wam nie myśleć o sobie, o własnej korzyści a działać dla powszechnego pożytku.... Hetman Potocki będzie od was żądał, byście to do Króla pisali, co on jeno zechce, byście żadnym słowem jego nie przeszkapdzali zamiarom. A Barabasz to już wam rzekł i ja powtarzam: Potocki niech się cofnie z Ukrainy, bo małą swą siłą rozdrażni jeno kozactwo i przyspieszy bunt.... więc niech się cofnie, stanie u granic i albo wszelkiego działania zaniecha, kozactwu dawne wolności wracając — albo niech czeka od Króla posiłków i z całą potęgą niech uderzy, by Chmielnickiego całkowicie zgnieść.... Te są dwie drogi, aby klęski uniknąć.... ta, którą Potocki chce iść, do zguby prowadzi.... Więc wam potrzeba przeciw niemu powstać i Kró-

lowi otworzyć oczy, jako na tych stepach zbiera się burza ogromna.... Z hetmanem nie łatwa walka, to pewna, a czyniąc tak, jako wam powiadam, narazicie się mu srodze, lecz spełnicie powinność świętą, odkupicie wszystkie dawne winy i grzechy!..

Siciński gniewną ręką szarpał konia, który przystanął. O jakich winach dawnych mówił ten kozak, którego twarz pochmurna, groźna, patrzyła nań przenikliwemi oczyma, palącemi się ogniem wewnętrznego zapału?

— Ktoś ty jest? — spytał mimowoli.

— Ktom ja jest?... — powtórzył kozak głuchy. — A na co wam to wiedzieć?... Żali widząc liść zeszły, walający się w kurzawie, pyta kto, na jakiem on drzewie wyrósł?... Pomnijcie jeno o tych słowach, które wam mówię.... pomnijcie, że nie o żywot jednego człowieka tu idzie, jeno o setki, tysiące ofiar.... Więc się nie wahajcie przeciw Potockiemu stanąć, nie wahajcie się mówić i jemu i Królowi prawdy, choćby was to narazić miało — a spełnicie dobrze wasze poselstwo, które wam zatratał lub odkupieniem być może....

W coraz większym pomieszaniu słuchał Władysławów tych, które mimowolnym lękiem go przejmowały.... Spojrzał na twarz Fedora i zadrżał. Te oczy zapadłe a świecące

się dziko, ta twarz zczerniała a chuda, głos, wydobywający się głucho z głębi piersi, przypomniały mu nagle inne oblicze, zasnute już mgłą dalekiej przeszłości, które wszakże ukazywało mu się czasem w snach gorączkowych. Zwłaszcza głos Fedora odbił się w duszy okropnem echem....

I nagle, jak błyskawica, przemknęła mu przed okiem ta chwila, gdy stary Wodźbun, do więzień prowadzony, rzekł mu niemal to samo, co teraz ów kozak:

— Za mało ci będzie jednego człowieka.... Wydasz całe mnóstwo, cały naród na pastwę!....

— Jedźmy!... — ożwał się Fedor, wysuwając się naprzód, — już późno, a ja muszę nazad do Czerkas....

Jechali dalej w milczeniu, aż ukazało się przed nimi duże wśród drzew dworzysko, ogrodzeniem zamknięte. U kołowrotu stał średniego wzrostu starzec, z długą siwą brodą, w prostą wieśniaczą sukmanę odziany, w baraniej czapce na głowie, z pod której białe jak mleko włosy na ramiona mu spały. Wyglądał poważnie jak patryarcha, a małemi, żywemi oczyma patrzył przenikliwie, z pod brwi gęstych i siwych na zblizającą się kompanię.

Fedor jeszcze raz przysunął się ku Władysławowi.

— Pomnijcie — szepnął, — com wam rzekł. — Mówić wam tu będą inaczej, alem ja najbliższy tych spraw, więc znam je najlepiej.... Niebawem znów tu przybędę, a powiem wam może więcej, byście Królowi donieśli.... Jeno zachowajcie o tem milczenie, by hetman nie wiedział. Powiem wam wszystko, a gdybyście mnie wydali, to nie mnie jednego zdradzicie....

Urwał i nie dając Sicińskiemu czasu do odpowiedzi, poskoczył ku stojącemu u kołowa wrotu starcowi.

— Sława Bohu, bat'ku! — zawałał.

— Na wiki sława! — odparł starzec i wpatrując się w twarz kozaka:

— A, to ty, Fedor — rzekł, — a zwidki?

— Od Czerkas, bat'ku.... gości wam prowadzę od p. Kazanowskiego — i nachylając się do ucha starca, dodał z cicha:

— Jestto goniec królewski imćp. Siciński z Litwy.... dąży do hetmanów, przywiózł zgodę, obietnice różne, ano, zda się wszystko zapóźno....

Starzec słuchał i wciąż upornie patrzył w twarz Władysława, której wśród zmierzchu dobrze dostrzędz nie mógł.

— Siciński — szeptał, — Siciński.... znam to nazwisko!

I wnet rzucił się skwapliwie, kołowrot otworzył a wyszedłszy na drogę, kedy Władysław czekał z kompanią swoją, powitał go uprzejmie, prosząc, aby wszedł do dworzyska i przedstawiając mu się jako pan tej włości, Paweł Sołłohub.

Dworzysko było duże ale wewnętrzniem urządzeniem prawie niczem nie różniące się od zwykłych chat lub kureni kozackich. Podzielone było na dwie części wielką sienią; po prawej stronie izba czeladna i piec wielki do pieczenia chleba, po lewej obszerna komnata o ścianach bielonych, kedy innych sprzętów nie było prócz stołów i ław drewnianych. Na przeciwniejszej od wejścia ścianie, wisiały obrazy świętych a przed niemi duży świecznik i lampa niewielka takiego kształtu jak lampy kościelne lub cerkiewne, w których się wieczyste światło pali. I w niej też tlił migocący płomyczek, rzucając cały blask swój na oblicze Matki Bożej w dużym obrazie, umieszczonym pośrodku. Zresztą żadnych ozdób — jeno pod owym obrazem, widniała duża szabla, jakby tam na ofiarę zawieszona, w pochwie pięknej, bardzo sztucznie wyrobionej i wysadzanej drogimi kamieniami, które mieniły się i połyskiwały przy owym tlejącym płomyczku.

Z ogromną serdecznością zakrzątnął się pan Sołłohub około przyjęcia gościa. Całą swą czeladź zwołał ku pomocy a sam biegał na wszystkie strony, rozkazy wydając a kłopotując się, jako tak hojnie jakby pragnął przyjąć nie może. Pojawiła się tedy wnet na stole wieczerza obfita choć z prostych potraw złożona, pojawiło się nawet wino i miód stary, który pan Sołłohub od lat wielu przechowywał w piwnicy.

Kozak Fedor znać musiał dobrze pana Sołłohuba, skoro mówił o nim, iż jestto człek szczerzy. Szczerość ta od razu chwytała za serce, tak, że nawet Władysław, zwykle nieufny a do obcych nie łacno się zbliżający, czuł się mimo woli pociągniętym ku temu starcowi, który z taką otwartą uprzejmością witał go i gościł, jakby najbliższego sobie.

— A to dziś dla mnie prawdziwe święto! — wołał, gdy napoiwszy i nakarmiwszy Sicińskiego i całą jego kompanię, usiadł wreszcie zdyszany, naprzeciw Władysława i niemal z czułością wpatrywał się w jego oklicze. — Święto prawdziwe — powtarzał, — iż takiego gościa, z Litwy mej rodzonej przybysza, witać mogę w mojej chacie. Schłopiałem ja tu na tej kochanej Ukrainie, a stałem się takim odludkiem, że prawie nikogo nie widzę przez rok cały, bo zamku umańskiego progi

za wysokie dla mnie, a to co wokoło, za serce nie chwyta.... Iżem gadać jeszcze nie zapomniał, to istny cud Boży!

I byłby się pan Sołłohub za wszystkie czasy rozgadał a wszystko co na sercu leżało wypowiedział chętnie, ale Władysław, przerażony słowami Fedora, o niczem dziś innem rozmawiać nie chciał, jeno o sprawach ukraińskich i buncie kozackim. W tych sprawach wszakże pan Sołłohub miałcale inne niż Fedor pojęcia. Gdy Fedor zarówno jak ataman Barabasz, przeczuwał gotującą się wielką klęskę, widział powszechną zdradę i Chmielnickiego groźne knowania, pan Sołłohub, siedząc zamknięty w swoim futorze, otoczony ludem doń przywiązanym i wdzięcznym, nie wierzył owym gadaniom a odgrążania się kozaków lekceważył.

— Są to chwilowe porywy — mówił, — które żadnego nie mogą mieć większego znaczenia. A niech się podstarościowie pańscy trochę przełęknią, to może swawolić przestaną.... Żeby zaś ztąd jaka ogólna wojna na Ukrainie wybuchnąć miała, w to ja nie wierzę. Przecież bywały już nieraz i gorsze buntys a łatwo je uśmierzono.

Siciński opowiadał mu tedy o owych gwizdaniach, które na stepach słyszał, a które od kurenia do kurenia szły jak hasła; o owych

tabunach spłoszonych, które pędziły po stepie, i załęknienu Fedora, który ztąd niedobre wysnuwał wróżby.

Sołłohub ręką machnął.

— Fedor nie jest kozakiem.... jemu tu wszystko dziwnem i strasznem się zdaje, a zresztą, to już jest taka dusza do urojeń skłonna. On jak czasem mówić zacznie, to mnie samego przestraszy. A dziś zdał mi się szczególnie poruszony; pozostać tu nie chciał i dawszy jeno koniowi nieco spoczynku, popędził dalej....

— Owe gwizdania na stepie — wtrącił Siciński — tak go poruszyły. Mówił, jako to hasła są, którymi zbuntowani kozacy się zwołyują.

Pan Sołłohub się zaśmiał.

— Hasła to są — odparł, — ale takie, które jeno do chwytania koni stepowych służą; dlatego to owe tabuny tak pędziły spłoszone; zresztą pan kasztelan Potocki najlepiej wam te sprawy wyłoży.

I na tem się ta rozmowa dnia tego skończyła.

## XVII.

Ataman Barabasz, przekonawszy się o podstępie Chmielnickiego i pochwyceniu listów królewskich, omal nie oszalał z rozpacz; skoro się zaś dowiedziała, iż to Filon spełniał chytre poselstwo do żony jego, chciał zabić zdradzieckiego kozaka, ale ten corychlej umknął do Bohdana, a mszcząc się, zasadzkę na życie Barabasza urządził, z której go jednak Fedor przytomnością umysłu i niezwykłą odwagą ocalił.

O tem wszakże co się stało, nie mówił ataman nikomu, nawet Fedorowi, jakby się wstydził, iż tak nędznym podstępiem dał się uwikłać i lękał się rozgłosu tej sprawy. A im dłużej o Chmielnickim wieści nie było, tem Barabasz niespokojniejszym się stawał. Były dni takie, że w ponurem pograżony milczeniu, zdawał się nie widzieć i nie słyszeć co się wokoło niego działo. Nasłuchiwał jeno ciągle i wyglądał, jakby się czyjegoś przybycia spodziewał a czasem ręce załamywał,

to siwą brodę w uniesieniu szarpał, lub z domu uciekał i błądził po stepach. Czasem znów gniewem, gwałtownym się unosił, a wówczas żonę i dzieci rodzone przeklinał a przyzywał śmierci. Tak go gryzła myśl, że jego słabość do trunku stać się mogła przyczyną wielkiego nieszczęścia, ani chwili bowiem wątpić nie mógł, że w celach zbrodniczych Chmielnicki owe listy pochwycił. Przychodziło mu też na myśl, że Król posądzić go może o hanielną zdradę, uknutą w spółce z Bohdanem, który bowiem uwierzy, gdyby opowiedział, jak się to rzeczywiście stało? A zresztą w każdym razie był winnym srodze — ciężko zaś było przyznać się do winy takiej atamanowi, osiąiałemu w wierności dla Rzpltej, którego Król zupełnie darzył zaufaniem....

— Hańba na siwą głowę moją! — szeptał starzec i w piersi się bił a ledwie nie płakał. — Co on z tymi listami uczyni?... — powtarzał i najdziksze myśli przychodziły mu do głowy. — Czasem wszakże otucha jakąś wstępowała mu do serca. Chmielnicki za dugo siedział w Krymie — wiosna była nie daleka, stepy i wody dnieprowe zdawały się spokojne. I pocieszał się stary ataman nadzieję, że może Bohdan spodziewanej pomocy od Tatarów nie otrzymał i nie będzie mógł tak rychło buntowniczych swych planów przyprowadzić

do skutku; zresztą bez tatarskich posiłków, sam Chmielnicki z garstką zbuntowanych kozaków i zwerbowanych burlaków nie mógł być tak strasznym.

Aż nagle, Fedor, powróciwszy pospiesznie z owej wyprawy do Umania, opowiedział mu o owych gwizdaniach, jakie słyszał u mogiły Soroki na stepach.

Barabasz ręce w przerażeniu załamał.

— Hasła to są, jak za Kosińskiego! — zawałał — Chmiel powrócić musiał z Krymu i zwołuje swoich.... snadź uzyskał pomoc tatarską!...

Myślał chwilę a potem głowę podnosząc, rzekł stanowczym głosem:

— Rady nie ma.... trzeba zginąć.... a cze- mużem pierwej od wrażej ręki nie zginął! Ty Fedor pojedziesz natychmiast na Litwę, do Króla i powiesz mu tak: Barabasz do śmierci był wierny i nie zdradził Ciebie Królu Naj- jaśniejszy ani myślą, ani słowem, — jeno by- dlęca w nim była natura, do trunku Ignąca, z czego skorzystał Chmiel, a zabrał podstępem listy królewskie.... ważne, poufne.... których ja publikować nie chciałem, lękając się swawoli kozackiego pospółstwa....

— A cóż było w tych listach? — zagadnął Fedor, przerażony widokiem starego atamana, który mówił jakby zdyszany, urywanymi wy-

razy, a drżał na całem ciele i słaniał się na nogach.

— Co było!... co było! — powtórzył ataman — Król chciał najlepiej.... Miał wolność dać kozakom byle przeciw Tatarom szli, i wojnę z Turcją wywołali; nadawał władzę hetmańską Chmielnickiemu, byleby wiernym był Rzpltej.... a on co z tem uczyni? okaże kozakom listy i pieczęć królewską a powie: oto Król Najjaśniejszy panem Zaporoża mnie uczynił, tedy mnie słuchać macie a pod moją wodzą mścić się krzywd waszych. Zaś do Krymu poszedł i tam rzekł: oto listy i pieczęci królewskie, wydane na to, iżbyśmy wojnę wam wypowiedzieli, złączcie się z nami przeciw Rzpltej albo z nią na was pojedziemy....

Fedor twarz rękami zasłonił.

— Zginęliśmy! — zawałał — jeśli on to uczynił.

— Uczynił! uczynił! — potwierdził ataman z rozpaczą. — Niedarmo ukradł mi on te listy, gdym pijany był.... niedarmo do Krymu z nimi szedł i niedarmo po stepach od kurenia do kurenia idą teraz owe hasła, któreś słyszał.... Gdy pierwsza trawa zazieleni się na stepach — wybuchnie pożar!

— Co począć? — zagadnął znów Fedor, przerywając głuche milczenie, jakie po tych słowach starego atamana zaledgło.

— Ani momentu do stracenia nie ma! — odparł Barabasz — jedź do Króla i wyznaj mu wszystko — niech się gotują.... niech armię wielką przyszłą hetmanom na pomoc, ja zaś do Chmielnickiego pójdę....

— Zamorduje was.... — przerwał Fedor.

— A co moje życie warte! — zawała w uniesieniu ataman — nie godzienem żyć po tem co się stało! Sam oddam mu głowę moją.... Po moim trupie niech idzie dalej, jeśli chce.... aby się tem jeno zasłaniać nie mógł, jako z nieprzyjacioły walczyć idzie i że słuszną pomstę bierze, bo jawnem się stanie, iż w lidze z Tatarami kozacką krew najpierw przelewa.... A może się zawaha i opamięta....

Nadaremnie Fedor usiłował odwieść atamana od powziętego postanowienia; Barabasz był nieugiętym.

— Niech mi życie weźmie! — wołał — niech krwią moją pokala ręce i duszę — a może się też inni tego przełekną i odstąpią zdrajcę.... Zdradził on mnie, zdradził Króla, z Tatarem się łączy, którego wczoraj był wrogiem, zdradzi też i kozactwo, gdy czas przyjdzie....

Na usilne wszakże nalegania, ataman przyrzekł, że czas jakiś czekać będzie.

— Niedługo — mówił — ale się jeszcze wstrzymam. Będę czekał na ciebie, aby wiedzieć co Król powie, — jeśli zaś wrychle się nie doczekam, a otrzymam pewność, jako Chmielnicki z Tatarami ligę już zaważył i skoro on się poruszy, ja pójdę.... Zbiore garstkę takich, którzy wierni są, i pójdziem pierwsi na śmierć!...

— Możeby — zauważył jeszcze Fedor — dać znać pierwej hetmanowi Potockiemu, on lada dzień przeciw Bohdanowi wyruszyć chce z nieznaczną siłą, która na zniszczenie pójdzie, a jeno wybuch powszechnego buntu przyspieszyć może....

— Przed wiosną nie ruszy się ani Potocki, ani Chmiel — odparł ataman. — Mówić zaś hetmanowi nie przyda się na nic, nie usłucha. Mówiłem już sam kilkakrotnie.... jeszcze się na mnie rozsierdził. Więc do samego Króla idź, a powiedz, że tu nikt woli jego nie uznaje. Żołd zaledły wojsku kozackiemu wypłacony nie został, trzeba go co rychlej zapłacić, aby nieukontentowanie ustalo; niech Król Najjaśniejszy stanowczy zakaz hetmanom wyda, aby wojska z głębi Ukrainy cofnęły, bo słabe są, a Chmiel sam je niebawem pospedza. — Może też w ten sposób niebezpieczeństwo się jeszcze odwróci lub przynajmniej przewlecze, byle czas uzy-

skać do zebrania potężniejszej armii przeciw buntownikom i Tatarom....

Z temi słowy wyprawił stary ataman Fedora w podróż na Litwę, sam zaś z wielkiego niepokoju, nie mogąc usiedzieć w Czehrynie, do Umania się udał, aby powstrzymać hetmana od wszelkiego zbyt pospiesznego a nieogłednego działania.

Na zamku umańskim nie znalazł Barabasz dobrego przyjęcia. Ani hetman koronny Potocki, ani polny hetman Kalinowski nie przypuszczali żadnych groźnych niebezpieczeństw; wydali jeno uniwersały, aby wszyscy zbiegli z Chmielnickim lub później do niego przybyli, odstąpili od niego i wrócili się, ile że za nieposłuszeństwo, na żonach, dzieciach i majątkach pozostawionych, karani będą....

— Zostaw nam o to staranie, — rzekł Potocki do Barabasza — a pilnuj jeno rejestrowych, by w porządku byli, gdy znak dam.... Uspokoimy Chmielnickiego wrychle....

I z tem go odprawił.

Kasztelan krakowski i hetman wielki koronny, Potocki Mikołaj, pan rodem, mieniem i dostojeństwem na najwyższym szczeblu w Rzpltej stojący, na Ukrainie władzę miał monarszą. Wszystko tu w okół od lat wielu, gięło się w nizkich poklonach, nikt w jego obecności głosu podnieść się nie ośmiał

a pan krakowski — jak go nazywano — nie dostrzegał zgoła, że podczas gdy głowy schylały się przed nim pokorne, zaciskały groźnie pięście a szmer nienawiści rozchodził się po całej Ukrainie. Nieugiętej woli, nieznoszący oporu, Potocki o ile był wspaniałomyślnym i hojnym dla tych, którzy mu wiernie służyli, o tyle karcił bezlitośnie wszelkie krnańskie zachcianki, o tyle był bezwzględnym dla tych, którzy choćby Króla lecz nie jego słuchali. Mówiono też o nim, że Króla nie znał, o rady nie dbał a sam sobie sejmował. — Pan krakowski był już podówczas w dość podeszłych leciech, wszakże krzepki i silny a postawy wspaniałej i pięknego oblicza, które niechętnie zasępiało się troską lub gniewem. Lubił wesołość i otaczał się takimi ludźmi, którzy mu posępnich nie naprowadzali myśli a przy ucztach, jakie często z wielkim przepychem urządzał, miłymi towarzyszami byli. Lubił też pan hetman wystawność, stroje i zbytek wszelki a nawet na wyprawy wojenne wyruszał z takim taborem i przyborami, że i w obozie niczego zabraknąć nie mogło. Za karocą hetmańską — bo dla lat podeszłych i znacznej otyłości, pan hetman konno nie zwykł był jeździć — ciągnął się niezliczony szereg wozów ze służbą dworską i beczkami najprzedniejszego wina. Zawsze strojnie ubrany, uśmie-

chnięty pogodnie, spoglądał on z wysoka, łagodnie, bez wzruszenia, mówił zwolna a takim głosem, który zaprzeczenia nie znosił i nie przypuszczał. Gdy mu kto — co się rzadko zdarzało — zaprzeczył, natenczas pan kasztelan miał takie spojrzenie zadziwione a pogardliwe zarazem, które oponenta w niwec obracał. Rzadko też na opozycję odpowiadał, odwracał się najczęściej i milczał, zacinając usta, — jeśli zaś dał respons, to krótki, lecz tak do tkliwy, że go zuchwalec długą pomnieć musiał.... Gniewem wybuchał rzadko; najsrozsze rozkazy wydawał tonem na pozór spokojnym, jeno wówczas mówił jeszcze wolniej niż zwykle, każdy wyraz oddzielając dobitnie, a wargi mu drżały i stawały się zupełnie blade, aż sine. Działo się to zwłaszcza wówczas, gdy jakieś rozkazy królewskie otrzymał, które się jego woli sprzeciwiały. A wolał jego było, zamienić Ukrainę w kraj sobie zupełnie poddany.

Przeprowadziwszy w r. 1638 zupełnie zniszczenie przywilejów kozaczyzny, wzdrygał się na samą myśl zwrócenia choćby ich częstki, a wierząc w to, czego gorąco pragnął, lekceważył wszelkie bunty, wszelkie porywy obróconego w pospółstwo kozackiego rycerstwa, sądząc, że je jednym zamachem poskromi.

To też Siciński, gdy z panem Sołłohubem stanął na zamku umańskim, przywożąc rozkazy królewskie, aby z kozakami w nowe wchodzić układy, nie znalazł zbyt gorącego przyjęcia. Z lekceważącym na ustach uśmiechem słuchał pan krakowski spokojnie relacji Władysława a wreszcie patrząc nań z góry, rzekł zwolna:

— Król Jegomość sądzi, że układami coś zyska. Ano, próbuj waść, mości Siciński, próbuj tego, co ani mnie, ani panu Ossolińskiemu się nie udało....

— Jeśli Wasza Miłość — ożwał się Siciński, nieco takiem przyjęciem zmięszany — raczysz wziąć sprawę we własne ręce....

— Jam jest hetman — odparł pan krakowski — i w ręku mam miecz, nie pióro do spisywania traktatów, zwłaszcza z chłopstwem niesfornem. Chmielnickiemu jeno żelazo pomódz może i tego mu szczędzić nie będę.... Podzieliłem wojska moje na dwa działały i z pierwszą partyą pójdzie mój syn Stefan, na wiosnę....

Syn ów był ulubieńcem pana hetmana. Na nim jedynie wyniosłe jego spojrzenie zatrzymywało się dłużej a nieraz z wielką czułością; w nim widział rodzin wszystkie najpiękniejsze przymioty i w tem nie mylił się wcale. Młody Potocki biorąc z rodzica pie-

kność i szlachetność postawy, wspaniałyomyślność i hojność, umysł otwarty i jasny, odznaczał się też rycerskimi przymioty, zacnością serca, nieustraszoną odwagą. Jego też przeznaczał rodzić na pogromcę Chmielnickiego, ciesząc się zawsze tryumfem i sławą syna, gdyby ten niewielkimi siłami zdołał pokonać buntownika, którego wszyscy lękać się zdawały.

To też zaśmiała się jeno, gdy Siciński, przypomniawszy sobie przestrogi Fedora, wspomniał o Chmielnickiego siłach i prawdopodobnym sąższy z Tatarami.

— Wacpan tu — rzekł — jesteś od wczora, a chcesz lepiej wiedzieć od nas. Ja mam w kwarcianych i zaciężnych chorągwiami siedm tysięcy wojska, w pocztach panięcych będę miał drugie tyle, w sześciu pułkach rejestrowych sześć tysięcy kozaków.... razem kilkanaście tysięcy doborowej armii — a Chmiel ma tysiąc pięćset burłaków nędznych!...

— A orda? — wtrącił Siciński.

P. Potocki ramionami dźwignął.

— Naród tatarski — rzekł — nadto przebiegły, chociaż gruby i dziki, aby się dał Chmielnickiemu uwieść. Wiedzą dobrze w Krymie co znaczy Chmielnicki a co Król i Rzplta, z którą niedawno odnowione są traktaty.

I pan krakowski nawet w dłuższą dyskusję w tej sprawie z Sicińskim wdawać się nie chciał a gdy ten odjeżdżał, rzekł mu jeszcze wyniośle:

— Jeśli wacpan sprawiedliwie na sprawy tutejsze popatrzyś, to się przekonasz, jakoowi gońce królewscy, którzy tu bez经历encyi a jeno z językiem przybywali i Królowi niepotrzebne posyłali relacje, są przyczyną wszystkiego nieszczęścia. Króla bezskutecznie trwożyli a psując jego zaufanie do mnie, wywoływali różne sprzeczne rozkazy. Gdyby Król od czasu zniesienia wolności kozaków, nie był ich psuł ustawicznie obietnicami, jako to co im odebrano, zwróconem będzie, jużby dziś cała Ukraina w zupełnym była spokoju.... Niech to wacpanu będzie przestroga....

I przenikliwie patrząc na Władysława dodał:

— Był tu nie jeden taki, który myślał, jako nieprzychylniemi o mnie relacyjami do Króla mnie zaszkodzi.... Ano, w rezultacie pokazało się, jako to nie mnie lecz jemu zaszkodziło....

Z temi słowy pożegnał pan krakowski Sicińskiego, który odjeżdżając z zamku umańskiego do slobody pana Sołłohuba i myśląc nad tem co widział i usłyszał, przekonywał

się sam, jako to poselstwo, o którym mniemał, iż mu sławę i rozgłos przyniesie a zasług w obliczu królewskiem przysporzy, wcale niebezpiecznym było. Powracać bez rezultatu ani chciał, ani myślał, widział zaś, iż tu jakikolwiek rezultat uzyskać będzie trudno wbrew woli hetmana, którego słowo znaczyło tu stokroć więcej, niż rozkazy królewskie.

Frasunku swego utaić nawet nie mógł przed p. Sołłohubem.

— Król — mówił — rozkazał mi, w uklady z dowódcami kozackimi wchodzić, obiecać im powrót przywilejów dawnych i wynagrodzenie krzywd — a pan hetman nie chce widocznie tego dopuścić.... Chmielnickiego nie ma a gdyby i był, jakże trafię do niego, skoro pan Potocki, wszystkiemu co bym rzekł, zaprzeczy.... Do Króla o tem pisać, na hetmana się skarzyć, to jedno co do walki go wyzywać — a mogę ja z takim panem się mierzyć?...

Pan Sołłohub wielkie okazywał współczucie i widząc szczerzy Władysława frasunek pocieszyć go usiłował.

— Poczekaj nieco wacpan — mówił — niech jakiś czas przeminie; do wiosny jeszcze daleko. A może też pan krakowski zmięknie i dopełnienie waszego poselstwa ułatwi.

Nie było też innej rady jeno cierpliwe czekanie. Siciński pomimo swej niechęci do owego kozaka, który w drodze do Umanii był mu przewodnikiem, myślał teraz coraz częściej o nim a wyglądał jego zapowiedzianego przybycia. Spodziewał się, iż Fedor przyniesie mu może jakieś wieści ważne, któreby i pana hetmana skłonić mogły do zgodnego z wolą królewską działania. Dzień za dniem wszakże mijał a Fedor nie przybywał pomimo obietnicy, Siciński zaś posyłał, wedle rozkazu, relacyje do Króla, w których przedstawiał wymijająco stan rzeczy, mówiąc, jako obecnie wszelkie stanowcze układy z kozakami dla nieobecności Chmielnickiego, były niemożelne. Zapewniał zresztą, iż wszystko było w spokoju.

Tak przeminał cały miesiąc Styczeń, i Luty się rozpoczął a był śnieżny i mroźny w tym roku 1648, gdy Władysław otrzymał nagle przez umyślnego gońca pismo od Ossolińskiego kanclerza, w którym ten wyrażał mu w słowach ostrych nieukontentowanie i swoje i Króla, jako tyle czasu poszło marnie bez żadnego rezultatu. „I relacyje waspana — pisał pan kanclerz — nie są zbyt wiarygodne, ile że od wiernych sług i przyjaciół naszych mamy doniesienia wcale sprzeczne a niepo-myślne“.

Pismo to do reszty Władysława zgnębiło. Widział on teraz, jako zadanie było nad jego siły, bo cóż mógł uczynić w obec nieograniczonej władzy hetmańskiej i jakimi środkami działać przeciw woli tak potężnego jak Potocki, pana, który wspaniałością swą i wyniosłością prawdziwym przejął go lękiem? Przeraziło go i to, iż w piśmie kanclerskiem wyraźna była wzmianka o innych jeszcze doniesieniach, które jako sprawdzenie jego relacyj służyły.

— Nie ufają mi — myślał — a mają innych jeszcze sług i przyjaciół, których relacyjom więcej wierzą niż moim...

To go zniechęciło do reszty, że już coraz częściej myśleć począł o porzuceniu tej misji niewdzięcznej i powrocie na Litwę. Przychodziły mu teraz na myśl mądro pana Radziejowskiego consilia, w czem go też niemało umacniał pan Sołłohub, który z wielkim współczuciem podzielając jego frasunek, coraz serdeczniej się doń zbliżał a nie taił się z tem wcale, jako szczególniejszą doń ma skłonność.

— Dziwna rzecz — mówił — od pierwszego wejrzenia umiłowałem waspana serdecznie, a teraz tak mi się nieraz zdaje, jakbys mi najbliższym był.

Siciński z dniem każdym upływającym daremnie, bladł i mizerniał; w nocy trapiły go sny gorączkowe, w których widział pana Kazanowskiego umierającym a Halszkę rozplotomienioną gniewem, jak mu pomstę groziła. Na jawie często też zamyslał się posepnie nad tem co się w Warszawie dziać mogło, zkad żadnej wieści nie miał. Żali żył jeszcze pan Kazanowski? Co się stało z Halszką, którą ostawił w takim gniewie srogim a do której rwało się zawsze jego stęsknione serce, zwłaszcza teraz, gdy jej nie widział, gdy go nie drażniła jej obojętność ani spojrzenie wzgardy pełne?... Żali mu wolno będzie kiedykolwiek przebłagać ją za zuchwałstwo, jakiego stał się winnym?

Myśli te przepełniały tak jego duszę i tak zajmowały, iż Władysław nie słyszał nawet jak pan Sołłohub czułymi wyrazy usiłował go uspokoić, przedstawiając rozkosz cichego żywota i nakłaniając, aby służbę dworską porzucił.

— Niema szczęścia, jeno wśród swoich — mówił starzec. — Jam wiek cały zmarnował w samotności, pomiędzy obcymi, a nawyknąć do tego nie mogłem. I teraz coraz mi teskniej do ziemi rodzinnej a chociaż tu cały niemal żywot spędziłem, wszakże wrócić pragnę.... byle oczy zawrzeć wśród swoich....

— A.... — ozwał się Władysław w roztargnieniu — wracać myślicie na Litwę?

— Mam jedynego tam brata — odparł Sołłohub — którego znacie — do niego chcę wrócić. Sprzedałem już moje tutejsze posiadłości panu Kalinowskiemu hetmanowi polnemu i jeno wiosny czekam, aby wyruszyć do Tronik....

Zajętego własnym frasunkiem Władysława, obchodziło to zbyt mało, odrzekł więc tylko:

— Zapewne pojedziem razem, bo i ja ztąd co rychlej uchodzić myślę.... trzeba mi tylko jeszcze na zamek umiański iść, aby się z panem hetmanem porozumieć i wiedzieć co Królowi mam rzec....

Pojechał tedy Władysław do Umania i nadspodziewanie zastał tam wzburzenie wielkie. Cały zamek był jakby w oblężeniu; z dalszej i bliższej okolicy przybywali sąsiedzi z żonami i dziećmi, przynosząc trwożne wieści, które nie wiadomo zkad pochodziły a szerzyły się z niesłychaną szybkością.

Mówiono, jako Chmielnicki powrócił już z Krymu, zawarłszy z Tatarami stanowcze umowy, jako nawet, aby pewność posiłków tatarskich mieć, mahometanską wiarę przyjął, szabłę hana Islam Gireja w znak poddaństwa ucałował a teraz siedzi na Bucku, skalistym

ostrowie dnieprowym i z tamą ostatnie wydaje rozkazy do powszechnego buntu.... Z drugiej strony wiedziano, jako Król z kozakami walki nie chce i najwyraźniejsze rozkazy przysłał hetmanom, aby wszystkie wojska z głębi Ukrainy cofnęły, dając zupełną kozakom swobodę.

— Wydają nas na pastwę zbuntowanego chłopstwa! — wołała szlachta, i szedł strach wielkooki przez całą Ukrainę, szerząc popłoch okrutny.

Nawet na twarzy zwykle pogodnej pana Potockiego odbiło się pomieszanie. Nie żeby owym wieściom trwożnym zupełnie dowierzał, ale że gniewał go ów popłoch niewczesny, z drugiej zaś strony oburzały niemało rozkazy królewskie.

Przyjął Sicińskiego jeszcze niechętniej niż przedtem.

— Patrz wacpan — rzekł — to są owoce waszego działania! Gadaliście o zmowach z Tatarami i szlachta się załękła; podnosi wrzawę, opuszcza domy i do mnie tu zbiega.... A głupieby były ukraińskie chłopy, gdyby tej przestraszonej trzody nie wysiekły.... Przed Królem znowu gadaliście, jako sobie rady nie damy, jako wielkiej armii potrzeba, aby Chmiela zgnieść.... toż Król bardziej wierząc waszym gadaniom, niż relacyom

moim, przysyła mi tu rozkazy, abym się cofał, pułki królewskie pościągały z Ukrainy, dał wolność kozactwu! A toby srom był i hańba!... Już i tak Chmielnicki, dufając swojej potędze a widząc, jako szlachta się trwoży i król się lęka, przysyła mi tu posłów swoich i pisma zuchwałe. A wiesz wacpan czego Chmiel żąda? Abym z całem wojskiem z Ukrainy ustąpił, abym pułkowniki królewskie i całe ich assystencye od pułków oddalił, abym dawne ordynacye Rzpltej z r. 1638 zniósł, to jest wszystkie kozackie wolności powrócił — na to jeno, aby to rozpasane chłopstwo z postronnymi nas wadziło i jak przedtem tak i teraz na majestat królewski i całość Rzpltej zuchwałą podnosiło rękę... A zanieś te żądania, mości Siciński, królowi — dodał pan hetman z szyderskim uśmiechem — może i na to przystanie a waść w ten sposób spełnisz godnie swoje poselstwo i lepiej niż owemi relacyami, ztąd wysyłanemi, które nieprawdziwe są a mnie szkodzą...

Hetman był rozsierdzony okrutnie i nie chciał nawet słuchać Sicińskiego, gdy ten mu przedstawiał a zaklinał się, jako żadnych sprzecznych z jego wola relacyj Królowi nie posyłał.

— A przecież — przerwał pan krakowski — Król najwyraźniej mi pisze: otrzy-

małem pewne doniesienia... — w drugiem zaś miejscu: czynią mi relację... Któż to jest, który owe wieści przesyła, jeśli nie wacpan?...

Nie uspokoило i to pana hetmana, gdy mu Siciński okazał list Ossolińskiego kancelarza, w którym była także wzmianka o jakichś pokątnych relacyach wiernych slug i przyjaciół...

Pan Potocki zaśmiał się jeno.

— Jeden goniec drugiego szpieguje! — zawałał — a wszyscy przeciw mnie spiski knowacie. Ale ja potrafię zgnębić owe intrygi.

Słuchając tych słów hetmana, Siciński mimowolnie drżała z trwogi. Bardzo łatwo mógł go zgnębić taki pan potężny, zwłaszcza teraz, gdy się nikt za nim pewnoby nie ujął.

— Chybione poselstwo — myślał — nie zaskarbi mi łask królewskich, pan Kazanowski za mną już nie stanie, choćby i żyw był, bo go przez ten czas małżonka inaczej przekonać potrafi, — Halszka zaś każdą sposobność uchwyci skwapliwie, aby się pomścić... Jestem przeto zgubiony!

Rozpaczliwe napadały go myśli; ale jako był dworak doświadczony i sprawny, tedy nie od razu własnego zniechęcenia słuchał, owszem postanowił pomimo okazywanej mu jawnie ze strony hetmana nieprzyjaźni, pozostać dłużej na zamku umańskim i dołożyć

starań, aby ową nieprzyjaźń przynajmniej złagodzić.

— Głupstwo jest — myślał — przeciw takiemu panu walczyć... Gdybym jego łaski zaskarbić zdołał, toby owo ukraińskie poselstwo nie byłocale straconem. Król daleko a pan Potocki bliżej.

Nie wdając się już przeto w żadne z panem hetmanem dyskussye, począł zgrabnie między ową wzburzoną szlachtą, która się do zamku umańskiego zbiegła, chodzić, a stosownie do tego, co mu pan krakowski mówił, uspokajać ją i uśmierzać. Że zaś wymownym był a zręcznym, tedy niebawem udało mu się wielu skonwinkować i do spokojniejszych przyprowadzić myśli.

Pan krakowski zdawał się na niego nie zwracać uwagi — widział wszakże wszystko i to go mocno zastanowiło. A jako dłujo chmurnym być nie lubił, tedy widząc, jako ów popłoch uśmierzać się poczyna, rad był tej influencyi Sicińskiego i łagodniej nań spoglądał.

— Widzisz wacpan — rzekł raz do niego, — jak to jest dobrze doświadczonych słuchać... Gdyby mię tylko ostawiono w spokoju a dano działać jako chcę, byłoby tu niebawem inaczej... Wysłałem teraz do Chmielnickiego posła a wezwiałem go, by tu przy-

był, przyrzekając miłosierdzie i przeszłych postępków indulgencyę, assekrując zaś słowem hetmańskiem, jako mu włos z głowy nie spadnie, jeśli Zaporoże opuści...

Nie wydało się Sicińskiemu to poselstwo trafnem i prawie mimowolnie rzekł:

— Nie usłucha on tego!...

Potocki groźnie nań spojrzał.

— Nie usłucha — powtórzył, — to go żelazem nauczym posłuszeństwa. Syn mój Stefan gotów jest z dzielną partyą swoją każdego momentu wyruszyć...

Władysław zmilczał — wiedział już bowiem, jako pan krakowski opozycyi nie znośił a skoro o synu Stefanie mowa była, żadnego słowa nie przepuścił, któreby wątpliwość o zwycięstwie jego wyrażać mogło.

Pan hetman ożwał się po chwili:

— Do Króla Jegomości pisałem również, przedstawiając, jako tych chłopów nie może nic inszego do posłuszeństwa przywieść i od buntu odwabić, jeno szabla... Przeto niech Król zostawi mi tu wolność działania... A mówię to waszmości dla tego, iżbyś znów jakich potajemnych relacyj Królowi nie słał, któreby moje plany pokrzyżować miały.

Ostatnie te słowa były dla Sicińskiego dowodem, jako pan hetman całe się podejrzeń swych nie pozbył... Należało co rychlej

i stanowczo je usunąć, inaczej bowiem zdobycie łask hetmańskich stawało się niepodebnem. Ale jak odkryć źródło owych doniesień? Kto byli owi wierni słudzy i przyjaciele, o których pisał pan kanclerz? Może pan Kazanowski starosta czerkaski a może ataman Barabasz?... I nagle przyszedł Sicińskiemu na myśl ów kozak tajemniczy, który go wyraźnie przeciw hetmanowi podjudzał i obiecywał ważne przynosić wieści w tajemnicy przed nim... To niewątpliwie musiał być zaufany goniec, którego pan Kazanowski lub Barabasz używali do różnych misyj tajnych do Króla... Gdyby go schwytać i wydać hetmanowi a mieć pewne w ręku dowody, jako to on owych wieści zanioszonych Królowi jest sprawca, wówczas można było mieć pewność zdobycia łask hetmańskich i jeszczecale inaczej wszystko obrócić.

Im bardziej myślał nad tem Władysław, tem silniej przekonany był o słuszności swoich podejrzeń i tem silniejsze powziął postanowienie przechylić się całkowicie na stronę hetmana i jego zaufanie sobie zaskarbić. W tym celu należało koniecznie wyszukać owego Fedora, wybadać go sztucznie a wybadawszy, Potockiemu wydać.

Niebawem przybyli na zamek niektórzy dowódcy rejestrowych kozaków, aby przy-

sięgę wierności złożyć, na żądanie hetmana, który już się z tem nie tań, iż jeżeli poselstwo jego do Chmielnickiego nie odniesie skutku, z pierwszych dni wiosennych skorzysta, aby przeciw niemu syna swego Stefana z częścią wojska wyprawić. Przysięgą tą chciał więc pan hetman serca regestrowców w wierności umocnić a zarazem dać dowód zatrwożonym umysłom, iż kozacy w znacznej liczbie ani myślą o buncie.

Odbyło się to przeto z paradą wielką na zamku umańskim. Szeregi regestrowych przystępowały po kolej do przysięgi a salwy moździerzowe zwiastowały całą okolicę, jako może być spokojną, wojsko bowiem kozackie przysięgało na wiarę i sumienie, na Ewangelię świętą i krzyż Chrystusowy, iż w wierności dla Króla i Rzpltej zostaje.

Jeden tylko ze starych regestrowych od przysięgi się usunął — ale w tłumie nie zrobiło to żadnego wrażenia, bo cóż jeden mógł znaczyć, skoro wszyscy inni przysięgli? Zresztą, jak mówiono, wytłومaczył on samemu hetmanowi racyę swego oporu.

Wspaniała uczta kończyła tę uroczystość a do późnej nocy okrzyki pijanego żołdactwa rozlegały się dokola.

W liczbie innych dowódców przybył i ataman Barabasz. Pochmurniejszy był je-

szczę niż zwykle, przysięgę najpierwszy złożył głosem od wzruszenia drżący, ale do uczty zasiąść nie chciał. Siciński zoczywszy go a pragnąc o Fedorze pewną mieć wiadomość, natychmiast do niego się przysunął. Stary ataman tak był zadumany, że zaledwie Władysława poznał, lecz przypomniawszy sobie jako to jest poseł królewski, zaraz na stronę go odciągnął i głosem tajemniczym szepnął:

— Uważaliście jako Krzyczewski z Czerwyna przysięgi składać nie chciał?...

— A... zowie się Krzyczewski?... — rzekł Siciński takim głosem, jakby co rychlej o czem innem chciał mówić.

— Nie złożył — powtórzył Barabasz, — rzekł bowiem, jako kozakiem nie jest, jeno polskim szlachcicem a przeto taka przysięga jeno mu ubliżać może...

— Miał słuszność — zauważył Władysław obojętnie.

Barabasz z zadziwieniem spojrzał na niego; nie uszedł jego uwagi obojętny ton mowy Władysława.

— Żali nie wiadomo wam — rzekł z naciskiem — kto jest Krzyczewski?... Jest to najbliższy Chmielnickiego przyjaciel a jeśli przysięgi składać nie chciał, to znak najlepszy, jako niebawem zamyslają o zdradzie...

Siciński z niecierpliwością ramionami dźwignął. Przejawszy się raz intencyami i przekonaniami hetmana, niecierpliwić go już poczynały owe ustawiczne przestrogi i słowa złowróźbne. Przerwał tedy Barabaszowi, jakby od niechcenia pytając:

— Nie widziałem też w dzisiejszym tłumie owego kozaka, który u was służbę pełni a bardzo dla wierności swej przez pana Kazanowskiego był chwalony i który do Umania po raz pierwszy mię prowadził? Nie wiecie, co się z nim stało?...

Stary ataman ponowne, przenikliwe spojrzenie na Sicińskiego rzucił. Jakaś nieufność opanowała go mimowolnie. Zadziwiło go to, iż Władysław nie pytał go ani o Chmielnickiego, ani o sprawy kozackie, ani o Krzyczewskim mówić nie chciał, jeno o Fedorze zagadnął. Wymijająco tedy odrzekł pytaniem:

— Potrzebny wam jest Fedor?

— Przyrzekł, jako do mnie przybędzie i ważne wiadomości przyniesie — odparł Władysław i skierowując wzrok na oblicze atamana, dodał:

— Dotychczas wszakże tu nie był, a słyszałem jako w Wilnie, u Króla jest...

Słowa te widoczne wrażenie wywarły; Barabasz zbladł i zachwiał się na nogach a chwytając Władysława za rękę:

— I cóż? i cóż? — zapytał głosem z niepokoju drżącym. — Czy macie jaką wiadomość? Co Król postanowił?...

Od czasu pochwycenia owych listów królewskich przez Chmielnickiego, Barabasz w wieczystej, jak wiadomo, żył twodze, aby to nie ściągnęło nań podejrzenia zmowy z Bohdanem a w każdym razie kary surowej. Gdy więc Siciński z taką pewnością mówił, iż Fedor w Wilnie, u Króla jest, a Barabasz sądził, iż tajemnica jemu tylko jest wiadoma, przyszło mu na myśl, iż już może przyszły na ręce Władysława jako królewskiego posła, jakie rozkazy, że może Król rozsierdzony wieścią przez Fedora przyniesioną o wydaniu listów poufnych, atamana, który bądź co bądź wiernym był, haniebnie ukarać polecił... Przyszło mu na myśl, jako to zapewne dla tego Siciński taką obojętność zdradzał, słuchać go nie chciał, a jeno o Fedora pytał.

Dla Władysława widoczny niepokój i owe gwałtowne zapytania Barabasza były dostatecznym wyjaśnieniem. A więc Fedor rzeczywiście był w Wilnie i za jego to pośrednictwem dochodziły uszu Króla wieści, które tak hetmana gniewały, a i jemu, jak

pismo kanclerza świadczyło, na pożytek nie wyszły...

Tyle tylko wiedzieć pragnął, teraz jeno szło o to, aby Fedora ująć i dowodnie przekonać hetmana, jako nie on, lecz ów kozak składał Królowi relacye, znajdujące posłuch i wiare. Na zapytanie przeto atamana odparł, tłumiąc uśmiewach zadowolenia, z udaną powagą:

— O żadnych postanowieniach królewskich nie wiem, a mniemam, jako wy, mości atamani, lepszą o tem wiadomość mieć powinniście, skoro osobnych gońców do Króla z pominięciem hetmana wyprawiacie... A kiedyż Fedor wróci? — zagadnął.

Barabasz głowę opuścił na piersi... Słowa Sicińskiego, zawierające jakby wymówkę, iż bez wiedzy hetmana z Królem bezpośrednio się znośił, uderzyły go i dotknęły niemile.

— Kiedy Fedor wróci?... — powtórzył z roztargnieniem — ja nie wiem... lada dzień...

Siciński odszedł spiesznie a stary ataman pozostał na miejscu, pograżony w myślach ponurych, patrząc nieprzytomnym wzrokiem przed siebie...

— Oni wiedzieć muszą... — szeptał — wiedzą już o wydaniu listów królewskich i pomawiają o zdradę... i potępią! Hańba na moją siwą głowę!...

A dokoła tymczasem wrzała uciecha. W przedniejszych zamku komnatach zabawiała się przy stołach suto zastawionych starszyzna, żołdactwo zaś proste niemniej suto w izbach czeladnych podejmowane było. Rozwiązywały się przeto języki a od czasu do czasu okrzyki głośne podnosiły się na cześć hetmana i dowódców. A wśród tej wrzawy szły szepty różne i obiegały wieści, które niewiedzieć zkąd się brały a szybko przechodziły od ucha do ucha.

Mówiono, że Król przez umyślnego gońca przysłał hetmanowi koronnemu żołd dla kozactwa od lat kilku zaległy, ale hetman nie wypłacił go rejestrowym, jeno rozdał kwarcianemu wojsku. Wieść ta tłumila wesołość i okrzyki; gdzie jeno doszła, tam wnet zalegała cisza lub podnosiło się szemranie tłumione ale groźne. I zanim uczta dobiegła do kresu, nie było jednego kozaka, z tych co z rana na wierność przysięgę składały, któryby o tem nie wiedział, jako nowa krzywda stała się kozackiemu wojsku. W nietrzeźwych głowach krzywda ta przybierała olbrzymie rozmiary, budząc w duszy zawiść srogą i chęć zemsty. I podnosiły się znowu okrzyki z piersi rozbiegających się z zamku na wsze strony kozaków, ale nie były to już okrzyki radości i nie brzmiały jak pier-

wsze, na cześć hetmana wznoszone. Wśród nocnej, głuchej ciszy rozchodziły się one głosnem echem po dalekich stepach, łącząc z szyderskimi śmiechami i przeciagłem, przeraźliwem gwizdaniem.

— A jakąż wagę mieć mogą nasze przysięgi — mówił Krzyczewski, jadąc obok kilku starszych sotników — skoro nam żadnych nie dotrzymują przyczynień?...

— My składamy przysięgi — a oni je łamiały sami... — dorzucił inny.

— Krzywoprzysiężtwo nasze na głowy ich! — zawałano chórem.

Nazajutrz Siciński odjechał do p. Sołłohuba; miał bowiem nadzieję, że nie gdzieindziej jeno tam szukać go będzie Fedor, gdy z Litwy powróci, więcej zaś niż kiedykolwiek pragnął go ujrzeć. Miał on już pewność jako Fedor był owym gońcem, który tajne wieści z Ukrainy Królowi nosił, ale nie rzekł o tem jeszcze nic Potockiemu, pragnął bowiem mieć w ręku dowody i własne przyznanie się kozaka, aby w umyśle hetmana żadnej nie zostawić wątpliwości. Zdawało mu się to rzeczą tembardziej teraz konieczną, ile że p. Potocki pomimo uczty, która go na moment rozweseliła, był ciągle mocno zafrasowany icale nieżyczliwie Sicińskiego pożegnał.

— Nowe wieści od Króla — rzekł mu na odjezdnem, — nowe jakieś pokątnie doniesienia i nowe rozkazy, abym się cofnął... Ktoś tu na Ukrainie język ma długi, że aż do Wilna sięga — ale ja mu go skróczę... Powiedz mu to, mości Siciński, żeby się na bacznosci miał...

Siciński chciał odrzec, ale się strzynał, wiedząc już z doświadczenia, jako same słowa nie wystarczą i że korne milczenie było w tym wypadku, gdy dowodów niezbitych nie miał, najbezpieczniejszym środkiem do uśmierzenia gniewu hetmana.

Wróciwszy wszakże do slobody pana Sołłohuba, ciężki opanował go smutek. Czuł się tak zniechęconym, iż widząc jako Sołłohub do wyjazdu z Ukrainy czynił przygotowania, pokusa go brała, aby z nim razem na Litwę powrócić, wyrzekłszy się niefortunnej missyi, która żadnego nie obiecywała skutku.

— Z hetmanem walczyć nie mogę — myślał, — przeto Królowi nie dogodzę, ile że pan Potocki wbrew woli jego działa i działać będzie. Z drugiej strony, hetmana nie przejednam i łask jego nie zdobędę, gdyż aby tego dokonać, trzeba mu Fedora wydać i udowodnić, jako to nie przezemnie szły owe relacyje do Króla... Fedor zaś nie wraca

a gdyby i wrócił, kto wie, żali go pochwycić zdołam... Wszystkie zatem drogi zamknęte, tylko jedna otwarta — wyrzec się wszystkiego, wrócić do rodzica, osiąść i zamknąć się w Upicie...

W tem postanowieniu umacniał go ciągle pan Sołłohub, który z coraz większą serdecznością zbliżał się ku niemu i troski jego łagodnymi słowy rozproszyć się starał.

— Wacpanu nie w smak Ukraina głucha — mówił. — Nawykliście do wrzawy stolecznej, do dworskiego żywota; toż się wam tu pusto i smutno wydaje.

Władysław gorzko się uśmiechał. Myśli jego często rzeczywiście biegły do Warszawy, ale po to jeno, aby goryczą i niepokojem zatruwać serce. Postać Halszki coraz wyraźniej stawała mu przed oczyma duszy, coraz gwałtowniejszą obudzając tęsknotę. Przypominał sobie pierwsze lata w pałacu Kazanowskich spędzizone, pierwsze swoje nadzieje i plany.

— Otóż to jest służba dworska! — myślał. — Najpiękniejsze lata życia poszły na marne... Dziś znaczę to samo, co wówczas, gdym ową służbę zaczynał, jeno że mi brak owego zapału, złudzeń i cierpliwości...

Myśli te jakby przeczuwał pan Sołłohub, raz bowiem rozgadawszy się o czasach dawnych, rzekł mu:

— Najgorsza to jest kondycja owa służba dworska, choćby nawet u Króla. Czasem wprawdzie dojść można tą drogą do wszelakich zaszczytów, ale pono nigdy nie posiędzie się ich tak wiele, aby nasycić owo pożądanie, które wśród zbytku, przepychu a różnych pokuszeń życia dworskiego, wzrasta... Toż stokroć jest lepiej zamiast się na pokuszenia narażać, uczynić tak, jak ja uczyniłem — pójść na pustynię...

— A przecież i wy z niej uciekacie! — przerwał Władysław.

Pan Sołłohub ręką skinał.

— Nie uciekam, jeno wśród swoich znużoną głowę złożyć chcę. Długie lata żyłem samotny — dodał ze wzruszeniem, — przez długie lata zamykałem i serce i usta — lecz teraz czuję, jako duszę mam pełną miłości ku swoim... Wyście mi najbardziej, mości Siciński, przypomnieli kraj własny i rodzinę... Kiedyś was ujrzał, to stało mi się tak, jakbym ujrzał nagle siebie samego przed laty, i zateskniłem do tej młodości, która minęła, i do ludzi, których rzuściłem... i do wspomnień, które przemocą zatarłem w sercu...

Niezwykłe wzruszenie odbiło się przy tych słowach na sędziwem obliczu pana Sołłohuba. Zbliżył się po chwili do Sicińskiego i kładąc mu rękę na ramieniu:

— Władysławie — rzekł, — siłą tych wspomnień, które obecnością swoją, poruszyliście w mem sercu, umiłowałem was nad wyraz; toż boli mię wasz frasunek, jakby mój własny... Jam także jak wy, wiele pragnął i spodziewał się za młodu... zdawało mi się wszystko do zdobycia łatwem — jeno ręką sięgnąć.... A wiecie dlaczego nie osiągnąłem nic?...

— Dlaczego? — spytał w roztargnieniu Siciński, myśląc o czem innem. Nie wzruszały go wcale słowa starca, on bowiem w tym momencie miał przed oczyma wszystkie swoje troski — a cóż go mogły obchodzić dzieje obojętnego człowieka?

— Dlaczego? — powtórzył mimowolnie, widząc jako pan Sołłohub przechadzał się teraz po izbie w wzburzeniu widocznem, zamilkłszy nagle.

Na powtórzone zapytanie pan Sołłohub się strzymał, jeszcze chwilę podumał, a potem ręką przechodząc po zamyślonem czołce i zbliżywszy się do Władysława:

— Powiem to wam — rzekł, — ile że to młodemu waszemu, a jak moje niegdyś pełnemu pragnień sercu, pożytek przynieść może. Wyznałem już wam, jakoście mi dziwnie poruszyli duszę; miuję was, jakby rozonego syna, a czuję, iż idziecie w życie

z dziwną chmurą na czole.... Zda mi się, iż pragniecie tak wiele, że to co życie dać wam może, pragnień tych nie zadowoli nigdy — ztąd gorycz, która zalewa wam serce i w posępnym uśmiechu wybiega na usta.... Ale zda mi się także, jako to nie jest jedyna przyczyna waszego frasunku.... Wczoraj, słyszałem, jako przez sen rzucaliście się niespokojnie, wymawiając ciągle imię niewiasty i jakby o przebaczenie ja prosząc....

Władysław porwał się z miejsca.

— Przez sen mówiłem! — zawała w widocznym niepokoju. — Słyszałeś waszmość to imię?...

— Słyszałem — odrzekł poważnie p. Sołłohub — a z tego co wiem o was i coście mi sami mówili, domyślам się, kto jest owa przez was przez sen przyzywana Halszka....

Na imię to wymówione tak niespodziewanie, Władysław wzdrygnął się cały.

— Nie! — zawała gwałtownie — źle się domyślacie.... ja nienawidzę tej niewiasty!...

— Nienawidzisz jej — powtórzył spokojnie starzec — bo nie możesz miłować tak jakbyś pragnął, bo cię ona może odepchnęła lub affektem twym wzgardziła. Ale namiętność masz w sercu, która je przepala.... Z jednej strony chciałbyś się podnieść, być znacznym i głośnym, z drugiej owa namię-

tnośc własne twoje plany krzyżuje i spycha z tej drogi, na której jeżeli nie wszystko cze-gobędziesz pragnął, to może ukontentowanie swej ambicyi byś znalazł.... Ano, posłuchaj słów starca, który cię mięje, potłum w sercu namiętność a przejrzyj jasno....

Władysław z niecierpliwością ramionami dźwignął. Już to rad dobrych nie brakowało mu w życiu.... Dawał mu rady stary Wodźbun i dworzanin Godziemba i ów kozak, który mu w dziwny sposób Wodźbuna przypomniał i teraz ten Sołłohub.... Wszystkie one przeszły bez wrażenia, jeno nauki Godziemby wydawały się mu praktyczne, toż je nieraz stosował.

Niemal z gniewem spojrzał na starca, który nie zważając na to, mówił dalej głosem coraz bardziej wzruszonym:

— Nie otwierałem ja ust moich nigdy i przed nikim przez lat wiele — ale tobie Władysławie, powiem co mię tu przywiódło, iżem się zamknął na tej pustyni, zdala od swoich, wyrzekł się wszystkiego, aby iść szukać tu zapomnienia i spokoju.... Powiem, iżby ci to za przestrogę służyło — powiem, boś ty mi nie obcy.... Rodzica twoego pomnę w dniach młodości jako rycerz był dzielny — matka twoja była mi powinowata.... Więc ci powiem, a ztąd ujrzyysz jako niebezpieczne

są żądze wszelkie, zwłaszcza zaś namiętność dla niewiasty.... Byłem wówczas młody, życia pełen i pragnień a szukałem ich zadowolenia tak samo jak waść, mości Siciński, w służbie dworskiej, mniemając, iż na tej drodze, najłatwiej zdobyć wszystko. Fortuny po rodzinach zostało nie wiele a i o to spór wiodłem z młodszym bratem Mikołajem, którego znasz, z Tronik. Chciałem mieć wielką fortunę, bo życie śmiało się do mnie i jego rozkosze.... Nie będę ci rozpowiadał wszystkich kolej jakie przebyłem, powiem krótko: podczas gdy brat mój hartował ciało i ducha w wyprawach rycerskich, jam marniał na dworskiej służbie; podczas gdy on resztki ojcowizny procesem ze mną uszczupionej, ratował, siedząc w czasie pokoju na ojczystej glebie, jam żył wśród cudzego przepychu, nawykał do zbytku i rozpieszczał się nim a zżymał w duchu, jako to wszystko na com patrzył, mojem nie było....

Władysław słuchał teraz uważniej.... Wszak to co ten starzec o swojej młodości i uczuciach mówił, było wiernem odbiciem tych żądz, jakich on doświadczał, żyjąc wśród cudzego przepychu na Kazanowskich dworze.... Wszak i on miał brata, o którym zapomniał, a który siedział na miejscu, podczas gdy on uganiał światami, szukając for-

tuny. Postać biednego kaleki stanęła mu przed oczyma.... tyle lat go nie widział, pożegnał niemal dzieckiem, a dziś Kazimierz musiał być już dorosłym mężem — może pomimo kalectwa szczęśliwszym od niego....

Pan Sołłohub mówił dalej:

— Po latach kilku, musiałem porzucić dworską służbę.... Wróciłem pod ojczystą strzechę uboższy niż kiedykolwiek, z sercem rozdartem, z goryczą w duszy a szyderstwem na uśmiechach. Było znów ze mną tak, jak z tobą.... Rozmiliowałem się w takiej niewieście, na którą oczu nie powiniennem był podnieść, w małżonce tego, który dobroczyńca był moim, a który przekonawszy się o zdradzie, nie zamordował mnie, jeno uczynił gorzej, bo wygnał jak służalca, mszcząc się na mnie rozmaitymi sposoby. Nie ujął się za mną nikt, bom przyjaciół nie miał, ile że wszystkich zrażałem do siebie dumą i wyniosłością, mniemając, jako zdobywszy łaski możnego pana, bez przyjaźni równych i niższych obejdę się snadnie. Wróciłem przeto pod strzechę ojcowską nędzarzem — a brat mój domyślając się, czy też może wiedząc o wszystkiem, przyjął mnie z otwartemi ramiony i ani słowkiem nie poruszał przeszłości.... Ale ona sama stawała ciągle przed memi oczyma, jak zmora, na jowie i we śnie. I tak samo

jak ty Władysławie, przez sen przyzywałem tej niewiasty, którą miłowałem namiętnie, lubo zdawało mi się czasem jak tobie, iż jej nie-nawidzę.... Wreszcie ta burza zdawała się uci-szać — aliści zerwała się niebawem inna, straszliwsza jeszcze. Przy tej rozpaczy, jaką czułem w mej duszy odbijały tem jaskrawiej spokój i szczęście brata mego. Zrazu dziwiło mię to, jak on mógł się obchodzić tak małem, żyć tak nędznie — a w końcu zacząłem mu tego życia zazdrościć.... Słyszałem wszędzie jak chwalono jego zacność, prawość, rozum a stateczność, każda zaś taka pochwała przesywała mi serce zatrutą strzałą. Próbowałem, jako w sztuce intryg dworskich biegły, tu i owidzie rzuconem od niechcenia słówkiem, niszczyć zwolna to uwielbienie powszechnie, sam w siebie wmówić chciałem przekonanie, jako brat mój nie może być ani taki zacny, ani tak stateczny, nie chciałem przypuścić, aby serce jego wolne było od myśli ukrytych, jakie mają duszę szarpały i podejrzynałem na każdym kroku jego intencye.... Ale i to nie zdało mi się na nic.... podejrzenia moje on odpierał czynami a ludzie słów moich niechętnych, nieszczerych słuchać nie chcieli — niektórzy odwrocili się ze wzgarda....

Strzynał się chwilę pan Sołłohub, odetchnął głęboko a spojrzałszy na twarz Włady-

sława, przekonał się z pociechą, jako słowa jego widoczne na nim czynią wrażenie. Siedział z pochyloną głową, patrząc posępnie przed siebie.

— Cóż dalej? — spytał dziwnie zmienionym głosem.

— Przychodzę, — odparł starzec — do najważniejszego w mojem życiu momentu, a darujcie, że krótko i bezładnie mówić będę, bo jeszcze dziś na to wspomnienie, serce uderza mi jak młotem w piersi a myśl się mąci.... Rosła tak z dnia na dzień zawiść moja ku bratu. Zawidziłem mu poważana u ludzi, zawidziłem swobody myśli i serca a wreszcie zazdrościć począłem.... miłości niewiasty. W sąsiedztwie naszem mieszkali pp. Puzynowie, podczaszostwo upitscy. Jak wacpanu wiadomo, ród to zacny i starodawny, powszechnem zaś poważaniem otaczany na Litwie. Państwo podczaszostwo mieli córkę jedynaczkę, Oleńkę imieniem, tak cudnej urody, że jakkolwiek wiano jej nie było zbyt znacznem, ubiegało się o jej rękę kilku znakomitych młodzieńców, między innymi zaś brat mój, który też przyrzeczenie rodziców i zgodę panny uzyskał.... Z początku było mi to obojętnem, ile że ogarnięty namiętnością występną, na inne niewiasty nie dawałem baczania a na inne uczucia godziwe nie było

miejsca w mem sercu. W końcu jednak, widząc szczęście niewymowne brata mego, który się cały w tym affekcie rozpływał, począłem mu tego zazdrościć, a ta zazdrość zbrodnica pchnęła mię do tego, iżem coraz wyraźniej o wzgłydy panny podczaszanki ubiegać się zaczął. Czyniłem to chytrze, podstępnie a całą umiejętność dworską wytężyłem, aby spokój serca tej niewinnej istoty zamacić....

Strzymał się znowu pan Sołłohub, jakby się namyślał co dalej ma rzec, a widząc jako Siciński z widocznem zajęciem słucha, tak kończył:

— Serce ludzkie to niezbadana nigdy tajemnica. Sądziłem, że serce moje na zawsze do jednej tylko niewiasty należeć będzie, że ta występna namiętność, która mię ogarnęła, a która wszystkich nieszczęść moich stała się powodem, nigdy nie wygaśnie. Do Oleńki zbliżałem się zrazu zimny, pewny siebie, w tym jedynie celu, aby uczynić zadość zazdrości mej ku bratu i zemścić się na nim z dobroć jego stale mi, pomimo wszystkiego, okazywaną, która mię upokarzała. Ale wnet poznałem, jaka jest różnica między namiętnością występną a tem czystem i niewinnem uczuciem, które w dziewczem sercu się mieści.... Gdyż po raz pierwszy uczuł, że za-

biegi moje nie były daremne, gdym ujrzał, jako dworskością obyczajów moich, gładką wymową i obejściem, snadnie zwycięstwo nad bratem, w domu i prostocie chowanym, odnieść zdołam, gdym ujrzał jak na mój widok oko Oleńki zapalało się niezwykłą radością, a potem gdym widział, jako związana słowem, poczęła trafić się i smucić a blednąć — to stało mi się tak, jakbym się że snu obudził i dopiero poznał, gdzie prawdziwa miłość i szczęście. Działałem dotychczas tak przezornie, że rodzice Oleńki — jakkolwiek nie lubili mnie i podejrzliwie spozierali na mnie, — nie domyślali się i nie dostrzegali nic zgoła; ale pierwszy ujrzał to i zrozumiał brat mój, a jako zawszy był szczery i uczuć swych taić nie mógł, tedy raz wróciwszy od niej, przyszedł do mnie **zafrasowany** niemało i rzekł:

— Oleńka chora jest.... zmieniona — a byłbym chyba ślepy gdybym powodu nie widział....

I zbliżając się do mnie a chwytając za rękę, spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakiego nigdy nie zapomnę: była w nim rozpacz bezgraniczna, niepokój, gniew, zazdrość i żal okropny.

— Miłujesz-że ty ją — zapytał, — tak silnie, aby jej dać szczęście? Żali ją miłujesz tak, jak ja, całą duszą i sercem całem?...

A mnie na to pytanie znowu dzika ogarnęła zawiść. A cóż to on — pomyślałem — mniema, jako jeden miłować umie i szczęście zapewnić może? Będzież-że on mnie zarówno jak inni, a w pierwszym rzędzie rodzice Oleńki, pomawiał zawżdy o złe intencye i nieszczerłość?...

Tedy na pytanie nie dałem responsu, jeno zaśmiałem się szydersko, a na to brat mój pohamować się już nie zdołał.... Co miał na sercu żalu, to wypowiedział w słowach gorzkich, obelżywych niemal. Staliśmy wówczas naprzeciwko siebie nie jako bracia, ale jak zapaśnicy do walki gotowi. A wreszcie on przez zaciśnięte zęby rzekł mi:

— Gdybyśmy obcy byli sobie, dawnoby między nami rozstrzygnęła szabla.... dawnobym ci rzekł: ty albo ja, trup, ty albo ja, jej mężem.... Ano, nie sposób, aby krew bratnia nastawała na siebie.... więc niech rozstrzygnie los, niech rozstrzygnie szabla czy kula nieprzyjacielska.... każdy z nas powie sobie i na sumienie przysięgnie, jako życia oszczędzać nie będzie, że w największe niebezpieczeństwo poleci, — a który z nas dwóch ocaleje, ten będzie małżonkiem Oleńki....

Zaśmiałem się znowu.

— A po co? — odparłem szydersko — skoro ona nie ciebie, jeno mnie mięluje....

Przyskoczył do mnie jak zwierz dziki po tych słowach. Z wściekłością szarpał mnie za ręce, za odzież targał a lżył i bezcześcił.

— Kłamiesz! — wołał — to nie miłość, jeno opętanie szatańskie, które przeminie, skoro ty znikniesz jej z oczu....

A ja wówczas już zdzierżeć się nie mogąc, odepchnąłem go od siebie i rzekłem krótko:

— Dobrze! chodźmy na Szweda!

A było to podczas nowej wojny szwedzkiej za panowania Zygmunta III, kiedy Gustavus Adolphus przerzucił był wojnę do Prus, gdy zajawszy Malborg, Tczew i inne grody, oprócz Gdańska i Torunia, całych Prus królewskich stał się panem. Pobiegliśmy tedy pod Toruń, kiedy król z wojskiem już był nadciągnął....

Pan Sołłohub chmurnie spojrzał przed siebie i zamilkł.... Chciał mówić, jakby to wyznanie po tylu latach milczenia było potrzebą duszy, a jednak słowa zamierały na ustach, głos w piersi się łamał a oczy łzą zachodziły.... Urywanemi słowy mówił dalej, już na Sicińskiego nie patrząc:

— Nie byłem ja wówczas nawykły do niebezpieczeństw wojennych; postanowienie też to zdawało się mi nieroztropnem i niesprawiedliwem, a walka nierówną, brat mój

bowiem był sprawnym bardzo i odważnym żołnierzem a w trudach obozowych zahartowanym. Ujechaliśmy z Tronik nic nikomu nie mówiąc, każdy w inną stronę a spotkaliśmy się dopiero w pierwszej bitwie pod Gniewem. Widzę go, widzę brata mego w ogniu największym.... Starły się wojska królewskie z nieprzyjacielskimi z olbrzymią siłą.... a wśród zamętu tego natarcia, ja mimowolnie strwożony, oszołomiony wrzawą tej bitwy, pozostałem nieco w tyle.... Lecz ciągle widzę przed sobą, jak on z mieczem podniesionym, leci wprost na szeregi szwedzkie, wysunąwszy się naprzód, jakby zginąć chciał.... Dym i kurzawa zakrywały chwilami wszystko przed memi oczyma — to znów na moment widziałem go, jak siekł na prawo i lewo szablicą, cały krwią zbryzgany, stojąc jak mur wśród kul nieprzyjacielskich, które go się nie imały. Serce mi biło w piersiach gwałtownie.... Zginie.... myślałem... zginie niechybnie!.... I w tymże momencie cudna postać Oleńki Pubynianki stanęła mi przed oczyma.... Smutna i blada, zdawała się mnie pytać serdecznemi łączami: gdzie brat twój?... tyś go zamordował!... Nie mogłem znieść tego widoku, ani tych myśli.... Zakipiało we mnie wszystko.... zamknąłem oczy i pędem rzuciłem się w tę stronę, kiedy brat mój walczył.... Stanąłem obok niego

i póki żyw będę, nie zapomnę jego wzroku, jakim spojrzał na mnie.... Snadż zdało mu się, iż ja go zdradzić chcę, bo zdyszany, nie ustając w walce, szepnął:

— Ze Szwedami przeciwko mnie, czy też ze mną przeciw nim?...

A mnie się na to pytanie zwróciła głowa.... Nieprzytomny podniosłem miecz — oto ten sam, który tam widzisz pod obrazem Matki Bożej, na ofiarę zawieszony.... Podniosłem bratobójczą rękę i słyszałem jeszcze okrzyk brata: zdrajco!... a potem już nie wiem co się stało.... trzy kule nieprzyjacielskie utkwiły we mnie.... omdlałem.

Pot kroplisty wystąpił na czoło p. Sołłohuba, oddychał spiesznie i z trudnością — mówić dalej nie mógł.

— Jesteś-że wacpan pewien — zagadnął Siciński — iż owe kule, które wacpana zraniły, pochodziły od Szwedów?

Sołłohub obiema rękami zatrząsł w powietrzu.

— Oby mi Najwyższy Sędzia przebaczył! — zawałał z uniesieniem — iż w pierwszej chwili brata mego o te kule oskarżać śmiałem! Zakrwawiłem mu do reszty serce posądzeniem tem, które zgoła fałszywem się okazało. Kule były szwedzkie a utkwiły we mnie w tymże momencie, gdym ja szatańska

siłą poduszczon, rękę na brata podniosłem. On widząc jako upadam ranny, ocalił mnie, bo już zgoła o sobie zapomniawszy, porwał w ramiona i uniósł z pola bitwy. Pielęgnował mię też jak matka, tak czule — bom chorował długo i ciężko w Toruniu, a w malignie, w jakiej byłem, tom brata o zbrodnię oskarżała, to znów gryzła mię myśl, iżem sam bratobójca jest.... Raz w nocy, obudziwszy się przytomniejszym, ujrzałem brata jak klęczał przy łożu mojem, odwrócony nieco odemnie.... Klęczał, modlił się i — płakał.... Miał on bowiem serce rycerskie, męskie, odważne, ale zarazem tak miękkie jak u dziecka, albo u niewiasty.... Wiedziałem, że on Oleńkę Puzyniankę miłuje nad życie, ale w tym momencie, gdym ujrzał go płaczącym tak rzewnie, powziąłem pewność, że gdybym mu ją zabrał, on nie przeżyłby tej straty.... Jakaś mię dziwna ogarnęła tkliwość.... widok też tego brata, który zawzdy przedtem umysł miał wesoły i swobodny a którego szczęście jam złośliwie zamącił, widok jego bolesci, poruszył mię do głębi. I wtedy w sercu swem przysiąłem, jako mu na drodze nie stanę i zrzeczeniem się Oleńki odpokutuję zbrodniczą intencję, jaka rękę mą w tumulcie wojennym przeciw bratu podniosła. — Pójdę w świat — myślałem — i zapomnę.... I uczyniłem tak.... Skoro tylko

poczułem się zdrowszym, umknąłem z Torunia. Wałęsałem się długo po świecie aż wreszcie oparłem się na tej ukraińskiej pustyni....

— I przez lat tyle nie widzieliście brata, ani owej Oleńki?.... — spytał Siciński wielce zainteresowany tą opowieścią.

Sołłohub podniósł na niego wzrok Izami zamglony.

— Nie widziałem — odparł głucho. — Poszedłem w świat jakem postanowił sobie, lecz nie zdołałem zapomnieć.... Wspomnień młodzieńczych nie zagłuszył w sercu ani czas, ani oddalenie, ani ten wicher stepowy, który przez lat tyle szumi wokoło mnie.... Nie zapomniałem! a kiedy oni tam — na Litwie, szukali mnie wszędzie naprzóźno, jam wiedział o nich wszystko. Wiedziałem, że po roku naprzóźnych poszukiwań za mną, kiedy może już sądzono, żem umarł i opłakano mnie, Oleńka została małżonką brata mego.... Lat kilka, nie długo, byli szczęśliwi.... Ona umarła, pozostawiwszy małżonkowi małą sierotkę w kolebce.... także Oleńkę....

Zamilkł znów p. Sołłohub i przechadzać się począł po komnacie w widocznem wzbrzeniu. Po chwili zatrzymał się przed Władysławem i kładąc mu rękę na ramieniu, a obejmując całą jego postać spojrzeniem serdecz-

nem, drżącym ze wzruszenia głosem przemówił:

— Historyi tej, nie słyszał nikt, prócz ciebie.... a nie daremno tom ci rzekł.... Kiedym cię ujrzał takim młodym, takim pięknym, a nadzieję różnych pełnym — żywo przypomniała mi się młodość moja, zdało mi się, iżem to ja odmłodniał w tobie.... Chwyciłeś mię wąpan za serce a może Bóg to umyślnie tak z działał, abym na starość doznał choć trochę rozkoszy....

Siciński z pewnym zdziwieniem patrzył na Sołłohuba, który mówił dalej:

— Widzę ja, jako walczysz i dobijasz się fortuny.... z tego coś mi rzekł i co na twem obliczu czytam, domyślam się, jako nie jedna troska cię gnębi.... pragnąłbyś wiele i rychło, a życie wlerze się powoli i zawody jeno przynosi. Więc ja ci powiem tak:.... Stary już jestem.... pora wracać między swoich i tam wśród nich zamknąć oczy na wieki.... Wiedzą oni już o mnie oddawna, wiedzą, iż żyję jeno myślą o nich.... o tym bracie jedynym i tej Oleńce jego, która ma być żywym wizerunkiem matki.... Jam tu na Ukrainie zebrał fortuny niemało.... nie dla siebie, jeno dla niej, dla Oleńki.... Bogata będąc dziedziczką, jakkolwiek rodzić jej na Tronikach swych nie zebrał wiele, a jeśli zbierał, to

aby rozdać uboższym.... Ja za to zbierałem skrzętnie, bom sobie myślał, że to czynię dla tej, której pamięć nie opuściła mię ani na moment, że to czynię dla jej dzieci, którą miłuję jakby moją rodzoną była, że czynię to dla brata, który mi życie ocalił, a przeciw któremu rękę bratobójczą podniosłem.... Ano, dziś już dosyć tego zbierania... fortuny dosyć mam — posiadłości te moje panu Kalinowskemu odprzedaję i na Litwę, do nich, wracam....

— A nie będzie wam żal rzucać tej ziemi i tej siedziby, w której lat tyle przebyliście?.... przerwał Siciński, nie rozumiejąc jeszcze zgoła, do czego pan Sołłohub zmierza.

— Czy mi żal będzie?.... powtórzył stary zwolna. — Ano, w żywocie ludzkim to zawszy tak.... z jednym się witasz, a drugie żegnasz, z jednymi się radujesz a do drugich tęsknisz.... na to rady nie ma.... Żal mi będzie tej ziemi i ludzi tych, z którymi żyłem w spokoju i tego powietrza, którem się lat tyle poilem.... Ale umrzeć chcę między swoimi i serce moje rwie się ku nim z niewymowną tęsknotą. Więc wracam na Litwę — a ty wracaj ze mną!...

Siciński wzrok zdziwiony podniósł na starca.

— Ja, wracać?... — rzekł z roztargnieniem — a po co?

Sołłohub na to pytanie bezpośredniej odpowiedzi nie dając, mówił po chwili jakby w uniesieniu:

— Wierzaj mi, waszmość, te wszystkie nadzieje, widoki, plany a marzenia, przez młodzieńczą ambicję podsuwane, to wszystko dym marny, który wicher rozwiewa... Szczęście jeno w zagrodzie własnej... wśród swoich... Ty szukasz po dworach, na usługach pańskich, fortuny — a kto wie, żali ją znajdziesz? Żali szukając, nie strajesz serca goryczą a sumienia nie skazisz... Słuchaj, ja ci mówię: szczęście jest bliżej — a tyś się za niem na manowce zapędził... Wracaj ze mną!

Słowa starca, wypowiadane z dziwnem wzruszeniem, mimowolnie przejmowały Władysława. Czuł on, że powrót jego na Litwę w tym momencie był niemożebnym, ale oddawna doznawał znużenia w tem życiu, jakie prowadził i nieraz w rozmyślaniach samotnych widział jako marzenia jego wicher iście rozwiewał jako dym marny.

— Nie rzekłeś mi nic — mówił dalej p. Sołłohub, — alem ja z oczu twych wyczytał, a z twoich sennych słów bezładnych wiem, jako masz w sercu namiętność grzeszną...

Cieężka to jest choroba, z której człek, jeśli przemocą sam się nie wydzwignie — zginął... Więc ja ci powtarzam: Wracaj ze mną a ocalujesz... Obaczysz Oleńkę, która do matki jest podobna, a przeto piękną być musi nad wyraz; dziewczyna to już teraz dorosła, a gdyby ci do serca przypadła, to za zezwoleniem rodzica, o którym nie wątpię, dałbym ci ją, wraz z całą fortuną moją, która tak znaczna jest, że darmobrys takiej szukał wśród dworskich zabiegów...

Na słowa te, pełne uczucia a chwytające za serce prostotą, Władysław zraż oniemiał. Dotychczas widział w okół siebie niechętnych jeno lub zawiastnych; po raz pierwszy spotykał człowieka, który od pierwszego wejrzenia był dlań najczulszym a nie zrażał się doń nawet tem, czego się sprawiedliwie domyślał. Widział w jego duszy dumę wielką i myśli ambitne, przeczuwał w sercu namiętność grzeszną i mówił, jako na to wszystko jedynem lekarstwem miłość zacna a czysta, oderwanie się od dotychczasowego życia, powrót do swoich, do rodzica, który go przez lat tyle naprzóźno do siebie wzywał.

Na ostatnie przeto słowa panna Sołłohuba żadnej odpowiedzi znaleźć nie mógł. W pomieszaniu wielkiem czuł, że go dawno nie

doznawane a miłe i słodkie ogarnia wzruszenie. Podaną sobie dłoń starca uścisnął mocno, wyjąkał niewyraźne podziękowanie i jakby lękając się zdradzić z uczuciem, którego nie miał się wstydzili, z pośpiechem wybiegł z komnaty.

Wieczór był późny. Ciepłe, wiosenne podmuchy szły od stepów, przenikając i topiąc resztę śniegów, leżących jeszcze na dolinach i jarach. Księżyca podnosił się zwolna na niebie wśród chmur lekkich, białych i mgieł przejrzystych, gnanych wichrem. Władysław błąkał się długo samotnie po stepach, szukając uspokojenia wzburzonych myśli i uczuć. Wreszcie znużony powracał już zwolna ku dworzysku, gdy wtem wśród ciszy nocnej doszedł uszu jego tent konia.

Obejrzał się i przystąał. W oddali, dostrzegł w niepewnym blasku księżycowym postać jeźdźca, pędzącego ku niemu co sił koniowi starczyło. Za chwilę był tuż przy nim, konia ściągnął, pochylił się nieco ku Sicińskiemu i spojrzał mu w twarz z blizka.

Siciński cofnął się nieco, ale wnet poznawszy jeźdźca, nie mógł strzycić okrzyku:

— Fedor! — zawałał.

— Do was spieszę — odparł zdyszany głosem kozak — a to prawdziwe szczęście

jako was tu spotykam, bo dziś jeszcze muszę dalej... strzymywać się nie mogę...

I zeskoczywszy z konia, który zmęczony gwałtownym biegiem wstrząsał się i parskał, — mówił coraz spieszniej, idąc obok Władysława:

— Źle, coraz gorzej się dzieje... Za dni kilkanaście spłynie ta ziemia krwią... Jeżeli macie posłuch u hetmana, to nie tracąc czasu jedźcie do niego i powiedzcie mu tak: wśród regestrowców już nawet podnoszą się bunt... ktoś szerzy wieść, jako żołd przez Króla na ręce hetmana przysłany, wypłacony im nie został... Wzburzenie jest wielkie. Niech przeto hetman co rychlej ów żołd zaległy, albo część jego zapłaci a niech się nie rusza z swą garstką i okazyi nie daje...

Siciński z niecierpliwością przerwał:

— Przecież wszyscy regestrowcy przysięgę wierności złożyli... pewni są!

— A teraz mówią — wtrącił kozak, — jako ich przysięgi żadnej wagi nie mają, bo czynione im przyrzeczenia pierwej złamane zostały...

— To jedź sam — rzekł Siciński — do Umania i powiedz to hetmanowi...

— Źali mego głosu usłucha? — przerwał Fedor. — Wy co innego, wy poseł królewski, wy macie prawo i obowiązek mówić. Zre-

ształ mam list królewski do hetmana, który wy  
mu doręczyć macie... Król tak kazał.

To mówiąc, wyjął z zanadrza pismo wiel-  
kie, opatrzone szeroką pieczęcią królewską.

— A więc byłeś w Wilnie?... u Króla?... —  
zagadnął Siciński, głos zniżając i biorąc owe  
pismo z rąk Fedora.

— Byłem — odparł śmiało kozak. — Król  
mocno chory jest a sprawy ukraińskie go tra-  
pią... Hetman rozkazów nie słucha a niebez-  
pieczeństwo tak bliskie jak nigdy. Chmielnicki  
powrócił z Krymu, siedzi jeszcze na ostrowie,  
ale się już ruszać poczyna, czując tatarskie po-  
siłki za sobą...

— A mnie się widzi — wtrącił Siciński, —  
jako te wszystkie niebezpieczeństwa w waszej  
jeno myśli są... Strach was wielkooki opętał;  
boicie się...

— My się boimy! — zawałał Fedor i nie-  
mal z pogardą na Sicińskiego spojrzał. — Nie  
bój się jeno wacpan prawdy hetmanowi rzec  
a my odwagę w potrzebie najdziemy, byleby  
ona nie była straconą!... Król chce, — mówił  
dalej kozak, — byście owo pismo doręczywszy  
hetmanowi, wymogli na nim, aby rozkazy speł-  
nił, co gdy się stanie, macie wnet Króla oso-  
bnym zawiadomić gońcem.

— Tym gońcem ty będziesz, Fedor — odparł Siciński z szyderstwem w głosie, — znasz przecież najlepiej drogę do Króla...

Kozak przenikliwie na Władysława spojrzał.

— Nie mogę ja teraz — odrzekł — ztąd się wydalać... Wśród regestrowców tak wierność zmalała, że jeden wierny znaczy wiele...

— To jedź ze mną do Umania — ożwał się Siciński, który jeno nad tem przemyśliwał, jakby Fedora schwytać i hetmanowi dostawić, — obaczym, co pan krakowski rozkaże...

— Do Umania pojadę niezwłocznie — odparł Fedor, — ale nie do zamku, jeno aby się z kilkoma kozakami, którzy są wierni, porozumieć.

— Coż czynić zamierzacie? — zagadnął Władysław.

Fedor milczał.

— Nie mogę rzec... — odparł po chwili.

— A to jest najgorzej! — wybuchnął Siciński, — że wy tu sami na własną rękę działacie! W przewidywaniu jakichś Chmielnickiego spisków, sami spiski knujecie, odprawujecie do Króla poselstwa, czynicie zmowy a wszystko bez wiedzy hetmana.... Jedź ze mną Fedor do zamku — dodał rozkazując — zdasz tam hetmanowi ustną relację

z tego coś od Króla słyszał, a dowiesz się sam co powie...

— Nie uczyniłem nic złego — odparł Fedor, — jeno to co sam pan kanclerz Ossoliński, gdy tu był, czynić rozkazały. Za jego wola jeździłem do Króla a mówiłem to, co mi sumienie i prawda rzec kazały... Nie mam przeto powodu lękać się hetmana, wszakże do zamku nie pójdę, ile że pan hetman strzymać by mię mógł, a ja momentu do stracenia nie mam...

Władysław się zamyślił. Nie mógł on tracić z oczu Fedora i wypuścić go nie chciał.

— Dobrze — rzekł po chwili, — do zamku nie pójdziesz, ale do Umania pojedziem niezwłocznie razem. Ja pójdę do hetmana, aby mu pismo królewskie doręczyć, ty zaś z owymi kozakami mówić będziesz... W drodze zaś rozpowiesz mi, co ci Król rzekł i co w Wilnie słychać.

Fedor, jakkolwiek niechętnie, zgodził się na to, nie miał bowiem żadnego powodu uczynionej propozycyi odrzucać a Sicińskiego o zdadę nie posadzał zgoła.

Za chwilę Władysław, nie pożegnawszy się nawet z p. Sołłohubem, wziąwszy tylko jednego pacholika z sobą, jechał wraz z Fedorem do Umania,

Noc była głucha, kiedy tam przybyli. Fedor do miasteczka dojechawszy, strzymał się i rzekł do Sicińskiego:

— Wy jedźcie panie do zamku, ja tu ostać muszę... Wy zaś szukajcie takiej wymowy, byście pana Potockiego przekonać mogli i uprosić, iżby się na wolę królewską zgodził. O mnie nie mówcie nic... Hetmanowi pismo królewskie miłem nie będzie a mógłby się na mnie za to mścić... Powiedźcie przeto, jako nieznany wam goniec owo pismo przyniósł i z rozkazu królewskiego wnet napowrót odjechał. Nie o mnie tu idzie, jeno o to, iż w tym momencie mam do spełnienia wiele a o wierną duszę dziś trudno... Nie mówcie przeto o mnie hetmanowi.

— Nie powiem — odrzekł Władysław.

Ale skoro tylko Fedor odjechał nieco, natychmiast polecił pacholikowi swemu, aby go z oka nie spuszczał, sam zaś poleciął pędem do zamku.

W zamku było cicho jak w grobie. Jeno straże czuwały. Ale Władysław wnet do komendanta twierdzy poszedł, zwiastując mu jako ważnego szpiega wyszedził, którego natychmiast ująć należało, aby precz nie uszedł. Chciał też natychmiast widzieć się z panem krakowskim, co wszakże okazało się niepodobnem, ileż do komnaty hetmańskiej nikt

w nocy przystępu nie miał. Musiał więc Władysław czekać do rana, ale to uzyskał, iż komendant kilku drabów wysłał natychmiast celem ujęcia Fedora. Pacholik Władysława wskazał im drogę, kiedy go szukać mieli, a Siciński nie uspokoił się pierwej, aż posłyszał, jako draby owe wracali, prowadząc jeńca... Z krużganku wieży zamkowej widaćł, jako szli, wiodąc wśród siebie sklepionego Fedora. On postępował zwolna, z obliczem wznieśionem ku niebu, które ciężkimi pokryło się chmurami, grożąc deszczem. Pomimo ciemności zdało się Sicińskiemu, jako dostrzega bladą twarz kozaka i widzi wzrok jego skierowany ku niemu a iskrzący się dziko...

Wzdrygnął się mimowolnie, ale po chwili ręce zatarł i szepnął:

— Już teraz chyba przekonam hetmana i łaskę jego zdobędę, a tak i podróż ukraińska nie będzie straconą...

Był już dobry ranek, gdy p. Potocki otulony w kosztowną szubę sobolową, amarantowym axamitem krytą, wyszedł na dziedziniec, aby się przyglądać wedle codziennego zwyczaju stadninie swojej, którą przeprowadzano.

Dzień był chmurny i mglisty, ponure myśli rodzący w duszy. Pan krakowski

w niedobrym też dnia tego był humorze. Twarz miał skrywioną, usta bez uśmiechu, oczy bez blasku; wyglądał jak gdyby znużony.

Siciński zbliżył się.

— Jw. kasztelanie — rzekł, — ważne są wieści...

— Słyszałem — odrzekł z niechęcią pan krakowski, — jako wacpan nawet w nocy budzić mię chciałeś...

— Są listy królewskie... — ozwał się Władysław, podając pismo.

— A!... — zawała hetman, wyciągając niecierpliwie rękę, — znowu jakieś nowe polecenia...

Rozwinął papier i zbliżywszy do oczu, czytać zaczął. A w miarę jak czytał, rące mu drżeć poczynały, wargi blednąć a brwi zsunęły się groźnie... W najwyższym uniesieniu stuknął nogą o ziemię.

— A toś uwieńczył swe dzieło, mości Siciński! — zawała. — Król pisze, jako wszystko jest źle com uczynił, nie pozwala wojska dzielić, ani przeciw Chmielnickiemu iść, ani dowództwa nad jedną partią Stefanowi dać, którego młodzienaszkiem niedoświadczonym zwię... zgoła chce, abyśmy chłopstwu ulegli...

Zbliżył się do Władysława i głosem drżącym z wewnętrznego oburzenia:

— Waść sobie nie myśl, mości Siciński — rzekł, — aby mię to straszyło. Będzie tak, jak ja chcę, a wacpan możesz dalej skargi swe do Wilna posyłać, dopóki mi się to nie znudzi i nie ukróć zuchwałstwa...

Siciński nie przestraszył się tym razem hetmańskiego gniewu; patrząc odważnie w oczy rozsierdzonemu panu, odparł:

— Skarg nie posyłałem i posyłać nie będę, jw. kasztelanie Ażeby zaś dać dowód moich dla jw. pana sentymentów, zdołałem wyśledzić donosiciela i przywiadłem go tutaj...

— Nie może to być! — zawała hetman a oczy mu się zaiskrzyły.

— Szpieg uwięziony jest — odparł Siciński — i oto go prowadzą.

Dwóch drabów prowadziło rzeczywiście sklepionego powrozami Fedora. Szedł jak wczora wolno, lecz z głową spuszczoną na piersi. Wyglądał nędzniej niż zwykle, w odzieży błotem zwalanej i poszarpanej. Twarz jego wyrażała znużenie, policzki jeszcze bardziej zapadły i zczerniały. Hetman z pogardą nań spojrzał i zaśmiał się szyderczo.

— Więc to jest królewski goniec! — zawała — jakieś baśnie prawisz mi, mości Siciński.

Władysław zbliżył się ku hetmanowi i prawie szeptem mówił spiesznie, urywanymi wyrazy:

— Jest to tajemniczy kozak — rodem pono z Litwy, szlachcic... w kozaka przedzierżgnął się z pielgrzyma, który całą Ukrainę przebiegł — teraz jest rejestrowcem na służbie u Barabasza... Kazanowski chwalił jego wierność a on sam mówił mi, gdym go wczoraj spotkał, jako z polecenia kanclerza Ossolińskiego z Ukrainy do Króla z językiem biegał... On mi też owo pismo królewskie do jw. pana doręczył...

Potocki słuchał, ale było widocznem, jako Sicińskiemu jeszcze nie wierzył.

— Zbliż się! — krzyknął do Fedora. — Jak się nazywasz? — zapytał groźnie.

Kozak podniósł głowę i spojrzał... Wzrok jego padł naprzód na Władysława, a musiał być przenikliwym bardzo, bo Siciński cofnął się i zachnął. Na zapytanie hetmana odrzekł jeniec:

— Zowię się Fedor...

— A dalej?

— Bezimia...

— Klamiesz! — krzyknął hetman — inne pono masz nazwisko... Ale mniejsza o to... Więc to ty na Litwę chadzasz, aby na mnie skargi zanosić?...

— Skarg nie nosiłem — odparł śmiało Fedor. — Mówiłem jeno, co mi prawda rzec kazała...

— Mileż! — zawała Potocki, oburzony śmiałą odpowiedzią kozaka.

Fedor zbliżył się ku hetmanowi.

— Jw. panie! — przemówił — nie chciejcie mię posądzać o nic złego... Pan kanclerz Ossoliński kazał mi donosić wszystko — więc rozkaz spełniłem w najlepszej intencyi. Nie taiłem nic, jako i przed wami nie taję... Niebezpieczeństwo jest blizkie i groźne, oddziały ordy nogajskiej, oczakowskiej i krymskiej przysuwają się ku granicom... Nasze siły nie wystarczą... Jeśli się ruszymy...

Hetman porwał się ku niemu z pięściąściniętą. Zuchwały kozak nawet wypierać się nie myślał swoich poselstw do Króla, a śmiały powtarzać to właśnie, co krakowskiego pana najbardziej oburzało.

— A zkad ty wiesz, psi synu — krzyknął nie posiadając się z gniewu, — że nie wystarczamy?...

— Bliżej patrzę na sprawy od lat wiele — przerwał Fedor, nie bacząc na wzburzenie hetmana — od kurenia do kurenia chodziłem a słuchałem, co mówią.... Na miłość boską! — zawała w uniesieniu — rozkażcie mnie puścić!...

Hetmam śmiał się szyderczo urywanym głosem.

— A toś ty mądrzejszy odemnie! — za-wołał — a ja twój rozum dyabłu oddam, nogi zaś twoje w żelaza zakuję, aby z głupiemi poselstwy nie biegały...

Siciński zbliżywszy się do hetmana, szepnął:

— Należałoby go wybadać — ile że jakieś spiski miał tu knuć z niektórymi kozakami, których wiernymi zwał...

— A to go sobie badaj! — odparł głośno pan hetman. — Ja go badać nie będę... bo na spiski mam inne sposoby... Hej! hej! — krzyknął na stojących obok hajduków, — wziąć tego urwańca a chłostać, dopóki nie zdechnie!

W oczach Fedora zabłysły ognie... Wzdrygnął się i pomimo krępujących go więzów przysunął się do Sicińskiego.

— Mości Siciński — szepnął, — pomnij coś uczynił... — ocal mnie!

— Wziąć go! — krzyczał hetman, którego to nużyć poczynało; pragnął co rychlej skończyć.

Trzech drabów zbliżyło się ku Fedorowi w milczeniu i chciało go za ramiona ująć. Ale on szarpnął się z taką siłą, że krępujące go więzy pękły...

Zwolnioną ręką odepchnął napastników...

— Mości kasztelanie! — zawała — jam jest szlachcic wolny, chociaż kozaczą siermięęgę noszę... zabić mnie każ, ale nie chłostać!...

— Cha! cha! — zaśmiał się Potocki — ja ci twój herb na skórze wypisać każę!...

W tej chwili schwycono znów kozaka za ręce. Ale w tym szkielecie, który od powiewu wiatru słaniać się zdawał, musiała być siła ogromna. Zdawało się, iż w ziemię wróśni, bo go z miejsca ruszyć było niepodobna, szamotał się zaś i rwał gwałtownie, że co moment napastników odpychał...

Siciński blady, z zaciśniętymi ustami, patrzył sztywnie na tę rozpaczliwą walkę Fedora. W tym momencie zuchwała twarz tego kozaka z rozburzonymi włosami, ze świecącymi wewnętrzniem oburzeniem oczyma, przypomniała mu znowu żywo inne oblicze, a ta walka inną chwilę, zapisaną w duszy niezatartem wspomnieniem... Chwilę, kiedy stary Wodzibun prowadzony ku lochom birżańskim, przeklinał go za pierwszą zradę wówczas spełnioną...

Było niepodobieństwem, aby Fedor z tej walki mógł wyjść zwycięzko. Już słabnął, — i nagle zwalił się na ziemię, tłoczony kolanami hajduków, krępujących go silnie powrozem.

— Mości hetmanie!... — wołał jeszcze stłumionym głosem — nie każcie hańbić wolnego szlachcica!... puśćcie mnie, bo stanie się nieszczęście!...

— Zdrajco! — krzyknął hetman — i ty grozić śmiesz!...

Na wyraz: zdrajca, siły kozaka jakby znowu się wzmagły... jeszcze raz się podniósł i odtrącił hajduków...

— Jam nie jest zdrajca! — zawała mocnym głosem — zdrajcą jest ten, którego, mości hetmanie, słuchasz... zdrajcą jest Siciński... rodzica mego na śmierć wydał a dziś mnie tak samo zdradził!...

Władysław wzdrygnął się cały... Więc wątpliwości nie było, przeczucia go nie omyliły — to był Wodźbun! Jak osłupiały stał milcząc, a czuł, iż w tym momencie wzrok Potockiego, żdziwiony, skierował się ku niemu.

— A!... — ożwał się pan krakowski — więc wacpan znasz z dawna tego kozaka?...

— Nie znam... — odparł Władysław, pomieszania utaić nie mogąc.

— Kłamiesz! — zawała Fedor, którego w tej chwili wleczono po ziemi, — kłamiesz!... — powtórzył — jam jest Zygmunt Wodźbun, którego rodzica w Birżach zabiłeś!

Wzrok hetmana coraz bardziej zdziwiony, oprzytomnił Władysława. Zaprzeczenie na nic się przydać nie mogło.

— Jeśli to prawda — rzekł tedy pospiesznie — jeśli kozak ten rzeczywiście nazwisko to nosi, to żotr niebezpieczny jest; rodzinę jego za zdradę xięcia Krzysztofa Radziwiłła, jako Królowi przeciw xiążciu fałszywe wieści donosił, więzieniem ukarany, zmarł.... Syn zaś Szwedom wydał twierdę birżańską.... to całe pokolenie zdrajców....

Fedor osłabły, w omdleniu niemal, walcząc przestał — ciągniono go po ziemi jak trupa, a on też jak trup wyglądał z zawartymi oczyma, z twarzą zблadłą i sinimi wargami. Głowa bezwładnie opuszczona obijała się o ziemię i kamienie.... Ciężko było hajdunkom wlec go tak bezwładnego, więc strzymawszy się, podźwignęli go i ujęli pod ramiona.

Fedor oczy otworzył i błędny, mgłą zasnutym wzrokiem, potoczył dokoła. Hetman odwrócił się ze wstrętem i już rozmawiał z kim innym, pismo królewskie mu ukazując, ale Siciński jak w ziemię wryty, ruszyć się nie mógł. Jakieś przerażenie dziwne przykuwało go do miejsca; chciał się odwrócić, ale wzrok mimo woli szedł ku Wodzburowi.

Nagle spotkały się ich oczy: spojrzenie Władysława sztywne, lęku pełne, z mętnym, omdlałym wzrokiem kozaka. Usta Fedora zadrgały.... i nagle z piersi wydobył się głos dziwny, stłumiony a przejmujący:

— Bodajeś przepadł!... — krzyknął.

Szarpnięto go silnie w tej chwili i uprowadzono po za dziedziniec zamkowy, na puste pole, kiedy stał pal wysoki, przy którym wymierzano chłostę skazańcom....

Wtem stojący obok hetmana rozstąpili się spiesznie i ukazał się w oddali młodzieniec rycerski. Cały był w zbroi lśniącej, z hełmem złocistym na głowie, z pod którego widniała twarz tak piękna, że wzrok ku sobie mimowolnie ściągała. Oczy jego ciemne a blasku pełne, patrzyły śmiało, pogodnie a z łagodnością chwytającą za serce; usta uśmiechały się niezwykle wdzięcznie ku pozdrawiającym go z daleka ludziom. W tej wszakże chwili nie miały uśmiechu, twarz wyrażała zafrasowanie. Młodzieniec szedł szybko; ruchów jego zgrabnych, zwinnych, zdawała się wcale nie krępować ciężka zbroja.

Był to Stefan Potocki, starosta niżyński, syn krakowskiego pana i ulubieniec jego, ku któremu oczy i usta rodzica śmiały się już z daleka. Ale nie tylko rodzic, miłowali tego młodzieńca wszyscy i żołnierze i dwo-

rzanie. Rycerski, śmiały, odważny, łagodnym był jak dziecko a niczyjej krzywdy dopuścić nie chciał. Szlachetności niezwykłej, był dobroczyńcą każdego, który w niedoli do niego się udał; wszakże w szeregach rycerstwa, ulegając pierwszy ściślej dyscyplinie wojskowej, surowej też przestrzegał karności.

Z wielką attencyą zbliżył się ku rodzicowi, który obie ręce ku niemu wyciągnął.

— Ojczę, — rzekł młody Potocki — żali to z rozkazania Waszej Miłości prowadzono tego kozaka na chłostę?...

— Jest to szpieg jakiś.... — odrzekł hetman z nieukontentowaniem — wydał mi go pan Siciński, twierdząc, jako aż na Litwę do Króla biegał i skargi na mnie zanosił.

— Nie może to być! — przerwał żywio kasztelanic, spoglądając z niechęcią na Sicińskiego — kozaka tego znam, widziałem go w Czerkasach u Kazanowskiego, który mi go bardzo chwalił, jako wielkiego poświęcenia jest człek.... Zdał mi się też całe nie prostym kozakiem, a oboźny mi mówił jako szlachcicem jest, który się kozakiem uczynił, iżby usługi oddawać.... Nie godzi się go chłostać, ojczę....

— Rozkazałem.... — rzekł hetman.

A w tymże momencie wśród ciszy, jaka zaległa, przeniknął powietrze jęk głośny, nie bolu, ale takiej dzikiej rozpaczy, iż wszyscy mimowolnie zadrżeli.... Jęk ściął niebawem i nie powtarzał się więcej.

Pan krakowski ruszył się żywo, aby do zamku iść, ale syn strzymał go jeszcze i mówił z cicha, niemal błagalnie.

— Proszę o łaskę Waszej Miłości dla tego kozaka.... zwolnijcie go od chłosty przynajmniej....

Potocki zwrócił się ku Władysławowi.

— Każ wacpan — rzekł — chłosty zaprzestać....

I z nietajonem szyderstwem w głosie dodał:

— Chciałeś go waść badać.... to go się rozpytaj, wszak znacie się pono oddawna.... A potem czyń z nim co chcesz.... w więzieniu ostaw, albo go puść wolno — mnie to wszystko jedno....

I wszedł do zamku a za nim Stefan z resztą przedniejszego rycerstwa, które się tymczasem zebrało.

Natychmiast walną złożono naradę i postanowiono wbrew listom królewskim, podzielić wojsko całe na dwie części. Stefan Po-

tocki otrzymał z rąk hetmana naczelne dowództwo nad jedną partią, która niezwłocznie naprzód, w głąb Ukrainy, przeciw Chmielnickiemu wyruszyć miała.

— Zuchwały chłop — mówił pan hetman — na moje pismo, w którym mu indulgencję ofiarowałem, byle z Zaporóża wrócił a upokorzył się, nawet responsu nie dał, a nadto posła mego w niewoli trzyma. Należy go ukarać przykładnie. Tedy syn mój wyruszy natychmiast, my zaś z głównym obozem ku Czerkasom wrychle się posuniemy.

Przeznaczono tedy starośćce niżyńskiemu 6000 dobrze uzbrojonego wojska, prócz tego zaś ze trzy tysiące rejestrowych kozaków pod wodzą Jacka Szemberga, oraz dwanaście działa polowych.

Wszyscy wołali, jako to aż nadto wielka siła dla poskromienia jednego zuchwałego kozaka, zwłaszcza, że w szeregach poddanych dowództwu starosty niżyńskiego, znajdowali się tak dzielni i wypróbowani żołnierze, jak Jan Sapieha starosta owrucki, Zaćwilichowski rotmistrz, Krzysztof Grodzicki pułkownik, i sławny z męstwa i przezorności, jakkolwiek młodszy wiekiem, Stefan Czarniecki. Zostali oni przydani do rady Stefanowi Potockiemu, wszyscy zaś byli najlepszej myśli, prócz je-

dnego Czarnieckiego, który na owej naradzie dłucho milczał posepnie a wreszcie rzekł:

— Mnie się ta sprawa niebezpieczna być zdaje.... Jeżeli wieści o lidze z Tatarami są pewne, — wówczas Chmielnicki z łatwością nas zdusi.

Inni się na to zaśmiali a najgłośniej sam pan hetman koronny.

— Szaleństwem jest myśleć — rzekł — iżby Tatarzy wspomagać chcieli kozactwo, z którego bezsilności najwięcej korzyści mają.... Zresztą wyprawiłem ja już list do Węzyra, żądając, aby wzbronił Ordzie konszachtów z Chmielnickim, jeśli pragnie utrzymania świeżo zawartego pokoju.

Czarniecki nie rzekł na to nic, a inni chwalać przezorność hetmana, iż owo pismo do Węzyra wysłał, na wszystko się według woli jego zgodzili.

Tegoż wieczora pisał hetman do Króla oznajmiając, jako wnet po Wielkiejnocy zamierza wyprawę przeciw Chmielnickiemu urządzić.

„Niebaczny ten a swawolny człek, pisał, nie da się poskromić łagodnością; jedynym na niego sposobem postrach miecza nad karkiem.... Wyruszam tedy przeciw niemu nie bez uwagi i rozsądnej rekollekcyi i nie dla przelewania krwi chrześciańskiej, ale iżbym

niebezpieczeństwu *in herba* zapobiegł i niedobryszy bronii, samym strachem wojnę skończył i rozumiem, przysługę Waszej Król. Mości uczyńił. Dotąd jeszcze kozacy żadnej kropli krwi wojsk W. K. M. nie uronili i nie uronią, jeżeli zrzekną się puchy i zuchwałych uroszczeń, a zawziętości w sobie zatłumią.“

---

## XVIII.

Wodźbun, w wojsku kozackiem Fedorem zwany, wróciwszy od Króla, przyniósł atamanowi Barabaszowi niejakie pocieszenie. Król, jakkolwiek mocno zafrasowany owem wydaniem listów poufnych i przeczuwając niebezpieczne ztąd następstwa, nie mógł wszakże potępić i karać starego atamana, który sam się kajał i winę swą wyznawał a z wierności był znany. Wyprawiając tedy z powrotem Wodźbuna a dając mu pismo do hetmana z polecением, by je Sicińskiemu doręczył, rzekł jeno:

— Szukajcie tam jakiego sposobu, aby owe listy Chmielnickiemu odebrać.... Pochwycił je podstępem, toż może znajdzie się podstęp inny, aby je odzyskać....

Stary ataman wziął te słowa przez Fedora powtórzone, mocno do serca. Namyślał się długo, a potem rzekł do wiernego towarzysza:

— Jedź ty zaraz do Umania.... doręczysz pisma królewskie Sicińskiemu — a sam hetmanowi się nie ukazując, któryby cię strzymać mógł, odnайдź tam między kozakami Romana Pestę.... Dawny to Chmielnickiego wróg a chłop dzielny, przebiegły i siły niezwykłej, że za dziesięciu stanie. Powiesz mu wszystko, i wezwiesz, aby co rychlej do mnie przybywał, dobrawszy kilku doświadczonych mołojców. Pójdziemy z kompanią taką na ostrów Buck do Chmielnickiego, wybierzemy moment, kiedy się niczego spodziewać nie będzie, i albo podstępem, albo choćby gwałtem, zabierzemy owe pisma królewskie, które on pewnie przy sobie chowa.... Jeno spieszyć się trzeba, bo na ten ostrów coraz więcej idzie hultajstwa.... ale teraz toby jeszcze dobyć go można....

Poszedł tedy Fedor nie zwłoczając, a wiadomo już, jako wpadł w ręce Sicińskiego i zdradzony przezeń został. Pochwycono go właśnie w chwili, gdy z Romanem Pestą się układał i zawiadamiał go o niebezpiecznym przedsięwzięciu Barabasza.

— Ano, trudna jest sprawa, — mówił Pesta, — ale udać się może, choćbyśmy zaś i owego przeklętego Chmiela przy tej okazji zdusili, nie zaszkodziło by nic.... Jeno, że go czort strzeże — bom go już raz pod moją

szabłą miał, a żelazo głowy jego jać się nie chciało....

Gdy pachołkowie zamkowi nadbiegli i Fedora schwycili, zaniepokojony tem Pesta, nie domyślając się coby to znaczyć mogło, pobiegł za nimi i z rana, patrząc zdala, był świadkiem, jako go ciągniono po ziemi, a potem dźwignąwszy, uwiązano do pala, aby chłostę wymierzyć....

Wokoło pala było pusto.... Nikt patrzeć nie przychodził na chłostę, która była rzeczą zbyt zwykłą, a zresztą kupili się wszyscy w tym momencie na dziedzińcu zamkowym, kiedy świetne szło rycerstwo na naradę wojenną.... Przy palu było tylko trzech owych hajduków, którzy Fedora przywiedli. Zdarłszy mu odzież z pleców, przygotowywali się już do pierwszego ciosu, gdy z piersi kozaka wyszedł ów jęk przerażliwy i rozpaczny pełen, który aż uszu hetmana i Sicińskiego doszedł i wszystkich współczuciem przeniknął.

— A czego on krzyczy, gdym go jeszcze nie tknął?... — odezwał się jeden z drabów, mimowolnie opuszczając rękę, nie uderzywszy.

— Co to bić takie kości mizerne.... — zauważył drugi, aż przerażenie bierze....

— Zaczynaj.... rychlej skończysz! — rzekł trzeci — on i pięćdziesięciu nie strzyma, chociaż siłę w ręku ma jeszcze ogromną.

Pierwszy drab, który był chłop olbrzymiego wzrostu, stanął tedy w takiej pozycji, aby uderzenie największą siłę mieć mogło, rozmachnął się kilka razy, nahajem świsnął w powietrzu, by postronki, które były ze skóry plecione, dobrze rozprostować i rękę wreszcie z wielkiem wyciągnięciem podniósł....

Ale w tymże momencie, jak piorun z jasnego nieba, spadł na nich Roman Pesta z trzema jeszcze kompanami. Ani jeden głos z ich piersi nie wyszedł. Milcząc wpadli.... Pesta rzucił się na tego, który z nahajem stał i tak silnie w piersi pięścią go pchnął, że drab ów wielki zatoczył się i o kilka kroków na ziemię zwalił. Inni rzucili się ku tamtym dwóm hajdukom, przytrzymując i krzycząc nie dając, podczas gdy Pesta więzy Fedora przeciął i osłabłego a ledwie przytomnego w ramiona biorąc, spiesznie uprowadził.

Stało się to tak rychło jako mglniecie oka, bez jednego krzyku, bez szamotania się i walki. Tak niespodziewane było natarcie, że zanim draby oprzytomnieli, już Fedora, Pesty i jego kompanów nie było.

Siciński, otrzymawszy rozkaz hetmański, aby dał znak do zaprzestania chłosty, uczuł się mocno dotknięty. W głosie krakowskiego pana brzmiało jakieś szyderstwo i pogarda a w słowach: w więzieniu go ostaw lub na wolność

puść, mnie to wszystko jedno, — nie trudno poznać było można, jako pan Potocki rzecz tą całą lekce sobie ważył i Sicińskiemu w schwytaniu Fedora żadnej nie przyznawał zasługi.

Co go zaś najbardziej dotknęło, to gdy widział, jako wszyscy przedniejsi na ową naradę do hetmana szli, on zaś wcale na nią inwitetowany nie był, chociaż jako poseł królewski o zamiarach i planach winien był mieć wiadomość.

Zły tedy i wzburzony w sobie, szedł zwolna przez dziedziniec, wcale się nie spieszając.

— A niech go tam przedtem zatłuką.... — myślał.

Dziwiło go to jednak niemało, jako żadnych jęków nie słyszał.

— Omdlał pewno, albo też może i zginął.... mruknął sam do siebie — a byłoby to nie małe dla mnie szczęście, gdybym się tego Wodźbuna pozbył. Od pierwszego momentu, gdym go u Kazanowskiego w Czerkasach ujrzał, przejął mię dziwny strach na jego widok, a czuję jako nieprzebłaganego wroga w nim mam, zwłaszcza teraz, gdy nie tylko za rodzica, lecz i za siebie mścić się będzie.... Jeśli żyw jest, to go na wolność nie puszczę, jeno w więzieniu zamknąć każę.... Niech go wypuszczą dopiero wtedy, gdy będę ztąd daleko.... Nie myślę też długo na tej Ukrainie

przeklętej bawić, — uczynię tak, jak mi pan Sołłohub radzi, wróćę do Upity, a niech się zresztą dzieje, co chce!

Tak rozmyślając, minął dziedziniec i wchodził już na owo pole, kiedy karę chłosty wymierzano, gdy z najwyższym podziwem ujrzał, iż w okół pala nie było nikogo, a owe draby w wielkim pośpiechu i pomieszaniu sami biegli ku niemu. W rychle dowiedział się co zaszło, a zrazu wierzyć temu nie chciał, posądzając drabów o zdradę. Pobiegł co tchu z powrotem do zamku; chciał gonić tych, którzy Fedora uprowadzili, ale nikt bez wyraźnego rozkazu hetmana na to odważyć się nie mógł, hetman zaś przy owej naradzie wojennej był, kiedy nikt prócz starszyny wojskowej i najbliższych zaufanych doradców nie miał wstępu.

Siciński wszakże, widząc jako zwłoka wszelką pogoń za Fedorem niepodobną uczyni, odważył się wkroczyć do komnaty, kiedy odbywała się narada. Z nietajonem nieukontentowaniem spojrzał nań hetman, obojętnie wysłuchał, a potem machnawszy ręką, rzekł:

— A niech sobie ten kozak uchodzi!.... Gonić go nie będę, bo w tym czasie niespokojnym i takie małe sprawy wagę mieć mogą, niepotrzebnie drażniąc. Niezaszkodzi mi zresztą nic, choćby z nowymi dowodami do Króla

biegał, bo zanim by wrócił, my tu porządek zrobimy....

Siciński widząc, jako pan krakowski z coraz większą obchodzi się z nim niechęcią i lekceważeniem, nie odrzekł ani słowa, jeno pożegnał go, zwiastując, iż Ukrainę wrychle opuszcza.

Pan Potocki postanowienie to pochwalił.

— Dla waspana nie ma tu teraz co czynić — rzekł bez ogródki. — Nie posłów nam trzeba, którzyby traktaty pisali z chłopstwem, co rzecz jest śmieszna i bezskuteczna, jeno żołnierzy.... A skoro waść przed Królem Jegomością stanieś, to mu powtórz to, co mu już tyłokrotnie mówiłem: Chmielnickiemu jeno żelazo pomódz może.... a ja wrychle złożę dowody, jako najlepszego sposobu użyłem....

Tak odprawiony, wrócił Siciński do pana Sołłohuba w większym niż kiedykolwiek przygnębieniu. Ostatnia nadzieja ujęcia hetmana i zdobycia sobie w ten sposób oparcia, gdyby mu go u Króla i dawnych protektorów zabrakło, najzupełniej zawiodła. Zdradzeniem Fedora nie uzyskał nic a pan Potocki odwrócił się od niego z takim samym wstrętem i pogardą, jak niegdyś xiążę Krzysztof za zdradę starego Wodzbuna.... Teraz jeno to zyskał, iż ów na poły oszalały, przejmujący go

lękiem kozak, mógł go ścigać zemstą, co na tej pustej Ukrainie, gdzie życie jednego człowieka nie miało niemal żadnego znaczenia, zdawało się najłatwiejszym. Zdany był na łaskę i niełaskę takiego Fedora lub Pesty; w każdym momencie zamordować go oni mogli bezkarnie a nikt by się o niego nawet nie spytał....

Należało tedy co rychlej ztąd uchodzić. A gdy pan Sołłohub zupełnie do drogi przygotowany, namawiać go ponownie począł, aby z nim razem na Litwę powrócił, — Władysław nie opierał się ani słowem i wkrótce potem już ich obu na Ukrainie nie było.

Tymczasem Chmielnicki siedział jeszcze na swoim ostrowie, Bucku; jeno że ten ostrów inaczej już wyglądał niż wówczas, gdy Barabasz odwiedzał pisarza wojsk zaporozkich i namawiał go do układów z Ossolińskim. Dworzysko Chmielnickiego, otoczone wałem obronnym, strzeżone było dniem i nocą tak ściśle, że nikt niepostrzeżenie zakraść się tam nie mógł. Cały nawet brzeg dnieproprowy, z którego na ostrów najłatwiej dostać się można było, obsadzony został silną strażą, a przepuszczano tych tylko, których Chmielnicki żądał lub wzywał, albo którzy w różnych do niego poselstwach przybywali.

Nadaremnie Barabasz, z Fedorem i Pestą, dobrawszy kilku jeszcze dzielnych mołojców, kilkakrotnie usiłowali na ostrów się przedostać. Było już zapóźno — a raz gdy się za daleko zapuścili nad brzeg dnieprowy, wpadli w zasadzkę i omal życiem nie opłacili swego zuchwałstwa. Potrzeba było wyrzec się planu ułożonego przez starego atamana, aby owe listy królewskie pochwycone podstępem, napowrót odebrać. Zresztą i to nie na wiele się już przydać mogło. Fedor, który teraz po swem cudownem niemal uwolnieniu z rąk oprawców w Umaniu, w nieustannym był ruchu a nawet siermięgę pielgrzymią lub żebrawczą znowu czasami przebierał, aby mózg lepiej tajne plany Chmielnickiego zbadać, mówił z rozpaczą, jako wszystko było straconem.

Ze stepów, z Niżu, ze wszech stron i ze wszystkich mniejszych i większych ukraińskich grodów, ciągnęli kozacy nieposłuszni i chłopstwo zbuntowane, ku Chmielnickiego siedzibie. A taką była władza jego i znaczenie, iż niesforne to hultajstwo szło cicho, bez gwałtów, nocami, kryjąc się w trawach stepowych, które już wyrastać zaczynały i niezliczonem mnóstwem otaczając ostrów.

Mówiono, że Chmielnicki był teraz jakby oszalały. Codziennie słał nowych gońców

„na dół”, do Krymu — zwłaszcza od czasu gdy się dowiedział, jako młody Potocki wyruszył już w głąb Ukrainy, ku Żółtym Wodom. Nikt teraz, prócz jednego Krzyczewskiego nie miał przystępu do groźnego atamana, który jeno pił ciągle, wyzywał potęgi piekielne i przeklinał. Chadzali doń na ostrów różni posłowie tatarscy a także popi i czerńcy z rozmaitych monasterów i cerkwi. Ale on jeno posłów przyjmował chętnie, popów zaś, gdy mu nauki dawać chcieli, napędzał.

— Mołczy, popie! — wołał — perechresty i idy k'czortu...

Zgoła jak gdyby opętanym był. A wzrosła w nim teraz pycha tak wielka, że wszystkich, chociaż starszych kozaków, którzy dawniej dowódcami byli, takimi synami, chłopami i drabami zwał a nawet Krzyczewskiego sponiewierał nieraz, gdy był pijany.

— Już ty mi teraz nie gadaj nic! — wołał, gdy Krzyczewski go uśmierzał, — będę ja miał dwakroć, trzykroć sto tysięcy swoich; orda wszystka przy mnie... a nie darmom ja całował szabłą Islam Gireja i z nim po muzułmańsku namaz odprawował... Cha! cha! cha! — śmiał się, pod boki się biorąc, — psy niewierne!... ale mi pomogą Lachów zdusić! Będzie teraz sprawa i rozprawa, wojna być musi w trzech albo czterech niedzielach, albo

jeszcze rychlej, niechno się tylko królewietę zejdą, aby ich lepiej wszystkich wyrzezać można!...

Czasem znów napadał go strach ogromny. Siedział wówczas ponury i milczący, że słowa z niego wydobyć nie można było, — aż się porywał w dzikiej wściekłości, czuprynę targał, nogami tupał, przeklinał siebie i pienił się w szaleństwie; — były takie momenta, że uciekać chciał i kryć się a ciągle mu się zdawało, iż grozi mu niebezpieczeństwo wielkie.

Nareszcie jednej nocy zerwał się i chociaż tak pijanym był, że się zatacał, rzekł do Krzyczewskiego, który w wielkiej tajemnicy tegoż dnia na ostrów przybył z ważnemi doniesieniami.

— Chodźmy!... — spisek jest na mnie... trzeba go zdusić...

Wzięli z sobą Filona, który od owego pochwycenia listów królewskich ciągle na usługach Chmielnickiego był, i popłynęli na brzeg dnieprowy. Noc była ciepła, pogodna, a taki spokój panował w powietrzu, że trawy nie kołyzały się nawet na stepach.

Szli tak brzegiem czas jakiś milcząc, aż Bohdan przystał i rzekł do Krzyczewskiego:

— Ile ma wojska młody Potocki?

— Może dziewięć a może dziesięć tysięcy, ale w tej liczbie trzy tysiące rejestrowych, którzy...

— Do nas przejdą — dokończył Chmielnicki — a to jest jeszcze nic, iż przejdą, ale tem przejściem okrutny wywołają popłoch... to najważniejsza...

— Wojsko jest dobre? — pytał dalej?

— Wyborne — odrzekł Krzyczewski, — lśniące od złota i srebra... idą za niem tabory wielkie, — konie cudne, w rzędach wspaniałych.

— To nasze... wszystko nasze!... — wtrącił Chmielnicki — a potem, jakby wewnętrzny niepokój uśmierzyć chciał i własnym odpowidał myślom:

— Nie ci to już Lachowie — zawałał, — co przedtem bywali a bijali Turki, Moskali, Niemce, Tatary... nie ci! nie Żółkiewscy, nie Chodkiewicze, nie Koniecpolscy!... Państka to są, co ze strachu pomrał, gdy nas ujrzał...

— E! — wtrącił Krzyczewski — są i tam dzielni, jako Czarniecki, Sapieha Jan i sam Potocki Stefan...

— A milcz-że ty owaki synu! — wrzasnął Bohdan — zgłupiałeś ze strachu... ja ci mówię nie ci to są, którzy przedtem bywali, nie ci!...

Przystał. Zdala na stepie, w blaskach księżycoowych dojrzeć można było rozsypane jak mogiły kurenie, wysterczające wśród drzew jeszcze bezlistnych.

— Filon! — zawała Chmielnicki do idącego za nim kozaka — w którym ty miejscu widziałeś Barabasza?

Dziedżelej poskoczył ku Chmielnickiemu.

— Niedaleko ztąd — odparł — koło Wasylowego kurenia. Szło z nim pięciu innych kozaków a między tymi Pesta.

— I co mówili?

— Zmawiali się na życie Waszej Miłości... Jeden z nich, Fedor Bezimia, który Barabaszowi służy, wysłany został do obozu Potockiego Stefana na Żółte Wody... Barabasz zaś, Pesta i jeszcze kilku tu się skryć mieli, aby na was czekać i skoro się ukażecie, pochwycić...

Chmielnicki się zaśmiała.

— Zgłupiał stary Barabasz! — zawała, — żali nie widział, co się na stepach dzieje... żali nie słyszał, jak się kurenie ruszają...

— Toż mówił — wtrącił Filon, — jako na śmierć idzie, ale się przysięgał, iż spełni to, co mu sumienie każe... Słyszałem wyraźnie jako rzekł do Pesty: — Chmiel listy królewskie mi wziął i nosi je przy sobie, aby lud buntować... albo je odbiorę albo zginę...

— Ano, zginie! — zwołał Bohdan. — Ty Filon będziesz miał dziś zemstę...

Filon zęby wyszczerzył i poklonił się Chmielnickiemu do ziemi.

— Spasybih, bat'ku atamane — rzekł.

Chmielnicki przyłożył palec do ust i gwizdał raz, drugi i trzeci... Jeszcze echo nie umilkło tego gwizdania, gdy ozwały się zewsząd takie same hasła jedno po drugiem i po całej niezmierzonej przestrzeni stepu rozbiegły się do nośnem echem.

— Hop! hop! hej! hej! — zwołał Bohdan.

A na wołanie to jak z pod ziemi wyrosło mnóstwo postaci.

Ze wszystkich stron, ze wszystkich kureni, które zdala jak mogły widniały, wybiegali mołojcy, spieszając ku Bohdanowi.

— Patrzaj! — ozwał się on, zwracając ku Krzyczewskiemu, — wszystko czuwa i czeka jeno hasła...

Za chwilę stał na wzgórku otoczony całą armią mołojców.

— Do Wasylowego kurenia idźcie! — rozkazał — a tych, którzy tam są, przyprowadzić wszystkich!... A spieszcie się, owacy synowie... gdyby Barabasz umknął, wam śmierć, chłopy pole!... Niech idzie dziesięciu, reszta do jam, a jutro świtaniem na Krutą Bałkę...

Jak rozkazał tak się stało. Za chwilę znów pusto było dokoła.

— Stepy te — ożwał się Bohdan, — to już nie martwa ziemia, ale jeden człowiek żywego, który wstanie i zwali się olbrzymem na laszą potęgę...

I stali już w milczeniu, czekając na powrót owych dziesięciu. Chmielnicki bardzo pijany, toporkiem, który w ręku trzymał, o ziemię bił a mruczał niewyraźnie, tłustemi wargami ruszając; Krzyczewski zamyślony nie mówił nic, a Filon żeby szczerzył od czasu do czasu w dzikim uśmiechu.

— Ida! — zawała nagle, ukazując w dal ręką.

Rzeczywiście zdala szło wolno kilkanaście postaci. Gdy się nieco zbliżyli, dostrzędz można było pochyloną wiekiem, ale zawsze wyniosłą postać atamana Barabasza, postępującą zwolna. Ręce miał związane na plecach, a prowadziło go pod ramiona dwóch innych kozaków; — za nim postępowali inni jeńcy, również skrępowani, a żaden nie odzywał się ani słowem, ani się spierał, ani walczyć usiłował z tymi, którzy ich wiedli. Szli powolnie z pochylonemi na piersiach głowami, pewni tego, co ich czekać może.

Stanęli przed Chmielnickim, który wsparłszy się jedną ręką na czekanie, drugą pod boki się wziął.

— Barabaszeńku! — zawała ochrypłym głosem — a ty tu zkać bat'ku?

Stary ataman głowę nagle podniósł i wzrok śmiały, rozogniony w tej chwili wewnętrznym zapałem, na Bohdana podniósł.

— Złodzieju! — krzyknął — oddaj mi listy!...

Chmielnicki porwał się gwałtownie, ryknął z wściekłością, chciał mówić, ale zabełkotał jeno i podniósłszy rękę, ściśniętym kułakiem uderzył w twarz starca.

Barabasz zachwiał się na nogach...

— Zabij mnie! — zawała — niech się krew bratnia naprzód poleje... abyś mówić nie mógł, żeś z nieprzyjaciół walczył!...

— Cha! cha! cha! — zaśmiała się Bohdan — znam ja cię, psi synu... sługo Lachów, najemniku pański!...

— Opamiętaj się, Bohdanie! — przerwał z uniesieniem Barabasz — na mnie rękę podnosiś, to jakbyś własnego rodzica mordował... dyabel cię opętał, że nie czujesz jakoś duszę stracił. Listy królewskie mi skradłeś i nimi lud buntujesz; niewierne plemię tatarskie na świętą ziemię naszą sprowadzasz, niewinnych mordujesz, za jednego winnego! Dyabel cię opętał, że siebie i lud kozacki na zatracenie wieǳiesz...

Chmielnicki milczał, a od czasu do czasu śmiał się... Upajał się własną wściekłością, która w nim wzbierała. Chwilami się porywała, pięści ścisnięte podnosiły i strzymywały się, czekając aż gniew w nim wzbierze jeszcze mocniejszy; dawał przeto mówić Barabaszowi, nie przerywając, a oczy mu się iskrzyły.

— Dyabel cię opętał — powtórzył stary ataman, — boś się własnej wiary świętej wyrzekł a mahometańską wiarę przyjął na pohańbienie...

— Łzesz, sobako! — wrzasnął Bohdan, ledwie obracając pijanym językiem, — nie zmieniłem ja wiary — jeno z Islamem wieczorne odprawiałem modlitwy, aby mi pomoc dał przeciw laszym królewietom.... Prawowierny jestem, a mam takiego patryarchę, który do Kijowa z Jerozolimy przybędzie...

— Nieprawy patryarcha! — przerwał Barabasz — kłamca!...

— Taki on sam pop jak inni! — wrzasnął Bohdan — a on mię uzna xiążeciem... jedynowładcą... Cha! cha! — każe mu — to mię i ukoronuje w Kijowie, abym takich jak ty atamanów wieszać mógł, albo na pal wbijać, albo skórę z nich drzeć!... On mi dał też absolutionem od wszystkich przeszłych i przyszłych grzechów i dał błogosławieństwo na

wojnę z Lachy a powiedział: ty będziesz Jedynowładcą, Samodzierżcą wszystkiej Rusi...

— Chmiel w głowie masz, Bohdanie... — przerwał Barabasz.

A Chmielnicki na te słowa znowu w gębę go uderzył, poczem tak mówił dalej:

— Ja lubię z tobą gadać, atamanie... łaszkoczą mnie twoje słowa, że wszystkich Lachów do góry nogami bym przewrócił, gdybym cię jeno ciągle słuchać mógł... Ano, nie mogę, bo czasu szkoda i Filon czeka na ciebie, zębami zgrzytając...

Zaśmiał się znowu a tocząc w okół wzrokiem:

— Hej mołojcy! — zawała ku tym, którzy innych jeńców wiedli — weźcie tych owa- kich synów, obwieście, albo skórę z nich drzyjcie... Bawcie się! byle przed świtaniem było skończone...

A na te słowa jeden z owych jeńców, wzrostem olbrzymi, zatrzasł się tak, że powrozy krępujące go pękły, i poskoczył ku Bohdanowi.

— Dyabelski synu! — krzyknął — będziesz-że ty kozacką krew pić!

Chmielnicki się cofnął i zatoczył, że omal nie upadł — ale wnet z większą jeszcze wściekłością porwał się ku owemu zuchwałemu jeńcowi.

— A... a! — wrzasnął — tyś to jest Pesta, któryś już raz na mnie godził, że mię jeno misiurka, whomią miał na głowie, od twojej szabli ocaliła... A ty sobako!

To mówiąc, z dzikim śmiechem podniósł czekanik, który w ręku trzymał... Krzyczewski podbiegły, chcąc go strzymać, ale było za późno.

Czekan całym ciężarem spadł na głowę Pesty i utkwił w niej tak głęboko, że Chmielnicki szarpanąć musiał, aby go wydostać... Krew i mózg rozprysnęły się na wsze strony... Olbrzymi kozak moment stał jeszcze, a potem wzdrygnął się całym ciałem i zachwiał, ręce wypreżyły, jęknął głucho i jak dąb siekierą podcięty, zwalił się na ziemię...

Głuche milczenie zaległo... A Chmielnicki śmiał się ciągle...

— Od razu zdechł — ozwał się po chwili, — głowę miał miękką jak ciasto...

Kopnął nogą trupa.

— Weźcie go! — rzekł — niech mi tu nie śmierdzi... A nie stójcie tak, jakbyście się przelękli; tych zaś innych w rychle sprawcie, bo czasu nie ma...

Zaczem zaczęła się wrzawa. Bohdanowi mołojcy rzucili się na jeńców, aby uprowadzić ich dalej i dźwignąwszy trupa, odeszli wszyscy a został tylko Bohdan z Krzyczew-

skim i Barabasz z rękami skrępowanymi. Śmierć Pesty nie uczyniła już na nim żadnego wrażenia, — wiedział on, co jego i drugich kompanów, z którymi ujęty został, czekało. Stał więc z pochyloną na piersi głową w milczeniu.

Za to inni jeńcy, widząc jako litości spodziewać się nie mogą, poczęli wykrzykiwać, gdy ich odprowadzano, a wyzywać Bohdana.

— Na pohybel mu! — wołano. — Krew nasza i Pesty na głowę jego!

Chmielnicki, któremu trunek szumiał tak w głowie, że chwilami przytomności pozbawiał — żachnął się.

— Co oni wrzeszczą? — zabelkotał.

— Przeklinają cię, Bohdanie — odparł Barabasz — a przeklinać cię będą i dzieci i wnuki i prawnuki nasze, za nas i za siebie, żeś nas wymordował, żeś całą Ukrainę niewiernym na wieki zaprzedał, a wiare russką i cerkwie święte poganstwu dał w ręce...

— A sokole ty mój! — przerwał Chmielnicki — gadaj ty jeszcze, gadaj!... każde twe słowo to jak najlepsza gorzałka... wnętrzności piecze...

— Piekło cię spali! — rzekł Barabasz.

— Ale przedtem — przerwał znów Bohdan — spalę ja Lachów i podepeczę tak, że wszyscy będą pod memi nogami a was wszyst-

kich zdrajców, chłopów, carowi tureckiemu w nie-wolę poddam...

I mówił dalej, miotając się a rzucając wściekle... Przyskakiwał do Barabasza, w gębę go bił, za brodę szarpał, że krew oblała starca, który już milczał, znosząc wszystko cierpliwie.

— Korol... Korolom bude! — bełkotał Bohdan — aby szlachtę ścinał i kniazie. Zgrzeszy kniaź, urzeza mu szyję, zgrzeszy kozak, toż mu uczyni... Nie pozostanie tu żadnego kniazia ani szlachcica na Ukrainie...

Mowa ta męczyła go, język mu się skręcał i plątał a tchu w piersiach brakło... Nogami tupał, skrwawionym toporem w powietrzu wywijał, że zdawało się, iż się nie strzyma, aby Barabasza tak jak Pesty nie zamordować.

Nadaremnie Krzyczewski pomiarkowało go chcąc, strzymywał za rękę i mówił doń szeptem. Wyrwał mu się Bohdan, krzycząc:

— Mołczy!... mołczy Lachu! jam tu jest jedynowładca... patryarcha mi to rzekł i pomoc obiecywał...

Filon, snadź w obawie, aby Barabasz rąk jego nie uszedł, zbliżył się także do Bohdana i zęby białe szczerzył... A prócz niego była też tam od pewnego momentu inna jeszcze postać, która na klęczkach ku Bohdanowi się czołgała, mrucząc groźnie.

— Taras Bihun! — zawała Bohdan, ujrzawszy go nagle przed sobą.

Taras kudłami siwymi potrąał, oczyma błysnął i zamruczał:

— Barabasza nam dajcie!... on nasz, bat'ku, przyrzekałeś...

— A... a... — zabełkotał Chmielnicki... — Barabasza wam dać?... Dobrze... tylko go jeszcze sokoła mego popieszcz! On się na życie moje zmawiał, królewskie pisma odebrać chciał... sobaka!

Jeszcze raz przyskoczył do starego atamana i podniósłszy pięść, całą siłą w skrógo uderzył. Starzec zachwiał się, krew oblała go strumieniem, jęknął, i twarzą upadł na ziemię.

— Poklon mi dał!... — szyderczo zasmiał się Bohdan — a teraz go sobie zabiierzcie.

Z dzikim krzykiem rzucili się na starca Taras i Filon.

— Unieście go precz! — rozkazał Chmielnicki.

Chwycili omdłającego atamana i dźwignąwszy z ziemi, unieśli nad brzeg dnieprowy. A Chmielnicki z Krzyczewskim zwolna odeszli napowrót ku ostrowu.

Gdy zaś byli u dnieprowego brzegu, kiedy czekało czolno na Bohdana, — rzekł on, Krzyżewskiego żegnając:

— Zajutro rozprawa... Pilnuj rejestrowców, aby na dany znak przeszli... U Krutej Bałki zasadzka... wpadną tam wszyscy i co do nogi zginą...

I na tem się rozeszli.

A gdy dnia tego pierwsze brzaski słońca rozproszyły mgły białe, snujące się po stepach, to niedaleko od miejsca, kiedy w nocy stał Bohdan, z krzykiem zerwało się z ziemi spłoszone ptactwo żarłoczne i poczęło kołować w powietrzu ponad walającymi się trupami owych kozaków z Barabaszem ujętych. I rosa iskrząc się a mieniać w słonecznych promieniach na świeżej wiosennej trawie, miała tam krwawe odbłaski, a ziemia ukraińska piła w siebie ablową krew kozacką...

Zaś u brzegu dnieprowego, kiedy rzeka z głośnym szumem rozbijała się o kamienie, leżał trup Barabasza pół nagi, obrócony twarzą ku słońcu... Twarz ta była cała jakby pokrajana nożem... krew skrzepła okrywała policzki i siwą obryzgała brodę... oko jedno otwarte, patrzyło sztywnie, bez blasku — drugie, wypłynięte, zwisało na nitkach krwawych — z pod potarganej na szmaty odzieży widniała pierś rozdarta głęboką raną, której

brzegi nierówne, poszarpane, świadczyły jako pastwiono się dziko. Pięście miał ściśnięte groźnie; usta sine, otwarte, zdawały się wołać o pomstę ku niebu. A woda dnieprowa, pieniąc się, zbiegała aż do tego trupa, szła czysta jak łyza a wracała krewawa. Silniejszym popchnięta prądem, falą podmywała trupa, który chwilami poruszał się, jakby upiorem chciał wstać i mścić się za przebyte męczarnie.

We dwa dni później, w noc chmurną, po nad tym samym brzegiem i szeroko stepami, przez uroczyska i jary dążyła ćma niezliczona pieszego ludu... Szli cicho, jakby się skradali; uzbrojeni byli rozmaicie, niektórzy mieli szable, a drudzy topory, inni dzidy, kopie i widły i wielkie siekiery a nawet pale nabijane gwoździami... Rzeką zaś sunęły się czolna, czajki i tratwy, i płynęły także cicho — odgłos wioseł tłumił szum spienionej rzeki i jęk wichru, który gnał groźne chmury po niebie.

Ponad samym brzegiem jechał na swoim bachmacie Chmielnicki. Zadumany był, posępny, a ubrał się jak senator. Kontusz miał axamitny amarantowy, okryty altembasowym kopieniakiem sobolowym, takiż kołpak z piorem czaplem miał na głowie, w ręku buławę dzierzył hetmańską, krzywa szabla tatarska, brylantami sadzona o bogatej ręko-

jeści, zwisała mu u boku. Otoczony był starszyną na koniach, pułkownikami swymi i asaulami, za nim zaś jechał kozak z chorągwią czerwoną.

Chmielnicki zrazu milczał, a potem nagle głową rzucił, buławą potrząsnął i spytał jadących obok:

— Tohaj bej z tatary swymi idzie z przeciwej strony?

— Idzie — odpowiedziano.

— A nie zdradzi? — zagadnął znowu. — Nie zdradzą te psy niewierne?

— Nie zdradzą... — brzmiała krótka odpowiedź.

— Konnica — mruczał jakby sam do siebie Bohdan — za nami idzie... z prawej uderzy Tohaj bej, my z lewej — rozbijemy ze szczętem; co nie zginie od miecza, to się potopi... W drogę wybraliśmy się bez wozów i armat, bo to wszystko u Lachów najdę... Juki jeno a sakwy pobraliśmy z sobą... Prawda? — zapytał głos podnosząc.

— Prawda... — odpowiedziano.

— Dobrze... — rzekł Bohdan. — Bo kto by jedną kolaskę wziął z sobą na tę wojnę, każdy mu szyje urżnąć! Wszystko nam Lachy dać muszą...

A potem, jakby sumienie swe uspokoić chciał, szepnął jeszcze:

— Korol jak Korol, ale kniaziowie i królewięta nabroili mnogo....

Poczem zamilkł chmurno. Strach go jakiś ogarniał, że oglądał się ciągle po za siebie, to głowę podnosił i oczami błyskał.

I jechał tak nie ustając, aż do miejsca Krutą Bałką zwanego, kiedy śmierć rycerstwu polskiemu gotował.

Zaś na brzegu dniepropowym, w noc tę chmurną leżał jeszcze krwawy trup Barabasza, twarzą patrząc ku schmurzonemu niebu, z ramiony rozwartemi i ustę, jakby gniewu Bożego wzywał....

— — —

## XIX.

Król od kilku miesięcy bawił na Litwie. Zastał on tam takie same usposobienie umysłów jak i w Koronie; szlachta bowiem równie niechętnem okiem patrzyła na wojenne Króla zamiary a o buncie kozackim coraz straszliwsze nadchodziły wieści, szerząc niepokój. Było to jakby przeczucie wielkiej klęski, pewnych bowiem wiadomości nie było, jeno pogłoski z nie wiadomego pochodzące źródła, które przechodząc z ust do ust, przebiegały Litwę całą. Mówiono też, że Król śrogim niepokojem dręczony, coraz ciężej na głowiu zapada, a znosił niewymowne męczarnie, wśród których o śmierć rychłą Boga błagał. Gryść go też niemal musiały niesnaski między katolikami a dyssydentami, które były już nieco przycichły a teraz znowu srożej wybuchły, gdy w majątku księcia Janusza Radziwiłła, Świadość, żywej, jakaś ręka zbrodnica pozbalała wszystkie krzyże po drogach stojące. Sprawa ta, wytoczona przed

sejmem, ciągnęła się dugo, zjeżdżały komisye rózne i odbywały śledztwa, które niesforne umysły jeszcze bardziej jaźryły.

Tymczasem wiosna nadeszła i nagle wielki popłoch ogarnął wszystkich. Od Dniepru przychodziły coraz groźniejsze wieści, a do Wilna zbiegała się ze wszech stron szlachta, chcąc u dworu królewskiego zasięgnąć języka; mówiono już bowiem, że Tatarzy w zmowie z Chmielnickim jedną olbrzymią masą idą ku granicom. Z Ukrainy też przybywali uciekając, tacy, którzy tam od niepamiętnych czasów osiedleni byli a przybywszy opowiadali, jako tam chłopstwo zbuntowało się przeciw panom i wielką groziło rzezią. Szczegółów nie wiedzieli żadnych, bo uciekli jeszcze przed burzą, ale przybywali z takim lękiem, że dość było spojrzeć na nich i słów ich bezładnych posłuchać, aby się przerazić.

Opodal królewskiego zamku w Wilnie, była wielka gospoda, kiedy pewnego wieczora, przy końcu maja, tłumem zgromadziła się przybyła i miejscowa szlachta. Rozprawiano głośno i gwarnie. Właśnie nadeszły wieści, jako Król wyjechał z Wilna do Warszawy, o czternaście mil od stolicy litewskiej, w Mereczu, zatrzymać się musiał, ile że sam był chory a nadomiar Królowa zasłabła. Mówiono tedy o tej chorobie Króla, o ukrainnych

sprawach i zamiarach królewskich, które do skutku nie przyszły, a wreszcie o dyssydenckich niepokojach, która to ostatnia sprawa największą wywoływała wrzawę.

— Jeszczem nigdy tak tchórzliwej szlachty nie widział, jaka teraz jest! — mówił z oburzeniem imćp. Baltazar Tukallo, który teraz najczęściej w Wilnie przebywał a lubił ową gospodę, dla miodu, który tam najprzedejny był. — Siedział też i teraz przy kubku ulubionego trunku a mówił z ożywieniem wielkiem i głos podnosząc dla stłumienia powszechniej wrzawy. Nie postarzał się on zgoła przez te lata; jeno na skroni włosy mu zbielały i wąs sumiasty posiwały, co mu tem większej dodawało powagi. Postawa była zawsze jednakowo wspaniała, oczy patrzyły jak dawniej zuchwale przed siebie a głos donośny nie utracił siły.

— Jeszczem nigdy tak tchórzliwej szlachty nie widział! — zawała ponownie, wodząc z powagą okiem po obszernej izbie gospodnej, kiedy na ławach drewnianych, dokoła ścian i pośrodku, przy stołach, siedziała szlachta, żywą prowadząc dyskussyę. — Dawniej, — mówił dalej, zagłuszając donośnym swym głosem panującą wrzawę — dawniej pomnę, rwano się do okazyj rycerskich — teraz zaś miecze pordzewiały a dusze pleśnia porosły,

wśród długiego pokoju.... Za piecem by się chciało panom braciom siedzieć.... Rozumiem i konkluduję, jako się coś popsowało w tej Rzpltej, a nie wiedzieć z której strony, z góry li czy z dołu?...

— Z góry! — zwołano chórem. — Król konstytucyę łamie, z kozakami potajemnie zma-wiać się chciało....

Pan Tukałło stuknął w stół pięścią.

— Powtarzacie — krzyknął — co wam powiedziano, a nie wiecie zgoła co jest....

— A wacpan wiesz lepiej? — zagadnięto.

— Pewnie, że wiem, — odparł pan Baltazar, prostując się — ile że mam rozliczne konnexe u senatorów i królewskiego dworu....

— Najwięcej u fraucymeru królowej — przerwał jakiś głos żartobliwy. — Imęp. Baltazar pomimo wieku....

— A waści co do mojego wieku! — krzyknął p. Tukałło — fraucymer królowej także mi nie obcy a rozumiem i konkluduję, żebym jeszcze takich młodzieniasków jak wacpan, snadnie przez kij przesadził.... Ale ja z białogłówami o polityce i wojnie nie gadam.... Mam ja inne, zgoła dobre źródła, z których wiadomości zasięgam, jako na przykład, mówił mi wczora zacny człek, imęp. Kazimierz Siciński, który jest teraz znacznym dworzaninem u woje-wody Śluszki....

— Syn marszałka upitskiego.... — przerwano. A wiecie, jako pan marszałek z dworem birżańskim srodze się poróźnił i zachorzał i mocno, do Upity odjechał?....

— Zgoła nie do uwierzenia! — wołali inni. — Taki zaciekły kacerz jak pan Siciński, jakżeby mógł ziążciem Januszem, który głową kacerstwa jest, się różnić. Oni się wzajem wspierają a pan Siciński dla experyencyi swej w sprawach dyssydenckich pierwsze ma znaczenie....

Pan Tukalło mocno niekontent, że mu przerywano, rzucał się niecierpliwie, a gdy o marszałku upitskim zaczęła być mowa, nie mogąc się zdzierżec, krzyknął:

— Co tam mości panowie o tym heretyku mówić będącie!... Dzięki Bogu, że go już starość tak zgnębiła, iż teraz cicho siedzi.... jeno podejrzywam, jako to z jego rozkazu w Swiadłości krzyże porąbano.... Posłuchajcie lepiej co mi syn jego, wcale do rodzica niepodobny, in puncto spraw kozackich mówił....

— Niepodobny, — przerwano znowu — ile że garbus jest potworny....

— Z kalectwa wacpan nie urągaj — odparł imćp. Baltazar, — zwłaszcza, iż w tym kalece dusza jest szlachetna i wielka. Otóż on mi te kwestye jasnym rozumem tak wyło-

żył, jako Król wojny pragnął z Turcą, aby szlacheckie mężtво rozbudzić....

— I dla tego z kozakami wbrew woli sejmu się zmawiał! — zwołano.

— To było źle — potwierdził p. Tukałło — ile że takie konszachty wolności naszej zagrażają, a gdyby raz na to zezwolono, to rozumiem, jako wolność nasza by zginęła.... Inaczej mi to wprawdzie młody Siciński przedstawił, alem się skonwinkować nie dał, przyznając wprawdzie, jako Król miał intencje dobre....

— Nie ma na to zgody! — przerwano.

— Ja się bez waszej zgody snadnie obejdę! — krzyknął Tukałło — bo mam rozum swój i tak konkluduję, jako Król dobrze chciał przeciw nieprzyjaciolom świętego Krzyża broń podnieść.... Ale dziś szlachta jeno wygody swej patrzy i ruszać się nierada.... W tym spokoju, który nas ogarnął, to krew szlachecka albo się burzy i zapala bez powodu, albo tak gęstnieje, że już z takim zgęstniałym szlachcicem chyba jeno pacierze klepać.... Exemplum: przytomny tu im. ep. Woydat.... Dzielny był człek a wesoł, lecz na nie zmarniał, bo mu krew zgęstniała.... Oczyma jeno łypie i językiem w gębie obraca milcząc, a w piersi się bije za grzechy — nie swoje, lecz xiążcia Krzysztofa....

A na to wszyscy zwróciли oczy ku siedzaciemu opodal szlachcicowi, w którym rzeczywiście trudno było rozpoznać dawnego Woydata. Zgarbiony, o twarzy zwiędłej i zmarszczkami okrytej, patrzył przed siebie zamglonemi i smutnemi oczyma, od których biegły po chudych policzkach dwie głębokie bruzdy, jakby łyzami wyżłobione. Gdy wspomniano, jako pan Siciński marszałek upitski z xiążciem Januszem się poróżnił, Woydat, który dotychczas nieruchomo siedział, żachnął się, powstał z ławy i ku panu Tukalle się zbliżył.

Na słowa pana Baltazara, które powszechną nań ściągnęły uwagę, nie odrzekł nic, jeno ręką machnął.

— Popatrzcie się waszmościowie na niego i na mnie... — mówił dalej pan Tukałło. — Jam już dawno szablę szczerbił na tatarskich i rozmaitych szkaradnych karkach, gdy imęp. Woydat jeszcze pierś matczyną smoktał — a oto teraz, powiedziecie, kto z nas młodszy jest? On starzec, a ja....

— Młodzieniaszek! — zawałano chorem śmiejąc się — a jakąż to wacpan tajemnicę masz długiej młodości?

Pan Tukałło pogardliwem spojrzeniem objął całą kompanię.

— Zwę się Tukałło — rzekł — a to już ród jest taki mocny. Jestem zaś Tukałło po-dwójnie, ile że i matka moja Tukałłówna była de domo, rycerskiego iście animuszu niewiasta a ręki dzielnej, która raz, gdym już wyrostkiem był, tak mię ścisnęła pięścią za jakąś swawolę skarciła, że jeszcze teraz, skoro słota ma być, czuję łamanie w łopatce i za duszę ś. p. dzielnej niewiasty pozdrowienie anielskie odmawiam....

Kompanowie się śmieli a pan Tukałło pięścią w stół grzmotnął.

— I czegoż się mości panowie śmiejecie! — zawałał. — Rozumiem jako w tem nic śmieszego nie ma!... Uderzenie macierzy karku nie ugina, jeno go hartuje, toż go prosto noszę przez żywot cały.... A przytem i wygodę mam, bo czas pogodny albo słotny naprzód rozpoznam, i pożytek dla duszy, bo ją modlitwą a pamięcią matki odświeżam....

Zamilkł chwilę i spoważniał p. Tukałło, ale wnet otrząsnął się z zadumy i spojrzał znów na Woydata.

— Gdybyś i wacpan, mości Woydat — rzekł — trzymał się był moich pryncypiów, to byś był tak nie zmarniał....

— A jakież to są owe pryncypia? — zaganienioto.

— Primo: miód pić, bo to arcyszlachecki trunek jest, który myśli dobre pomnaża i siły wzmacnia; secundo: prawdę gadać, bo czem miód wśród trunków, tem prawda w mowach ludzkich, pozytek zawżdy przynosi choćbyś jej i nad miarę nalał; zakrztusi się nią wróg a człek zacny to cię po niej pozna, jak po herbowym znaku; tertio: smutku w duszy długie nie nosić, bo to rdza jest, która przejada i trawi; quarto: myśli swych nie kryć, bo nie powinny być takie, abyś je kryć potrzebował, każda zaś myśl utajona, to indygestya duszy, i świadczy jako ją zlemi potrawami, alias zamysłami karmisz.... quinto: szabłą od czasu do czasu koło ucha bliźnich swoich machać, bo to krew zagrzewa a czasem i upuści, aby nad miarę nie wezbrała.... sexto....

— A jeśli okazyi do walki niema? — przerwano.

Pan Tukałło miodu się napił i zaśmiał się z lekceważeniem.

— Okazya zawżdy jest.... niema Turka, Tatara, Szweda, to jest zawżdy jaki sąsiad oporny, albo najlepiej dyssydent....

Woydat się poruszył.

— A cóż to wacpan — rzekł żywo — wojnę domową głosisz?

— Oho! — zawała pan Baltazar — jako się za dyssydentami obruszył ten istny radziwiłłowski pogrobek, ile że po śmierci xiążęcia Krzysztofa wszystką swą fantazyę, animusza nawet zda się wiarę świętą katolicką zatracił....

— Wacpan możesz sobie mówić o mnie co jeno chcesz — odparł Woydat — alem ja religii świętej katolickiej w sercu nie wygubił, owszem mam ją, ile że po chrześciańsku nieprzyjaciołom moim przebaczam.

— Ja moich nieprzyjaciół — krzyknął p. Baltazar — za kark wyrzucam i nie myślę o nich więcej, niech im tam Pan Bóg przebaczy.... Co się zaś tyczy nieprzyjaciół wiary świętej, jako dyssydenci są, tym mocą przebaczenia nie mam, bo nie mnie, jeno Boga kacerstwem swem obrażają, więc ich chłoszczę, dopóki siłę w ręku mam....

— I dla tego źle jest.... — przerwał Woydat — i dla tego, krew się tu lała po ulicach chrześciańska i bratnia, i dla tego nie masz wśród nas ani wolności zupełnej, ani zgody w umysłach....

— Z dyabłem i wyznawcami jego zgody nie ma! — wrzasnął pan Tukałło, porywając się z miejsca w wielkim wzburzeniu. Co mi tu wacpan jakieś dzikie principia, całe szlacheckiemu rozumowi przeciwne głosić

będziesz! — wołał dalej, grożąc pięścią Woydatowi. — Żal ci tak za xiążęciem Krzysztofem, to go u Lucypera szukaj!...

Pan Woydat nie załakłszy się gniewu Tukalły, stał ciągle ze wzrokiem ponuro przed siebie utkwionym.

— Rok ósmy mija — rzekł spokojnym głosem — od śmierci xiążęcia Krzysztofa.... Nie bluźnij waść pamięci jego.... Żali zna kto wyroki Boże?

Spokój, z jakim stary dworzanin te słowa wymówił, twarz jego smutku pełna i głos przejmujący, podziałyły mimowolnie na wszystkich obecnych. Pospuszczali głowy na piersi a nawet p. Tukalło nie odrzekł nic, jeno mruknął coś pod wąsem niewyraźnie i usiadł ciężko na ławie.

— Rok ósmy mija — powtórzył Woydat — a powiedzież sami mościanowie, nie dziejeż się gorzej na Litwie z dniem każdym? Xiążę Krzysztof wszystkich dokoła siebie skupiał, słowo jego miało tu największą wagę, rozstrzygało wszystko.... Dziś powszechna rozterka, bo niema ktoby dawał hasło.... Syn jego xiążę Janusz, jakkolwiek mu animuszu rycerskiego, odziedziczonego po rodzicu, nie braknie, wszakże....

— Syn taki jak i rodzic.... — mruknął Tukalło — obaj zdrajcy....

— Nie szafuj wacpan tym wyrazem, — przerwał żywo Woydat z widocznem uniesieniem. Przepadło już u nas wielu ludzi przez takie oszczerstwa....

— Ho, ho! — krzyknął Tukałło znów się podnosząc — zapłacisz mi waść za to słowo....

— Nie zapłacę nic.... — odrzekł spokojnie Woydat — bo go kupować nie chcę, a snadnie bym darmo oddał, aby je tylko z naszej Rzpltej wziąć chciał, by go lekkomyślnie nie powtarzano.... Wacpan, mości Tukałło, temu winien nie jesteś, że tak mówisz, boś xiążęcia Krzysztofa nie znał....

— I znać nie chcę! — wtrącił p. Baltazar — bo bym się w piekle parzyć musiał, chcąc takie konnexeje mieć....

Woydat przenikliwy wzrok utkwił w postać grubego szlachcica.

— Dobrześ waść to powiedział — odezwał się po chwili milczenia — jako wacpan zawszy młodym jesteś. Chociaż młodszy od wacpana wiekiem, jam starzec, bo mi od lat wielu a zwłaszcza od czasu gdy z Warszawy tu wrócił, siła myśli ciężkich osiadło naduszy....

— Trzeba je było wypluć, albo miodem zalać — zauważył Tukałło — a z dyssydentami nie trzymać, boć to grzech i szkarada!

— Dobrzebyś wacpan uczynił — odparł Woydat — abyś więcej na słowa własne baczył, które ci miód na język przynosi, a które w złej godzinę wypowiedziane, nieszczęścia stać się mogą powodem....

— A ktoś ty jest, mościanie, wrzasnął p. Baltazar, czerwony z gniewu; a ktoś ty jest radziwiłłowski pachołku, abyś mnie, Baltazarowi Tukalle, nauki dawał?... Znam ja sposób na takich jak ty służalców....

I pieniąc się z gniewu, porwał się z ławy a chciał już lecieć ku Woydatowi, który ani kroku się nie cofnął, jeno o stół się oparłszy, odrzekł głosem jednak spokojnym:

— Nie ulęknę się ja gniewu wacpana, ani słów obelżywych, chociaż mi dziw, że waść tak łatwo o starej zapominasz przyjaźni....

— Nie chcę ja mieć przyjaźni — odkrzyknął p. Baltazar — z tymi, którzy się z nieprzyjaciołmi wiary świętej sprzymierzają....

— Nie sprzymierzam się ja z nikim.... — przerwał Woydat, — jeno obowiązek spełniam, nie dozwalając, aby nierozważne słowo wzburzało umysły i aby znieważano pamięć xiążęcia Krzysztofa, który jakkolwiek dyssydent, zaczął i prawą a rycerską miał duszę.... Dawnoż-to, jak się krew po ulicach Wilna lała, jedynie dla tego, że tacy jak wacpan, mości Tukallo, języka nie strzegli?....

Niewzruszony spokój Woydata jeszcze gorzej rozdrażniał p. Baltazara. Niecierpliwą ręką odpychał innych, którzy go mitygować i powstrzymywać chcieli, a darł się z wściekłością ku Woydatowi, krzycząc:

— Na rany Chrystusa, puśćcie mnie! albo niech ten lodowaty Woydat trochę się obruszy i takim głosem zemdlonym nie gada, bo mnie wewnętrzności się przewróca.... Rozpłatam go na dwoje, a zobaczycie mościanowie, jako w jego żyłach nie krew, jeno pomyje płyną....

Niebawem też wszyscy obecni na dwa podzieliли się obozy. Zaczęto sobie przymawiać, znaleźli się i dyssydenci, którzy przeciw panu Tukalle groźnie wyzywać poczeli, inni znów stanęli po stronie pana Baltazara, a od słów obelżywych już do korda brać się chciano i byłaby się może natychmiast krew połała, gdy wtem drzwi gospody się otwarły, i wszedł p. chorąży Dziembowski z Sołokajem. Obaj postarzeli się znacznie. Chorąży wszedł zwolna, kulejąc mocno a usłyszawszy wrzawę i ujrzałszy zwaśnionych, przystanął.

— Ho, ho! — rzekł — panowie bracia do korda się biorą, a przeciw komu to, bisurmanom czy Szwedom?

— Gorzej jeszcze, — odparł Tukallo, zawsze wstydzony nieco, ile że przed chorążym zawsze wielki respekt miał, zwłaszcza od czasu smoleńskiej okazyi; — gorzej jeszcze, powtórzył, bo przeciw domowym wrogom, dyssydentom i zaułsznikom ich....

— Dałbyś waść pokój teraz dyssydentom — odparł pan Dziembowski — niebawem trzeba będzie przeciw innym, groźniejszym nieprzyjaciołom się bronić, a rozumiem i spodziewam się jako wówczas katolicy i dyssydenci razem będą. Wieści są złe, coraz gorsze....

A na te słowa pana chorążego, którego wielu z obecnych znało i szanowało, uciszono się niemal zupełnie. Wszyscy otoczyli go w koło, pytając co się stało.

— Król mocno zachorzał w Mereczu — odparł Dziembowski smutnie — a z Ukrainy nadeszły pewne wiadomości....

— Kto je przyniósł? — zagadnięto.

— Powrócił niedawno z Ukrainy brat pana Sołłohuba z Tronik, a z nim razem przybył do Wilna, szukając Króla, imćp. Władysław Siciński.... Z panem Sołłohubem mówiłem.... i on mi rzekł, jako na Ukrainie Chmielnicki w zmowie z Tatarami, chłopstwo całe zbuntowało.... Nieszczęście gotuje się wiel-

kie... Siciński pojechał już do Merecza, do Króla, aby mu to zwiastować...

Głuche zapanowało milczenie... Wszyscy spoglądali na siebie w niemem przerążeniu. Jeden pan Tukałło nie tracił fantazyi.

— Wielka rzecz! — zawałał. — A coż znaczy taki pan Chmielnicki ze swem chłopstwem i choćby Tatarami, wobec potęgi Rzeczypospolitej... Mieliśmy innych, straszniejszych nieprzyjaciół a nie lękaliśmy się, coż nam chłopstwo uczynić może? Rozumiem i konkluduję jako to puste strachy są...

Chciał jeszcze coś mówić, ale nie zdążył, bo drzwi gospody znowu się otwarły a na progu stanęła postać, na którą wszyscy zwróciли uwagę.

Postać była niezwykła. Wysoki, chudy był to człek, odziany po kozacku. Ubior wszałkże na nim zupełnie zniszczony, kurzawa okryty, rozпадał się nieledwie w łachmany. Broni przy sobie nie miał, a tak wyglądał jakby po srogiej walce; twarz miał poranioną i okrytą krwawymi znakami; jedna ręka chustą podwiązana, bezwładnie zwisała; zdjął czapkę z głowy i ukazała się druga skrwawiona chusta, otaczająca czoło, z którego na twarz i policzki ściekła krew i skrzepła.

Wszedł i błędnym wzrokiem potoczył dokoła. Zdawał się omdlewać, zachwiał się i o stół oprzeć musiał, aby nie upaść, poczem ciężko usiadł na ławie.

Podbiegł ku niemu pan Tukałło, Dziembowski także się zbliżył a zbliżywszy się i wpatrzywszy w przybyłego, omal nie krzyknął.

— Poznajesz wacpan? — szepnął do Tukałły.

Imęp. Baltazar sztywnym wzrokiem patrzał na omdlewającego ze znużenia kozaka.

— Własnym oczom nie wierzę... — odparł — tak mi się zda, jakby to był...

Nie dokończył, ale podbiegłszy za ramię kozaka ujął i pochylając się:

— Tyś jest Zygmunt Wodźbun... — szepnął — zkąd wracasz?

Kozak drgnął całym ciałem, oczy otworyły, wielkie, zdziwione i dźwignął się z ławy.

— Zkąd wracam? — odparł głosem stłumionym. — Wracam z Ukrainy, z pod Żółtych Wód... Pędzę nocą i dniem... do Króla!...

— Król w Mereczu — wtrącił Dziembowski — a nadeszły wieści, jako mocno chory jest...

— W Mereczu! — wyszeptał kozak — czternaście mil ztąd! Droga daleka, a ja nie wiem czy dojadę — brak mi sił!...

Znowu omdlewać się zdawał. Główę wsparł o ścianę i oddychał ciężko. Poczęto go trzeźwić, wodą oblewać, a dokoła szły szepty i pytania:

— Z Ukrainy wraca... A jakie wieści przynosi?... Muszą być straszne, skoro mówić nie chce...

Nagle dreszcz przejął wszystkich.... Z kościołów wileńskich zadźwięczały dzwony. Hasło dał jeden, z katedralnej świątyni — a potem inne rozjęczały się zaraz, a potem bito we wszystkie dzwony, głośno, ponuro, żałobnie... Czas był nie zwykły takiego dzwonienia, więc lud się zbiegał na ulicach strwożony, pytając co się stało. Nikt zrazu odpowiedzieć na to nie umiał — rozbiegano się w popłochu, dążono do królewskiego zamku, kiedy widać było na dziedzińcu tłum dworzan i kilku jezdnych, których snadź wyprawiano w drogę. Tu zamieszanie panowało takie, iż pytań ciekawych nie słyszano i żadnej nie dawano odpowiedzi, na twarzach odbijało się przerażenie i niewymowny smutek.

Lud coraz gromadziej skupiał się wokoło zamku... Dzień był skwarny, a miał się już ku schyłkowi. Gasnące słońca promienie odbiły się na złoconych kopułach kościołów i była cisza w powietrzu, mącona jeno odźwiękiem dzwonów, który rozchodził się

ponurem echem coraz głośniej, coraz żałobniej. Nagle na szczycie zamku ukazała się chorągiew — zaszeleściała w powietrzu i rozwinięła się szeroko, jak odpowiedź niema na pytania. Chorągiew była żałobna!...

I nagle cały tłum ciekawych, przed chwilą tak gwarny, umilkł w niemem przerażeniu. A potem wydobył się jakby z jednej piersi krzyk rozpaczliwy, bolesny:

— Król umarł!...

Rozbiegano się po ulicach z tym okrzykiem na ustach; wołano z łkaniem, że umarł, chociaż nikt jeszcze nie zastanowił się nad znaczeniem tych słów, nikt głębokości ich nie zmierzył. Wołano: Król umarł! i przerażano się tym okrzykiem, przeczuwano bowiem powszechnie, instynktowo, że śmierć ta, to nie tylko kres żywota monarchy, którego myśl przewodnią, następca prowadzić ma dalej, lecz zarazem kres tej myśli, która urwana nagle, zostawiła naród nad otwartą przepaścią...

— Król umarł!

Na okrzyk ten, dochodzący z ulicy, a łączący się z ponurem brzmieniem dzwonów, obecna w gospodzie szlachta porwała się z miejsc.

— Być że to mogło? — pytali jedni drugich, spoglądając na siebie jak w obłędzie.

A kozak ów ranny, który w omdleniu na ławie spoczywał, zadrżała na całem ciele, powstał jakby mu nagle sił przybyło i głosem stłumionym, który się wraz z jękiem wydobył z piersi:

— Król umarł! — powtórzył — zginęła Rzeczpospolita!

Drzwi od gospody otwarte, dawały wolny przystęp przechodniom. To też gdy jedni wybiegali, chcąc wieść straszliwą sprawdzić, inni wchodzili i zbladłemi usty a głosem drżącym opowiadali, co się w zamku działo.

Panowało tam zamieszanie straszne: istne szaleństwo przerżenia. Gońce z Merecza przybywali ciągle opowiadając, jako Król po trzydniowej chorobie w okrutnych męczarniach Bogu ducha oddał.

Nie było przeto wątpliwości. Okropna prawda stawała coraz wyraźniej przed oczyma obecnych. Już nie pytano: żali to być mogło, jeno, co się stanie teraz, gdy mążna dłoń Władysława skostniała w uścisku śmierci, gdy duch jego potężny, walczący do ostatka z przeskodami, jakie stawiano jego myślom śmiały a zbawczym, uleciał ze świata?...

W pierwszym momencie przerżenia, nie zwracano uwagi na rannego kozaka, który stał teraz o stół oparty, z oczyma wznieśionemi ku niebu, wsłuchując się w brzmienie

rozjęczonych dzwonów... W okół niego po chwilowem milczeniu podnosiła się wrzawa. Mówiono już o następcy Władysława i buncie kozackim...

Aż nagle porwał się kozak i zawałał donośnie:

— Zginęła Rzeczpospolita! A wiecie wy co się stało u Żółtych Wód? Żali wiecie, że tam kwiat rycerstwa poległ... W rękach tatarskich lub kozackich najznakomitsi rycerze: Stefan Czarniecki, Sapieha, Szemberg.... Zginęli: Stefan Potocki, Chełmski, Bełchacki, Malicki... Zamordowani najwierniejsi z kozaków: Barabasz, Hajduczeńko, Olesko; pułkownicy Gurski i Wadowski...

A na te słowa cisza zaledwa... Słuchano i uszom własnym nie chciano wierzyć. Dzembowski, Tukalło, Woydat rzucili się ku mówiącemu.

— Zkądże ty wracasz? — pytali znowu. — Zkąd owe wieści przynosisz?... — A kozak odpowiadał:

— Widziałem u Żółtych Wód całe pole usiane trupami! Z partyi Stefana Potockiego, wszyscy zginęli lub w niewolę wzięci.... U Kamiennego Zatonu, ziemia nie wypiła dotychczas wszystkiej krwi rozlanej... Żółte Wody krwawemi się stały, a u dnieprowego brzegu walają się trupy Barabasza i wiernych

kozaków... Nie wielu ich było — ci wymordowani a regestrowcy zdradzili wszyscy, wraz z Krzyczewskim.... Gdy się zaczęła bitwa, przeszli tłumnie na Chmielnickiego stronę...

— A hetmanowie? — pytano. — A hetman Potocki, co czyni?...

— Potocki — odparł kozak — w szaleństwie rozpaczy, iż syna zgubił, a wraz z nim kwiat polskiego rycerstwa... Kto wie, żali sam żyje jeszcze... szedł ku Korsuniowi z resztą wojska, a przeciw niemu niezliczona éma chłopstwa i órdy tatarskiej...

Gdy to mówił ranny kozak, słuchano słów jego zrazu w przerażeniu niemem, ale wnet obudziły się powątpiewania.

— Kto wie — szeptano, — co zacz jest ten kozak? i żali wierzyć można jego słowom?...

Szepty te snadz̄ doszły do uszu kozaka, bo nagle porwał się; niecierpliwą ręką szarpnął odzież i odkrył piers, którą przerzynała jedna wielka rana krwią skrzepłą zaciekłą, sina, okropna... zdarł chustę z głowy i strumień krwi świeżej trysnął...

— Patrzcie! — rzekł — skoro nie wierzycie! Jam jeden cudem uszedł z tej rzezi... Noc i dzień pędziłem, aby Królowi zdać sprawę i błagać o posiłki... Jam jeden ocalał, aby zwiastować klęskę straszną, którejoby oczy moje nie były widziały!... Słyszałem

jejerki mordowanych, pijane wycia tatarskiej ordy, wściekłe okrzyki rozpasanego kozactwa... Widziałem rozpacz hetmana, gdy podnosząc ramiona ku niebu, wołał w niemej rozpacz: *Żyjeż syn mój ukochany?... i widziałem jak poszedł sam z resztą wojska na stracenie...* Nie wierzycie mnie?... Uwierzcie rychło a uzbrójcie się wszyscy... niech idą ku obronie i starce i młodzieńcy i pacholęta, kto jeno broń w ręku udzierzy — niech idzie!... bo zanim krew z tych ran, które widzicie, płynąć przestanie.... Chmielnicki lub Tatarzyn stanie nad głowami waszemi...

Zamilkł kozak i znużony, omdlały osuwał się w ramiona Tukały i Dziembowskiego, którzy ze współczuciem nań patrzyli, chcąc mu pomóc dać i rany opatrzyć.

Ale on wszelką pomoc odepchnął.

— Dajcie umrzeć! — rzekł — a zwracając się ku panu Tukalle, szepnął:

— Pochowaj mnie waszmość, przy rodziu... w kurhanie, pod Raginianami...

I upadł na ławę, skrwawioną głowę oparł o mur, i oczy zawarł, odychając chrypliwie. Z rozrąbanej czaszki sączyła się zwolna krew dużymi kroplami, spływała po czole i policzkach, zalewała oczy, że płakać się zdawały krwawo...

A nad tym konającym gońcem straszliwej wieści, stali inni w przerażeniu, nie śmiejąc już słowa przemówić... Cisza zaledła, że słyszać było wyraźnie trudny oddech rannego, jak się dobywał z piersi i milkł w jęku stłumionym.

Dzwony ucichły na moment... Aż nagle zerwał się znowu dzwon katedralny i poważny, donośny, ponury zabrzmiął w powietrzu... Na ulicach zmierzch zapadał... po dniu upalnym niebo okryło się chmurami. — U krańców widnokręgu, z ławy czarnych obłoków, dobywał się ogień błyskawic, jakby łuna dalekiej pożogi i dochodziło odległe echo grzmotu, niby działowych wystrzałów. Ponad Wilnem jeszcze był spokój w powietrzu, ale tam, daleko, wrzała już nawałnica sroga, i coraz częściej szedł z tamtąd podmuch gwałtownego wichru, który w rozpedzie porywał w wirze kurzawę z ulic i słupem unosił w powietrzu... A chmury coraz były czarniejsze, coraz bliższe i coraz szybciej pędziły po niebie... Dzwon katedralny jęczał ciągle, do modlitwy za zmarłych wzywając...

Przechodnie zaś wśród tego wichru, błyskawic i grzmotów, padali na kolana na ulicach, i z łkaniem, głośno, modlili się o zbawienie dla duszy zmarłego monarchy...

W końcu ucichło wszystko... ludzie rozbiegli się po domach, ulice opustoszały. Z chmur nie chciał padać deszcz ożywczy; powietrze stało się parne, duszące... I nagle błyskawica olbrzymia rozdarła schmurzone niebo z krańca w kraniec; otwarła się jakby otchłań ognista; ogłuszający odgłos gromu rozszedł się echem daleko a w świetle błysków piorunowych, ukazał się na szczytce królewskiego zamku, wielki sztandar czarny, rozwinięty szeroko, który szarpany wichrem powiewał z głuchym szelestem, powtarzając wieść żałobną:

— Król umarł!...

A na wieść tę, która z dźwiękiem dzwonów i szelestem kirowych chorągwi rozbiegała się po kraju, cała Rzeczpospolita zadrgała w przerażeniu i zakołysała się jak okręt, wichrem porwany i ku groźnym niesiony skałom.

— Ze śmiercią Władysława koniec szczęśliwości polskiej! — wołał naród, patrząc w przyszłość chmurną...

KONIEC TOMU TRZECIEGO.











